



# SIMON **KERNICK**

## OSTATNIE 10 SEKUND

Kernick pisze z pedałem gazu wciśniętym do dechy.

**Harlan Coben**

# SIMON KERNICK

## OSTATNIE 10 SEKUND

Z angielskiego przełożyła  
MARIA FRĄC



Tytuł oryginału: THE LAST 10 SECONDS

Copyright © Simon Kernick 2010  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013

Polish translation copyright © Maria Frąc 2013

Redakcja: Anna Magierska

Ilustracja na okładce: Mikhail Dudarev/Shutterstock

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-869-7

*Dystrybutor*

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.  
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)  
[www.empik.com](http://www.empik.com)  
[www.fabryka.pl](http://www.fabryka.pl)

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

2013. Wydanie I  
Druk: Read Me, Łódź

**Dziś**

**8.05**

Pusta skorupa budynku w centrum miasta. Jest wcześnie, pierwsze promienie słońca wpadają przez otwory w murze, gdzie powinny być okna. Patrzę, jak przede mną na zakurzonej betonowej podłodze moja krew tworzy coraz większą kałużę.

Oparty plecami o ścianę, z pistoletem wciąż zwisającym niepewnie z palca wskazującego, dokładam wszelkich starań, żeby nie zamknąć oczu. Zmuszam się do skupienia wzroku na scenie rzezi w tym wielkim pustym pomieszczeniu.

Trzech martwych mężczyzn. Dwóch leży na brzuchach z dramatycznie rozpostartymi rękami. Leżą blisko siebie, dzielą ich może trzy metry podłogi, ale znaleźli się tutaj i zginęli z różnych powodów. Trzeci – potężnie zbudowany, ubrany w dżinsy i przesiąkniętą krwią błękitną koszulkę polo, młodszy od tamtych – siedzi na krześle ze zwieszoną głową, przywiązany

kablem. Jego gęste rudawe włosy rozdziela wielka dziura, rana wylotowa kuli.

Z zewnątrz płynie ciche brzęczenie ruchu ulicznego. Napływa z daleka i gdy słucham, zdaje mi się, że słabnie, pochłaniane przez głuchą ciszę – ciszę jakby wznoszącą się z podłogi niczym jakaś mroczna, zła siła, która unicestwia życie. Niebawem unicestwi mnie. Wykrwawiam się na śmierć, uwięziony na trzecim piętrze tego opuszczonego budynku, z jedną kulą w trzewiach, a drugą w prawym udzie, niezdolny do ruchu. Ogarnia mnie odrętwienie i chłód.

Od lat często myślałem o śmierci, ale zawsze w ogólnikowy, abstrakcyjny sposób, nigdy z szacunkiem, na jaki zasługuję, choć ocierałem się o nią o wiele za często.

Gdy tak siedzę, ranny i bezradny, zachodząc w głowę, jak znalazłem się w tym strasznym, podobnym do grobowca miejscu, słyszę miarowe kroki idącej po mnie kostuchy i wiem, że nie ma ucieczki. Najtrudniejsze jest pogodzenie się z faktem, że moje życie zbliża się do końca. W tych ostatnich sekundach, gdy ból i szok skręcają mi trzewia, zastanawiam się przelotnie, czy ktoś będzie po mnie płakać.

Czy ktoś będzie o mnie pamiętać za jakieś dziesięć lat.

I nagle naprawdę coś słyszę. Dźwięk tuż za drzwiami. Szurnięcie stopy po podłodze.

Jezu. Czy ten koszmar jeszcze się nie skończył? Czy pora na ostatni akt?

Zaciskam zęby i powoli, z niewyobrażalnym wysiłkiem podnoszę pistolet. Jak mi się zdaje, oddałem pięć strzałów, więc powinien zostać jeden nabój.

Cień pada od wejścia i w drzwiach staje ciemnowłosa kobieta w zwyczajnym, codziennym ubraniu. W wyciągniętej ręce trzyma legitymację, a w drugiej coś, co wygląda na puszkę gazu pieprzowego.

– Policja! – krzyczy i jej napięty głos rozbrzmiewa echem w pokoju.

Otwiera usta, żeby coś dodać, jej szeroko otwarte oczy ogarniają scenę rzezi. Wreszcie zatrzymują się na mnie.

Ściąga brwi zaskoczona, gdy mnie rozpoznaje.

– Sean?

Choć jestem ledwo żywy, zdobywam się na cień uśmiechu.

– Cześć, Tino.

– Do licha, co się stało? – pyta, robiąc krok w moją stronę, nie bacząc, że celuję w nią z pistoletu.

I wtedy padają strzały.

# **Część pierwsza**

**CZWARTEK, 19.00**

**37 GODZIN TEMU**



# 1.

Był niski, niespełna metr siedemdziesiąt – albo szczupły, albo wychudzony, w zależności od wielkoduszności oceniającego – ubrany w tanie szare spodnie i starannie wyprasowaną białą koszulę z ciemnym krawatem zawiązanym na niemodnie mały węzeł. Niekonwencjonalną miał tylko fryzurę: włosy proste jak druty i zaskakująco gęste, sięgające ramion, okrywające głowę jak średniowieczny hełm. Poza tym wyglądał najzupełniej zwyczajnie, aczkolwiek nieco gamoniowato. Ale z policyjnego doświadczenia świeżo upieczonej komisarz Tiny Boyd wynikało, że nawet najbardziej brutalni mordercy zwykle nie różnią się wyglądem od zwykłych ludzi.

Gdy patrzyła z tylnego fotela kii sorento przez przyciemnione szyby, które osłaniały ją przed światem zewnętrznym, trzydziestodwuletni monter systemów alarmowych Andrew Kent

minął ciężarną kobietę, poświęcając jej tylko przelotne spojrzenie.

Andrew Kent. Nawet nazwisko brzmiało zwyczajnie. Niósł mały plecak zarzucony niedbale na ramię i Tina się zastanawiała, czy ma w nim narzędzia swojego potajemnego rzemiosła. Dziesięć lat temu taka myśl przyprawiłaby ją o widoczne drżenie, ale teraz tylko patrzyła na niego chłodno, gdy skręcił w cichą ulicę, przy której mieszkał od czterech i pół roku, i leniwym krokiem nastolatka szedł do oddalonych o trzydzieści metrów drzwi frontowych. Wyglądał na człowieka wolnego od wszelkich trosk. Tina uśmiechnęła się z satysfakcją, że wreszcie go dopadli w wyniku śledztwa, które w takiej czy innej formie trwało prawie dwa lata.

Podniosła krótkofalówkę, napawając się myślą o wielce zasłużonym szoku, jaki czeka Kenta.

– Trójka do wszystkich jednostek, podejrzany idzie na północ Wisbey Crescent. Za chwilę powinniście go zobaczyć.

– Jedyńska do wszystkich jednostek, jesteśmy gotowi – szczerknął jej bezpośredni przełożony, nadkomisarz Dougie MacLeod, szef wydziału zabójstw w Camden.

Wozy numer dwa, cztery i pięć powtórzyły komunikat, również gotowe do akcji. Zjawili się licznie: łącznie piętnastu policjantów na samej Wisbey Crescent, wszyscy po cywilnemu, i kolejne dwa tuziny mundurowych w czterech punktach na sąsiednich ulicach, żeby odciąć drogę ucieczki. Aresztowanie Kenta zostanie szeroko nagłośnione i stołeczna policja nie mogła sobie pozwolić na żadne błędy.

Ale gdy Kent szedł spacerowym krokiem, teraz ledwie dziesięć metrów od drzwi zaniedbanej kamienicy, w której na

pierwszym piętrze znajdowało się jego mieszkanie, coś się stało. Zaczął zwalniać, potem się zatrzymał, patrząc na auto zaparkowane tuż przed sobą. Był to biały ford transit z wymalowanym na boku napisem „STOLARSTWO Renham i syn”. Wóz numer trzy.

W tej chwili z niewiadomego powodu Andrew Kent odgadł, że jest celem obławy.

Odwrócił się i zaczął biec. Z nadajnika popłynął nagłący krzyk MacLeoda: „Ruszać! Ruszać! Ruszać!”. Detektywi wyskoczyli z czterech samochodów w kakofonii komend i wrzasków, które miały na celu zastraszenie podejrzanego.

Z transita jedynki wyskoczył posterunkowy Dan Grier, wysoki na prawie dwa metry, młody, jasnowłosy absolwent uczelni, niejako predestynowany do szybkiego awansu, obdarzony długimi nogami, dzięki którym w ciągu kilku sekund pokonał odległość dzielącą go od Kenta. Ale gdy Grier chciał go złapać za kołnierz, Kent się odwrócił, jedną ręką uderzył go w przedramię, a drugą z chirurgiczną precyzją zadał mu cios w szyję. Tina z przerażeniem patrzyła, jak Grier pada niczym tyczka fasoli, podczas gdy Kent, znacznie od niego niższy niezdar, zadziwiająco zwinnie robi unik, kompletnie zaskakując posterunkową Anji Rodriguez, która do znudzenia lubiła powtarzać, że kiedyś grała w netball w angielskiej reprezentacji juniorów, a która teraz potknęła się jak amatorka, gdy próbowała go złapać. Przechyliła się i z głośnym plaśnięciem uderzyła w asfalt, natychmiast stając się przeszkodą dla biegnących za nią policjantów. Jeden z nich, sierżant Simon Tilley, stracił równowagę, gdy usiłował przeskoczyć nad turlającą się koleżanką, i też runął na ziemię.

Scena wyglądała surrealistycznie, niczym żywcem wyjęta ze slapstickowej komedii o niewydarzonych gliniarzach. Obserwowanie, jak Kent zawraca tam, skąd przybył, biegnąc środkiem jezdni, a kilkunastu gliniarzy gramoli się jeden przez drugiego w pościgu prowadzonym przez zasapanego, czerwonego nadkomisarza Douga MacLeoda, byłoby nawet zabawne, gdyby nie świadomość, że ten człowiek jest niebezpieczny i nie wolno pozwolić mu uciec.

Tina chciała aktywnie uczestniczyć w aresztowaniu, chciała być jedną z tych, którzy zakują Andrew Kenta w kajdanki, ale kulała wskutek odniesionej w zeszłym roku rany postrzałowej i stopy. Ku jej irytacji lekarze uznali, że jeszcze nie jest w pełni zdolna do służby czynnej, co znaczyło, że musi zostawić aresztowanie kolegom. Wydawało się to ponurą ironią losu, gdy przez tylną szybę patrzyła, jak Kent szybko się zbliża do jej samochodu.

Na przekór swoim odczuciom była pod wrażeniem jego prędkości i opanowania mimo stresu. Biegł, skręcając ku chodnikowi po jej stronie ulicy, z wyrazem głębokiego skupienia na twarzy.

Dziesięć metrów, osiem metrów, sześć metrów...

Chwyciła klamkę i przyłożyła zdrową stopę do dolnej części drzwi.

Cztery metry. Słyszała jego sapanie.

Dwa metry. Gwałtownie kopnęła drzwi, mając nadzieję, że dobrze wyliczyła czas.

Udało się. Kent nie miał szans wyhamować. Wpadł na drzwi, gdy maksymalnie wychyliły się na zawiasach, i siłą rozpędu przekoziółkował nad nimi.

Czując kop adrenaliny, Tina wystrzeliła z samochodu niczym pocisk napędzany podnieceniem i wściekłością. Zachwiała się, gdy zraniona noga ugięła się pod nią, ale odzyskała równowagę wyłącznie dzięki sile woli. Nie zważała, że jej jedyną bronią jest puszka gazu łzawiącego.

Zderzenie z drzwiami i upadek wycisnęły Kentowi powietrze z płuc, ale już przekręcał się na plecy, podparty na ręce, gotów do podjęcia ucieczki. Szeroko otworzył oczy, gdy zobaczył rzucającą się na niego Tinę.

Przepisy regulujące procedurę aresztowania w Wielkiej Brytanii należą do najsurowszych na świecie. W celu obezwładnienia podejrzanego należy używać minimalnej skutecznej siły. Ale Tina zawsze elastycznie podchodziła do obowiązujących zasad. Skoczyła na brzuch Kenta, padła nań kolanami, naciskając całym ciężarem ciała, ignorując jego jęk bólu. Usadowiła się okrakiem na jego piersi, po czym obficie spryskała mu sprayem otwarte usta i oczy, odchylając się do tyłu, żeby uniknąć chmury gazu.

Kaszlał, pluł i szamotał się pod nią, wciąż skory do walki, czego się nie spodziewała. Gdy prawie zrzucił ją z siebie, z całej siły trzasnęła go w twarz. Uderzyła go raz, drugi i trzeci, czując przerażające radosne uniesienie, gdy jej pięść trafiała w miękkie policzek. Jej wściekłe ciosy były tak silne, że za każdym razem tłukł głową o beton.

– Andrew Michaelu Kent – warknęła, gdy chwycił oddech, tracąc ochotę do stawiania oporu. Jej koledzy przybyli tłumnie, kilku przycisnęło mu ręce i nogi do ziemi. – Aresztuję cię pod zarzutem morderstwa. Masz prawo odmówić zeznań, ale wszystko, co zataisz w czasie przesłuchania, a następnie

wyjawisz w sądzie, może zaszkodzić twojej obronie. Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie.

– Jestem niewinny! – zawył, po czym dostał ataku kaszlu.

– Podobnie jak wszyscy inni, których kiedykolwiek przy-skrzyliłam – burknęła Tina, podnosząc się i zostawiając do-kończenie aresztowania kolegom, wyrażonym z równowagi, ale wcale nie zaskoczonym, że zadawanie mu bólu sprawiało jej przyjemność.

## 2.

Media nadały mu przydomek Nocny Upiór. Przez dwadzieścia trzy miesiące terroryzował Londyn, zgwałcił i zamordował łącznie pięć kobiet w ich własnych domach. Mogło się wydawać, że wybierał ofiary na chybił trafił, ale też każda pasowała do szeroko pojętego profilu. Wszystkie były białe, samotne, atrakcyjne i stawiały na pierwszym miejscu karierę zawodową. Najmłodsza miała ledwie dwadzieścia pięć lat, najstarsza trzydzieści siedem. Uwagę mediów przyciągnęło głównie to, że nie znaleziono śladu włamania, choć mieszkania były solidnie zabezpieczone i wyposażone w nowe systemy alarmowe. Wskutek tego Upiorowi przypisywano niemal mistyczną moc – bo czy zwyczajny człowiek może wejść tam, gdzie tylko zechce, bezgłośnie, nie pozostawiając śladów? – a to z kolei potęgowało strach wśród atrakcyjnych, samotnych kobiet sukcesu i ich rodzin.

Kiedy Tina złożyła podanie o przyjęcie na stanowisko komisarza i cztery miesiące temu dołączyła do wydziału zabójstw w Camden, na policję wywierano ogromną presję, żeby dokonać aresztowania. Ale tropy były nieliczne. Zabójca doskonale znał się na technikach śledczych, dzięki czemu zostawiał niewiele śladów, i nikt nie zgłosił, że w pobliżu miejsca zbrodni widział podejrzanego osobnika.

W końcu to „stara dobra policyjna robota” doprowadziła do aresztowania, a osobą, która wpadła na trop, była właśnie Tina.

Przeprowadzając wywiad z bliskim przyjacielem ostatniej ofiary, Adrienne Menzies, Tina dowiedziała się, że system alarmowy w jej mieszkaniu zainstalowano zaledwie kilka tygodni wcześniej i że monter – jak stwierdził przyjaciel – „przyprawił Adrienne o ciarki”. Z powodu czasu, jaki upłynął od założenia alarmu do morderstwa, i wieloznaczności słów przyjaciela Tina z początku sceptycznie odnosiła się do możliwości istnienia związku. Kolega towarzyszący jej podczas wywiadu, młody, dobrze zapowiadający się posterunkowy Dan Grier, natychmiast wykluczył taką ewentualność. Ale po dłuższym namyśle Tina doszła do wniosku, że praktycznie tylko jedna osoba z zewnątrz może bez większych problemów obejść system alarmowy: ta, która go zakładała. Skontaktowała się z firmami, które instalowały alarmy w domach ofiar, i poprosiła o nazwiska techników wykonujących zlecenia.

Miała na zawsze zapamiętać uczucie radosnego podniecenia, gdy za każdym razem usłyszała to samo nazwisko: Andrew Kent. Technik pracujący na zlecenia. Wykorzystujący swój status wolnego strzelca, żeby wyprzedzać policję o krok i spokojnie wybierać ofiary. Zabójca.



I teraz wreszcie go dopadli, w znacznej mierze dzięki niej.

Tina głęboko zaciągnęła się papierosem i obcasem zdeptała niedopałek, nie zwracając uwagi na cierpką minę kobiety w średnim wieku, która stała w tłumie gapiów gromadzącym się wokół taśm rozpiętych przed domem Andrew Kenta.

Zapadał zmierzch i sam Kent już przebywał na posterunku w Holborn, gdzie po pobraniu próbek DNA miał czekać na przesłuchanie i oczywiście uzyskać pomoc lekarską, której potrzebował wskutek zastosowanej przez nią niekonwencjonalnej metody aresztowania.

Tymczasem musieli przeszukać mieszkanie pod kątem obecności dowodów wiążących go z przestępstwami. Udało im się zdobyć nakaz dwa dni temu, gdy tylko Kent został głównym podejrzanym, ale systemy alarmowe chroniły mieszkanie do tego stopnia, że pomimo niebagatelnych umiejętności nie zdołaliby tam wejść niepostrzeżenie, bez uprzedzenia go o zagrożeniu. Teraz jednakże mieli klucze. Tina włożyła foliowy kombinezon i ruszyła pomiędzy radiowozami do jego mieszkania, ignorując tępy ból w niedoleczonej stopie.

Miała nadzieję, że z przeszukania wyniknie coś dobrego, ponieważ poza przebywaniem w mieszkaniu każdej ofiary wciąż niewiele wiązało Kenta ze zbrodniami. Być może był to zbieg okoliczności, wprawdzie niezwykle trudny do wyjaśnienia, ale z pewnością uniemożliwiający uzyskanie wyroku skazującego za seryjne zabójstwa.

– Jak szyja? – zapytała Dana Gdera, gdy wpadli na siebie przy drzwiach frontowych budynku.

– Miał fuksa – odparł z ledwo słyszalną nutką wojowniczości, pocierając szyję przez kombinezon. – Nie spodziewałem się takiego zagrania.

– Nie, widziałam. Zdziorny gnojek, prawda?

– Nie ulega wątpliwości, że ćwiczył sztuki walki. Chyba powinniśmy lepiej się przyjrzeć jego przeszłości.

Tina się uśmiechnęła, myśląc, że Grier czasami jest nadętym palantem. W zasadzie od samego początku trudno im było się dogadać. Ona miała go za afektowanego i nadmiernie poważnego; on najwyraźniej uważał, że nie powinna być jego szefową. Ich relacje stały się jeszcze bardziej napięte po wywiadzie z przyjacielem Adrienne Menzies, gdy Grier zignorował jej trop i Tina podążyła nim na własną rękę. Grier chyba uważał, iż rozmyślnie zrobiła z niego idiotę, co wcale nie było jej zamiarem. Po prostu przeważnie lubiła pracować sama, polegając na własnej intuicji.

– Sam wiesz, Dan, jak to jest – powiedziała do niego. – Człowiek się uczy do końca życia. I najważniejsze, że wreszcie go mamy. – Wyciągnęła rękę. – Ty pierwszy.

Grier w milczeniu wszedł do budynku.

Gdy Tina ruszyła za nim, ktoś wykrzyknął jej imię.

Odwróciła się i zobaczyła idącego ku niej nadkomisarza MacLeoda z telefonem w jednej ręce i z kombinezonem w drugiej. Choć wedle jej wyliczeń przebiegł co najwyżej trzydzieści metrów, twarz wciąż miał czerwoną z wysiłku, a pod pachami jego koszuli ciemniały plamy potu. W średnim wieku, ze zbyt szybko rosnącym brzuszkiem i niezdrową bladeścią, która pasowała do siwizny jego włosów, wyglądał, jakby czekał na atak serca.

– Słucham? – Nie miała okazji pogadać z nim od czasu aresztowania, bo non stop rozmawiał przez telefon, i teraz była ciekawa, co ma do powiedzenia.

– Dobrze się spisałaś, zatrzymując Kenta – oznajmił, stając przy niej. – Byłby wielki wstyd, gdyby uciekł.

Za to go lubiła. W przeciwieństwie do wielu starszych oficerów, z którymi miała do czynienia w ciągu lat pracy, był szczerzy i mówił to, co myślał.

– Nie ma sprawy. Miło było mieć okazję wkroczyć do akcji.

MacLeod ściągnął brwi.

– Wiesz, Tino, że gdybym mógł, piorunem przywróciłbym cię do czynnej służby. Ale obowiązują nas cholerne przepisy. Sama wiesz, jak to jest. Grzęźniemy w nich po uszy.

– Pańskie słówko mogłoby pomóc. Nie dołączyłam do wydziału, żeby patrzeć, jak inni pełnią chwalebłą służbę.

– Pogadam, z kim trzeba. – Odetchnął głęboko i Tina odgadła, że przyszedł nie tylko po to, aby jej pogratulować. – Nie przypuszczam, żeby Kent złożył skargę na niekonieczne użycie siły...

– Wyobrażam sobie, że w tej chwili to najmniejszy z jego problemów.

– Ale będziesz musiała uważać, Tino – kontynuował, pochylając się w jej stronę, starannie dobierając słowa. – Czasami dajesz się porwać entuzjizmowi aresztowania. Nieźle mu przylałaś.

– Ktoś musiał go zatrzymać.

– Wiem i powiem ci coś szczerze. Prywatnie jestem zdania, że dostał za mało w porównaniu z tym, na co zasłużył. Musisz jednak pamiętać, że jesteś publicznie znanym oficerem policji.

Zaczęła protestować, ale podniósł rękę.

– Wiem, nie twoja wina, że ludzie wiedzą, kim jesteś, ale czy ci się to podoba, czy nie, po prostu musisz się z tym pogodzić. I będziesz musiała zapamiętać, że twoje poczynania przyciągają uwagę. Zaczynij się wyłamywać, a ludzie surowo cię potępiają. Mówię to tylko dlatego, że jesteś moją podwładną i chcę cię chronić. Poza tym uważam cię za wyjątkowo dobrego detektywa. Dokonałaś przełomu w sprawie Kenta i należy ci się uznanie. Nie niszcź swoich dokonań, w biały dzień tłukąc podejrzanych na środku ulicy.

Tina poczuła się atakowana i w pierwszym odruchu zamierzała odpowiedzieć ciosem na cios. Już miała warknąć, że użyła tylko niezbędnej siły i jeśli ktoś naprawdę nie potrafi tego pojąć, to już jego problem, ale zmieniła zdanie. Nie chciała starcia z szefem, który – jeśli miała być z sobą szczerą – miał rację.

– Dziękuję. Będę o tym pamiętać. To wszystko?

Uśmiechnął się.

– Tak, to wszystko. Kazanie skończone. I oby tak dalej.

Odwróciła się i weszła do domu. Ruszyła po wysłużonych schodach na pierwsze piętro, świadoma, że stopa znów daje się jej we znaki. Była to druga rana postrzałowa w ciągu pięciu lat. Gdy się doda do tego, że zabiła człowieka i straciła dwóch kolegów, w tym kochanka, nie powinno dziwić, że zdobyła rozgłos.

Swego czasu zyskała przydomek Czarna Wdowa. Może nadal tak ją przezywano, co do tego nie miała pewności. Tak czy owak, ludzie na ogół woleli się trzymać od niej z daleka, jakby przynosiła pecha, i z tego powodu stała się odludkiem. Co,

więcej była swego rodzaju nomadą, gdyż nie potrafiła nigdzie dłużej zagrzać miejsca. Już raz odeszła z policji, po czym po roku wstąpiła do SOCA\*, agencji zajmującej się zwalczaniem przestępczości zorganizowanej. Wytrzymała tam rok przed powrotem do Islington, gdzie zaczynała jako posterunkowa w tamtejszej dochodzeniówce. Ale praca szeregowego detektywa nie spełniła jej oczekiwań, dlatego gdy tylko zwolniło się miejsce w wydziale zabójstw w Camden z szansą na awans, bez namysłu skorzystała z okazji. Może rozgłos nie zaszkodził jej tak bardzo, jak myślała, ponieważ została przyjęta i miała przed sobą przyzwoite perspektywy, choć nad kierowanie innymi przedkładała pracę detektywa.

\* SOCA – Serious Organized Crime Agency.

Z otwartych, podpartych książką telefoniczną antywłamaniowych drzwi sączyła się nikła woń starego potu zmieszana z zapachem taniego odświeżacza powietrza. Andrew Kent mieszkał w ciasnej kawalerce z wąskim korytarzem łączącym poszczególne pomieszczenia. Każde z nich było dokładnie przetrzāsane przez członków zespołu, którzy nie spoczną, dopóki nie rozbiorą wszystkiego na czynniki pierwsze. Seryjny morderca z reguły zabiera jakąś pamiątkę – coś, co pomaga mu na nowo przeżywać minione doświadczenia. Kent, sprawca brutalnych morderstw pięciu kobiet, z pewnością tak zrobił i bez względu na to, jak dobrze ukrył swoje trofea, oni je znajdą. Ponieważ teraz siedział w areszcie, czas działał na ich korzyść.

Tina ruszyła w głąb korytarza, po drodze zapalając światło, i weszła do sypialni Kenta.

Pokój okazał się zaskakująco przestronny, ze staroświeckimi szafami ściennymi po obu stronach rozgrzebanego szerokiego łóżka z pościelą, która od dawna prosiła się o pranie. Nad łóżkiem wisiała lekko przekrzywiona reprodukcja nocnego pejzażu Van Gogha, a na szafce nocnej leżała sterta książek w miękkich okładkach; jedną z nich był *Nicholas Nickleby*.

Anji Rodriguez i Grier już tam byli. Rodriguez nawet się nie obejrzała, zajęta przetrząsaniem szafy. Poklepywała ubrania z zaciekłością sugerującą, że wyobraża sobie, iż wciąż ma je na sobie Kent, po czym rzucała każdą sztukę na stos na podłodze. Nie ulegało wątpliwości, że jest w paskudnym humorze, bez wątpienia wskutek tego, że podczas aresztowania wyszła na idiotkę. Grier na klęczkach otwierał szuflady szafki nocnej i przeglądał bieliznę Kenta. Skinął głową na powitanie i wrócił do pracy. Tina stała w drzwiach, myśląc, jak trudno zrozumieć pobudki morderców. Na dobrą sprawę żyją jak wszyscy inni, oglądają telenowełe, jedzą dania na wynos, czytają powieści Charlesa Dickensa. A jednak dopuszczają się straszliwych zbrodni, które wykraczają poza zdolność ludzkiego pojmowania. Zbrodnie Andrew Kenta były właśnie takie. Tina widziała, jak wyglądały ofiary, gdy już z nimi skończył. Przywiązane do łóżek, bestialsko pobite do tego stopnia, że trudno je było rozpoznać. Okaleczone przed śmiercią i po niej w taki sposób, że niektórzy z policjantów wezwani na miejsce przestępstwa dosłownie wymiotowali. Przede wszystkim dlatego z przyjemnością potraktowała łajdaka gazem i tłukła go z całej siły, gdy był już obezwładniony.

– A co to takiego? – zapytał Grier, wrywając ją z zadumy.

Szarpał coś, co tkwiło za szafką nocną. Sekundę później rozległ się dźwięk, z jakim taśma samoprzylepna odrywa się od drewna. Grier powoli podniósł się z podłogi, stając plecami do Tiny i Rodriguez, które patrzyły na niego, czekając.

Gdy się odwrócił z szerokim uśmiechem pod kapturem kombinezonu, obie zobaczyły, co trzyma w ręku.

Tina się spięła i nagle zaschło jej w ustach, gdy doświadczała dziwnej mieszanki radosnego uniesienia i mdłości.

Mieli przed sobą dowód.

# **Część druga**

**WCZORAJ**



### 3.

Zawsze chciałem zostać policjantem. Chciałem chronić słabych i bezbronnych, ścigać przestępców. Jak tylko sięgam pamięcią, odczuwałem palące pragnienie sprawiedliwości. W szkole stawiałem czoło łobuzom, którzy wyżywali się na mniejszych dzieciakach. Gdy nie chcieli odpuścić, dochodziło do bójek. Z początku częściej przegrywałem, niż wygrywałem, dlatego zacząłem trenować boks i proporcje się szybko zmieniły. Mój tata zawsze powtarzał, że powinienem wstąpić do wojska, pójść w ślady mojego brata Johna. Mówił, że jestem zbyt wojowniczy jak na pracę w policji, i może miał rację, bo przez pierwsze trzy lata w mundurze musiałem walczyć z nudą i narastającym rozczarowaniem. Nie umiałem do końca pogodzić się z tym, że społeczeństwo może mnie bezkarnie obrażać i atakować do woli, podczas gdy mnie nie wolno odplącić pięknym za nadobne. Dlatego postanowiłem zostać detektywem –

by nazbyt szybko się przekonać, że robota w dochodzeniówce w dziewięćdziesięciu procentach sprowadza się do ślęczenia nad papierami, w dziewięciu polega na pracy detektywistycznej, a jeśli człowiek ma szczęście, jeden procent sprawia mu autentyczną satysfakcję.

Słowem – Brudny Harry za biurkiem.

Mój ówczesny szef i człowiek, którego może z wyjątkiem taty zawsze szanowałem najbardziej na świecie, dostrzegł moją frustrację i poradził, żebym spróbował jako tajny agent.

Nadkomisarz Dougie MacLeod nauczył mnie cholernie dużo, łącznie ze sztuką cierpliwości, której – jak sądziłem – nigdy nie zdołałem opanować. Do wczoraj myślałem, że jego największą oddaną mi przysługą była właśnie ta sugestia, ponieważ od dziewięciu lat pracowałem w CO10, elitarnej (to ich określenie, nie moje) jednostce tajnych agentów Scotland Yardu. Praca pod przykrywką wreszcie zapewniła mi niezbędną dawkę emocji, a także satysfakcję, bo dzięki mnie kilku wyjątkowo wrednych drani, z których wielu wciąż pragnęło mojej śmierci, znalazło się za kratkami. Gdy tego dnia stałem w pozbawionym okien pokoju na zapleczu zapyziałego klubu nocnego w Soho, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że niewielu z tamtych drani było paskudniejszych od tych dwóch, którzy siedzieli naprzeciwko mnie przy stole.

– Słyszałem, że szukasz roboty – powiedział ten z prawej.

Miał około czterdziestu pięciu lat, krótko ścięte siwe włosy, zeza i pociągłą twarz o ostrych, bezwzględnych rysach, jakby ręcznie wyciosanych z twardego drewna, zdominowanych przez zdeformowany wskutek złamania nos. Jego bicepsy pęczniały w krótkich rękawach spłowiałej koszulki Lonsdale, a

skórę muskularnych rąk pokrywały zblakłe tatuaże. Wlepiął we mnie zdrowe oko, szukając słabych punktów. Nazywał się Tyrone Wolfe i był podejrzany o udział w co najmniej pięciu morderstwach.

Mężczyzna siedzący obok niego nazywał się Clarence Haddock. Szczerze mówiąc, było to śmieszne nazwisko i zupełnie nie pasowało do ogromnego, budzącego lęk oprycha z brodą i dredami, od pięciu lat będącego współnikiem Tyrone'a Wolfe'a. Jego twarz zdobiło kilkanaście złotych kolczyków, w tym jeden w płaskim, szerokim nosie, nadający mu wygląd gotowego do szarży rozjuszonego byka. Jego grube jak pnie przedramiona leżały na stole, gdy w milczeniu piorunował mnie wzrokiem, z trudem hamując gniew, który emanował z niego krótkimi brutalnymi falami. Dzięki temu gniewowi stał się legendą. Podobno kiedyś Clarence Haddock poderzwał komuś gardło z taką siłą, że jednym pociągnięciem noża odciął głowę. Patrząc na niego teraz, mogłem bez trudu sobie wyobrazić, jak chłptał krew wciąż podrygującego trupa. Wiedziałem o tym gościu wszystko, rzecz jasna, ale przebywanie wraz z nim w klaustrofobicznym pokoju przywiodło mi na myśl nurkowanie w klatce w pobliżu Gansbaai na wybrzeżu Afryki Południowej, gdzie pierwszy raz w życiu spotkałem się oko w oko z wielkim białym rekinem. Odczuwałem mieszaninę pierwotnego strachu, podziwu i respektu.

Wytrzymałem ich spojrzenia, ignorując kropelkę potu spływającą mi po skroni.

– Tak, możliwe. Co macie?

Wolfe odwrócił się w stronę trzeciego obecnego tu mężczyzny, opartego o ścianę wielkiego faceta w średnim wieku z

długimi, siwiejącymi jasnymi włosami i twarzą pobrużdżoną jak zaorane pole. Był to Tommy Allen, kolejny bliski współpracownik Wolfe'a i człowiek, którego poznałem trzy miesiące temu. To on sprowadził mnie do tego nocnego klubu o wpół do jedenastej przed południem, żeby mnie przedstawić.

– Tak, jest czysty – powiedział Tommy z przekonaniem. Głos miał chrapliwy od papierosów i mówił z akcentem typowym dla nizin społecznych East Endu. – Miałem w wozie wykrywacz podsłuchów, niczego nie wyłapał. Poza tym go przeszukałem. – Mrugnął do mnie. – Chyba mu się podobało.

Wolfe się nie uśmiechnął.

– Zegarek?

– Zabrałem mu zegarek, komórkę, co się dało. Nawet buty. Wszystko jest na zewnątrz.

Ci faceci byli bardzo skrupulatni, wyczuleni na inwigilację, zaznajomieni z tajnikami pracy policji. Wiedzieli, że nie należy zbyt długo używać tych samych telefonów, że trzeba regularnie szukać pluskiew w miejscach spotkań i zawsze sprawdzać, czy nie ma się ogona. Miałem nadzieję, że zarejestruję rozmowę na mikroskopijnym urządzeniu nagrywającym w zegarku, lecz pokrzyżowali mi szyki, co miało jeszcze bardziej utrudnić mi robotę. Ale przecież gdy jesteś uzbrojonym bandytą, przemycasz narkotyki, prowadzisz klub nocny z personelem złożonym z nielegalnych imigrantek o statusie tylko ciut wyższym niż niewolnice seksualne, ostrożność popłaca. Właśnie dlatego tam byłem.

Ponieważ konwencjonalne metody przymknięcia takich gości nie działają.

– Kiedyś słyszałem o tajniaku, który miał podsłuch w dupie – powiedział Wolfe powoli, niemal leniwie, z silnym akcentem ze wschodniego Londynu. – Podczas zakupu hery. Najwyraźniej pluskwa wylała każde słowo. Dwóch ludzi dostało po dwanaście lat.

Jego słowa nie przypadły mi do gustu. Po pierwsze, co nie powinno dziwić, nie bawił mnie pomysł szczegółowego badania odbytnicy, a po drugie i ważniejsze, rzeczonym tajniakiem byłem ja. I tak chodzenie z pluskwą w tyłku było cholernie nieprzyjemne, choć jak nadmienił Wolfe, operacja zakończyła się powodzeniem, co niepomniernie ucieszyło moich szefów. Wolfe nie mógł znać mojej tożsamości, ponieważ nie miał nic wspólnego z wystawionymi przeze mnie dealerami, ale mimo to przebiegł mnie dreszcz niepokoju.

Przestępcy są jak hieny albo szkolne łobuzy, z którymi walczyłem: błyskawicznie wyczuwają strach i ruszają prosto na tego, kto go okazuje. Na szczęście brałem udział w grze dość długo, żeby wiedzieć, jak się zachować. Spojrzałem z pogardą na Wolfe'a.

– Nie jestem gliną – oświadczyłem stanowczo – i nikt nie będzie od środka obmacywać mojej dupy. Zrozumiano? Jeśli masz coś dla mnie, mów. Nie mam czasu do stracenia.

– W wozie się nie wiercił, szefie... – Tommy zachichotał gardłowo – więc nie sądzę, żeby coś tam miał.

– Nie ma obawy, nikt nie będzie grzebać ci w dupie – powiedział Wolfe takim tonem, jakby wyświadczał mi wielką łaskę. – Ale muszę mieć co do ciebie pewność.

– A ja co do ciebie – warknąłem, świadom, że nie mogę się

potulnie godzić na tego rodzaju traktowanie. – Skąd mam wiedzieć, że nie jesteście glinami?

– Nie jestem, kurwa, gliną. – Haddock odezwał się po raz pierwszy, wlepiając we mnie duże ciemne oczy. Głos miał wyższy, niż się spodziewałem, i lekko sepleniał, co jednak nie złagodziło jego złowieszczonego tonu. Czułem, jak atmosfera gęstnieje w tej zasranej klitce.

W tym momencie Tommy oderwał się od ściany i podszedł do stołu.

– Słuchaj, Sean – zaczął, zwracając się do mnie – mogę poręczyć za tych ludzi. Znam ich od lat, a wiesz, że jestem w porządku, więc nie zrobiłbym cię w konia.

Mniej więcej tak wyglądała prawda. Od czasu, gdy trzy miesiące temu poznałem Tommy'ego w popularnym wśród oprychów pubie w Stepney, nie tylko spędzałem z nim mnóstwo czasu na pogawędkach w różnych spelunkach, ale też wykonywałem dla niego pewne zlecenia. Obejmowały one na przykład dostarczanie koki niektórym z jego klientów hurtowników, a także ściągnięcie długu od dealera. Musiałem trzymać faceta za nogi, gdy Tommy wielokrotnie zanurzał jego głowę w muszli klozetowej. Nie chciałem tego robić, ale wiedziałem, że muszę się sprawdzić przed nowym szefem. Na szczęście handlarz wysupłał forszę, zanim naprawdę ucierpiał.

Powoli pokiwałem głową, robiąc usatysfakcjonowaną minę.

– Ufam ci, Tommy, jeśli więc za nich ręczysz, to mi wystarczy.

Rozciągnął usta w niemal ojcowskim uśmiechu, choć był starszy ode mnie tylko o dwanaście lat.

– Grzeczny chłopak. – Zwrócił się do Wolfe'a: – Daję głowę za Seana, Tyrone. Można na nim polegać.

– Nie podoba mi się z wyglądu – mruknął Haddock.

– A ty mnie – odszczeknąłem – lecz się nie uskarżam, co nie?

Haddock przymrużył oczy i spojrzał na mnie niemal z teatralnym gniewem, ale pozostali parsknęli śmiechem.

– Wyluzuj, Clarence – powiedział Wolfe, wstając. – Chodź, Sean. Może ty, ja i Clarence wybierzemy się na spacer?

Mógłbym wymienić dziesiątki powodów, dla których nie mam na to ochoty, ale wiedziałem, że jeśli z nimi nie pójdę, ta operacja spali na panewce. Zerknąłem na Tommy'ego, który skinął głową na znak, że będzie dobrze. Mógł być bandziorem i zawodowym kryminalistą, miał jednak coś, co budziło moje bezgraniczne zaufanie (może to jego ojcowskie podejście), dlatego mu uwierzyłem.

Wolfe wyszedł pierwszy, a ja za nim, dotkliwie świadom obecności zwałistego Haddocka za plecami. Szedł tak blisko, że słyszałem jego cichy oddech. Spiałem się, gdyż byłem zupełnie bezbronny, ale wiedziałem, że nie wolno mi okazać strachu.

Przebyliśmy wąski korytarz i weszliśmy do właściwego klubu – słabo oświetlonej, pozbawionej okien nory z niskimi balkonami zagraconymi przez stoły i krzesła, otaczającymi parkiet i scenę. Wystrój był tandetny, wyposażenie podniszczone; tylko dwie lśniące rury pośrodku sceny mogły mieć mniej niż dwadzieścia lat.

– Byłeś żonaty, Sean? – zapytał Wolfe, nie odwracając się w moją stronę, gdy powoli szliśmy gęsiego przez salę.

- Nie.
- Siedziałeś?
- Tak.
- Jak długo?
- Siedem lat.
- Gdzie?
- W Parkhurst. Potem w Fordzie.

Zasypywał mnie pytaniami, gdy robiliśmy niespieszny obchód klubu, ale jakby od niechcienia, jakby zbyt mu nie zależało na poznaniu odpowiedzi. W którym bloku siedziałem w Parkhurst? Kogo znałem w Fordzie? Kiedy wyszedłem? Czy znam takiego a takiego bandytę? Gdzie się wychowałem?

Wolfe sprawdzał mnie z nadzieją, że przydybie mnie na błędzie, ale wykułem rolę na blachę i miałem w głowie każdy szczegół. Bo jeśli tego nie zrobisz, jesteś trupem. Człowiek przechodzi przez te korowody podczas każdej operacji, a im wyższą pozycję w łańcuchu pokarmowym zajmuje cel, tym przesłuchania są bardziej drobiazgowo. Odpowiedziałem na wszystkie pytania. Bez słowa skargi. I co ważniejsze, bez zająknięcia.

Posługiwałem się dawnym fałszywym nazwiskiem, którego pierwszy raz użyłem kilka lat temu, gdy zostałem oddelegowany do SOCA. Występowałem jako Sean Tatelli, były skazaniec z Coventry, który w latach dziewięćdziesiątych odsiedział siedem lat za handel twardymi narkotykami, napady z bronią i usiłowanie zabójstwa policjanta podczas aresztowania. Każdy zainteresowany szczegółami mógł się dowiedzieć, że Sean Tatelli rzeczywiście odsiedział siedem lat, najpierw w więzieniu



Parkhurst, następnie w Ford Open, a jego współnikiem był gangster ze środkowej Anglii, niejaki Alan „Hokus” Pocus, który dostał pięć lat za handel narkotykami.

Oczywiście informacje dotyczące Tatellego były wysrane z palca. Opracowano je w SOCA i umieszczono w odpowiednich bazach danych, łącznie z centralnym rejestrem komputerowym policji. Moje fałszywe nazwisko opatrzone flagami, jeśli więc ktoś wchodził do bazy, żeby mnie sprawdzić, agencja o tym wiedziała. Hocus był autentycznym przestępcą i rzeczywiście siedział, ale obecnie był również policyjnym informatorem wyszkolonym do wydania mi pochlebnych referencji.

Wreszcie Wolfe zatrzymał się u stóp schodów wiodących na scenę i zwrócił ku mnie twardą, pociągłą twarz, dziwacznie oświetloną przez płynące z góry różowe fluorescencyjne światło.

– Zastrześliś kiedy kogoś, Sean? – zapytał, wbijając we mnie zezowate oczy.

Zaczynałem się czuć wyjątkowo nieprzyjemnie. Dusłem się w tym cichym pomieszczeniu z poręczami po jednej stronie, ze skupiskiem stołów i krzeseł po drugiej, z Haddockiem wiszącym nad moimi plecami. Ale gdy jesteś osaczony, sztuczka polega na postępowaniu zgodnie z regułami znanymi ze świata zwierząt: pokaż, że jesteś duży i silny, a nie mały i słaby. Dlatego z miejsca przeszedłem do ofensywy.

– Zaczekaj. Stajesz się odrobinę zbyt wścibski jak na kogoś, kogo nawet nie znam. Może teraz ty raczysz mi powiedzieć,

kim, u diabła, jesteś i dlaczego miałbym odpowiadać na twoje pytania. Bo na razie tego mi nie wyjaśniłeś. – Odwróciłem się i spojrziałem na Haddocka. – I dlaczego się nie odsuniesz, zamiast dyszeć mi w kark jak nie przymierzając lokaj z *Rodziny Addamsów*!

Ku mojemu zaskoczeniu Haddock cofnął się o krok, a Tyro-  
ne naprawdę mnie przeprosił, po czym natychmiast przedstawił  
siebie i współnika.

– Mam w firmie wakat dla odpowiedniej osoby, a Tommy  
mówi, że jesteś przyzwoitym gościem, który może się nadać –  
wyjaśnił. – Uważaj więc naszą pogawędkę za rozmowę kwalifi-  
kacyjną.

– Czym się zajmujesz?

– Trochę tym – odparł z zaczątkami nieprzyjemnego  
uśmiechu – trochę tamtym. Nie wszystko jest zupełnie legalne.

– Słuchaj, coś ci powiem. Wszedłem z mamra osiem mie-  
sięcy temu. Nikt nie chce mnie przyjąć do legalnej pracy. Od-  
waliłem parę robótek dla Tommy'ego, ale wciąż tkwię w dłu-  
gach po uszy i potrzebuję czegoś od zaraz. Minimalna płaca  
albo przewracanie hamburgerów w McDonald's odpada. Inte-  
resuje mnie prawdziwa robota za prawdziwe pieniądze. Znasz  
moją przeszłość, sprawdziłeś mnie, w przeciwnym razie nie  
byłoby mnie tutaj. Wiesz, że nie boję się użyć broni i nie je-  
stem narwanym gówniarzem, który najpierw pociąga za spust,  
a później zadaje pytania. Można na mnie polegać, jeśli więc  
chcesz o czymś pogadać, to gadaj. Inaczej się stąd zrywam.  
Decyzja należy do ciebie. Bądź tak miły i podejmij ją teraz.

Znałem tę całą gadkę wte i wewte. Pewnie z tysiąc razy powtórzyłem ją przed lustrem, pewnie ze dwadzieścia w terenie w sytuacjach takich jak ta, od czasu do czasu zastępując jakieś słowo czy wyrażenie, ale zawsze z całkowitym przekonaniem człowieka, który jest w zgodzie ze swoim sumieniem. Aby pracować pod przykrywką tak długo jak ja, trzeba być znakomitym aktorem, Robertem de Niro wśród gliniarzy, zanurzającym się w roli, pracującym z bezustannie zmieniającym się scenariuszem, co wymaga improwizowania na żądanie i wciśnięcia kitu, żeby wyjść cało z każdej podbramkowej sytuacji. Pozwolę sobie dodać coś jeszcze. Taka gadka nigdy nie zawodzi. Wręcz przeciwnie, przełamuje lody i otwiera furtkę.

Wolfe i Haddock wymienili spojrzenia. Wolfe miał pytającą minę, jakby zdawał się na osąd swojego zwalistego kumpla.

Haddock skinął głową i Wolfe popatrzył na mnie.

– Mam jednodniową robotę – rzekł cicho. – Niedługo, na pewno w ciągu paru dni, ale data jeszcze nie jest ustalona. Za okrągłe sto kawałków. Zainteresowany?

Oczywiście byłem zainteresowany. Nie liczyłem na wiele po pierwszym spotkaniu, a tu proszę. Wolfe proponuje poważną robotę. Nie okazałem zbytniego entuzjazmu, ponieważ takie zachowanie włącza dzwonki alarmowe. Wzruszyłem ramionami.

– Zależy, o co chodzi.

– Napad na nieuzbrojony pojazd w trakcie przewozu.

– Wolałbym udział w zyskach.

Wolfe pokręcił głową.

– To nie taka robota. Przewożony będzie jeden człowiek.

– Kto?

– Tego nie mogę powiedzieć. Jeszcze nie. Ale powiem ci, że dostaniesz trzydzieści kawałków zaliczki. Siedemdziesiąt po wykonaniu zadania.

Udałem, że się zastanawiam. Chciałem się dowiedzieć więcej, ponieważ w ten sposób mógłbym zakończyć operację tu i teraz, lecz wiedziałem, że lepiej nie naciskać na tak wczesnym etapie.

– To mi się podoba, ale muszę wiedzieć coś więcej, zanim się zobowiązę.

– Wszystko ci powiem, ale najpierw chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Co takiego?

To Haddock udzielił odpowiedzi. Pochylił się tak bardzo, że jego usta znalazły się w nieprzyjemnie bliskim sąsiedztwie mojego ucha, gdy wymawiał słowa tym swoim dziwnie kobiecym głosem.

– Coś, co dowiedzie ponad wszelką wątpliwość, że nie jesteś gliną.

## 4.

W gorącym, dusznym pokoju przesłuchań komisarz Tina Boyd marzyła o papierosie.

– Skoro nie jest pan winny zarzucanych mu czynów, dlaczego pan uciekał, brutalnie atakując dwoje funkcjonariuszy policji? – zapytała.

– A jak pani sądzi? – odpowiedział pytaniem Andrew Kent. Miał ten sam przestraszony wyraz twarzy co prawie dwie godziny temu, gdy Tina i jej szef, nadkomisarz MacLeod, zaczęli go przesłuchiwać. – Wracalem z pracy do domu i nagle nikad pojawili się wszyscy ci ludzie, wrzeszcząc i krzycząc. Spanikowałem i rzuciłem się do ucieczki.

– Przecież poinformowali, że są policjantami – zaznaczyła Tina.

– Nie slyszalem – odparł Kent niemal histerycznym tonem.

– Po prostu biegłem, a kiedy mnie złapali, pomyślałem, że to napad czy coś w tym rodzaju, więc się broniłem. Przykro mi, że skrzywdziłem tych policjantów, ale to nie była moja wina.

Jego papuga – młody, z wyglądu skrupulatny obrońca z urzędu w wielkich okularach z emblematem Nike na oprawce, cuchnący ambicją na kilometr – krzepiąco położył rękę na jego ramieniu.

– Wszystko w porządku, Andrew – rzekł uspokajająco. – Możesz odpowiadać, gdy będziesz gotowy.

Kent pokiwał głową.

Siedząc po drugiej stronie stołu, wydawał się jeszcze mniejszy i bardziej nieszkodliwy niż wczoraj wieczorem tuż przed aresztowaniem, gdy Tina patrzyła, jak wraca do domu. Jego postawa wyrażała uległość i strach, z jego jasnych oczu wyciekała konsternacja. Ale widziała, jak walczył z policjantami, widziała jego chłodną determinację i nie dała się wywieść w pole, choć musiała mu przyznać maksymalne noty za zdolności aktorskie.

– Jak na przerażonego cywila dobrze się pan spisał, panie Kent – podjęła. – Oboje funkcjonariusze potrzebowali pomocy medycznej, a ja musiałam użyć gazu łzawiącego, żeby pana obezwładnić.

– Mam czarny pas w karate – oznajmił Kent z westchnieniem. – W przeszłości dwa razy na mnie napadnięto i chciałem mieć pewność, że będę się umiał obronić, gdyby sytuacja się powtórzyła. Od sześciu lat chodzę na treningi i nie zamierzam za to przeproszać.

– To również wcale nie znaczy, że mój klient jest winien – wtrącił Jacobs, adwokat.

Tina go zignorowała.

– Nadal więc pan zapewnia, że nie popełnił tych morderstw? – zapytała Kenta.

– Oczywiście, jestem niewinny. Nigdy nikogo nie zabiłem i nie rozumiem, dlaczego sądzicie...

– Jak w takim razie wyjaśni pan obecność swojego DNA w mieszkaniach każdej z pięciu ofiar?

– Zakładałem alarmy w wielu miejscach. Już to mówiłem.

– Niezbyt dobre systemy, panie Kent, skoro zabójca zdołał obejść każdy z nich, prawda? – odezwał się MacLeod.

– Uważałem, że są dobre.

– Mój klient nie jest chyba przesłuchiwany w sprawie swoich umiejętności zawodowych? – Jacobs popatrzył znad okularów na nadkomisarza z powagą człowieka dwa razy starszego.

MacLeod nie dał się zbić z tropu.

– Nie uważa pan za dziwne, że każda z pięciu ofiar miała nowiutki system alarmowy zainstalowany przez pana? Jak pan sądzi, jakie jest prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności?

– Proszę posłuchać, przez lata zainstalowałem tysiące alarmów. Jestem pracowity. Miewam dwóch, trzech klientów dziennie, więc szanse prawdopodobnie nie są takie małe.

– A co z szansą, że zabójca zdołał obejść wszystkie pańskie alarmy?

Kent powtórzył, że jest niewinny, a Jacobs znów zgłosił ten sam sprzeciw – jego klient nie został aresztowany z powodu umiejętności zawodowych.

– W jaki sposób pańskie DNA znalazło się w sypialniach

czterech ofiar, jeśli pan tylko zakładał alarmy? – zapytała Tina, chcąc pchnąć przesłuchanie do przodu.

– Podczas pracy miałem dostęp do wszystkich pomieszczeń, ponieważ w każdym z nich musiałem umieścić czujniki.

– Nie zamontował pan czujników w sypialni żadnej ofiary. Sprawdziliśmy. Poza tym pańscy pracodawcy uważają, że akurat w tych pokojach nie powinien pan przebywać. Jak zatem znalazło się tam pańskie DNA?

– Nie wiem. Może w jakiś sposób zostało przeniesione z innych miejsc w domu. Czy coś takiego jest możliwe?

Formalnie rzecz biorąc, było to możliwe, choć mało prawdopodobne. Kiedy Tina to powiedziała, Kent przesadnie wzruszył ramionami i stwierdził, że w takim razie nie ma pojęcia.

– Jak rozumiemy, ofiary zostały zgwałcone, a następnie brutalnie zamordowane. Czy próbki DNA z sypialni, jak mówicie, pasujące do profilu mojego klienta, znaleziono na samych ciałach? – zapytał Jacobs tonem łączącym odpowiednie dawki znużenia i sceptycyzmu.

Tina i MacLeod wymienili spojrzenia. To był ich wielki problem. Zabójca skrupulatnie oczyścił ciała, używając wybielacza, więc na razie nie mieli żadnych dowodów DNA.

– Nie – przyznał niechętnie MacLeod – ale to nic nie znaczy.

– Znaczy, panie nadkomisarzu, ponieważ mój klient już podał idealnie adekwatne wyjaśnienie obecności swojego DNA w sypialniach niektórych ofiar. A teraz, jeśli nie macie dalszych dowodów, proszę o natychmiastowe zwolnienie pana Kenta.



Tina przeszła podejrzanego zimnym spojrzeniem.

– Niech pan nam powie o młotku – poleciała prosto z mostu.

Kent szeroko otworzył oczy.

– O jakim młotku? O co pani chodzi?

– O młotek, który znaleźliśmy w pańskiej sypialni, panie Kent. O ten pokryty krwią i tkanką mózgową pańskiej ostatniej ofiary Adrienne Menzies, o czym właśnie nas poinformowano. Na trzonku jest również pańskie DNA.

Kent pokręcił głową.

– Nie. Wykluczone.

– Tak. Laboratorium dwa razy przeprowadziło testy, po prostu dla pewności.

– Nic... nic mi nie wiadomo o młotku – wyjąkał. – Naprawdę nic nie wiem. Jezu, to się nie dzieje naprawdę. – Popatrzył rozpaczliwie na Jacobsa, który również wydawał się zaskoczony tą rewelacją, po czym przeniósł spojrzenie na prowadzących przesłuchanie. – Jestem niewinny, przysięgam. Ktoś mnie wrabia.

Tina pomyślała, że przypomina przerażone dziecko, ledwie jej wzrostu, ale chudszy, kulący się na krześle, gdy przedstawiono mu dowód. Po raz pierwszy zaczęła wątpić, czy dopadli właściwego człowieka. Wszystkie dowody świadczyły przeciwko niemu, ale nie sposób, w jaki reagował. Sprawiał wrażenie niewinnego w przeciwieństwie do większości podejrzanych, z którymi miała do czynienia. Większość z nich była winna i z reguły ograniczali swoje odpowiedzi do monotonnego refrenu „bez komentarza”. Andrew Kent zachowywał się jak zwyczajny człowiek uwikłany w przerażającą sytuację, nad którą nie ma żadnej kontroli.

– Jak pan myśli, kto pana wrabia? – zapytał MacLeod głosem pełnym sceptycyzmu.

– Już mówiłem, nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ale gdybym nawet zrobił coś takiego, czy trzymałbym narzędzie zbrodni w pokoju? To byłoby szaleństwo...

Słowa zamarły mu w gardle, gdy zobaczył wyraz twarzy przesłuchujących.

Tina już miała zareagować, gdy MacLeod poklepał ją po ramieniu i pokręcił głową.

– Zapewne chce pan porozmawiać ze swoim klientem, panie Jacobs, na temat tego ostatniego dowodu. Przesłuchanie zostało przerwane o jedenastej czterdzieści sześć. – Wstał i skinął ręką, zapraszając Tinę za drzwi.

– Mieliśmy go na widelcu. Dlaczego przerwaliśmy? – zapytała Tina, gdy wyszli na korytarz.

– Wynikło coś nowego. Posterunkowy Grier powiadomił mnie przez zestaw słuchawkowy. Musimy to zobaczyć.

– Jakieś szczegóły?

– Nie – odparł, patrząc na nią z powagą – ale już teraz mi się to nie podoba.

## 5.

W centrum operacyjnym wydziału zabójstw na czwartym piętrze komisariatu Holborn, gdzie prowadzono dochodzenie w sprawie Upiora, panowała absolutna cisza.

Sześciu policjantów z zespołu, który dokonał aresztowania Andrew Kenta, zebrało się w luźnym półkolu przed szerokoe-kranowym laptopem Apple Mac leżącym na biurku pośrodku pokoju. Posterunkowy Grier stał najbliżej, twarz miał bladą i ściągniętą, jego wystające jabłko Adama, wciąż posiniaczone po spotkaniu z ręką Kenta, poruszało się gwałtownie, jakby próbował pohamować wymioty. Miny pozostałych – ponura mieszanina odrazy, przygnębienia, napięcia i stoicyzmu – mówiły to samo. To, co właśnie oglądali, wstrząsnęło każdym z nich, a oczy posterunkowej Rodriguez mokre były od łez.

– Co mamy? – zapytał MacLeod, gdy wszedł razem z Tiną.

Jego miękka edynburska wymowa nieco złagodziła napiętą atmosferę. Cechowała go cicha przyzwoitość, w naturalny sposób przyciągająca do niego ludzi, a także aura spokojnej pewności siebie, która sprawiała, że człowiek nie zauważał wydeptego od piwa brzucha, rzadniejących siwych włosów oraz niemodnych wąsów, tylko widział urodzonego przywódcę. Tina po raz kolejny była rada, że dla niego pracuje.

– To, co tu znaleźliśmy – powiedział z westchnieniem Grier, mocno przeciągając ręką po twarzy, jakby próbował się pozbyć jakichś wspomnień. – Filmy.

– Jakie? – zapytała Tina z dreszczem niezdrowego podniecenia.

– Nagrania z morderstwa dwóch ofiar. Wygląda na to, że sam filmowałem. – Grier urwał. – Wyjątkowo drastyczne.

– Mało powiedziane – odezwał się sierżant Simon Tilley, zwykle tryskający energią gliniarz o silnej osobowości i śmiechu jak bęben basowy, ojciec dwójki małych dzieci. – W życiu nie widziałem czegoś równie potwornego.

MacLeod odetchnął głęboko. Sam będąc ojcem, miał niewielką ochotę zająć się tym zadaniem, ale jako profesjonalista nie mógł pozwolić, żeby powstrzymały go względy osobiste.

– Rzućmy okiem.

Odwrócił się w stronę Tyny, wyraz jego twarzy sugerował, że nie wymaga, by to oglądała, jeśli nie chce. Zauważyła, że inni też na nią patrzą, łącznie z Grierem i Rodriguez. Przeczowała, że chcą ją z tego wyłączyć.

– Nie ma obawy – powiedziała obcesowo do MacLeoda, nie patrząc na pozostałych. – Dam radę.

– Ja nie dam – wyznał Grier. – Jeden raz wystarczy. Włącz odtwarzanie, gdy będziecie gotowi.

Policjanci mrukliwie przyznali mu rację i odsunęli się od biurka. Choć nie opuścili pokoju, Tina miała wrażenie, że trzymają się jak najdalej od laptopa, jakby mógł ich czymś zarazić.

MacLeod pochylił się, najechał myszką na ikonkę i kliknął. Stali ramię w ramię, gdy ekran pojaśniał, ukazując młodą kobietę leżącą na łóżku. Tina natychmiast rozpoznała ostatnią ofiarę, Adrienne Menzies, której DNA znaleziono na młotku z sypialni Kenta, trzydziestotrzyletnią księżową z Highgate, z włosami w tym samym ciemnym kolorze i stylu co jej własne. Przypomniała sobie tekowe wezglowie drogiego, staroświeckiego łóżka, które – jak później się dowiedziała – zostało zrobione ręcznie przez ojca Adrienne. Takie drobiazgi zawsze zapadają w pamięć nawet wśród największych okropności. A tych tu nie brakowało.

Adrienne, naga, z ustami zaklejonymi taśmą izolacyjną, leżała przywiązana do łóżka czarnymi plastikowymi paskami, jakich używa się do krępowania w praktykach sado-maso. Takich samych pasków Kent użył w czterech z pięciu zabójstw. Jakość obrazu była bardzo dobra. Tina widziała siniaki i zadrapania na udach i wokół piersi ofiary. Kamera robiła powolny najazd, obraz podrygiwał jak na amatorskim filmie, gdy osoba trzymająca kamerę ostrożnie obchodziła narożnik łóżka, filmując daremną walkę Adrienne o uwolnienie się z więzów. Pływające spod knebla stłumione krzyki strachu stawały się coraz bardziej rozpaczliwe, jej oczy się rozszerzały i wychodziły z orbit, jakby widniejący w nich strach był żywą istotą próbującą się wydostać na zewnątrz.

Kamerzysta zatrzymał się i skierował obiektyw na twarz,

która wypełniła cały ekran. Tina z trudem znosiła widok jej błagalnej miny, ponieważ dokładnie wiedziała, co się stanie z tą ładną młodą kobietą, która kilka godzin wcześniej wiodła zasadniczo szczęśliwe, zwyczajne życie wśród rodziny i przyjaciół. Tina była na miejscu zbrodni. Stała w tej sypialni, widziała zmienioną nie do poznania twarz w masce skrzepniętej krwi, widziała ciemne bryzgi na pościeli i ścianach, długą smugę ledwo widoczną na tekowym wezgielciu...

Ujęcie zmieniło się na panoramiczne i ekran ściemniał. Tina nie zaschło w ustach i nagle spostrzegła, iż pociera ręce z taką siłą, że niemal sprawia sobie ból. Musi się napić. Potrzebowała alkoholu bardziej niż kiedykolwiek. Najlepsza byłaby butelka dobrego wina Rioja i parę kieliszków wódki na dokładkę. Zresztą wszystko jedno co, byle zapomnieć o tym wszystkim.

Ekran pojaśniał i tym razem kamera stała nieruchomo niespełna metr od głowy Adrienne, nieco powyżej, najpewniej na szafce nocnej. Tina nie mogła sobie przypomnieć, czy Adrienne miała taką szafkę, czy nie. Jej głowa przekręcała się z boku na bok, spod knebla płynęły głośne jęki. W tle grała muzyka. *Beautiful Day* U2. Ledwo słyszalnie. Tina wiedziała, że już nigdy nie będzie mogła słuchać tego utworu bez przypominania sobie krwawego morderstwa Adrienne Menzies.

Młotek pojawił się znikąd, uderzając Adrienne prosto w twarz. Widać było tylko obuch i górną część trzonka.

Tina wzdrygnęła się i odwróciła głowę. W swojej pracy widziała różne straszne rzeczy, łącznie ze śmiercią młodej kobiety

zastrelonej na jej oczach. To jednak było gorsze, ponieważ obrzydliwie trąciło voyeuризmem, niemal jakby poprzez oglądanie sceny mordu udzielała zabójcy cichego poparcia.

Słyszała chrzęst, gdy młotek raz za razem uderzał w twarz Adrienne, ale nie ten odgłos miała zapamiętać. Zachowa w pamięci rżące, bulgoczące wycie bólu i przerażenia, zgrane z pełnym udręki, lecz zaskakująco głębokim oddechem konającej dziewczyny.

Tina zmusiła się do patrzenia, gdyż część jej pracy polegała na oglądaniu dowodów. Wbiła oczy w ekran, jej świat skurczył się do tego laptopa i odtwarzanego na ekranie bestialstwa.

Zdawało się, że trwa bez końca, choć później stwierdziła, że film miał tylko siedem minut i dwadzieścia sekund i obejmował również zadawanie innych cierpień ofierze, strasznych cierpień na tle seksualnym, które pamiętała z protokołów sekcji. I przez cały ten czas zabójca ani razu się nie pokazał, nie było widać nawet ręki w rękawiczkach zaciśniętej na trzonku młotka. Choć opętany żądzą krwi, zachowywał maksymalną ostrożność i kontrolował swoje poczynania. Gdy skończył – a to, co zostało z Adrienne Menzies, przestało się poruszać – wyłączył kamerę. Tak po prostu.

Tina z trudem przełknęła ślinę. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w pusty ekran, świadoma bicia serca, tak mocnego i szybkiego, że aż się zawstydziała. Obok siebie słyszała wyężony oddech MacLeoda. Po chwili nadkomisarz podszedł do biurka i zamknął pokrywę laptopa, jakby w ten sposób mógł się odciąć od koszmaru, który przed chwilą oglądali.

– Dobry Boże – mruknął cicho. – Co też kieruje niektórymi ludźmi?

Nie było na to odpowiedzi. Tina wiedziała na pewno tylko tyle, że w czasie pracy w policji spotkała zbyt wielu zwyrodnialców i że zajmowanie się popełnionymi przez nich przestępstwami nigdy nie było łatwe. W ciągu minionych miesięcy jej rodzice i brat, którzy wciąż nie mogli dojść do siebie po tym, jak zabiła człowieka, a jeszcze bardziej byli przerażeni z powodu jej dołączenia do zespołu tropiącego seryjnego zabójcę, niejedną raz sugerowali, że praca przynosi jej więcej złego niż dobrego. Prawdopodobnie mieli rację, a jednak Tina nie mogła ani odejść z pracy, którą kochała i której w równej mierze nie nawiadziła, ani poradzić sobie ze związanym z nią stresem.

– Młotek wygląda jak ten znaleziony w mieszkaniu Kenta, prawda? – zapytała w końcu.

– Niepodobna stwierdzić tego na pewno i właśnie to powie jego obrońca w sądzie. Z pewnością istnieje mnóstwo takich młotków.

– Znacznie trudniej będzie się spierać z faktem, że jest na nim DNA Adrienne i że w jego laptopie znajduje się nagranie z morderstwa. – Pokręciła głową zła na siebie, że przez chwilę wątpiła, iż Kent jest Nocnym Upiorem. Po prostu był jednym z najlepszych aktorów, na jakich się natknęła w pokoju przesłuchań, i powinna pamiętać, że właśnie tacy są prawdziwi psychopaci. Wytrawni aktorzy, którzy niczego nie lubią bardziej niż mydlenia oczu wszystkim wokół siebie.

MacLeod uśmiechnął się do niej współczująco.



– Przykro mi, Tino, że musiałaś to obejrzeć. Mam nadzieję, że nagranie nie przywołało żadnych wspomnień.

Przypuszczała, że nawiązuje do zeszłego roku, gdy została uprowadzona i postrzelona, ale jeśli tak, to się mylił. Wspomnienia nigdy nie odeszły, trudno więc mówić o przywoływaniu. Poza tym jeśli o nią chodzi, były wyłącznie jej sprawą, nikogo innego.

– Mnie też jest przykro, że musiał pan to obejrzeć – zrewanżowała się. – I nie ma obawy, nie przywołało.

– To dobrze – rzekł krótko, po czym zwrócił się do Giera, który podchodził do nich niemalże ostrożnie. Wciąż był blady, przez co zyskał szacunek w jej oczach. Przynajmniej nie próbował zgrywać macho i udawać, że wszystko po nim spłynęło.

– Jest drugi film w tym samym stylu – powiedział. – Z morderstwa Diane Woodward.

Diane była trzecią ofiarą, trzydziestosiedmioletnią, najstarszą. Zmarła dziesięć miesięcy temu w podobnych okolicznościach.

– Jakież wskazówki prowadzące do zidentyfikowania sprawcy? – zapytał MacLeod.

Grier pokręcił głową.

– To nagranie podobne do tego, które właśnie pan obejrzał. Jest więcej materiału filmowego, ale z czasu, zanim się włamał, żeby zabić.

– To znaczy?

– Musiał rozmieścić ukryte kamery w mieszkaniach, gdy instalował alarmy, bo pokazują codzienne życie ofiar. To jasne, że wiele wyciął, bo zostały tylko sceny o charakterze intymnym.

Kobiety się przebierają, chodzą nago. Jedna z nich uprawia seks. Takie rzeczy. Przypuszczam, że to go rajcowało. Podglądanie, ale bez ryzyka, że zostanie przyłapany.

– I są filmy ze wszystkimi ofiarami?

– Na razie znaleźliśmy trzy.

MacLeod przeciągnął ręką po czole.

– Dobry Boże.

– Czy mogły zostać podrzucone do jego laptopa? – zapytała Tina.

Grier spojrział na nią jak na wariatkę, a ona natychmiast sobie przypomniała, dlaczego go nie lubi.

– Wykluczone. Przede wszystkim jest tego zbyt wiele, a daty nagrywania na twardy dysk korespondują z datami morderstw. Te filmy są tutaj od długiego czasu. Są autentyczne, właściwości pliku to potwierdzają.

– Czy były dobrze ukryte?

– Były w podfolderach folderów, pochowane wśród mnóstwa innych plików w katalogu Moje Dokumenty, wszystkie z niewinnymi, niepowiązanymi nazwami. Znalezienie ich wymagało sporo zachodu.

– A jednak nie były zbyt dobrze ukryte, prawda? Nie były zabezpieczone hasłem ani chronione systemami szyfrowania, jakie niektórzy pedofile instalują w komputerach, żeby uniemożliwić nam dostęp do trefnych plików.

Grier przyjął postawę obronną.

– Sugeruje pani, że łatwo było je znaleźć?

– Nie sądzę, Dan, by Tina mówiła coś takiego – wtrącił spieszenie MacLeod.

– Nie, wcale tego nie mówiłam. Ja tylko ustalam fakty. To wszystko, Dan. W porządku?

– Przepraszam – mruknął. – Nie chciałem, żeby zabrzmiało to obraźliwie. Po prostu poświęciłem temu laptopowi prawie dwanaście godzin, przekopując się przez zwały chłamu, zanim w końcu znalazłem te pliki.

– Wszyscy przeżyliśmy traumatyczne chwile – powiedział MacLeod. – Może teraz skoncentrujemy się na najważniejszym zadaniu, czyli na zabezpieczeniu dowodów. Zgraj wszystkie ważne pliki na pendrive, Dan, potem zapakuj laptop i wyślij do laboratorium. Niech zbadają go pod kątem DNA, odcisków palców i tak dalej. Nie chcę, żeby Kent miał jakiegokolwiek podstawy do wypierania się swojej własności.

Grier nie krył zaskoczenia.

– To chyba niemożliwe, prawda?

– Na razie wypiera się wszystkiego. Musimy pracować nad sprawą, aż jego talenty aktorskie przestaną mieć znaczenie i ława przysięgłych nie będzie miała innego wyboru, jak uznać go winnym.

Kiedy Grier wyszedł z laptopem, MacLeod zwrócił się do Tiny:

– I jak, jesteś gotowa skończyć z tym łajdakiem?

Zdecydowanie pokiwała głową.

– Bardziej być nie można.

– Zobaczmy, jak zareaguje na to, że znaleźliśmy jego amatorskie filmy. – Położył rękę na jej ramieniu. – Odegrałaś znaczącą rolę w jego aresztowaniu, Tino. Kiedy będziemy gotowi, czy chcesz przedstawić mu zarzuty?

Ale czy nie poszło zbyt łatwo? Andrew Kent został podany im na talerzu z narzędziem zbrodni w sypialni i laptopem pełnym obciążających dowodów. Choć wątpliwości nie dawały jej spokoju, Tina odepchnęła je na bok ze świadomością, że po prostu ignoruje oczywiste wyjaśnienie: Kent jest dokładnie taki jak wszyscy inni zimnokrwistcy zabójcy, którzy zaczęli wierzyć w to, że są niezwyciężeni, i popadli w zbytne samozadowolenie.

– Zdecydowanie tak – odparła. – Chcę patrzeć, jak się wije.

## 6.

Robota, którą zlecił mi Tyrone Wolfe, polegała na zakupieniu kilku sztuk broni od handlarza działającego w Canning Town. Wprawdzie kazał Tommy'emu zawieźć mnie na miejsce, ale dał jasno do zrozumienia, że mam samodzielnie przeprowadzić transakcję. Powód był prosty: kupując broń, popełnię poważne przestępstwo, więc tym samym nie mogę być gliną. Jego rozumowanie miało jedną wadę, ponieważ wysyłając mnie z Tommym, nie dawał mi wyboru – muszę złamać prawo, bo inaczej spalę przykrywkę. Oczywiście byłem pewien, że mój szef z CO10 nie byłby zachwycony moją decyzją. Komisarz Robin Samuel-Smith, inaczej Kapitan Bob, jak powszechnie nazywano go za plecami, lubił grać zgodnie z regułami. Ale tym będę się martwić później.

Wolfe dał mi kopertę zawierającą pięć kawałków w gotówce – zapłatę za dwie strzelby automatyczne i pistolet – po czym

zwrócił mi moje rzeczy łącznie z zegarkiem. Powiedział, że dealer czeka na mnie od pół godziny i że spotkamy się później, gdy będę miał towar.

Jechaliśmy samochodem Tommy'ego. Z tyłu siedział z wywieszonym językiem jego pies Tommy Junior, kundel z pokiereszowanym uchem, zawsze cuchnący jak stary płaszcz przeciwdeszczowy. Wieść niesła, że Tommy wyratował go z rąk nastoletnich łobuzów, którzy po związaniu mu przednich i tylnych łap zamierzali go wrzucić w mętną wodę Regent's Canal. Tommy cisnął tam jednego z nich, a kiedy drugi wyciągnął nóż, Tommy wyjął teleskopową pałkę i złamał mu nos, po czym posłał w ślad za kumplem. Pozostali posłuchali głosu rozsądku i uciekli.

Tommy Junior kochał swojego pana i nie ufał nikomu innemu, co być może nie powinno dziwić. Do mnie czuł wyjątkową niechęć, ponieważ w ciągu ostatnich trzech miesięcy regularnie zajmowałem miejsce z przodu, które najbardziej lubił.

Przez miesiąc krążyłem po peryferiach świata przestępczego w północnym Londynie. Podając się za Seana Tatello, który po wyjściu na wolność szuka przyzwoitej roboty, popijałem z drobnymi opryszkami w brudnych pubach przy bocznych uliczkach, zanim zostałem przedstawiony Tommy'emu. Było to trzy miesiące temu i od tej pory spędziliśmy razem wiele czasu. Z początku tylko popijaliśmy i gadaliśmy. Jak wielu przestępców, Tommy był dobrym kompanem, znającym mnóstwo zabawnych anegdotek. Powoli zaczął mi ufać i zlecał drobne robótki, za każdym razem sugerując, że na pewno trafi się coś większego. Wreszcie dzisiaj podjechał pod mieszkanie, z którego korzystałem podczas moich tajnych operacji, i powiedział,

że ma dla mnie robotę. Prawdziwą robotę.

– Kogo mamy zwinąć? – zapytałem go teraz, chcąc mieć coś, z czym będę mógł wrócić do Kapitana Boba.

– Nie wiem – odparł, wbijając we mnie głęboko osadzone oczy, które zawsze miały melancholijny wyraz, nawet gdy opowiadał zabawną historyjkę. – Nie pracuję z Wolfe'em tak często jak kiedyś. Ale mówiłeś, że zaproponował ci sto kawałków. Cóż, mnie daje sto pięćdziesiąt, więc myślę, że obaj z Haddockiem wyciągną najmniej dwieście na głowę. To znaczy, że kimkolwiek jest nasz cel, wart jest dla kogoś kupę forsy. Wiem tylko, że chodzi o jednego człowieka i że eskorta nie będzie uzbrojona. To wszystko. Nawet nie znam miejsca.

– Wiesz, skąd Wolfe usłyszał o robocie?

Pokręcił głową.

– Nie lubi odkrywać kart, a w tym wypadku jest bardziej nerwowy niż zwykle. Dlatego tak cię wypytywał. Nie lubi korzystać z usług ludzi spoza ekipy, ale potrzebował czwartego. Wiedząc, że jesteśmy kumplami i że chcesz zarobić...

– Dzięki, że o mnie pomyślałeś – wtrąciłem, czując niezwykle wyrzuty sumienia na myśl, że go zdradzę. Tommy Allen był brutalnym przestępcą, lecz zbliżyłem się do niego bardziej, niżbym sobie życzył. Miał czterdzieści pięć lat, tylko dwanaście więcej niż ja, ale czasami traktował mnie jak syna, którego się nie dochował.

W samochodzie zapadła cisza. Tommy zapalił papierosa.

Patrzyłem na niego z głodem w oczach. Pozwalał sobie tylko na dwie fajki dziennie, jedna po lunchu, druga po kolacji,

i trzymam się tej rutyny. Miałem cholerną ochotę zrobić wyjątek, bo zdawałem sobie sprawę, że najpewniej trafiam z deszczu pod rynnę.

Patrzyłem przez okno samochodu, starając się nie zważać na walenie serca, gdy hotele, kina i kawiarniane ogródki West Endu ustąpiły imponującym wiktoriańskim kamienicom i biurowcom kancelarii prawniczych, a te z kolei wysokościowcom City ze stali i szkła. Potem bogactwo zostało za nami i otoczyły nas czynszówki i szeregowce rozległego East Endu. Podczas drugiej wojny światowej ta część Londynu bardzo ucierpiała wskutek bombardowań Luftwaffe, co odbiło się na architekturze: wiktoriańskie kamienice sąsiadują z szeregowcami z lat pięćdziesiątych i wieżowcami z sześćdziesiątych. Wszystkie one przemykały za szybą w rytm radosnej muzyki z płyty *Best Level 42*.

Tommy, jak się dowiedziałem w czasie naszej znajomości, był wielkim fanem muzyki z lat osiemdziesiątych, zwłaszcza grupy Level 42. Śpiewał wraz z wykonawcami w czasie jazdy, od czasu do czasu do wtóru z Tommym Juniorem, który był na tylnym siedzeniu. Wszystko razem tworzyło kakofonię, która skłoniłaby mnie do wyłupienia sobie oczu, gdybym nie był taki zaabsorbowany. Gdy zaczął się jeden z mniej znanych kawałków kapeli, *Microkid*, Tommy wreszcie zauważył, że jestem małomówny.

Ściszył muzykę.

– Słuchaj, Sean, chyba się nie boisz, co?

– Nie, po prostu ogłuszyło mnie piękno twojego duetu z Tommym Juniorem.

Zachichotał.



– Ulubiony kawałek Tommy'ego Juniora to *Lessons in Love*. Wierz mi, naprawdę pięknie wyciąga wysokie tony. – Odwrócił głowę w moją stronę, jego twarz spoważniała. – Ręczę za tych gości, wiesz. Za tych, od których będziesz kupować. Sam robiłem z nimi interesy. Można na nich polegać.

Był to refren, który mnóstwo razy słyszałem o przestępcach. „Można na nich polegać”. Problem w tym, że w większości wypadków wcale tak nie jest. Z reguły to paranoicy, nerwowi, brutalni i często naćpani, co stanowi dość zabójczą kombinację. W ciągu lat pracy wyciągnięto na mnie dwa pistolety, cztery noże, siekierę, łyżkę do zmiany opon, parę kijów do baseballu, a nawet imitację średniowiecznego kiścienia. Byłem przetrzymywany przez bandę obłąkanych oprychów lecących na diecie z wódki i cracku. Dranie oblali mnie benzyną i grozili spaleniem żywcem, jeśli nie dam im prochów, które rzekomo miałem (nie miałem, więc ich nie dostali). Wiele razy budziłem się rankiem z myślą, kiedy opuści mnie szczęście.

Pomimo wszystko wiedziałem, że nie zrezygnuję z pracy. Byłem zbyt wielkim zwolennikiem starego porzekadła: zło triumfuje, gdy dobrzy ludzie nic nie robią. Zło pleni się w dzisiejszych czasach i nie brakuje tych, którzy siedzą z założonymi rękami. W dzieciństwie kładłem się spać w przekonaniu, że na ulicy przed moim oknem czuwa gliniarz, żeby chronić mnie przed stworami nawiedzającymi koszmary dzieci, a wiara w jego obecność podnosiła mnie na duchu. Teraz ja byłem tym glinią i mnóstwo ludzi liczyło na moją pomoc.

Minęła pierwsza, gdy Tommy skręcił w ulicę podupadłych przedwojennych domów szeregowych na północ od Barking Road. Jeden ciąg budynków nagle się urywał, ostatnie mieszkanie leżało w gruzach, a za nim rozpościerał się pas nieużytków ze spalonym wrakiem auta bez kół. Śmieci walały się po asfalcie niesione wiatrem, który wzbijał chmury pyłu. W dali nad nierówną linią horyzontu rysowały się podobne do modliszek sylwetki czerwonych i niebieskich żurawi. Naprzeciwko nieużytków po drugiej stronie drogi stał szereg omiatanych wiatrem tanich sklepów, z których większość była albo zabita deskami, albo miała opuszczone żaluzje.

– To tutaj – powiedział Tommy, parkując.

Wskazał restaurację z daniami na wynos Wyborna Kuchnia Jamajska Zafiaha, ulokowaną w mało zachęcającym sąsiedztwie pustego domu ze śladami osmaleń na frontowej elewacji, jak po obrzuceniu koktajlami Mołotowa. Kilku szczeniaków w kapturach, z ukrytymi twarzami, siedziało na górskich rowerach, dzieląc się skrętem.

– Wygląda na zamknięte – zauważyłem.

– Jest, ale się nas spodziewają. Idź do bocznych drzwi i pytaj o Mitchella. I sprawdź broń, zanim dasz mu forszę. Będę tu czekać.

Spojrzałem na niego.

– Naprawdę ze mną nie idziesz?

Obrzucił mnie żalonym spojrzeniem i zrobił równie żalonym minę, aż obwisły mu mięsiste policzki.

– Nie mogę, stary. Wolfe chce, żebyś zrobił to sam. Takie rozkazy. W ten sposób będzie wiedział, czy może ci zaufać.

– Ale Wolfe'a tu nie ma, Tommy. Nawet nie znam tych facetów. Musisz mi pomóc tam wejść.

– Nie będzie problemu, Sean. Szczerze. Dasz sobie radę.

Wtedy uświadomiłem sobie, że Tommy też mi do końca nie ufa. Miałem się wykazać zarówno przed Wolfe'em, jak i przed nim. Naprawdę byłem zdany wyłącznie na siebie.

– Wyświadczyć mi przysługę – powiedziałem, otwierając drzwi. – Przyjdź po mnie, jeśli nie zjawię się za dziesięć minut.

Obdarzył mnie krzepiącym uśmiechem mówiącym: „Spoko, nie ma obawy”. Ale w mojej grze zawsze są powody do zmartwienia.

Miałem za sobą paskudne przedpołudnie i nie bez oporów wysiadłem z samochodu. W tej chwili chciałem rzucić wszystko w diabły i złożyć podanie o pracę za biurkiem w Scotland Yardzie, jak najdalej od całego tego gówna. Kopertę z pięcioma kawałkami trzymałem za paskiem dżinsów na brzuchu pod koszulą. Choć nie było jej widać, wiedziałem, że jestem oczywistym celem.

Przeciąłem jezdnię i minąłem gówniarzy w kapturach, ignorując ich spojrzenia. Niedbałym krokiem przeszedłem wzdłuż frontu restauracji. Wnętrze było ciemne i puste. Gdy skręciłem za róg i wszedłem w zaułek wiodący do bocznych drzwi, zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Kapitana Boba z powiadomieniem o mojej obecnej sytuacji, a może nawet z prośbą o wsparcie, na wypadek gdyby nie poszło tak gładko, jak obiecywał Tommy. Ale doszedłem do wniosku, że Bob nie wydałby zgody na moją samodzielną akcję. Pozostała mi tylko nadzieja, że wszystko pójdzie po mojej myśli. Potem będę mógł

przekazać informacje o handlarzu bronią i za parę dni, może tygodni, kiedy zatrze się pamięć o mojej wizycie, gość zostanie aresztowany bez zbędnego zamieszania. To dobra rzecz w tajnych operacjach. Efekt domina. Zinfiltruj jeden gang, a niebawem dostaniesz namiary na następny. Świat przestępczy, jak ten praworządny, kręci się wokół ludzi wspólnie robiących interesy.

Uliczka była wąska, pełna czarnych worków, z których kilka pękło, odsłaniając rozkładające się odpadki. Na bielonych ścianach po obu stronach widniały graffiti – znaki gangów, przechwałki nastolatków – a w powietrzu wisiał zapach zwierzęcego tłuszczu. Kluczyłem pomiędzy śmieciami, aż dotarłem do ciężkich drewnianych drzwi przeciwpożarowych pomalowanych na błękitno jakieś sto lat temu. Tu zapach tłuszczu stał się silniejszy, a naprzeciwko pod murem piętrzyła się chwiejna piramida czarnych worków.

Odetchnąłem głęboko i mocno zapukałem do drzwi.

Przez dwadzieścia, może trzydzieści sekund nic się nie działo. Już miałem zapukać ponownie, gdy drzwi uchyliły się na kilka centymetrów, zabezpieczone grubym łańcuchem, i z mroku spojrzała na mnie para karykaturalnie dużych, nabiegłych krwią oczu.

– Przyszedłem do Mitchella. Jestem umówiony. Mam na imię Sean.

Oczy wpatrywały się we mnie jeszcze przez parę sekund, po czym łańcuch został odpięty i drzwi się otworzyły.

Wysoki, szczupły, czarnoskóry mężczyzna około czterdziestki szacował mnie powolnym, acz rozbieganym spojrzeniem. Na jego ustach igrał uśmiech zadowolenia, który uznałem

za lekko niepokojący. Miał na sobie dzinsy i luźną koszulkę bez rękawów z nazwą restauracji. Wokół niego snuły się smutki dymu marychy.

– Kto cię przysłał, kolego? – zapytał z miękkim jamajskim akcentem.

– Tyrone Wolfe – odparłem stanowczym tonem. – Ty jesteś Mitchell? – Wiedziałem, rzecz jasna, że to on. Mógł być na haju, ale roztaczał aurę starszeństwa, którą nauczyłem się rozpoznawać z daleka.

– Zgadza się – odparł z wolna. – Lepiej wejdź, kolego.

Gdy wszedłem, puścił drzwi, które zamknęły się automatycznie z serią głośnych trzasków, odcinając mnie od świata zewnętrznego.

Poprowadził mnie wąskim korytarzem do przepastnej kuchni z wysokim sufitem i bez jednego okna, pachnącej mięsem i marychą, a potem podszedł do stojącego pośrodku stołu z krzesłami. Podniósł z popielniczki napoczętego jointa i zaciągnął się głęboko.

– Więc, Sean, masz forszę?

Gdybym od razu przytaknął, mógłby mnie obrabować, zamiast przejść do interesów. Przestępcy potrafią działać na krótką metę, nawet ci rzekomo niezawodni. Z drugiej strony, gdybym zaprzeczył, mógłby kazać mi spadać. Z doświadczenia wiedziałem, że tego rodzaju negocjacje rzadko mają prosty, bezpośredni przebieg. W końcu poszedłem na kompromis.

– Jasne – odparłem lekkim tonem, jakby spytał, czy podoba mi się kolor farby na ścianach. – Masz to, po co przyszedłem?

– Jak to się stało, że Wolfe i Haddock już tu nie zaglądają? Zaszli za wysoko, żeby zadawać się z takim chłopakiem jak ja?

– Dziś są zajęci – odparłem, słysząc szmer za plecami.

Odwróciłem się i zobaczyłem czarnego dwudziestolatka, który oparł się o kuchenne drzwi, tarasując wyjście. Był ubrany w krzykliwy dres, czapkę baseballową i nosił ciemne okulary, choć w kuchni panował półmrok. Poza tym trzymał prawą rękę za plecami, co nigdy nie jest dobrym znakiem. Starając się nie tracić pewności siebie, zwróciłem się do Mitchella:

– Trochę się spieszę, więc byłbym wdzięczny, gdybyś dał mi towar.

Mitchell powoli pokiwał głową, ani na chwilę nie odrywając ode mnie przekrwionych oczu, po czym zagadał coś przez ramię w szybkim jamajskim żargonie, który nie całkiem chwytam.

– Jak długo pracujesz dla Wolfe'a, kolego?

– Nie pracuję dla nikogo. Pracuję z ludźmi.

– Tak, niech ci będzie. W takim razie jak długo z nim pracujesz?

Wzruszyłem ramionami.

– Może parę miesięcy. Czy to ważne?

– Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia, to wszystko.

– Z kimś, kto chce kupić kilka sztuk broni, a potem wynieść się stąd w cholerę.

Przez dłuższą chwilę staliśmy, piorunując się wzrokiem, atmosfera szybko gęstniała. Słyszałem walenie mojego serca.

Facet za mną przestępował z nogi na nogę, stojąc na straży

z ręką za plecami – prawie na pewno trzymając pistolet. Kropelka potu spłynęła mi po czole, gdy nagle zdałem sobie sprawę, jak tu gorąco i jaki jestem bezbronny.

Otworzyły się drzwi w drugim końcu kuchni. Wszedł zwalisty facet w brudnym fartuchu i czapce kucharskiej. Na ramieniu dźwigał wielki barani udziec, a w ręce niósł torbę podróżną z logo Adidasa. Położył torbę na stole pomiędzy Mitchellem i mną, rzucił udziec na blat, zdjął z wieszaka tasak i zajął się systematycznym ćwiartowaniem.

– Tu jest broń, kolego. Wszystko dla ciebie.

Otworzyłem torbę i obejrzałem zawartość: dwie półautomatyczne strzelby Remington i czarny pistolet Sig P226. Sięgnąłem głębiej, szybko znajdując pudełko amunicji do strzelby i drugie z pociskami kalibru dziewięć milimetrów, oba w opakowaniach fabrycznych. Sama broń też wyglądała na zupełnie nową. W Wielkiej Brytanii obowiązują jedne z najsurowszych na świecie przepisów dotyczących posiadania broni i odnieśliśmy sporo poważnych sukcesów, rozbijając siatki importerów, więc informacje mogące doprowadzić do dostawcy były zdobyczą nie do pogardzenia.

Wyjąłem remingtona, podziwiając jego wykończenie. Był to czarny model 870, lekka strzelba z lufą długości niespełna czterdziestu sześciu centymetrów, ulubiona broń amerykańskich stróżów prawa i przestępców, ponieważ jest niewielka, prosta w obsłudze i zabójcza. Dość dobrze znałem ten model z policyjnych treningów strzeleckich. Pstryknąłem bezpiecznikiem, po czym odsunąłem zamek, żeby sprawdzić, czy jest rozładowana.

– Broń jest absolutnie czysta, kolego – zapewnił mnie Mitchell. – Nigdy z niej nie strzelano. Nie była wypożyczana. To nówki, bezpieczne dla waszej ekipy. Czy teraz dasz mi forszę?

Wyciągnąłem kopertę zza paska dżinsów.

– Pięć patoli. Co do pensa.

Otworzył kopertę, wyjął plik banknotów i zaczął liczyć.

W tej chwili drzwi znów się otworzyły. Ukazał się w nich najgorszy koszmar każdego tajnego agenta.



## 7.

Weyman Grimes w źle dopasowanym stroju szefa kuchni przyniósł worek cebuli, który rzucił na jeden z blatów. Na jego pociągłej końskiej twarzy malowała się znajoma skwaszona mina.

Pięć lat temu był średniej klasy handlarzem kokainy pracującym w Dalston, gdy się u niego zjawiłem, udając klienta z mnóstwem gotówki do wydania, po czym wraz tuzinem kolegów zgarnąłem go za posiadanie pięćdziesięciu torebek wyjątkowo podłego towaru rozcieńczonego proszkiem na odrobaczenie. Zapamiętał moją twarz, ponieważ to ja przed nim stałem, dyskutując o cenie i targując się o hurtowy zakup; ja mu powiedziałem, że jest aresztowany; ja go złapałem, gdy próbował zwiać, i zrzuciłem na łeb ze schodów, na których ubijaliśmy interes; ja zostałem przez niego oskarżony (bez powodzenia) o brutalność policji; i na koniec ja uśmiechałem się do

niego w sali sądowej, gdy go wyprowadzano na czteroletnią odsiadkę za posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży.

Fala zimnego strachu w rodzaju tych, które zatrzymują serce, zbiła mnie z nóg. Ale z natury umiem szybko myśleć, więc wyjąłem z kieszeni koszuli paczkę papierosów, decydując się złamać zasadę palenia wyłącznie po posiłku, gdyż uznałem, że to może ocalić mi życie. Stałem z pochyloną głową, udając, że nie mogę zapalić, walcząc z pragnieniem rzucenia się do ucieczki.

Mitchell bez pośpiechu liczył banknoty. Świadom, że nie mogę długo stać w ten sposób bez wzbudzenia podejrzeń, zapaliłem papierosa i zaciągnąłem się głęboko, odwracając głowę w stronę ściany, żeby Grimes nie zobaczył mojej twarzy. Błagałem Mitchella w duchu, żeby się pospieszył, bym mógł się wynieść w cholerę z tego dusznego miejsca.

Wreszcie przestał liczyć i wyszczerzył zęby.

– Co do grosza, kolego. Przyjemnie robić z tobą interesy.

Lekko skinąłem głową, nie chcąc się odzywać, żeby Grimes nie rozpoznał mojego głosu. Kątem oka widziałem, jak się odwraca, jak wlepia we mnie gały. Nie miałem pojęcia, czy mnie rozpoznał, ale nie zamierzałem czekać, żeby się tego dowiedzieć. Złapałem torbę i ruszyłem do drzwi, wciąż odwracając twarz.

Jeszcze pięć sekund, a znajdę się bezpiecznie na ulicy.

Ale ledwo zrobiłem krok, ciszę zmałyły słowa, których się obawiałem. Dziwnie płaczliwym tonem, który nagle aż nazbyt dobrze sobie przypomniałem, Grimes oznajmił:

– Hej, ja cię znam. Mitch, człowieku, znam tego skurwiela. To glina.

Młody facet stojący przy drzwiach, ten w czapce i z ręką za plecami, natychmiast się sprężył.

Zawahałem się, niepewny, czy iść dalej, czy się odwrócić i chwycić byka za rogi.

Podjęli za mnie decyzję. Mitch wyszczekał rozkaz. Facet przy drzwiach wysunął rękę zza pleców, pokazując pistolet, który wydawał się zbyt duży dla jego dłoni. Wycelował prosto w moją głowę i podszedł tak blisko, że koniec lufy znalazł się w odległości może metra od celu.

Wielkolud w fartuchu przestał rąbać mięso i obrócił się powoli z zakrwawionym tasakiem w ręce.

Zwróciłem się do Grimesa:

– O czym ty gadasz? W życiu cię nie widziałem. Wracaj do siekania jarzyn i nie wtykaj nosa w gówno, które cię nie dotyczy.

W moim głosie pobrzmiwała pewność siebie i złość, dokładnie jak trzeba, jeśli chciałem się wydostać stąd w jednym kawałku. Przez dręczące pół sekundy Weyman Grimes się wahał, zwodzony moją grą. Jestem całkiem przeciętnym facetem – średniego wzrostu, średniej budowy, bez wyróżniających się rysów twarzy – i wyglądałem zupełnie inaczej niż wtedy, gdy go przyskrzynyłem.

Nagle jego rysy stwardniały.

– Gówno prawda, człowieku, jesteś, kurwa, gliną. Zwinąłeś mnie przed laty! – Zwrócił się do szefa: – To tajniak, Mitch. Przez niego puszkowałem za tamten stary interes z koką w Dalston. Nigdy nie zapominam twarzy.

– Nie obrażaj mnie, zasrańcu, bo rozedrę cię na kawałki. Zrozumiano?

Zrobiłem krok w jego stronę, a on odruchowo się cofnął. Z przyjemnością zobaczyłem, że jest zdenerwowany.

Mitchell wyglądał na zdezorientowanego, ale problem polegał na tym, że Grimes nie odpuszczał.

– To pierdolony glina, Mitch, mówię ci. Przysięgam. Serio, nie wciskałbym ci kitu w takiej sprawie. Powinniśmy załatwić sukinsyna.

Zrobiłem kolejny krok, a wtedy wielki szef kuchni uniósł taksak na znak, że dobieranie się do Grimesa to zły pomysł.

– Pieprz się – warknąłem, lekceważąco machnąłem ręką i odwróciłem się do wyjścia. – Wychodzę. Masz swoją forszę.

– Nigdzie nie idziesz, psie – szepnął Mitch, wyciągając z dzinsów nóż i otwierając ostrze. Tak oto piąty raz grożono mi nożem. – Dopóki się nie dowiemy, kim właściwie jesteś.

– To pies – zakrakał Grimes, już uśmiechnięty na myśl o zemście. – Wyprujmy mu flaki. – Podniósł z blatu wielki nóż i wyciągnął w moją stronę.

Byłem otoczony. Stałem samotnie w śmierdzącej kuchni z czterema brutalnymi bandziorami. Trzech miało noże, czwarty trzymał pistolet ledwie metr od mojej głowy. Pot zalewał mi oczy, zmuszając mnie do szybkiego mrugania, a adrenalina buzowała w moich żyłach, gdy rozpaczliwie szukałem wyjścia z sytuacji. Powtarzałem sobie, że na pewno jest jakiś sposób, żeby wyjść z tego bez szwanku.

– J-Boy, dawaj go tutaj – warknął Mitchell.

Młodzieniec złapał mnie za ramię i przycisnął lufę pistoletu do mojego policzka.

– Rzuć torbę, cioto – syknął, pokazując zęby, z sadystycznym błyskiem w oczach rozkoszując się swoją chwilą władzy.

Zrobiłem, co kazał, myśląc, że facet naoglądał się filmów. Popełnił wielki błąd, stając zbyt blisko z pistoletem przy mojej twarzy. Kiedyś pewien gość, były komandos SAS, powiedział, że gdy ktoś przystawia ci pistolet do głowy, wystarczy odtrącić rękę w bok – nim facet naciśnie spust, lufa będzie skierowana gdzie indziej. Potem trzeba tylko trzasnąć go w brzuch i wykręcać rękę, aż puści broń, i po sprawie.

Wydawało się to łatwe, gdy mówił o tym pewnego wieczoru po kilku piwach. Jest znacznie gorzej, gdy człowiek czuje zimny, goły metal lufy na skórze.

Ale nie miałem większego wyboru, ponieważ ci faceci nie zamierzali mnie puścić – na pewno nie przed rozdarciem na kawałki. Dlatego gdy mnie pchnął, wykonałem swój ruch, przedramieniem podbijając jego łokieć i jednocześnie waląc go w brzuch.

Zgodnie z przewidywaniami faceta z SAS, kompletnie go zaskoczyłem. Pistolet wypalił z potężnym hukiem, ogłuszając nas wszystkich, gdy kula rykoszetowała od sufitu i podłogi. Młodzieniec stęknął z bólu, a trzech pozostali odruchowo padli na podłogę, co dało mi kilka sekund. Złapałem go za prawy nadgarstek, kierując lufę w bok, i głową uderzyłem go w twarz dwa, może trzy razy, jednocześnie wykręcając mu rękę. Ale facet nie miał zamiaru łatwo się poddać i wciąż mocno trzymał pistolet, gdy tańczyliśmy po kuchni zwarci w niezdarnym walcu. Siłowaliśmy się, on próbował przekręcić pistolet, żeby mnie zastrzelić, a ja rozpaczliwie starałem się mu to uniemożliwić.

Pozostali zdążyli się podnieść i wielkolud w brudnym

fartuchu już na mnie ruszał. Nacierał z tasakiem uniesionym wysoko nad głową, z ustami otwartymi w ryku, którego nie słyszałem, z wyrazem czystego mordu w oczach. Za nim szedł Weyman Grimes z wyciągniętym nożem, a Mitchell wyskoczył zza stołu jak diabełek z pudełka, dziwacznie szczerząc zęby, wytrzeszczając przekrwione oczy.

Pistolet wypalił drugi raz, pocisk niemal ściał Mitchellowi czubek głowy, zanim trafił w ścianę. Mitchell zniknął pod stołem, jakby ktoś go wciągnął. Ten z tasakiem i Grimes zamarli niczym dzieciaki w zabawie „czarownica patrzy”, dochodząc do siebie po huk.

Wtedy klasycznym ciosem sztuk walki trzasnąłem młodego w nos, a gdy się zatoczył, mocno walnąłem go kolanem w jaja.

Wreszcie puścił broń i padł na kolana, ale wielkolud zdążył ochłonąć i był prawie przy mnie. Musiałem zanurkować do tyłu, żeby zejść mu z drogi, i wylądowałem twardo na łopatkach. Ale miałem pistolet. Obróciłem go i wycelowałem, trzymając oburącz z palcem napiętym na spuście.

Szedł, podnosząc tasak niemal w zwolnionym ruchu.

Zareagowałem odruchowo. Nie podjąłem świadomej decyzji, żeby nacisnąć na spust. Po prostu to zrobiłem. Oddałem trzy strzały stłumione przez głośnie brzęczenie w moich uszach.

Jeden pocisk uderzył faceta w udo, wyrwijąc kawał ciała i obracając nim dziko, więc następny trafił go w dupę. Co do trzeciego nie byłem pewien, ale chyba widziałem, jak Grimes pada na podłogę. Zaraz potem wielkolud rzucił tasak, który wbił się w brudne linoleum. Złapał w wielkie łapy ranną nogę

i wydał z siebie zwierzęce wycie tak głośne, że usłyszałem je pomimo chwilowej głuchoty. Potykając się, ruszył w moją stronę. Strzeliłem, pocisk trafił go w drugą nogę tuż nad kolaniem i tym razem facet runął jak ścięte drzewo.

– Nie ruszać się! – krzyknąłem, wymachując pistoletem z lewa na prawo.

Grimes leżał i trzymał się za brzuch, co mi powiedziało, że rzeczywiście dostał; wielkolud obmacywał nogi; młody w czapce, teraz bez czapki, jedną ręką trzymał się za jaja, a drugą wyciągał przed siebie w geście poddania z twarzą wykrzywioną z bólu.

Wycelowałem w Mitchella, który znów się pojawił, tym razem z rękami w powietrzu, bez noża, z taką miną, jakby dziś nie zjarał ani jednego jointa.

– Dobra, kolego, dobra. Wyluzuj.

Wciąż zdyszany podniosłem się z podłogi, kreśląc lufą łuki, żeby mieć ich wszystkich na muszce. Serce waliło mi jak młotem, gdy zaczęło do mnie docierać, co właśnie zrobiłem. Nigdy w życiu nie strzeliłem w złości, ale teraz przekroczyłem granicę i nie było odwrotu.

– Nie jestem gliną, w porządku? – powiedziałem do Mitchella. – Nie jestem, kurwa, gliną. Rozumiesz?

– Jasne, kolego. Dobra. Nie ma sprawy.

Podniosłem torbę.

– Wyjdę stąd i chcę, żeby się na tym skończyło. Masz swoją forszę, ja mam swoje spluwy, więc obaj jesteśmy szczęśliwi. Jasne?

– Jasne, kolego, jasne.

– To glina – wycedził Grimes przez zaciśnięte zęby.

Cierpienie na jego długiej twarzy sprawiało, że niemal mu współczułem.

– Zamknij się, dupku! – ryknął Mitchell, który wyraźnie miał dość tego wątku rozmowy.

Celując w nich wszystkich, tyłem wyszedłem z kuchni. Gdy tylko zniknęli mi z oczu, wetknąłem pistolet za pasek dżinsów, otworzyłem drzwi i z desperacką ulgą wypadłem na ulicę.

Popędziłem do samochodu, po drodze sprawdzając, która godzina. Minęło osiem minut. Tyle czasu zabrały wypadki, które dramatycznie i nieodwracalnie zmieniły moje życie.

– Co się stało? – zapytał Tommy, gdy wskoczyłem na fotel pasażera i rzuciłem torbę do tyłu, omal nie trafiając Tommy'ego Juniora.

– Jedź. Natychmiast.

Silnik już pracował i Tommy ruszył z piskiem opon.

– Mam spluwy, ale jeden z nich rzucił mi w twarz, że jestem tajniakiem, zrobiło się gorąco, więc do niego strzeliłem. I do jednego z jego kumpli.

Gdy mówiłem te słowa, zdarzenie wydawało się zupełnie surrealistyczne. Wciąż nie mogłem uwierzyć, co zrobiłem.

Tommy szeroko otworzył oczy.

– Nie Mitchella. Powiedz mi, że nie kropnąłeś tego pomysłu Mitchella.

– Nie, wciąż się trzyma na nogach. Nie ma obawy.

– A tamci, do których strzelałeś, żyją?

Pokiwałem głową.

– Ale będą potrzebować łątania.



Tommy milczał przez parę sekund i zacząłem się zastanawiać, czy nie skrewiłem. Ale potem uderzył ręką w kierownicę i wybuchnął głośnym, gardłowym śmiechem.

– Chryste, Sean, prawdziwy z ciebie twardziel! Nie do wiary, postrzeliłeś dwóch ludzi Mitchella. Wolfe będzie rwać sobie włosy z głowy!

Poklepał mnie po ramieniu, a na twarzy malował mu się niemal podziw. I wtedy zrozumiałem, że choć może kosztować mnie to karierę, przynajmniej teraz jestem jednym z nich.

## 8.

Była dokładnie trzynasta piętnaście. Mając w pamięci wciąż świeże sceny brutalnych morderstw Upiora, Tina zajęła z MacLeodem miejsce w pokoju przesłuchań, żeby rozpocząć ostatni etap przesłuchania Andrew Kenta.

Kent wyraźnie czuł, że stało się coś złego, bo nerwowo popatrywał to na nią, to na niego i oblizywał usta. Jacobs, jego papuga, wyglądał po prostu na zniecierpliwionego.

Tina wygłosiła do kamery obowiązkowe wprowadzenie, po czym spojrzała twardo na Kenta, zastanawiając się, jak to jest mieć w takiej pogardzie ludzkie życie. Zadał niewysłowny ból nie tylko swoim ofiarom, ale także ich rodzinom i przyjaciołom. Znienawidziła go wtedy. Nienawidziła go całym swoim jestestwem, ponieważ gdy tak siedział, udając niewinnego, przypominał jej o wszystkim, co poszło źle w jej życiu z powodu kogoś takiego jak on.

Uspokajając się, świadoma, że MacLeod czeka, wreszcie przemówiła:

– Znaleźliśmy w pańskim komputerze, panie Kent, amatorskie filmy wideo ze scenami morderstw ofiar Nocnego Upióra.

Kent sprawiał wrażenie oszołomionego.

– O czym pani mówi? Nie mam niczego takiego.

– Jako pański prawnik, panie Kent, radzę nic więcej nie mówić – odezwał się Jacobs, który też wyglądał na zszokowanego. – Najpierw musimy o tym porozmawiać. – Zwrócił się do Tiny: – Muszę spędzić trochę czasu sam na sam z moim klientem.

Kent chyba nie słuchał. Wpatrywał się w Tinę i MacLeoda.

– Nie wiem, o czym mówicie. Naprawdę. Nie mam żadnych filmów w moim laptopie. Znaleźliście je w komputerze w moim mieszkaniu?

– Sądzę, że musimy porozmawiać – oznajmił stanowczo Jacobs, kładąc rękę na jego ramieniu.

Kent pochylił się nad biurkiem, przysuwając do Tiny na tyle blisko, że poczuła kwaśną woń jego potu.

– Ktoś mnie wrabia – zaczął błagalnym tonem, podnosząc głos. – Nie ma innej możliwości. Nie wiem dlaczego, ale ktoś mnie wrabia.

– Proszę się uspokoić, panie Kent – rzekł MacLeod.

– Jaki komputer znaleźliście? Proszę mi powiedzieć. Bo ja mam laptop Dell Inspiran. Przysięgam.

MacLeod powiedział mu, że chodzi o komputer Apple Mac, a wówczas Kent zaczął gorączkowo ich przekonywać, że nigdy nie miał maca, a co dopiero maca z takimi filmami.

Tina obserwowała go w milczeniu. Miała za sobą niezliczone szkolenia poświęcone interpretacji mowy ciała i nauczyła się rozpoznawać charakterystyczne zachowanie kłamcy: brak gestykulowania, przyjmowanie postawy obronnej, unikanie kontaktu wzrokowego. Nie dostrzegła takich oznak u Kenta.

Pozbyła się jednak ostatnich wątpliwości. Najwyraźniej Kent był po prostu niesłychanie dobrym aktorem, jak niewielka, ale nie znikoma część przestępców. Zerknęła na MacLeoda, który ledwo dostrzegalnie skinął głową, po czym spojrzała podejrzanemu prosto w oczy i przedstawiła mu zarzuty.

Kent skoczył na równe nogi i krzyknął, że jest niewinny, jego twarz wykrzywiła się w wyrazie konsternacji i świętego oburzenia.

- Czy tego nie rozumiecie? Jestem niewinny!
- Siadaj – polecił Jacobs, chwytając go za ramię.

Kent ze złością odtrącił jego rękę i spojrzał na Tinę z miną zagubionego chłopca, szeroko otwierając oczy. Mogłoby zadziałać, gdyby nie wiedziała, jakim jest człowiekiem.

- Proszę... – szepnął.
- Niech pan posłucha prawnika i usiądzie, panie Kent – poleciła. – Będzie pan miał okazję przedstawić swoją wersję w sądzie.

Zauważyła, że drży. Obawiając się, że zaatakuje, może nawet rzuci się do ucieczki, położyła rękę na puszcze gazu łzawiącego pod stołem. Aż nazbyt dobrze pamiętała, jaki potrafi być szybki i niebezpieczny.

Ale nic się nie stało. Tina dopiero po sekundzie uświadomiła sobie, że po jego policzkach spływają łzy. W końcu opadł na krzesło. Gdy kolejno oskarżała go o każde z pięciu morderstw, schował twarz w dłoniach i szlochał cicho. Jacobs patrzył na niego z niesmakiem. Gdy skończyła, wstała i razem z MacLeodem wyszła z pokoju. Po drodze spojrzała na Kenta i poczuła, że cień wątpliwości powraca.

Czy to możliwe, że jednak mówił prawdę?

## 9.

Minęła trzecia i wciąż byłem podkrecony po zastrzyku adrenaliny, gdy wjechaliśmy na pusty płatny parking tuż na zachód od centrum handlowego Brent Cross, gdzie mieliśmy się spotkać z Wolfe'em i Haddockiem. Tommy już zadzwonił do Wolfe'a z informacją, że choć mamy towar, który wydaje się w porządku, jest pewien problem. Przewornie nie rozwinął tematu, żeby nie gadać za dużo przez telefon. Mimo to usłyszałem charakterystyczne warczenie Wolfe'a, głośniejsze o kilka tonów, i stało się dla mnie jasne, że nie jest zachwycony.

– Nie martw się, Sean – powiedział Tommy, gdy znalazł miejsce w kącie parkingu blisko anemicznych drzew, jedyne skrawka zieleni, który widziałem w ciągu ostatnich dziesięciu minut. – Wolfe załagodzi sprawę z Mitchellem i jego ludźmi. Mamy z nimi dobre układy, a mocna pozycja Wolfe'a zapewni, że nie nastąpi riposta. Wiesz, o czym mówię?

– Jasne – odparłem, wciąż nie bardzo mogąc się pogodzić z tym, co zrobiłem.

Już kiedyś zbliżyłem się do krawędzi. Pewnego razu, niedługo po rozpoczęciu tajnych operacji, infiltrowałem gang kiboli z West Ham, próbując zebrać dowody przeciwko paru prowodyrom, których podejrzewano o udział w handlu narkotykami i przemyśle broni. Zadanie trwało cztery miesiące i w tym czasie się sprawdziłem, biorąc udział w starciach z innymi chuligańskimi fanklubami. Oznaczało to walkę wręcz, bicie ludzi po twarzy, kopanie leżących, ciskanie krzesłami przez okna pubu (zrobiłem to dwa razy). Chciałbym powiedzieć, że dokładałem wszelkich starań, żeby nikogo nie skrzywdzić, ale to niezupełnie prawda. Kilka razy dałem się porwać chwili – trudno się oprzeć, gdy wokół wybuchają okrzyki wojenne i w człowieku buzuje adrenalina. Otaczają cię kumple, faceci, którzy – jak wiesz – zawsze będą strzegli twoich tyłów; uczestniczenie w takich zadaniach było jedynym znanym mi doświadczeniem mającym coś wspólnego z ruszaniem do boju. To było złe, zawsze o tym wiedziałem, ale usprawiedliwiałem się, przekonując sam siebie, że tylko w ten sposób zachowam przykrywkę. Poza tym ludzie, przeciwko którym walczyłem, też byli chuliganami i wiedzieli, na co się piszą.

Potem podczas masowej nawałanki z fanami Spursów na Seven Sisters Road znalazłem się wśród dziesięciu osób zarejestrowanych przez kamerę w trakcie rozdawania ciosów i kopniaków. Zdjęcia trafiły na stronę Crimestoppers i choć były ziarniste (działo się to w początkach monitoringu wideo), zostałem rozpoznany przez obu moich ówczesnych przełożonych,

Dougiego MacLeoda i Kapitana Boba, a także przez kilku kolegów. Nie powinno dziwić, że przysporzyło to wstydu szefom stołecznej policji, którzy desperacko pragnąc uniknąć skandalu, kazali Crimestoppers usunąć moją głębę ze strony i zaprzestać nagłaśniania sprawy, a nadto zlecili Kapitanowi Bobowi natychmiastowe odwołanie mojej operacji.

Jak na ironię, gościnny występ w Crimestoppers ogromnie podniósł moją wiarygodność wśród bandziorów. W dniu, kiedy usłyszałem, że wszystko skończone, dostałem telefon od prowodyra i naszego głównego celu. Chciał się ze mną spotkać, lecz było za późno. Próbowałem przekonać Kapitana Boba, że warto ciągnąć to dalej, bo wreszcie dotarłem do ludzi, na których nam zależy. Niepotrzebnie się wysilałem. Pracując pod przykrywką, czasami musisz popełniać przestępstwa, żeby zapobiec innym, poważniejszym. Sztuka polega na tym, żeby nie dać się złapać. Ja wpadłem i zapłaciłem za to krechę w papierach.

Jednak to, co niedawno zrobiłem, było czymś innym, ponieważ rozmyślnie strzeliłem do dwóch ludzi. Świadomość, że działałem w samoobronie i że obaj prawie na pewno przeżyją, jeśli w porę otrzymają pomoc medyczną, ani trochę nie poprawiała mi nastroju. Poza tym istniało ryzyko, że odnieśli poważne obrażenia i nikt nie pospieszy im na ratunek, a w takim wypadku będę miał jednego, może nawet dwóch na sumieniu. A jeśli otrzymali pomoc, któryś z nich może zacząć sypać. Byłem pewien, że ten wielki, któremu uszkodziłem nogi, nie puści pary z gęby, ale ten gnojek Weyman Grimes mógł mnie wpakować w całe szambo kłopotów. Wtedy sprawy nie zamknie symboliczny klaps. Strzelanina oznacza oskarżenie o próbę



zabójstwa niezależnie od okoliczności. Jeśli nawet się wywinę, stracę robotę i emeryturę i wyląduję na śmietniku w wieku zaledwie trzydziestu trzech lat. Jeśli zostanę uznany winnym, będzie mnie czekać co najmniej dziesięć lat za kratkami, wśród pedofilów i gwałcicieli dla mojego własnego bezpieczeństwa.

Zwykle nie za bardzo się przejmuję. W moim fachu tak trzeba, inaczej człowiek skończy na zawał. Ale trudno mi było przejść do porządku nad rym, co zrobiłem, i podczas jazdy zastanawiałem się, czy nie wyznać prawdy. Mógłbym znaleźć jakiś pretekst, kazać Tommy'emu zatrzymać samochód i odejść wolno, a potem zadzwonić do Kapitana Boba i przyznać się do wszystkiego.

W końcu postanowiłem tego nie robić. Zbyt długo pracowałem nad przeniknięciem do ekipy Tyrone'a Wolfe'a, żeby po prostu odejść, gdy sytuacja się skomplikowała. Chciałem zniszczyć tych ludzi – Wolfe'a, Haddocka, nawet Tommy'ego – i nie zamierzałem pozwolić, by cokolwiek stanęło mi na przeszkodzie.

Wciąż miałem pistolet, rozładowany i wsunięty za pasek dzinsów na plecach. Później go zdemontuję i wyrzucę tam, gdzie nikt go nie znajdzie. Tymczasem naciskał mi na kość ogonową, służąc jako stałe i doskwierające przypomnienie o mojej lekkomyślności. Urządzenie w zegarku nagrało przebieg wydarzeń, podobnie jak rozmowę z Tommym w drodze na spotkanie, ale teraz dla własnego dobra będę musiał wyrzucić nagranie do kosza.

Tommy wziął z tylnego siedzenia torbę z bronią, dał Tommy'emu Juniorowi parę psich przysmaków, zapowiadając, że

niedługo wrócimy, i wysiedliśmy. Szedłem za nim ścieżką do anemicznych drzew, potem w głąb uliczki, aż stanęliśmy przed tylnym wejściem podniszczonej kamienicy z lat trzydziestych. Kilka obsranych przez ptaki stopni prowadziło do zapyziałej sutereny z brudnymi oknami, w których wisiały stare firanki uniemożliwiające zajrzenie do środka. Wcisnąłem się za Tommy'ego, chowając głowę w ramiona, gdy trzy razy zapukał w drzwi tak mocno, aż zadygotały.

Otworzyły się prawie od razu. Pojawiła się w nich wielka kudłata głowa Clarence'a Haddocka. Nie wyglądał na szczęśliwego, co u niego wydawało się normą.

Wszedłem za Tommym do środka, wciąż wypompowany i nie w nastroju do żartów. Choć tego dnia postawiłem pod znakiem zapytania moją pracę i wolność, ciągle mnie zdumiewało, jak wydostanie się z sytuacji zagrażającej życiu podnosi pewność siebie. Haddock wślizgnął się za moje plecy, ale go zignorowałem.

Pokój, do którego weszliśmy, był ciemny, zakurzony, bez mebli i silnie cuchnął wilgocią. Tyrone Wolfe stał w kącie i patrzył na nas ze złością.

– Ładne lokum – powiedziałem do niego, czując się dziwnie odprężony. – Sądziłem, że w twoim fachu stać cię na coś lepszego.

– Nie rób sobie jaj, Sean – warknął. – Nie lubię, gdy ludzie robią sobie ze mnie jaja. Kapujesz?

Wzruszyłem ramionami ani trochę nie przejęty.

– Jasne.

Oderwał się od ściany, wziął torbę od Tommy'ego, zajrzał do środka i położył ją na podłodze.

- Co się, kurwa, stało? – rzucił. – Mówiłeś, że był problem. Spojrzał na Tommy'ego, ale to ja odpowiedziałem.
- Tak, był problem. Jeden z drobnych popychli Mitchella zarzucił mi, że jestem tajniakiem, i wszyscy na mnie ruszyli. Musiałem zastosować unik.
- Jaki unik?
- Jeden z nich miał gnata. Odebrałem mu go, doszło do szamotaniny i wygarnąłem do dwóch z nich.
- Nie do Mitchella – wtrącił spiesznie Tommy. – Nic mu nie jest.
- Nie żyją? – zapytał Wolfe, z wyraźnym wysiłkiem starając się nie podnosić głosu.
- Pokręciłem głową.
- Jednego postrzeliłem w nogi. Drugi dostał rykoszetem w brzuch. Obaj żyją.
- Nie chce mi się wierzyć. Mitchell jest pewnym źródłem. Nic takiego dotąd się nie zdarzyło.
- Nie lubię być obrażany bez względu na to, kto mnie obraża. A nazywanie gliną jest moim zdaniem obrażą.
- Uświadomiłem sobie, że Haddock ustawia się bardzo blisko mnie.
- Dlaczego miałby mówić, że jesteś gliną, skoro nie jesteś? – zapytał cicho, przysuwając wielki łeb do mojego ucha. – Dlaczego miałby zawracać sobie głowę, co?
- Podjąłem wielkie ryzyko, mówiąc im o tym incydencie, ale z mojego doświadczenia wynikało, że zawsze lepiej od razu chwycić byka za rogi. Grając rozżalonego, odwróciłem się i spojrzałem Haddockowi w oczy.

– Bo się pomylił, dlatego.

W jego piersi narodziło się głębokie dudnienie i nagle zaczął kichać, jego nos podnosił się i opadał przesadnie.

– W czym problem, przyjacielu? Masz katar sienny czy co? Urwał, wlepiając we mnie złe, przymrużone ślepie.

– Myślisz, chłoptasiu, że jesteś zabawny? Nie, nie jesteś.

Wtedy zrozumiałem, że zrobiłem sobie wroga z Clarence'a Haddocka, ale nie miałem innego wyboru, jak kontynuować grę. Znaczna część życia przestępcy polega na epatowaniu samczą siłą, na używaniu osobowości, reputacji, ważności do zastraszania wszystkich wokół siebie. Ustępowanie w konfrontacji jest oznaką słabości i jeśli chcesz być traktowany poważnie przez graczy pokroju Tyrone'a Wolfe'a, po prostu tego nie rób.

– On nie może być tajniakiem, Clarence – odezwał się Tommy. – Postrzelił dwóch gości. Gliny tego nie robią.

– Trafna uwaga, Clarence – zgodził się Wolfe, jakby dopiero teraz uświadomił sobie tę oczywistość. – Ale będę musiał pogadać z Mitchellem i załagodzić sprawę. Któryś z was ma czystą komórkę?

– Ja mam – odparł Haddock, wciąż wlepiając we mnie gały, choć teraz trochę odsunął głowę. Z jednej z tuzina kieszeni długich do kolan czarnych spodenek wyłowił komórkę. – Mam cię na oku – powiedział, wskazując mnie krótkim grubym palcem, gdy Wolfe zniknął za drzwiami w głębi pokoju, żeby zadzwonić.

Postanowiwszy na jakiś czas zrezygnować z ograniczania się do dwóch dziennie, zapaliłem wielce mi potrzebnego papierosa.

Niebawem Wolfe wrócił do pokoju.

– Mitchell nie jest uszczęśliwiony, Sean – powiedział, kręcąc głową.

Byłem na to przygotowany i już przemyślałem odpowiedź.

– Ani ja, Wolfe. Myślisz, że podoba mi się strzelanie do ludzi? To ryzykowne i szkodzi interesom. Nie jestem świrem. Jestem zwyczajnym gościem szukającym przyzwoitej roboty, to wszystko. Wysyłasz mnie po odbiór broni i ja się nie skarżę, po prostu to robię. Nagle jakiś gnojek, któremu nie zaszkodziłaby wizyta u okulisty, zastrany kucharczyna, pewnie nawalony w trzy dupy, oświadcza wszem wobec, że jestem gliną, który go zgarnął przed laty, a zaraz potem wyskakują spluwy i wygląda na to, że będę trupem, jeśli czegoś nie zrobię, podczas gdy moją całą winą jest to, że wyświadczam ci przysługę. Na litość boską, nawet mi za to nie płacisz.

– W porządku, w porządku – powiedział Wolfe, unosząc ręce w pojednawczym geście. – Rozumiem sytuację i załatwiłem sprawę. Mitchell jest wkurwiony z powodu swoich chłopaków, ale wie, że nie ty jesteś winny.

– Wyliżą się?

Pokiwał głową.

– Zostali opatrzeni i nie pisnęli słowa, więc nie będzie hałasu, choć nie sądzę, żeby w najbliższej przyszłości Mitchell był skłonny robić z nami interesy.

Jego słowa sprawiły mi ulgę, ale tego nie okazałem.

– Nie mówię, że mi przykro. Zrobiłem, co musiałem. – Zaciągnąłem się papierosem. Nadszedł czas, by przyspieszyć rozwój wypadków. – Masz swoją broń. Teraz mi powiesz,

kogo mamy porwać i jak ma się to odbyć, żebyśmy mogli zdecydować, czy wchodzić do gry?

Wolfe spojrzał na Haddocka, który skinął głową. Może za mną nie przepadał, ale najwyraźniej nie zamierzał przerywać naszej współpracy.

Przez długą chwilę panowała cisza. Wreszcie Wolfe znów się odezwał.

– Nie mogę ci powiedzieć, o kogo chodzi, do ostatniej minuty. Takie są rozkazy klienta, rozumiesz? Będziesz musiał nam zaufać.

W przeszłości Tyrone Wolfe zawsze sam planował operacje i cały ten pomysł z klientem płacącym za zorganizowanie porwania wydawał się niestychany. Nawet określenie „klient” w jego ustach brzmiało dziwnie. Ale jeśli był jakiś klient, musiałem się dowiedzieć, kto to taki. Dlatego zapytałem.

– Tego też nie mogę powiedzieć – odparł. – Chce pozostać anonimowy.

Westchnąłem.

– Słuchaj, przez cały dzień mnie maglowałeś i mówiłeś, że nie możesz mi ufać, bo mogę być gliną, a teraz się spodziewasz, że zaufam człowiekowi, którego nie znam ani z widzenia, ani z nazwiska. Skąd ja, do cholery, mam wiedzieć, czy on nie jest gliną?

– Ponieważ znam go od dawna, a co ważniejsze, gość ma kasę. Wszystko, co musisz zrobić, to panować nad tłumem i kryć nasze tyły, gdy będziemy zgarniać cel. Zrób to, a wzbogacisz się o sto kawałków. Na bank.

Ściągnąłem brwi, wciąż niepewny, w co się pakuję.

– Więc mamy go załatwić?

Wolfe pokręcił głową.

– Nie. Mamy tylko unieszkodliwić ochronę i zwinąć faceta.  
Potem klient się wszystkim zajmie.

– I co z nim zrobi?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie powiedział mi, a ja nie pytałem.  
Nie moja sprawa. I nie powinna być twoja. Wchodzisz?

Jasne, że tak, choć byłem zaskoczony, że po wyjawieniu szczegółów dawali mi wybór. Potem zrozumiałem przyczynę: postrzeliwszy dwóch ludzi, raczej nie polecę z jęczorem na policję. Będę musiał dobrze się zastanowić, jak powiadomić szefa.

Tymczasem wciąż grałem bezrobotnego bandziora potrzebującego szybkiego zarobku, a to oznaczało zażądanie zaliczki od stu tysięcy. Jeśli tego nie zrobię, wydam się podejrzany.

– Mówiłeś, że trzydzieści kawałków dostanę z góry.

– Zgadza się.

– W takim razie dawaj szmal i wchodzę.

Po raz pierwszy w mojej obecności Tyrone Wolfe uśmiechnął się szeroko. Nawet Haddock jakby się odprężył. Tommy szczyrzył zęby od ucha do ucha. Podeszedł i mocno trzepnął mnie w plecy.

– Należysz do ekipy, Sean.

– Witamy na pokładzie – dodał Wolfe. – Nie pożałujesz.

A potem człowiek, który zamordował mojego brata, zarzucił mi rękę na ramię i przyciągnął do siebie. Zmusiłem się do odwzajemnienia uśmiechu, wiedząc, że w końcu po piętnastu latach mam okazję się zemścić.

# 10.

Mój brat John był facetem z rodzaju tych, których wszyscy lubią. Miał szeroki, zaraźliwy uśmiech i ujmującą osobowość. Zawsze pomagał ludziom – przyjaciołom, rodzinie, sąsiadom, wszystkim. Robił zakupy dla mieszkającej po sąsiedzku starszej pani, która zmarła niedługo po jego szesnastych urodzinach. Zapisała mu w testamencie pięć tysięcy funtów. I wiecie, co zrobił? Tysiąc dał miejscowemu korpusowi przysposobienia wojskowego, do którego należał, na zakup nowego sprzętu, a pięćset rodzicom, żeby wyprawili rodzinne święto dla nas wszystkich. Taki był John, hojny wręcz do przesady.

Był sześć lat starszy ode mnie i nie wstydzę się wyznać, że go uwielbiałem. Zawsze miał czas, żeby pograć ze mną w nogę albo zabrać mnie na ryby, i wiedziałem, że jednym z powodów mojej pewności siebie, która pozwalała mi zadzierać ze szkolnymi



łobuzami i robić sobie z nich wrogów, była wiara w jego opiekuńczą siłę.

Podczas gdy ja zawsze chciałem zostać policjantem, ambicją Johna było wstąpienie do wojska i po szkole średniej tak właśnie uczynił. Zawsze będę pamiętał dzień jego defilady promocyjnej w Sandhurst na zakończenie kursu oficerskiego. Duma na twarzach mamy i taty, gdy maszerował obok nas; podniecenie, jakie czułem w trzynastoletnim sercu, gdy machałem flagą narodową i po raz pierwszy widziałem królową, która odbierała defiladę; zdjęcia rodzinne naszej czwórki z Johnem w nieskazitelnym mundurze, zdobiące ściany i kominki naszego domu przez późniejsze lata.

Wszyscy byliśmy przerażeni, gdy odbywał służbę w Irlandii Północnej. W tym czasie, pod koniec lat osiemdziesiątych, wciąż było to miejsce niebezpieczne dla brytyjskich żołnierzy, zamachy bombowe powtarzały się regularnie. Ale John wrócił bez szwanku, z opowieściami o zamieszkach ulicznych, o nerwowych patrolach w bandyckim południowym Armagh, o godzinach ogłupiającej nudy w bazie, gdy czekali, żeby coś się wydarzyło.

A potem, w sierpniu 1990 roku, wojska Saddama Husajna najechały Kuwejt i zaczęła się wojna w Zatoce Perskiej. John był jednym z czterdziestu pięciu tysięcy brytyjskich żołnierzy wysłanych do pomocy w wyzwolaniu kraju wraz z pół miliona innych z szerokiej koalicji narodów. Pamiętam jego podniecenie na myśl, że w końcu będzie uczestniczył w prawdziwych działaniach. Mama martwiła się o niego. Nie chciała go puścić, ale w czasie ostatniej wizyty w domu objął ją wielkim opiekuńczym ramieniem i powiedział, że nie ma powodu do obaw.

Wymienił uścisk dłoni z tatą i ze mną, a potem wyszedł, machając ręką na pożegnanie.

Kiedy w styczniu 1991 roku wybuchła wojna na łądzie, armia iracka została rozgromiona z minimalnymi stratami po stronie państw sprzymierzonych. Niestety, straty obejmowały jednostkę Johna. Amerykański samolot szturmowy A10 omyłkowo zbombardował ich transporter opancerzony. John przeżył atak, w przeciwieństwie do sześciu kolegów, ale doznał poważnych oparzeń twarzy i tułowia, a nadto stracił trzy palce lewej ręki. Spędził dwa miesiące w szpitalu. Mama zemdląła, gdy zdjęli mu bandażę. Zmienił się nie do poznania, jego twarz była jedną wielką blizną. Nawet ja się wzdygnałem i musiałem walczyć ze łzami.

W wieku dwudziestu lat John został zwolniony ze służby z przyczyn zdrowotnych. Rozległe operacje plastyczne i przeszczepy skóry poprawiły jego wygląd, ale blizny psychiczne okazały się trudniejsze do zagojenia. Stał się zamknięty w sobie i przygnębiony, cierpiał na zespół stresu pourazowego, którego – jak sądzę – nie rozpoznałbym w owym czasie. Ciągle się kłócił z mamą i z tatą, co skończyło się przeprowadzką do małego mieszkania w północnym Londynie, gdzie mieszkał samotnie, rzadko wychodząc, żeby nikt go nie widział.

John jednak łatwo się nie poddawał i choć był to długi proces najeżony niepowodzeniami, łącznie z aresztowaniem za pijaństwo, zakłócanie porządku i napaść po burdzie w pubie, gdy ktoś rzucił pogardliwy komentarz na temat jego twarzy, powoli zaczął wychodzić ze skorupy i układać sobie życie. Nawet znalazł pracę w antykwariacie i naprawdę sprawiała mu ona przyjemność. Ja rozpocząłem staż w komisariacie w Holborn i musiałem się wyprowadzić z domu rodzinnego w

Herefordshire, więc często go odwiedzałem. Razem chodziliśmy na drinki do pubów w pobliżu jego mieszkania. Byłem pod wielkim wrażeniem zmian, jakie zaprowadzał w swoim życiu. Mówił nawet o udziale w londyńskim maratonie, żeby zebrać pieniądze na fundusz dobroczynny dla byłych żołnierzy.

Ale nie miał okazji, bo kilka tygodni później już nie żył.

Stało się to pewnego dnia w porze lunchu. John szedł główną ulicą po kanapkę, gdy natknął się na rabunek z bronią w rękę. Dwóch zamaskowanych mężczyzn uzbrojonych w strzelby zatrzymało furgonetkę z pieniędzmi przed oddziałem banku NatWest. Gdy rzucili dwóch strażników na kolana i biegli do samochodu, w którym czekał ich kierowca, John wkroczył do akcji i jak zawodnik rugby chwycił jednego z nich za nogi.

Było to szalone posunięcie, ale właśnie tego się można było po nim spodziewać. Pod tym względem był taki jak ja. Nigdy nie lubił patrzeć beczynnemu, gdy jakiś drań czyni zło i uchodzi mu to na sucho. I zawsze cechowała go brawurowa odwaga – przypuszczam, że jeszcze większa po odniesieniu obrażeń, ponieważ teraz miał coś do udowodnienia – a tu nagle nadarzyła się okazja zrobienia czegoś ku swojej chwale, której zawsze pragnął i której dotąd nie doświadczył.

Niestety, wybrał niewłaściwych złoczyńców. Według jednego z kilkunastu świadków zdarzenia bandyta, którego chciał zatrzymać, był potężnie zbudowany i zdołał się uwolnić. W tym momencie podszedł drugi, krzyknął „Ale mutant!” i gdy John, klęczący na jednym kolanie, niestanowiący zagrożenia, podniósł ręce na znak poddania, strzelił mu w głowę z odległości

nie większej niż półtora metra, zabijając go na miejscu. Potem sprawcy uciekli z całym łupem.

Czterdzieści sześć tysięcy sto dwadzieścia funtów – cena życia mojego brata.

„Ale mutant!” – zawsze będę pamiętać te słowa. Teraz paliły mnie żywym ogniem. Nie dość, że łajdacy zamordowali kogoś, kto był sto razy lepszy, niż oni kiedykolwiek będą, to jeszcze zabójca miał czelność drwić z obrażeń, które mój brat odniósł w służbie krajowi.

Podniósł się wielki krzyk z powodu tego zabójstwa. Nikt nie lubi, gdy ginie niewinny człowiek próbujący się przeciwstawić bandytom, zwłaszcza gdy jest bohaterem wojennym. Ale niestety sam krzyk nie wystarczy. Choć kładziono wielki nacisk na znalezienie i postawienie przed sądem gangu odpowiedzialnego za pięć zbrojnych napadów w okresie dwóch lat, sprawcy zostawili za mało dowodów, żeby zespół dochodzeniowy miał nad czym pracować.

Nie można powiedzieć, że policja nie wiedziała, kim oni są. Szybko wypłynęły trzy nazwiska: Tyrone Wolfe, Clarence Haddock i Thomas Allen, zawodowi przestępcy z Hackney, mający łącznie co najmniej dwadzieścia wyroków na koncie. Wszystkich aresztowano i zabrano na różne posterunki na przesłuchanie, lecz żaden ani pisnął, a przeszukanie ich domów nie zaowocowało znalezieniem dowodów łączących ich z przestępstwami. Dlatego nie wysunięto żadnych zarzutów i choć na jakiś czas wzięto ich pod lupę, w końcu o nich zapomniano.

Dla mojej rodziny była to zupełnie inna historia. Najpierw bomba i obrażenia Johna, a potem jego śmierć rozdarły serca

moich rodziców. Ojciec nigdy się nie pozbiarał. Zawsze silny fizycznie, lecz w środku słabszy, niż to okazywał, odszedł po dwóch latach. Matka trzymała się jeszcze przez siedem lat chyba z mojego powodu, ale już nigdy nie była taka sama i pod koniec, gdy się starzała, słabła i rozsypywała psychicznie, widywałem ją coraz rzadziej. Nie mogła znieść myśli, że narażam życie jako glina, nie po tym, co spotkało Johna, i nie rozumiała, dlaczego nie zajmę się księgowością, prawem czy czymś równie nudnym. Zrzędziła, ja szybko miałem tego dość i na nią krzychałem, ona płakała, ja przeproszałem i nasza mała domowa tragedia powtarzała się na okrągło, aż w końcu pochowałem matkę pięć lat temu.

Nie zapomniałem o ludziach, którzy zabili mojego brata, i wciąż nakłaniałem różnych moich szefów do przeprowadzenia śledztw w ich sprawie. I wszczęto śledztwa. Wolfe i Haddock dostali po trzy lata za handel kokainą i heroiną, a Tommy Allen zarobił osiemnaście miesięcy za uchylanie się od płacenia podatków, lecz to niczego nie załatwiło. Gdy tylko wyszli, wrócili do biznesu, który polegał na imporcie narkotyków, zarządzaniu burdelami i handlu żywym towarem, tyle że teraz działali znacznie ostrożniej. Ja nie odpuszczałem, śledziłem ich postępy, wypatrywałem rys w ich pancerzu.

Sześć miesięcy temu, gdy zajmowałem się inną sprawą, wreszcie nastąpił przełom. Mój informator słyszał, jak Tyrone Wolfe się przechwala, że zastrzelił mojego brata. Wtedy z miejsca zadecydowałem, że muszę zinfiltrować jego szajkę. Choć nie dopuszczali nikogo do swojego wewnętrznego kręgu, zlecali innym popełnianie przestępstw, zwłaszcza związanych z prostytutką i przemytem ludzi. Byłem przekonany, że jeśli

zdołam do nich dotrzeć i nagrać, jak Wolfe się przyznaje do zabójstwa Johna, wtedy będziemy mieli ich wszystkich na widelcu.

Kiedy jednak spotkałem się z Kapitanem Bobem w jego biurze w kwaterze głównej CO10 w Brixton, żeby uzyskać zgodę na rozpoczęcie operacji, odprawił mnie z kwitkiem.

Kapitan Bob, łysy, bladej jak trup absolwent elitarnej szkoły prywatnej, grubo po pięćdziesiątce, mówiący z pretensjonalnym akcentem wyższych sfer, był moim szefem przez ponad dziesięć lat. Można to nazwać modelowym przykładem funkcjonowania świata pracy. On siedzi na tyłku i wyznacza zadania. Ja ruszam w teren i je wykonuję. On zarabia dwa razy więcej ode mnie (kiedyś udało mi się rzucić okiem na jego odcinek wypłaty), a ja nadstawiam karku.

Zawsze jakoś to znosiłem, bo zasadniczo nie był złym szefem i nie wtrącał się zbytnio, ale tego dnia, gdy siedział w drogim garniturze za ogromnym biurkiem z ciemnego szkła i mówił, że są większe i ważniejsze cele niż Tyrone Wolfe, wpadłem w szal.

– Nie dla mnie – wycodziłem lodowato, pochylając się nad biurkiem, przysuwając się do niego o wiele za blisko. – Ten sukinsyn zabił mojego brata i uszło mu to na sucho, przechwala się zabójstwem i wciąż popełnia przestępstwa. Co musi zrobić, żeby się pan nim zainteresował? Zamordować, kurwa, królową?

Niewzruszony jak zawsze Kapitan Bob kazał mi się uspokoić i usiąść.

– Przekażę twoje informacje zwierzchnikom, ale właśnie dlatego, że sprawa ma dla ciebie wysoce osobisty charakter,

nie mogę ci wydać zgody. Spójrz na siebie, Sean. Od śmierci twojego brata minęło prawie piętnaście lat, a ciebie nadal przepełnia gniew. Nie zdobędziesz się na obiektywne podejście i nie zdołasz zgromadzić dowodów bez spalenia przykrywki.

– Dam radę. Proszę tylko dać mi szansę.

– Nie. Nie mogę.

Jego słowa zabrzmiały jak nieodwołalny wyrok i wiedziałem, że się nie ugnie.

– A wyśle pan kogoś innego? Mam dowód, że wciąż tkwi po uszy w handlu narkotykami.

– Skąd masz dowód? – zapytał wkurzony.

– Jak pan sądzi? – sparowałem. – Bo to mnie interesuje.

– Zobaczę, co da się zrobić, ale coś ci powiem, Sean. – Wskazał na mnie długim kościstym palcem. – Nie życzę sobie, żebyś szpiegował Tyrone'a Wolfe'a czy jego współników. Jeśli się dowiem, że to robisz, dobiore ci się do tyłka. Obiecuję. Nie chcę, żeby twoje życie osobiste miało wpływ na pracę.

W tym czasie nic więcej nie mogłem zrobić. Ale kiedy trzy miesiące później wciąż nie było mowy o infiltracji szajki Wolfe'a, zrozumiałem, że muszę zająć się tym w pojedynkę i na własną rękę.

I niestety właśnie tak zrobiłem.

# 11.

Tego popołudnia Tina Boyd nie powinna mieć powodów do narzekań. Aresztowanie Andrew Kenta i wniesienie przeciwko niemu aktu oskarżenia, nie wspominając o nagraniach z laptopa i narzędziu zbrodni znalezionym w trakcie przeszukiwania jego mieszkania, złożyły się na ogromny sukces zespołu. W centrum operacyjnym panowała atmosfera podniecenia graniczącego z euforią, gdy ukończono niezbędną papierkową robotę i zamknięto pierwszy etap sprawy przeciwko podejrzanemu.

Ona jednak nie dała się porwać ogólnemu nastrojowi. Opała ją ciężkie, czarne przygnębienie, gdy jak wieczny outsider siedziała w swojej klitce w dalekim kącie centrum, słuchając hałasu i przekomarzania się za drzwiami. Nie chodziło o to, że wierzyła w niewinność Kenta. Nie wierzyła. Podczas przesłuchań miała pewne wątpliwości, ale u ich podłoża leżało to, co według niej było aktorskim talentem na miarę Oscara. W ciągu



lat pracy w policji tylko raz widziała, żeby ktoś równie przekonująco jak Andrew Kent grał rolę niewinnego. Zdarzyło się to na początku jej pracy w dochodzeniówce w Islington i chodziło o faceta aresztowanego pod zarzutem morderstwa, gdy po serii gwałtownych kłótni zgłosił zaginięcie żony. Jak się w końcu okazało, mówił prawdę.

Tina doszła do wniosku, że w wypadku Kenta jest zbyt wiele obciążających dowodów, żeby brać pod uwagę jego niewinność. Oczywiście podrzucenie młotka i laptopa zawierającego nagrania morderstw było możliwe, ale mało realne z logicznego punktu widzenia. Musiałby to zrobić sam morderca albo jego ewentualny współnik. I dlaczego wybór miałby paść właśnie na Kenta? Jego tożsamość znali tylko członkowie zespołu śledczego, i to zaledwie od kilku dni. W tym czasie podlegał prawie bezustannej inwigilacji, wskutek czego podłożenie dowodów byłoby trudne i ryzykowne.

Teoria podrzucenia dowodów była zbyt naciągana, żeby tracić na nią czas. Nie to jednak zasmucało Tinę. Przygnębiał ją fakt, że na pozór zwyczajny człowiek – ktoś, kto nigdy wcześniej nie wszedł w zatarg z prawem, kto raczej nie cierpiał na żadną chorobę psychiczną, kto wyglądał, jakby nie był w stanie skrzywdzić nawet muchy – mógł dopuścić się tak nieludzkich, bestialskich czynów. Wcześniej tego popołudnia zadzwoniła do kierowników trzech firm, które w ciągu minionego roku korzystały z usług Kenta, żeby ich powiadomić o jego aresztowaniu pod zarzutem morderstwa i uprzedzić, że zjawią się u nich policjanci w celu przyjęcia zeznań, i wszyscy trzej okazali bezbrzeżne zdumienie. Jeden z nich nawet wspomniał, że przecież Kent to taki miły facet, i opisał go jako życzliwego,

uprzejmego, niezawodnego pracownika. Żaden nie posłużył się określeniami charakterystycznymi dla seryjnego zabójcy: „cichy” czy „zamknięty w sobie”. Lubili go. Dało się to słyszeć w głosie każdego z nich.

A jednak opadało go pragnienie, żeby brać młotek z kuli-  
stym noskiem i bić nim kobiety w twarz raz za razem, aż zo-  
stanie krwawa miazga, a potem je gwałcić, gdy konały.

Oto, co rozdierało ją wewnątrz. Świadomość, że ludzie mogą być tak strasznie, w niewytłumaczalny sposób źli i że za każdym razem, gdy ona jako oficer policji pomaga oddać jednego czy drugiego drania w ręce sprawiedliwości, w ich miej-  
sce pojawiają się następní, jak głowy odrastające Hydrze – tylko że tym razem Kent podniósł poprzeczkę, niemal jakby próbował przewyższyć wszystkich swoich poprzedników.

Filmował konające ofiary. Dla własnej przyjemności, żeby później oglądać ich przedśmiertne drgawki w domowym zaciszu.

Jak masochistka czerpiąca przyjemność z własnego bólu, Tina odtworzyła film w głowie, znów słuchając zdławionych, rozpaczliwych odgłosów umierającej Adrienne Menzies, aż w końcu gwałtownie potrząsnęła głową, próbując się pozbyć obrazów.

Musi się napić. Teraz. Od dawna tak bardzo nie potrzebo-  
wała alkoholu. Zwykle nie piła w pracy, wołała zaczekać do końca dnia, bo wtedy wreszcie mogła się rozluźnić i cieszyć błogim zapomnieniem. Pod tym względem panowała nad nałogiem, dzięki czemu żaden z jej kolegów nie podejrzewał, że

Tina ma problem alkoholowy. Ale od czasu do czasu, gdy było jej ciężko na duszy, pragnienie przychodziło cichcem i nieubłaganie, jak zespół dokonujący aresztowania w środku nocy, i im bardziej się opierała, tym większej nabierało siły. W końcu musiała ulec. Jak teraz.

Wyjęła klucz z tylnej kieszeni džinsów i otworzyła dolną szufladę biurka. Macając pod teczkami z papierkową robotą, znalazła to, czego szukała: ćwiartkę czerwonego smirnoffa i otwartą paczkę mocnych pastylek miętowych Sharp's. Wsunęła jedno i drugie do wewnętrznych kieszeni żakietu, żeby nie było widać butelki, wstała i wyszła przez centrum operacyjne, po drodze rzucając jakieś polecenie członkom swojego zespołu. Wiedziała, że podejmuje ogromne ryzyko, ale już podniecała ją perspektywa szybkiego, bardzo potrzebnego kopa.

Nikogo nie zastała w damskiej toalecie. Zająła kabinę najdalej od wejścia, odkręcając butelkę, jeszcze zanim zamknęła drzwi.

Usiadła na sedesie, a potem niespodziewanie zastygła z butelką podniesioną do ust. Wahala się przez długą chwilę, zadając sobie pytanie, co ona, do licha, wyprawia. Przecież nie chce być taka. Nie chce być zależna od czegoś, co w końcu zniszczy każdy aspekt jej życia. Wystarczy jedno badanie, a natychmiast zostanie wylana i przepadnie wszystko, nad czym tak ciężko pracowała. Wszystko się skończy z powodu jednego szybkiego drinka, krótkotrwałej przyjemności, o której jutro nie będzie pamiętać.

Dawno temu, gdy miała chłopaka, na którym jej zależało, którego może nawet kochała, nie musiała tego robić. Nie może

sprowadzić Johna z powrotem – odszedł na zawsze – ale może zacząć od nowa. Odstawić alkohol, rozpocząć nowe życie, może nawet zmienić pracę...

Przestanę, powiedziała sobie. Niedługo przestanę. Kiedy sytuacja trochę się uspokoi i będę miała okazję poukładać myśli.

Pociągnęła porządny łyk, co najmniej dwa razy większy od normalnego, i aż się wzdrygnęła, gdy wódka wypalała gorący szlak w jej gardle i wnikała do krwiobiegu. Zrobiła przerwę, zdyscyplinowana na tyle, by wiedzieć, że nie może przesadzić i ściągnąć na siebie uwagi, po czym wypila jeszcze większy haust, już sobie mówiąc, że ten będzie ostatni.

Oparła się o ścianę i westchnęła, czekając na pierwsze uderzenie alkoholu do głowy. Zastanawiała się, czy ryzykować kolejny łyk, czy dać sobie spokój i wyjść na zewnątrz zapalić, zanim wróci za biurko, pachnąc miętą.

Wciąż nad tym dumiała, kiedy drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do toalety. Zamarła jak niegrzeczna uczennica, potem się odprężyła, gdy zrozumiała, że przecież jest w kabinie i nikt nie może zobaczyć, co tu robi.

– Pani komisarz? – Usłyszała kobiecy głos, niepewny i lekko zakłopotany. – Jest pani tutaj?

Była to Anji Rodriguez.

Zdając sobie sprawę, że sprawa musi być pilna, Tina wsunęła butelkę wódki do kieszeni zakietu i odetchnęła głęboko.

– Jestem – zawołała, starannie wymawiając słowo, żeby ukryć wszelkie oznaki nietrzeźwości. – O co chodzi?

– O Andrew Kenta. Chce się z panią widzieć. Nie mam

pojęcia, w jakiej sprawie, ale mówi, że to pilne i że będzie rozmawiać tylko z panią.

Ton brzmiał wrogo, co wcale jej nie zdziwiło. Rodriguez za nią nie przepadała i nigdy nie robiła sekretu z tego, że jej zdaniem pani komisarz jest stanowczo zbyt sławna.

Kent miał spędzić noc w celi na posterunku Holborn, a po jutrzejszej wizycie w sądzie trafić do któregoś z londyńskich więzień o zastrzonym rygorze. Choć brytyjskie prawo stanowi, że policjantom nie wolno przesłuchiwać podejrzanego po przedstawieniu zarzutów, podejrzany ma prawo rozmawiać z nimi na własną prośbę. Zwykle to oznacza, że chce się przyznać.

– W porządku – powiedziała i odetchnęła z ulgą, bo mówiła idealnie trzeźwo. – Zjawię się na dole, gdy tylko skończę.

Gdy Rodriguez wyszła i główne drzwi się zamknęły, Tina wstała powoli, zastanawiając się, co takiego ważnego ma nagle do powiedzenia Andrew Kent.

## 12.

Tina zjrzała przez judasza. Andrew Kent siedział na pryczy w głębi celi z głową wspartą na rękach, ze zwieszonymi nogami. Była to typowa poza człowieka o czystym sumieniu, wręcz idealne uosobienie niewinności.

– Chce pani zostać z nim sam na sam? – zapytał sierżant, tęgi Walińczyk z okropnym przedziałkiem z boku głowy. Nie pamiętała jego nazwiska, chociaż, jak się zdawało, miał do niej słabość. – Wiem, że nie da pani sobie w kaszę dmuchać, ale proszę uważać. – Mrugnął na znak, że tylko się z nią droczy.

– Wszystko będzie dobrze, dzięki – odparła, starając się nie chuchnąć w jego stronę. Należał do tych, którzy potrafią wyczuć. I którzy piorunem na nią doniosą. Bez względu na słabość.

Drzwi się otworzyły. Gdy weszła, Kent podniósł głowę i

popatrzył na nią, odgarniając z twarzy kosmyk włosów. Oczy miał czerwone i podkrążone od płaczu, wyglądał na siedemnaście lat.

– Dzięki, że pani przyszła – powiedział, zdobywając się na nikły, pełen szacunku uśmiech.

Stała pośrodku celi, patrząc na niego nie tyle ze strachem, ile z odrazą.

– Nie ma sprawy. Co mogę dla pana zrobić?

– Jestem niewinny, pani komisarz.

– Nie życzę panu źle, panie Kent, ale muszę powiedzieć, że większość aresztowanych przeze mnie ludzi mówiła to samo i w większości wypadków kłamali. Osądzenie, czy mówi pan prawdę, czy nie, należy teraz do ławy przysięgłych, ale biorąc pod uwagę zgromadzone przeciwko panu dowody, moim skromnym zdaniem nie ma pan szans, żeby się wywinąć. Jeśli nie ma pan nic innego do powiedzenia...

– Mogę to udowodnić – oznajmił spokojnie, patrząc jej prosto w oczy.

– Jak?

– Pamiętam jedną z ofiar. Nazywała się Roisin O'Neill. Była naprawdę miła, gdy instalowałem system alarmowy... nie w żaden prowokacyjny sposób – dodał spieszenie, jakby Tina mogła mieć jakieś zastrzeżenia. – Po prostu miła, rozumie pani, co mam na myśli? Zainteresowana mną jako osobą, nie fachowcem wykonującym swoją robotę. Pogawędziliśmy trochę, gdy pracowałem, i pamiętam, jak powiedziała, że imię Roisin znaczy po gaelicku „kwitnąca róża”.

– Proszę przejść do rzeczy, panie Kent.

– Z tego powodu jej morderstwo zapamiętałem lepiej niż

inne. Wciąż mam w pamięci szok, z jakim czytałem o tym w gazetach i oglądałem to w wiadomościach. – Ze znużeniem pokręcił głową i Tina musiała zdusić chęć warknięcia, żeby skończył z tym melodramatyzowaniem. Zaczynała mieć dość jego gry bez względu na to, jak była dobra. – Sam nie wiem, dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej. Chyba górę wziął szok, jakim było dla mnie aresztowanie i przesłuchiwanie z powodu czegoś, czego nie zrobiłem. Ale teraz, gdy miałem trochę czasu dla siebie, przypomniałem sobie coś bardzo ważnego. – Urwał, patrząc na nią. – Mogę o coś spytać?

– O co?

– Jak długo po śmierci Roisin znaleźliście zwłoki?

Tina czuła się lekko wstawiona, bo wódka zaczęła działać, i przypomnienie sobie tego zajęło jej kilka sekund. Roisin była czwartą ofiarą, bardzo atrakcyjną blondynką pod trzydziestkę – chwala Bogu, nie należała do ofiar, które sfilmował.

– Chyba na drugi dzień. Znalazła ją sprzątaczką.

– Powinniście więc mieć całkiem ściśle określony czas zgonu, tak? – Na twarzy Kenta malowało się niecierpliwe oczekiwanie.

– Dość precyzyjnie. A teraz proszę mi powiedzieć, do czego pan zmierza.

Odetchnął głęboko.

– W czasie morderstwa Roisin przeżywałem własną rodzinną tragedię. Zmarł mój ojciec. Nazajutrz po powrocie z pogrzebu usłyszałem, co ją spotkało. Wtedy podali nazwisko i chyba było to drugiego dnia po znalezieniu ciała. Co wedle moich obliczeń oznacza, że w dniu jej śmierci uczestniczyłem w pogrzebie.



Tina spojrzała na niego ostro, nagle zaniepokojona.

– I?

– Pogrzeb odbył się w Inverness, gdzie mój ojciec mieszkał przez dwadzieścia lat po rozwodzie. Poleciałem tam i z powrotem liniami EasyJet. W sumie spędziłem tam trzy dni i co najmniej pięćdziesięciu świadków widziało mnie w kościele w czasie, kiedy rzekomo mordowałem kogoś w odległym o prawie tysiąc kilometrów Londynie. Zmierzam do tego, pani komisarz, że mam alibi na czas morderstwa Roisin O'Neill. – Twarz Kenta pojaśniała z ulgi i ogromnej radości. – Mam alibi.

# 13.

Oto nagi fakt: strzelałem i poważnie raniłem dwóch ludzi, pracując na własną rękę. Można powiedzieć, że działałem w samoobronie, ale to nie oszczędzi mojej kariery ani życia na wolności. Ani mojego sumienia. Wziąłem prawo we własne ręce, ignorując to, że płacono mi za jego przestrzeganie, i sprawy wymknęły się spod kontroli.

Przemyślałem, co się stanie. Zwykle, gdy chodzi o infiltrację, ścieżka do aresztowania biegnie ustalonym torem. Po zdobyciu zaufania celów wykorzystuję urządzenia nagrywające, żeby zgromadzić dowody na planowane przez nich przestępstwa. Jeśli uda mi się zebrać ich dostatecznie dużo, dzwonię do kolegów i znikam bezpiecznie ze sceny, oni zaś wkraczają i dokonują aresztowania. Jeśli jednak dowodów jest za mało, zwykle pozwalamy celom przystąpić do realizacji przestępczych planów – na ogół z moim udziałem – po czym na mój

znak wkraczamy i łapiemy ich na gorącym uczynku. Z mojego punktu widzenia to lepsze rozwiązanie, ponieważ zazwyczaj koledzy zgarniają mnie razem ze złymi facetami i nie musimy używać żadnych nagranych dowodów, co znaczy, że moja przykrywka pozostaje nienaruszona.

Jednakże z pozwalaniem na popełnienie przestępstwa i zgarnianiem bandytów w jego trakcie wiąże się niebezpieczeństwo, zwłaszcza gdy są uzbrojeni, a jeden z nich jest w rzeczywistości tajnym agentem. Cholernie dobrze wiedziałem, że w wypadku Wolfe'a i jego szajki szefostwo nigdy nie wyrazi zgody na taką operację. To oznaczało, że będę musiał czekać, dopóki dokładnie się nie dowiem, gdzie i kiedy ma dojść do porwania, i dopiero wtedy mogę powiadomić Kapitana Boba. Mój plan działania daleko odbiegał od ideału, ale przecież nie miałem lepszego.

Po spotkaniu z Wolfe'em i Haddockiem Tommy odwiózł mnie do domu. Po drodze próbowałem wyciągnąć z niego więcej informacji na temat roboty, lecz nie puścił pary z ust.

Sytuacja była niezwykła, ponieważ z zebranych informacji wynikało, że Tyrone Wolfe jest szefem dobrze zorganizowanej, bardzo małej grupy składającej się praktycznie tylko z niego, Haddocka i Tommy'ego. Sam opracowywał wszystkie akcje – praca dla innych z reguły kończy się wpadką – co znaczyło, że on i jego kolesie muszą wiedzieć o planowanym porwaniu więcej, niż mówią. Uważnie przyjrzałem się twarzy Tommy'ego, ale tak jak Wolfe, był dobry w trzymaniu kart przy orderach.

Minęła piąta, gdy podjechał pod zbudowany po wojnie szeregowiec, w którym wynajmowałem mieszkanie na nazwisko

Sean Tatelli. Oficjalnie dostałem długoterminowe zwolnienie lekarskie z pracy w CO10, przekonawszy policyjnego psychiatrę, z którym widywałem się raz w miesiącu, że przechodzę załamanie nerwowe, i dzięki temu miałem czas zająć się bieżącym zadaniem. Co dziwne, to oszustwo, choć błahe w porównaniu z innymi, jakich się dopuściłem, budziło we mnie największe poczucie winy. Nie lubiłem brać chorobowego i do tej pory mój wskaźnik frekwencji należał do najwyższych w jednostce.

– Skoczmy na piwo, gdy wyprowadzę Tommy'ego Juniora na spacer? – zapytał Tommy, broniąc się przed karesami psa, który przypadł do niego, usłyszawszy wzmiankę o codziennej przyjemności. – Małe, bo robota czeka. Może nawet jutro. Tylko jedno, dla uczczenia przyjęcia cię do ekipy.

Normalnie wyraziłbym zgodę. Nigdy nie lubiłem tracić okazji na zacieśnienie znajomości z celem. Teraz jednak musiałem mieć trochę czasu, żeby pomyśleć.

– Dzięki, Tom, ale chcę się wcześniej położyć.

– Ale czujesz się dobrze, co?

Wyglądał na szczerze zatroskanego.

Zastanawiałem się irracjonalnie, czy naprawdę potrafi czytać w moich myślach.

– Świetnie. Dlaczego miałoby być inaczej?

– Bo dziś postrzeliłeś dwóch gości. Nie robisz tego na co dzień.

– Sami się o to prosili – odparłem z butą, jakiej wcale nie czułem. – Ja tylko się broniłem.

Wyszczerzył zęby, którym nie zaszkodziłaby pewna inwestycja, i krzepko ścisnął moje ramię – na znak sympatii, którą okazał mi przy niejednej okazji.

– Jesteś w porządku, Sean, wiesz o tym? Ufam ci od samego początku. Wiedziałem, że ci się uda. Jesteś taki jak my. Jesteś zawodowcem.

Jeszcze raz mu podziękowałem za załatwienie roboty i ze sprzecznymi uczuciami patrzyłem, jak odjeżdża. Ten człowiek zabrał morderców mojego brata z miejsca napadu i zabójstwa, a także popełnił wiele innych przestępstw. Przez lata wyobrażałem go sobie jako potwora, któremu śmierć Johna ani przez chwilę nie spędziła snu z powiek. I może nie spędziła. Nie wiem, bo zawsze się pilnowałem, żeby nie poruszyć z nim tego tematu, ale w ciągu trzech miesięcy poznałem go dość dobrze i stał się w moich oczach znacznie bardziej ludzki. Pełen wad, niedouczonego zbir, w razie konieczności niewahający się użyć przemocy, był także zabawnym, wielkodusznym facetem, dobrze znanym w pubach, w których popijaliśmy, zbzikowanym na punkcie swojego psa i chyba naprawdę darzącym mnie sympatią.

Zwykle dobrze sobie radziłem z rozgraniczaniem mojego podwójnego życia. To pod przykrywką postrzegałem jako grę komputerową, ryzykowną zabawę w odgrywanie scenek, gdzie ludzie, wśród których pracuję, są prawie jak bezcielesne postacie. Jako grę, którą po zakończeniu zastępuje nowy scenariusz z nowymi bohaterami. Ale z Tommym było inaczej. Z jednej strony serdecznie nienawidziłem go za to, co zrobił mnie i mojej rodzinie, a z drugiej, niczym jakaś omamiona ofiara cierpiąca

na syndrom sztokholmski, naprawdę go lubiłem. W każdym razie wiedziałem, że aresztowanie go sprawi mi mniejszą satysfakcję, niż się spodziewałem na początku mojej misji.

Gdy skręciłem i szedłem do drzwi frontowych, w uszach dzwoniły mi słowa Tommy'ego: „Jesteś zawodowcem”. Ale prawda wyglądała inaczej. Byłem amatorem, który pozwolił, żeby emocje wzięły nad nim górę, i z tego powodu miałem rzucić na szalę wszystko, w imię czego zawsze pracowałem.

# 14.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział MacLeod do Tiny, która siedziała naprzeciw niego przy biurku w jego biurze. – Przesłuchiwaaliśmy go niemal całą dobę, a potem, gdy zbijał bąki w celi, nagle sobie przypomniał, że ma alibi. – Wnosząc z tonu, był bardziej zdezorientowany niż zły, szarpał koniec wąsa, co miał w zwyczaju robić wtedy, gdy napięcie zdobywało nad nim przewagę.

Tina pokiwała głową.

– Powiedział, że zapomniał o tym ze zdenerwowania. Poza tym jest świadom, że oskarżamy go o pięć morderstw. Nic dziwnego, że nie od razu skojarzył, iż w jednym wypadku ma alibi.

– A jednak mu nie wierzysz, prawda?

Rozłożyła ręce w geście frustracji.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Fakt, ma coś, co może być żelaznym alibi na czas jednego z tych pięciu zabójstw. O ile dobrze pamiętam, sposób działania sprawcy w tym wypadku był dokładnie taki sam jak w pozostałych sprawach. Jeśli więc nie popełnił tego morderstwa...

– Tego nie wiemy. Może po prostu wodzi nas za nos. – MacLeod powiedział to w sposób, który sugerował, że chwyta się brzytwy.

– Nie sądzę. Wydawał się nieugięty. Musiałam dać mu zgodę na kontakt telefoniczny z adwokatem.

MacLeod westchnął.

– To chyba dobrze. Wiesz, Tino, siedzę w tej robocie od dwudziestu pięciu lat...

– Wygląda pan na to zbyt młodo – powiedziała nakręcona przez wódkę.

Obrzucił ją dziwnym spojrzeniem, wyraźnie nie spodziewając się takiej lekkiej uwagi z ust zwykle poważnej podwładnej, zwłaszcza w trakcie służbowej rozmowy. Tina skłęła się w duchu za głupotę popijania w pracy.

– W każdym razie – podjął – nie przypominam sobie ani jednej sprawy, w której wina podejrzanego byłaby tak cholernie bezsporna. Musi być winny, Tino. Po prostu musi.

Chciała powiedzieć, że się z nim zgadza, gdy zadzwonił telefon. MacLeod popatrzył na słuchawkę z wyraźnym namysłem, czy warto odbierać, po czym postanowił to zrobić.

Połączenie trwało około dwóch minut i w tym czasie prawie się nie odzywał, słuchając rozmówcy. W końcu obiecał, że oddzwoni, i odłożył słuchawkę z takim trzaskiem, że Tina podskoczyła.



– Dzwonił mecenas Jacobs – rzekł ze znużeniem. – Przed chwilą rozmawiał z matką i babką Kenta. Pogrzeb rzeczywiście odbył się w dniu, w którym wedle lekarza przeprowadzającego sekcję nastąpił zgon Roisin O'Neill, i Kent brał w nim udział. Linie EasyJet potwierdziły, że wyleciał z Londynu dzień przed pogrzebem i wrócił dwa dni później. Jacobs mówi, że zgromadzi więcej zeznań świadków, którzy poświadczą obecność Kenta w Inverness. Tymczasem żąda wycofania wszystkich zarzutów, skoro stało się jasne, że nie mógł zabić panny O'Neill. Ergo, nie zabił żadnej z pozostałych ofiar.

– Co pan zrobi?

– A czego się spodziewasz? – zapytał, podnosząc głos. – Znaleźliśmy przy łóżku Kenta narzędzie zbrodni z DNA jego i co najmniej dwóch ofiar, a także pliki wideo w należącym do niego komputerze. Raczej nie mogę go puścić, prawda? Bez względu na to, czego domaga się jego papuga.

– Nie może pan, szefie, rozumiem.

– Przepraszam, Tino, wiem. – Potarł ręką czoło. – Ale to naprawdę zmienia postać rzeczy. Czy Kent podał alibi na czas innych morderstw?

Pokręciła głową.

– Nie. Tylko Roisin O'Neill.

– Mamy zatem dość dowodów, żeby go zatrzymać.

– Ale też problem, jak wyjaśnić jego alibi ławie przysięgłych. Jeśli naprawdę zostanie dowiedzione, że nie mógł zabić Roisin, wtedy wszystko weźmie w łeb. Sposób działania sprawcy w jej wypadku był taki sam jak we wszystkich innych, prawda? Tak sądziłam, ale dołączyłam do zespołu dopiero po jej śmierci.

MacLeod powoli pokiwał głową.

Usiadł i mocno szarpnął wąż, jakby chciał się go pozbyć. Był zaczerwieniony i wyglądał niezdrowo, stres wyraźnie dawał mu się we znaki. Wszyscy wiedzieli, że nie wylewa za kołnierz, i Tina pomyślała, czy pewnego dnia nie skończy jak on, wypalona przez pracę, z czekającym na nią przedwcześnie grobem.

– Andrew Kent popełnił morderstwo – oświadczył stanowczo. – Nie mam pojęcia, jak załatwił sobie alibi, ale jest gównie warte i w taki czy inny sposób zdołamy tego dowieść. Tymczasem mamy całą furę dowodów gwarantujących, że sąd pierwszej instancji nie zwolni go z aresztu. Dlatego uważam, że cały zespół zasługuje na drinka. Łącznie z tobą. – Podjął bohaterską próbę obdarzenia jej uśmiechem. – Czy wieczorem zaszczyisz nas swoją obecnością?

Jego ton świadczył, że lekko się z niej nabija, ale słowa zawierały ukrytą sugestię. Tina rzadko spotykała się kolegami na gruncie towarzyskim. Ostatnimi czasy wołała wracać po pracy do domu, gdzie wrzucała coś na ząb, po czym powoli i systematycznie upijała się przed telewizorem niewidziana przez nikogo i wolna od problemów zewnętrznego świata. Teraz jednak, świadoma swoich obowiązków komisarza, który ma pod sobą ludzi, musiała okazać przynajmniej odrobinę dobrej woli.

– Jasne, przyjdę na chwilę.

– To dobrze. Miło będzie zobaczyć, że umiesz się bawić.

Tina miała powody w to wątpić. Gdy już raz zajrzała do kieliszka, zwykle szła na całość, a wtedy nie był to ładny widok. Na szczęście powstrzymała się od komentarza.

– I nie zepsuj zabawy, mówiąc przy innych o alibi Kenta – dodał. – To tylko ostatnia desperacka próba zamydlenia nam oczu przez człowieka, który niemal został przyłapany na gorącym uczynku.

Pokiwała głową.

– W porządku. Zdołał mnie pan przekonać.

Ale problem polegał na tym, że wcale nie była przekonana.

# 15.

Jednym z najwredniejszych gości, z jakimi miałem w życiu do czynienia, był dobrze się zapowiadający gangster z Essex, niejaki Jason Slade. Miał firmę ochroniarską, która obstawiała drzwi klubów nocnych w hrabstwach Kent i Essex, a przy okazji kontrolowała odbywający się tam handel narkotykami. Stał również na czele szajki złodziei, którzy kradli luksusowe auta i po przebicium numerów wywozili je do Rosji i na Bliski Wschód. Był to nadzwyczaj dochodowy interes – wedle National Crime Squad, formacji powołanej do walki z przestępczością, roczny zysk wynosił siedem milionów – czyniący dwudziestoosmioletniego nieuka prawdziwym krezusem.

Jak Tyrone Wolfe, Slade liczył się z inwigilacją i z tego względu bardzo ostrożnie prowadził interesy. Był również sadystą czerpiącym wyjątkową przyjemność z torturowania ludzi,

którzy zaleźli mu za skórę, co czasami było wręcz niepokojąco łatwe. Chodziły słuchy, że swego czasu trzonkiem łyżki wydłubał oko rywalowi, podczas gdy dziewczyna, o której względy obaj zabiegali (i która nie wybrała Slade'a), zmuszona była patrzeć. Prawdziwa czy nieprawdziwa (zawsze uważałem, że prawdziwa), historia ta ugruntowała jego reputację jako człowieka, któremu lepiej nie wchodzić w drogę. I którego bardzo trudno postawić przed sądem, bo wszyscy cholernie się go boją.

Pewnego dnia zatrzymano członka jego gangu w skradzionym porsche 911 turbo z kilogramem marihuany i setką gramowych opakowań kokainy w torbie na tylnym siedzeniu. Facet, przystojny cwaniak o nazwisku Tony Boyle, zwolniony warunkowo z odbycia kary za handel narkotykami i tym samym zagrożony co najmniej siedmioletnim wyrokiem, postanowił pójść na współpracę.

W ten sposób zyskaliśmy dojscie do Slade'a. Samo zeznanie Boyle'a nie wystarczyło, żeby go skazać, dlatego zapadła decyzja, że Boyle musi go wystawić. Slade miał kłopoty z załatwieniem hurtowych dostaw kokainy do rozprowadzenia w swoich klubach i musiał za ciężkie pieniądze kupować towar od londyńskich gangsterów – nawiasem mówiąc, między innymi od niejakiego Tyrone'a Wolfe'a – więc plan był taki, że Boyle przedstawi mnie i drugiego tajniaka jako importerów koki, którzy mogą rozwiązać jego problemy.

Po tygodniach podchodów, jak to często bywa, w końcu umówiliśmy spotkanie w podrzędnym motelu tuż przy trasie A127 w pobliżu Southend. Było to dobrych parę lat temu i urządzenia nagrywające nie były tak zminiaturyzowane jak

dzisiaj. Z tego powodu, że miało to być spotkanie wstępne, nie mieliśmy podsłuchu. Zamierzaliśmy wzbudzić zainteresowanie Slade'a, umówić próbny zakup trefnego towaru i złapać go za rękę, gdy będzie przekazywać pieniądze.

Slade zgodził się spotkać z nami bez Boyle'a i był sam, gdy piętnaście minut przed czasem zapukaliśmy do drzwi pokoju w motelu. Siedział przy tandetnym małym biurku wciśniętym pomiędzy szafę ścienną i okno. Była 22.15 i na zewnątrz panował mrok.

– Dzięki za przyjście, panowie – powiedział, wstając, żeby wymienić uścisk dłoni.

Nie był wielkim facetem, niespełna metr siedemdziesiąt pięć, ale miał muskularną budowę pięściarza wagi piórkowej i roztaczał wokół siebie aurę zła, co jest naturalne dla poważnych przestępców.

Wskazał nam miejsca na łóżku, ale woleliśmy stać.

Facet, z którym pracowałem, był doświadczonym gliniarzem. Colin (nazwiska nie pamiętam), niski, krępy londyńczyk, miał przyzlane włosy i twarz wyglądającą jak spłaszczona łopata.

– Słyszałem, że chcesz kupić trochę towaru wysokiej jakości – mruknął.

Stałem przy nim z rękami splecionymi na piersi, grając rolę jego ochroniarza.

– Słyszałem, że macie coś na sprzedaż – odparł przebiegle Slade, nie wykazując się inicjatywą.

Wiedział, że jeśli jesteśmy tajniakami, to złamiemy prawo, namawiając go do popełnienia przestępstwa przez oferowanie sprzedaży produktu, o który nie prosił. Można to uznać za irydującą semantykę, ale mimo to musieliśmy postępować bardzo

ostrożnie, jeśli chcieliśmy, żeby sprawa pomyślnie przeszła wnikliwe badanie sędziego.

I taki był motyw przewodni spotkania. W ciągu dziesięciu minut Slade zadawał pytania – o naszą przeszłość, kompetencje, ilość towaru, jaką możemy dostarczyć – my natomiast nie mogliśmy wymóc na nim przyznania się, że naprawdę czegoś od nas chce.

W końcu Colin się wściekł.

– Masz zamiar kupić towar czy nie, do kurwy nędzy? – zapytał. – Może tylko tracimy czas, gadając z wynajętym pomagierem?

Słowa miały sprowokować pełną złości reakcję, skłonić Slade'a do przechwalania się swoją pozycją (przestępcy często tak robią, gdy ktoś kwestionuje ich reputację). Pamiętam, jak pomyślałem, znając skłonności Slade'a do stosowania przemocy, że Colin podejmuje pewne ryzyko.

Ale Slade tylko się uśmiechnął.

– Popytaj o mnie, a się przekonasz, że jestem w stanie robić interesy, wielkie interesy, lecz zawsze uważam, z kim mam do czynienia. Może niedługo znowu pogadamy.

I odwrócił się do nas plecami na znak, że spotkanie dobiegło końca.

– Myślisz, że nas przejrzał? – zapytałem, gdy wróciliśmy do samochodu.

– Nie widzę powodów – mruknął Colin, otwierając drzwi. – Mamy dobry kit. Niedługo go dorwiemy. Jest chciwy. Widziałem to w jego oczach.

Poczułem zapach, gdy tylko usiadłem. Rozgotowane mięso. Ściągnąłem brwi, wymieniając spojrzenie z Colinem. On

też to poczuł. Potem usłyszeliśmy skwierczenie. Jak bekon smażący się na patelni. Potem rozpaczliwy, stłumiony skowyt.

Dźwięk, który natychmiast przywiódł mi na myśl zranionego psa. I płynął z wnętrza auta.

Obaj się odwróciliśmy.

Tony Boyle siedział z tyłu, choć rozpoznanie go zajęło nam kilka sekund, bo twarz się roztapiała na naszych oczach palona przez kwas. Wąskie, cuchnące smuzki dymu wznosiły się z umierającego ciała. Brązowa taśma do paczek spowijała go od ust po kostki, więc poruszała się tylko głowa, szaleńczo, z boku na bok, bezradnie, gdy spalał go kwas.

Colin odruchowo chciał zerwać resztki taśmy z ust Boyle'a i gwałtownie cofnął rękę, bo kwas sparzył mu palec.

Skomląc z bólu, Colin wezwał ambulans, gdy ja szwajcarskim scyzorykiem ciąłem taśmę. Mówiłem Boyle'owi, że będzie dobrze, ale kiedy spróbowałem wyciągnąć go z wozu, żeby polać rany wodą, nie dałem rady. Dopiero gdy spojrzałem w dół, przez smugi dymu ujrzałem przyczynę.

Sukinsyny przybiły mu stopy do podłogi.

Całe spotkanie było ustawione. Slade od początku wiedział, że jesteśmy glinami, i w ten sposób dał nam nauczkę. Nie mogliśmy nic zrobić. Nie wkopał się, nie mieliśmy strzępka dowodu, żeby powiązać go z napaścią na Boyle'a. Jak wszyscy dobrzy gangsterzy zapewnił sobie niepodważalne alibi: w czasie popełniania przestępstwa przebywał z dwoma tajnymi agentami policji.

Choć pozostał celem NCS, źródła informacji o nim zaczęły wysychać. Nikt nie chciał puścić farby, a przeprowadzanie



kolejnej tajnej operacji uznano za zbyt niebezpieczne. W rezultacie Jason Slade ugruntował swoją pozycję na scenie przestępczej w Essex.

Gdy jest się policjantem, trzeba przywyknąć do tego, że na każdy odniesiony sukces przypada co najmniej jedna porażka, a zwykle niepowodzeń jest znacznie więcej. Człowiek uczy się żyć dalej po doznanych ciosie, nie odbiera go osobiście i ma nadzieję, że następnym razem bardziej mu się poszczęści. Tak było ze mną. Wstrząsnęło mną to, czego byłem świadkiem, ale nie na tyle mocno, żebym nie mógł dalej pracować.

Niespełna rok później przeczytałem o tragicznym losie ojca, którego znaleziono w samochodzie w lesie Epping wraz z sześcioletnią córką. Oboje nie żyli. Tony Boyle doznał tak poważnych obrażeń twarzy, że żona wystąpiła o rozwód, a córka zaczęła się go bać. Po prostu nie był w stanie dalej sobie radzić i postanowił odejść, zabierając z sobą swoje jedyne dziecko.

Wtedy owładnął mną gniew. Prawdziwy gniew, taki jak ten, którego doświadczyłem na wieść, że Wolfe zamordował mojego brata. Działo się to zaledwie kilka lat po śmierci Johna i rany wciąż się jątrzyły. Jason Slade przypomniał mi o wszystkich krzywdach świata. Moim zdaniem ponosił bezpośrednią odpowiedzialność za śmierć Boyle'a i jego córki, a mimo to przebywał na wolności i wciąż był nietykalny.

Miał jednak słaby punkt. Choć mieszkał ze stałą partnerką, miał również kochankę, z którą spędzał większość środowych wieczorów po rozstaniu się z kumplami. Wiedzieliśmy o niej w czasie tajnej operacji i nawet założyliśmy podsłuch w jej

mieszkań, co jednak nic nie dało. Trzymanie się takiej specyficznej i oczywistej rutyny było głupim posunięciem ze strony Slade'a, zwłaszcza że jeździł tam sam, ale odpowiadało moim celom. Pewnej środowej nocy czekałem na niego na podjeździe przed blokiem kochanki.

Przygotowywałem się do tego przez kilka tygodni, wiedząc, że przekraczam granicę, ale choć raz pozwalając, żeby gniew kierował moimi poczynaniami.

Jak było do przewidzenia, około wpół do pierwszej w piękną, ciepłą letnią noc pod blok zajechał jaguar. Slade wysiadł. Wyglądał na porządnie wstawionego, gdy odwrócił się w stronę głównych drzwi, szukając kluczy w kieszeni. Wyskoczyłem z cienia w kominiarce na głowie, mając w pamięci widok palonej kwasem twarzy Tony'ego Boyle'a.

W ostatniej sekundzie mnie zobaczył, ale nie zdążył uskończyć. Trzymałem pomiędzy palcami trzy dwufuntowe monety pełniące funkcję improwizowanego, lecz groźnego kastetu. Z całej siły zacisnąłem pięść i zasypałem gradem ciosów jego twarz, kalecząc mu ją paskudnie, gdy rozłożyłem go na masce jaguara. Doznałem uczucia prawdziwego katharsis.

Nie pozwalając mu dojść do siebie, nie dając mu szans na obronę, uderzałem go w głowę i w korpus. Wiedziałem, że podobnie jak ja był w młodości bokserem, i liczyłem się z tym, że jest uzbrojony, dlatego chciałem go jak najszybciej unieszkodliwić. Krwawił paskudnie z nosa i policzka i nawet w ciemności widziałem, że twarz zaczyna mu puchnąć, co sprawiło mi ogromną przyjemność. Chciałem upokorzyć tego sukinsyna i kazać mu zapłacić za cierpienie, jakie zadawał swoim ofiarom.

Rozciągnął się na żwirze, ale gdy złapałem go za kołnierz czarnej skórzanej kurtki i poderwałem na nogi, kompletnie mnie zaskoczył, zadając mi cios w bok głowy.

Puściłem kurtkę i cofnąłem się o kilka kroków, potrząsając głową, żeby w niej przejaśniało. Wbrew temu, co sobie myślałem, Slade był daleki od unieszkodliwienia. Błyskawicznie przyjął klasyczną postawę obronną boksera. Zanim zdążyłem się osłonić, wyprowadził kombinację trzech dobrze wymierzonych ciosów, po których się zatoczyłem.

Krwawiłem z nosa pod kominiarką. Zacząłem panikować. Nie mogłem uwierzyć, jaki byłem głupi, zasadzając się na niego. Powiniennem albo przynieść prawdziwą broń, coś, co przechyliłoby szalę na moją korzyść, albo – jeszcze lepiej – wybrać rozsądną opcję i nie przychodzić wcale. Zamiast tego wybrałem kompromis i teraz miałem za to zapłacić.

Słaniałem się na nogach na wpół ogłuszony, gdy Slade przyskoczył z wyrazem czystej wściekłości na pokiereszowanej twarzy. Jedną ręką złapał mnie za gardło, a drugą zerwał kominiarkę z mojej głowy.

Minął prawie rok, ale dostrzegłem błysk rozpoznania w jego oczach, zrozumienie, że skądś mnie zna. A potem zaskoczenie, gdy sobie przypomniał skąd.

Wtedy oprzytomniałem i trzasnąłem go kolanem w krocze z taką siłą, że poderwałem go z ziemi. Stęknął przeciągle z bólu, a gdy szybko uderzyłem go hakiem w szczękę, runął na ziemię jak worek kartofli.

I na tym koniec. Moja złość i agresja wyparowały bez śladu. Mając szansę ucieczki, odwróciłem się i zwałem, zastanawiając

się, co teraz będzie. Zrobiłem sobie wroga z gangstera przez niektórych zwanego „kwasiarzem”.

Przez jakiś czas nic sienie działało. Nie wychylałem się, mając nadzieję, że facet zapomni, i zajmowałem się pracą. W tych czasach, jak wielu innych agentów, pracowałem dla CO10 poniekąd tylko po godzinach, a etat miałem w dochodzeniówce w Camden, ładnych parę kilometrów od rewirów Jasona Slade'a. Pewnego dnia, może ze dwa tygodnie po nieoficjalnym spotkaniu z gangsterem, mój szef Dougie MacLeod wziął mnie na dywanik i spytał, czy chcę mu coś powiedzieć.

Dougie zaliczał się do gości, którym nie wciska się kitu. Jak wszyscy najlepsi gliniarze wyczuwał smród na kilometr i gdy tak siedział za biurkiem, czekając na moje słowa, zrozumiałem, że coś wie. Dlatego powiedziałem mu wszystko, zdając się na jego łaskę, po czym dodałem, że nie mam pojęcia, co mnie napadło.

Po zakończeniu moich wynurzeń oznajmił, że Jason Slade dowiedział się, kim jestem, i wydał na mnie wyrok.

– Chce twojej śmierci za to, co mu zrobiłeś, Sean. Zaszkodziłeś jego urodzie i reputacji. Ogromnie mu zależy na pomszczeniu krzywdy.

Nic na to nie poradzę – gdy to usłyszałem, odczułem pewną satysfakcję, choć niestety trochę przyćmioną przez wiadomość, że chce zapłacić za moją głowę. W południowo-wschodniej Anglii płatni zabójcy nie rodzą się na kamieniu, jest ich jednak dość, żeby któryś przyjął ofertę Slade'a.

– Ile daje? – zapytałem.

Obrzucił mnie paskudnym spojrzeniem, ale umiałem poznać, że jest rozbawiony.

– Dwadzieścia kawałków. Co najmniej dwa razy tyle, ile jesteś wart.

Chodzi o to, że mógł palnąć mi kazanie na temat mojej głupoty. Mógł również wszcząć postępowanie dyscyplinarne. Co więcej, mógł powiedzieć, że umywa ręce i muszę radzić sobie sam. Miałby ku temu wszelkie prawo i byłby usprawiedliwiony, gdyż minęło zaledwie parę lat od mojej niesławnej infiltracji grupy chuligańskich kibiców. Ale Dougie MacLeod nie należał do takich. Troszczył się o swoich ludzi i wiedział, jak ciężka bywa praca tajnego agenta.

Zostawił mnie, żebym się poccił (co należycie robiłem), po czym tydzień później znów mnie wezwał i oznajmił, że sprawa została załatwiona, a wyrok na mnie uchylono. Powiedział też, że zapisał mnie na cykl specjalistycznych wizyt u psychologa w celu rozwiązywania moich problemów, a jeśli kiedykolwiek ponownie przekroczę granicę, to będzie koniec. Dopilnuje, żebym z hukiem wyleciał z policji.

Dopiero po latach doszedłem, co się naprawdę stało. Najwyraźniej Dougie pogadał z moim szefem w CO10 Kapitanem Bobem, który początkowo chciał mnie wylać, ale w końcu dał się przekonać, że zasługuję na drugą szansę. Następnie obaj rozpuścili wieści wśród grubych ryb londyńskiego świata przestępczego, że wykonanie wyroku wywoła poważne reperkusje, że policja podejmie zdecydowane działania nie tylko przeciwko samemu Slade'owi, ale także przeciwko przestępczości zorganizowanej w stolicy. Oczywiście były to puste pogrożki, lecz musiały zadziałać, bo nie nastąpiła żadna riposta ze strony Jasona Slade'a ani jego kumpli. Jak ostatnio słyszałem, wciąż kieruje handlem narkotykami w Essex i pokazuje władzom palec.

Po tej sprawie stosunki pomiędzy Dougiem i mną stały się napięte i choć ciężko pracowałem, żeby spłacić dług, uczestnicząc we wszystkich sesjach z psychiatrą, i w miarę możliwości starałem się iść uczciwą drogą (odnosząc w tym znaczne sukcesy), w końcu pogodziłem się z faktem, że już nigdy nie będzie tak samo i między innymi z tego powodu zostałem pełnoetatowym pracownikiem CO10.

Wciąż jednak brakowało mi Dougiego i starej załogi z komisariatu Holborn, dlatego od czasu do czasu, gdy nie układało mi się w życiu, zaglądałem do pubu Pod Lisem i Psami, gdzie kiedyś często spotykałem się z kolegami. Tego wieczoru po długim siedzeniu w domu i próbie rozgryzienia, jak mam się wywinąć z najnowszej opresji, potrzebowałem dawnego koleżeństwa, toteż postanowiłem pójść do pubu.

Poszedłem okrężną drogą, zatrzymując się przy przepelnionym kontenerze, żeby wyrzucić pistolet, którego użyłem tego dnia – rozmontowany i zdezynfekowany, pozbawiony iglicy i owinięty w szmaty.

Minęło wpół do siódmej, gdy po raz pierwszy od długiego czasu przekroczyłem próg dawnego ulubionego pubu. W tłumie skupionym wokół baru rozpoznałem kilka znajomych twarzy, choć mniej, niż miałem nadzieję. Dougie tam był oczywiście, ale przecież on nigdy nie stronił od kieliszka. Rozmawiał z kilkoma osobami i z zadowoleniem zobaczyłem, że jest wśród nich Simon Tilley, który dołączył do dochodzeniówki w Holborn tego samego roku co ja i był jednym z niewielu ludzi, z którymi utrzymywałem kontakt. Wszyscy się śmiali i żartowali, połączeni duchem koleżeńskości, którego mi brakowało przez większą część ostatnich paru lat.

Problem z pracą pod przykrywką polega na tym, że człowiek nie ma zbyt wielu okazji, żeby pielęgnować znajomości, czy z kolegami z pracy, czy towarzyskie. Spędza na życiu w kłamstwie tyle czasu, że zaczyna zapominać, kim jest i co naprawdę nim kieruje. Prawie od roku nie miałem dziewczyny; minęło niemal pięć lat, odkąd związany byłem z kimś poważnie. Czasami myślałem, żeby skończyć pracę tajniaka i wrócić do dochodzeniówki albo może dołączyć do wydziału zabójstw Dougiego MacLeoda. Ale wiedziałem, że jeśli to zrobię, prędko się znudzę, ponieważ będzie mi brakowało podniecenia, jakie zapewnia praca tajnego agenta.

Przypomniałem sobie o tym, gdy kupiłem drinka przy barze i wolnym krokiem ruszyłem ku grupie gliniarzy.

Simon zauważył mnie od razu. Podszedł z kuflem w ręce i przyjacielsko poklepał mnie po ramieniu.

– Cześć, stary, dawno się tu nie pokazywałeś. Co cię sprowadza?

Odparłem, że po prostu przechodziłem, a on pociągnął mnie do głównej grupy. Podchwyciłem spojrzenie Dougiego, który uśmiechnął się tylko z cieniem zakłopotania i wyciągnął rękę.

– Sean. Jak ci leci w CO10?

Zadowolony, że nie słyszał o moim długoterminowym zwolnieniu, odparłem, że w porządku i że ostatnio mieliśmy całkiem przyzwoite wyniki.

Pokiwał głową z roztertowaniem.

– No tak, dobrze cię widzieć – rzucił i wtedy poznałem, czując prawdziwe rozczarowanie, że chrzani, że mój widok

wcale go nie cieszy. Chciałem mu powiedzieć, że w końcu robię wszystko jak należy, choć wciąż miałem przed oczami dzisiejsze wypadki, ale nie byłoby w tym większego sensu, bo nie słuchał, a poza tym Simon już mnie przedstawiał kilku nowym kolegom.

Wymienialiśmy uściski dłoni, gdy Simon wyjaśniał, że jestem teraz wielkim agentem sławnego CO10, walczącym z poważną przestępczością zorganizowaną. Potem mi powiedział, że oni też mają drobny sukces na koncie, bo aresztowali zabójcę znanego jako Nocny Upiór. W miarę dobrze znałem tę sprawę. Była szeroko nagłośniona w mediach i wiedziałem, że zespół Dougiego jest poważnie zaangażowany w polowanie, bo Simon mi o tym mówił, gdy zeszłym razem spotkaliśmy się przy drinku.

Przez kilka minut rozmawiałem z Simonem i jego kolegami. Wszyscy wydawali się uszczęśliwieni, że przymknęli podejrzanego i mają dość dowodów, żeby zapewnić wyrok skazujący, co zawsze jest trudne. Cieszyłem się z ich sukcesu, ale też nie mogłem się pozbyć uczucia, że jestem oszustem. To było ich dokonanie, nie moje. Ich święto. Simon podejmował wysiłki, żebym czuł się mile widziany, lecz nie do końca to działało i szybko zacząłem się nudzić. A z nudą nadeszło przypomnienie, że jestem człowiekiem potencjalnie tkwiącym w kłopotach po uszy.

Wtedy ją zobaczyłem. Stała na skraju innej grupy ludzi, których nie znałem, i wyglądała trochę jak ja – jak ktoś, kto tu nie pasuje. Oczywiście natychmiast ją rozpoznałem. Tina Boyd należała do najbardziej znanych pracowników policji i w porównaniu z jej karierą moja wypadła blado. Porwanie. Rany



postrzałowe przy dwóch różnych okazjach. A w zeszłym roku wytropiła i zabiła uciekającego podejrzanego, który – jak się później okazało – był odpowiedzialny za serię zabójstw i poważny spisak terrorystyczny. Słyszałem, że dołączyła do zespołu Dougiego MacLeoda, i przypomniałem sobie, jak Simon niechętnie przyznał, że jest ona dobrym detektywem, choć ma o sobie trochę za wysokie mniemanie.

Patrzyłem, jak idzie w stronę wyjścia, sięgając do kieszeni zakietu po paczkę papierosów. Była atrakcyjna, miała klasyczne celtyckie rysy, ciemne włosy i jasną karnację. Cechowała ją powaga; odniosłem wrażenie, że nieczęsto się uśmiecha i nie toleruje idiotów. Szła ze ściągniętymi brwiami, zdecydowanym krokiem, i ludzie odruchowo ustępowali jej z drogi.

Nigdy nie zaliczałem się do facetów, którzy podrywają właściwe kobiety, toteż bez wysiłku odłączyłem się od rozmowy, wyciągając swoje fajki. Nie mogłem dłużej patrzeć na Dougiego, a Simon nawet nie zauważył mojego odejścia. Stał przy barze zajęty przystawianiem się do młodej Latynoski.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, Tina Boyd opierała się o ścianę, paląc z głęboką zadumą.

– Cześć. – Zapaliłem papierosa i podszedłem. – Chyba się nie znamy. Nazywam się Sean Egan – powiedziałem, używając mojego prawdziwego nazwiska po raz pierwszy od tygodni. – Pracowałem z Dougiem MacLeodem w dochodzeniówce.

Odwróciła się i zauważyłem, że ma oczy koloru mahoni.

– Wiem – rzuciła z cieniem uśmiechu, wyciągając rękę. – Jestem Tina.

– Skąd wiesz, że pracowałem z Dougiem? – zapytałem, gdy wymieniliśmy uścisk dłoni.

– Powiedział mi.

Ucieszyłem się. To znaczyło, że o mnie pytała.

– Poważnie?

– Powiedział, że lepiej trzymać się od ciebie z daleka. Sprawiasz same kłopoty. – Jej twarz spoważniała, ale czułem, że wcale jej nie obchodzi, czy sprawiam kłopoty, czy nie.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

– Nie powiedziałbym, że sprawiam kłopoty – odparłem – ale muszę przyznać, że bawi mnie ich szukanie.

– Co teraz robisz?

– Pracuję w CO10. Jako tajny agent.

– To musi być dość stresujące.

– Bywa – przyznałem, wspominając, jak tego dnia otarłem się o śmierć. – Ale nie bardziej niż pewne rzeczy, które przytrafiły się tobie.

Wzruszyła ramionami. Domyśliłem się, że nie chce o tym mówić, i dobrze. Zwykle zostawiam takie sprawy w spokoju. Dopalam papierosa i wracam do środka. Ale ona miała w sobie coś, co skłaniało mnie do kontynuowania rozmowy. Odniosłem wrażenie, że jest outsiderem jak ja; kimś, kto mógłby się stać moją bratnią duszą, gdybym tylko zdołał się przebić przez twardą skorupę.

Zaciągnąłem się głęboko, patrząc w kierunku nieprzerwanego strumienia ruchu ulicznego.

– Czasami wiemy niewdzięczne życie, nie sądzisz? Ścigasz tych wszystkich dupków, a ich miejsce zajmują następni, i

to w większej liczbie. Wiesz, niekiedy mam ochotę rzucić to wszystko w diabły i zająć się czymś zupełnie innym. Prowadzić gospodarstwo ekologiczne albo szkołę surfowania.

Mówiąc te słowa, uświadomiłem sobie ze zdumieniem, że naprawdę w to wierzę.

– Zanudziłbyś się na śmierć w ciągu tygodnia.

– Tak sądzisz?

Uśmiechnęła się, tym razem szerzej.

– Jestem tego pewna. Może po prostu przydałby ci się urlop.

Pomyślałem nad tym. Nie miałem urlopu od lat. Ostatni raz pozwoliłem sobie na dwutygodniowy wypad do Antiguy z dziewczyną o imieniu Britt, która nawet nie była Skandynawką. Lało jak z cebra i pokłóciliśmy się mniej więcej trzeciego dnia pobytu.

Chciałem opowiedzieć Tinie o tej wycieczce, dorzucając parę zabawnych anegdot, a potem zapytać, czy ma ochotę na drinka, ponieważ miałem uczucie, że do niej docieram. Niestety, komórka, której od kilku tygodni używałem do rozmów z Tommym, unicestwiła moje zamiary. Dzwonkiem było przesywające do szpiku kości trąbienie staroświeckiego klaksonu. Zainstalowałem je rozmyślnie, żeby zawsze rozpoznać ten telefon. Pomyślałem, że nie odbiorę, że na jeden wieczór po prostu zapomnę o Wolfie, Haddocku, Tommym, o nich wszystkich, ale świat jest inaczej urządony. Gdy działasz pod przykrywką, nie masz czegoś takiego jak czas wolny.

– Okropny dzwonek – zauważyła Tina.

– Pomyślany, żebym nie mógł go zignorować – wyjaśniłem smętnie, gdy wyjąłem komórkę z kieszeni. Nie rozpoznałem numeru. – Przepraszam na chwilę. Muszę odebrać.

Odszedłem szybko w głąb ulicy, oddalając się na dobrych dwadzieścia metrów, zanim odebrałem.

– Gdzie jesteś? – zapytał Tyrone Wolfe.

Natychmiast zrozumiałem, że sprawa jest poważna.

– Wskoczyłem na drinka ze starym kumplem.

– Gdzie?

– W Holborn. Niedaleko ulicy, przy której mieszkam. Bo co?

– Bo jest robota, Seany.

Zamarłem.

– Co to znaczy „jest”? Kiedy?

– Zaraz – warknął. – Teraz.

# 16.

Szedłem z telefonem przyciśniętym do ucha, zastanawiając się gorączkowo.

– Przecież ci mówiłem, że chcę trzydzieści kawałków z góry.

– Mam forszę. Sytuacja rozwija się szybciej, niż myśleliśmy. Ile wypiełeś?

– Tylko jedno piwo.

– A gdzie dokładnie jesteś?

– Za dwie minuty będę na skrzyżowaniu High Holborn i Grays Inn Road. A ty?

– Niedaleko – odparł Wolfe złowieszczym tonem i nagle wpadła mi do głowy straszna myśl, że mnie śledził. W takim wypadku wiedziałby, że popijałem w policyjnym pubie pełnym glin.

Powiedziałem sobie, że popadam w paranoję i że natychmiast mam z tym skończyć. Muszę zdobyć szczegóły roboty, żeby przekazać je Kapitanowi Bobowi. Wiedziałem, że szef wpadnie w szal, gdy się dowie o moich poczynaniach, ale jako profesjonalista potrafi wykorzystać informacje i przystąpić do działania.

- Najpierw musisz mi powiedzieć coś więcej.
- Wszystko w swoim czasie, Seany. Ruszaj na to skrzyżowanie i czekaj na nas. Dam ci zaliczkę i pogadamy.
- Masz broń?
- Uważaj, o czym gadasz przez komórkę – syknął i bez słowa przerwał połączenie.

Wtedy pomyślałem, czy nie przeciągnąłem struny, ale przecież musiałem wiedzieć, czy będziemy uzbrojeni, żeby o tym też powiadomić Kapitana Boba. Mógłby namierzyć sygnał z mojego telefonu i śledzić moje ruchy, jednocześnie organizując grupę uzbrojonych funkcjonariuszy, którzy nas aresztują, zanim dokonamy porwania. Jeśli Wolfe ma broń, można go przymknąć pod wieloma zarzutami i będzie po sprawie. Ja oczywiście wpadnę w szambo po szyję, ale o to będę się martwić później.

Problem polegał na tym, że dopóki się nie dowiem, czy są uzbrojeni, próba zgarnięcia ich nie miała sensu, ponieważ nie zdobyłem przeciwko nim ani strzępka konkretnych dowodów.

Wciąż próbowałem obmyślić najlepszy ruch, idąc cichą, obsadzoną drzewami Doughty Street, przy której kiedyś mieszkał Charles Dickens. Nagle podjechał do mnie ciemny pojazd z przyciemnionymi szybami, bardzo podobny do furgonetki starej Drużyny A. Boczne drzwi otworzyły się automatycznie. Z tyłu nie było nikogo, ale z przodu widziałem sylwetki Wolfe'a i Haddocka.

- Wsiadaj – zawołał Wolfe i gdy wskoczyłem do środka, zrozumiałem, że decyzja została podjęta za mnie.

# 17.

– Co ty sobie wyobrażasz, gadać o broni przez telefon? – warknął Wolfe, gdy furgonetka ruszyła. – Jesteś zasranym amatorem?

– Mówiłem ci, że nie możemy mu ufać – burknął Haddock, obrzucając mnie lodowatym spojrzeniem.

W samochodzie panowała napięta atmosfera, obaj mężczyźni wydawali się podnieceni i niespokojni, co mi uświadomiło, jakbym tego już nie wiedział, że jedziemy na robotę.

– W porządku, uspokójcie się – powiedziałem, podnosząc ręce w obronnym geście. – Zaskoczyłeś mnie, to wszystko. Kiedy mówiłeś o rychłej robocie, nie przypuszczałem, że chodzi o dzisiejszy wieczór. – Ostentacyjnie spojrzałem na zegarek, dyskretnie włączając nagrywanie.

– Sami dopiero co się dowiedzieliśmy – wyjaśnił Wolfe.

– Na tym polega problem z odwalaniem roboty dla innych  
– mruknął Haddock, wyraźnie niezadowolony z tego stanu rzeczy.

Czułem, że nie jestem jedyną osobą, która nie ma pojęcia, kim jest klient: Haddock też nie wiedział. To mnie zaskoczyło. Zawsze miałem wrażenie, że on i Wolfe znają się jak łyse konie i nie mają przed sobą sekretów.

– Jeszcze nawet ci nie powiedziałem, że się na to piszę – zaprotestowałem. – I gdzie, do licha, jest Tommy?

– W pobliżu. O to się nie martw.

Ale się martwiłem. Tommy był moim jedynym sprzymierzeńcem w tej grupie i chciałem mieć go przy sobie, na wypadek gdyby Wolfe i Haddock postanowili później się mnie pozbyć.

– Powiedziałeś, że zrobisz swoje, jeśli dostaniesz trzydzieści kawałków zaliczki – podjął Wolfe. Zwrócił się do Haddocka: – Clarence, raczysz czynić honory?

Haddock wyjął białą kopertę i przekazał ją w moje ręce, przyglądając mi się uważnie.

– Masz komórkę? – zapytał, gdy rozdarłem kopertę, odsłaniając trzy grube jak książka telefoniczna pliki używanych dwudziestek.

– Mam.

– Daj mi ją. Natychmiast.

– Pieprz się.

Świńskie oczka Haddocka zwężyły się w pełne złości szczeliny i zobaczyłem, że zacisnął wielkie pięści, ale nie ustąpiłem. Potrzebowałem cholernego telefonu, by wysłać SMS Bobowi, żeby mógł mnie namierzyć.



– Bądź tak miły, Sean, i daj mu telefon – rzekł Wolfe pojednawczym tonem. – Tylko go wyłączymy i przechowamy do czasu zakończenia roboty. W ten sposób będzie bezpieczniej. Powinieneś to wiedzieć. Komórka jest najlepszym przyjacielem gliniarza.

Niechętnie wyjąłem z kieszeni komórkę – jedyną, którą nosiłem przy sobie – i wyłączyłem ją przed oddaniem.

– Później chcę mieć ją z powrotem – zaznaczyłem ze złością, ale w duchu stawałem się coraz bardziej nerwowy, bo wyglądało na to, że będę musiał wykonać z nimi robotę, co było wbrew wszelkim zasadom i regulaminom.

Wolfe obserwował mnie w lusterku wstecznym.

– No i co, wchodzisz?

– To porwanie, zgadza się? Nie zabójstwo? Nikogo nie zabiję. Nawet za sto kawałków.

– Zgadza się. Wyrwiemy go ochronie i dostarczymy do klienta. To wszystko.

– A co klient z nim zrobi? – zapytałem, świadom, że jeśli nagram jak najwięcej informacji, zyskam dowody potrzebne do skazania.

– Im mniej wiesz, tym lepiej – odparł Wolfe stanowczym tonem.

– Przynajmniej podaj mi nazwisko osoby, którą mamy porwać.

Wolfe pokiwał głową, najwyraźniej podejmując decyzję.

– To prawdziwa kanalia. Z rodzaju tych, które gwałcą i mordują bezbronne kobiety.

Jeszcze zanim skończył mówić, wiedziałem, że mamy porwać człowieka, którego moi byli koledzy aresztowali ledwie dwadzieścia cztery godziny temu, człowieka, którego nazwiska nie znał nikt spoza policji stołecznej.

Andrew Kenta.

# 18.

Tina patrzyła, jak Sean Egan odchodzi ulicą. Kiedy indziej mogłaby być zainteresowana kontynuowaniem rozmowy. Zaintrygowało ją, że Dougie MacLeod uważał go za mąciwodę, poza tym Sean był przystojny i wyglądał na faceta, który umie być dobrym kompanem. Była jednak zbyt zajęta sprawą Upiora, a ściślej mówiąc – alibi Andrew Kenta.

Przed wyjściem do pubu zajrzała do bazy danych Głównego Urzędu Stanu Cywilnego i dowiedziała się, że ojciec Kenta rzeczywiście zmarł tuż przed morderstwem Roisin O'Neill. Potem zadzwoniła do pastora kościoła w Inverness, który potwierdził, że pogrzeb odbył się w dniu, kiedy według koronera zmarła Roisin. Co więcej, przypomniał sobie, że zamienił z Kentem parę słów przed nabożeństwem, gdy witał najbliższą rodzinę zmarłego. Kiedy pastor zapytał o powód rozmowy, Tina

odparła, że ma to związek z rutynowym dochodzeniem, i poprosiła, żeby nikomu nie wspominał o jej telefonie. Nie chciała mu podać szczegółów sprawy, choć wiedziała, że niebawem skontaktuje się z nim Jacobs, papuga Kenta, i o wszystkim mu powie.

Zanim skończyła rozmowę, reszta zespołu już poszła do pubu. Gdy Tina weszła tam piętnaście minut później i zobaczyła, jak trącając się szklaneczkami, świętując aresztowanie człowieka, który przez dwa lata terroryzował młode mieszkanki Londynu, nie miała serca im mówić o alibi Kenta. Ale nie miała też ochoty uczestniczyć w świętowaniu i zmuszała się do picia soku pomarańczowego zamiast prawdziwego drinka, ponieważ musiała trzeźwo myśleć.

Wszystkie dostępne dowody sugerowały, że Kent jest zabójcą, jednakże jego alibi wydawało się niepodważalne, a on z uporem powtarzał, że jest niewinny. Tina czuła znajomy dreszcz podniecenia na myśl o samotnej pracy nad rozwiązaniem zagadki, którą nikt inny jakby nie był zainteresowany.

Teraz, gdy już zrobiła swoje i pokazała się w pubie, zamierzała wrócić do komisariatu i przejrzeć teczkę Roisin O'Neill, żeby zobaczyć, czy nie znajdzie jakichś wskazówek. Roisin, czwarta ofiara, została zamordowana parę miesięcy przed dołączeniem Tyny do zespołu. Może koroner popełnił błąd, określając czas zgonu? Czasami tak bywa, a teraz taka możliwość wydawała się oczywista. A może tylko miała na to nadzieję.

Rozgniatając podeszwę buta niedopałek, zauważyła, że Sean zniknął na dobre. Przez chwilę żałowała, że się z nią nie pożegnał. Zastanawiała się, czy dałaby mu swój numer, gdyby poprosił, i doszła do wniosku, że pewnie tak.

Gdy się odwróciła, żeby pójść do komisariatu, z drzwi pubu wypadł Dan Grier. Zapytała go, czy idzie do domu.

Skinął głową.

– A pani?

– Wracam na posterunek. Mam trochę roboty.

– Jakiej roboty? – zapytał, gdy ruszyli ramię w ramię. – Myślałem, że rozwiązaliśmy sprawę.

– Zgadza się, ale parę szczegółów wymaga dopracowania.

– Mogę w czymś pomóc?

– Byłeś w zespole, gdy została zamordowana Roisin O'Neill, prawda? Pamiętasz, czy coś rzucało się w oczy w jej sprawie? Czy coś odróżniało ją od innych?

– Słyszałem, że Kent twierdzi, iż ma alibi na czas zabójstwa O'Neill. – Grier popatrzył na nią pytająco. – To prawda?

Uzgodniła z MacLeodem, żeby nie rozpowiadać o alibi Kenta, ale takie rzeczy zawsze wyciekają. Nie widziała powodu, by teraz nic o tym nie mówić.

– Tak, na to wygląda. Dlatego chcę wrócić do biura i przejrzeć akta. Do morderstwa Roisin doszło, zanim do was dołączyłam, więc muszę o nim poczytać.

Grier milczał przez kilka sekund.

– W laptopie Kenta nie ma powiązanego z tym filmu. Brakuje tylko tego, co moim zdaniem w świetle jego alibi wydaje się trochę dziwne.

– Cała sprawa wydaje się cholernie dziwna. Pomyśl, Dan, czy sposób działania sprawcy był taki sam jak w wypadku innych ofiar?

– Jezu.

Położyła rękę na jego ramieniu.

– Co takiego?  
– Sposób działania był taki sam, ale... – Skrzywił się skonsternowany. – Ale niezupełnie. Były drobne różnice.

– Jakie?

– Ciosy młotkiem. Roisin miała twarz zmasakrowaną jak pozostałe ofiary, jeśli jednak dobrze pamiętam, prawdziwą przyczyną śmierci było uduszenie. Walił ją młotkiem jak wszystkie inne, ale wtedy, gdy już nie żyła. Na tym polega różnica.

Stanęli pośrodku chodnika wstrząśnięci, gdy w pełni zrozumieli konsekwencje tych słów.

– Ma niezbite alibi – powiedziała w końcu Tina.

– Jeśli nie on zamordował Roisin O'Neill, to kto? I co z pozostałymi czterema dziewczynami? Zabił je czy nie?

Tina westchnęła.

– Nie wiem. I właśnie tego musimy się dowiedzieć.

# 19.

– Nie musisz mi pomagać, Dan – powiedziała Tina, gdy szli do centrum operacyjnego. – Wiem, że pracujesz po godzinach, a ja mogę się tym zająć sama.

Prawdę mówiąc, wolą pracować samodzielnie, zwłaszcza w pustym biurze. Dzięki temu w razie potrzeby mogła sobie gołnąć bez wzbudzania podejrzeń.

– Chętnie pomogę, jeśli są problemy ze sprawą– odparł spokojnie. – Nie spieszy mi się do domu. Melinda wie, że dziś wrócę późno.

Melinda była jego żoną. Poznali się na uniwersytecie i od tej pory byli razem. Tina nie znała jej osobiście, ale zauważyła, że ilekroć Grier o niej mówi, to zawsze z wyraźną czułością, co odróżniało go od reszty żonatych mężczyzn opowiadających o swoich żonach. Z tego względu powinna bardziej go lubić, lecz tylko odczuwała zazdrość.

Tina podzieliła akta Roisin O'Neill. Grier skoncentrował się na przeszłości ofiary, a ona zajęła się mechanizmem samego morderstwa.

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę, było to, że Roisin idealnie pasowała do profilu ofiar Nocnego Upiora. Odnosiła sukcesy jako menedżer marki w koncernie farmaceutycznym, była atrakcyjna i mając dwadzieścia dziewięć lat, mieściła się w przedziale wiekowym ofiar. Poza tym mieszkała sama i najwyraźniej nie miała stałego partnera. Co ważniejsze, trzy miesiące przed śmiercią zamówiła nowy system alarmowy do swojego mieszkania w West Endzie i instalował go Andrew Kent.

Podobieństwa na tym się nie kończyły. Akta zawierały zdjęcia z miejsca przestępstwa. Roisin została znaleziona w takiej samej pozycji jak pozostałe cztery ofiary, naga, z długimi jasnymi włosami rozrzuconymi na błękitnej poduszce. Leżała rozpostarta na łóżku, przywiązana za ręce i nogi, z twarzą rozbitą na miazgę, odmienioną nie do poznania. Miejsce zbrodni wyglądało dokładnie tak samo jak inne z tą różnicą, że było znacznie mniej krwi, a gdy Tina obejrzała zbliżenie górnej połowy ciała Roisin, zobaczyła rozległe siniaki na szyi.

Protokół z sekcji potwierdził słowa Griera, że przyczyną zgonu było uduszenie rękami i że ciosy w twarz zadano po śmierci tęnym narzędziem, najprawdopodobniej młotkiem. Lekarz medycyny sądowej nie mógł dokładnie określić, w jakim czasie po śmierci zadano obrażenia, ale na podstawie stanu zwłok – nie szczędząc szczegółów – stwierdził, że zgon nastąpił pomiędzy osiemną a północą poprzedniego wieczoru, w dniu pogrzebu ojca Kenta. Pogrzeb odbył się o drugiej po

południu, więc Kent mógł ukraść albo wypożyczyć samochód, pojechać do Londynu – pokonując odległość 734 kilometrów, jak informował autoatlas – i popełnić morderstwo, po czym wrócić do Inverness nazajutrz w porze śniadania. Realizacja takiego scenariusza leżała w granicach ludzkich możliwości, ale była wysoce nieprawdopodobna i przynajmniej w tej chwili Tina nie sądziła, żeby warto było dopytywać o samochody skradzione czy wynajęte w okolicach Inverness.

Skoncentrowała się na innych różnicach pomiędzy śmiercią Roisin i pozostałych ofiar. Szczególnie dwie rzucały się w oczy.

Pierwszą był brak śladów chloroformu na miejscu zbrodni. Upiór po włamaniu się do domu odurzał ofiarę, żeby bez przeszkód ją związać i zakneblować, po czym przechodził do kolejnego etapu napaści. Zabójca Roisin – a Tina była już całkiem pewna, że to nie Andrew Kent – obezwładnił ją w jakiś inny sposób.

Druga różnica polegała na braku jakichkolwiek śladów fizycznego gwałtu. Upiór brutalnie traktował swoje ofiary, choć nie mogły stawiać oporu, i zwykle zostawiał obrażenia narzędzi płciowych, głównie w postaci ran szarpanych. Ale nie u Roisin. W konsekwencji lekarz nie mógł określić, czy w jej wypadku w grę wchodziła napasć na tle seksualnym.

Mógł jednak z całą stanowczością stwierdzić, że Roisin uprawiała seks w ciągu dwunastu godzin przed śmiercią, ponieważ znalazł w pochwie ślady spermy. Testy DNA już dowiodły, że nie jest to nasienie Kenta. Nie pasowało również do



DNA żadnego z dwóch milionów innych mężczyzn w centralnej rządowej bazie danych.

Tina wyprostowała plecy i się przeciągnęła, patrząc na Gierę, który siedział zgarbiony nad otwartą teczką, nerwowo sporządzając notatki. Zegar ścienny nad jego głową wskazywał dziesięć po ósmej. Spędzili przy biurkach około godziny i w tym czasie prawie nie rozmawiali.

– Dan, czy w zeznaniach świadków jest jakaś wzmianka, że Roisin miała chłopaka? – zapytała Tina, przerywając milczenie. – Albo kochanka? Wiem, że podobno nie była z nikim związana, ale z protokołu sekcji wynika, że w dniu śmierci odbyła z kimś stosunek płciowy, i nie był to zabójca.

Pokręcił głową.

– Nie miała chłopaka, przynajmniej nie według przyjaciół i rodziny. Ponieważ polowaliśmy na seryjnego zabójcę, a nie na kogoś, kto ją znał, nie drążyliśmy tematu. Dlaczego pani pyta? Sądzi pani, że facet, który uprawiał z nią seks, ma coś wspólnego ze sprawą?

– Nie wiem, ale chciałabym się dowiedzieć, kto to był. Po prostu żebyśmy mogli wyeliminować go z dochodzenia.

– Z czego wnoszę, że alibi Kenta wciąż wygląda dobrze.

– Idealnie – odparła ze znużeniem w głosie i powiedziała mu, co znalazła.

Grier przetarł ręką czoło.

– W takim razie mamy problem.

– Dlaczego?

– Cóż, jest coś, czego nie rozumiem. Przeczytałem wszystkie zeznania świadków, przyjaciół, rodziny, sąsiadów, każdego, kto ją znał, i wygląda na to, że była miłą, zwyczajną

dziewczyną, która nie miała wrogów. Prawdę mówiąc, zwraca uwagę tylko jedna rzecz. Nie wiem, czy pani pamięta, że Roisin mieszkała w starej czteropiętrowej kamienicy w Pimlico, w której urządzono luksusowe apartamenty.

– Nie pamiętam, ale mów dalej.

– Apartamenty zajmują całe piętra i mają wspólną klatkę schodową. Roisin mieszkała na samej górze. Jakiś tydzień przed morderstwem i trzy miesiące po tym, jak Kent zainstalował alarm, jedna z sąsiadek spotkała na schodach nieznanego mężczyznę. Jej zeznanie mówi... – urwał, zaglądając do notatek. – Był to „wielce podejrzany osobnik, długowłosego młodzieniec, dość niski i nie chciał spojrzeć mi w oczy”.

– Czy kazała mu się opowiedzieć?

– Nie, pewnie chciała uniknąć konfrontacji. Powiedziała, że wyszedł drzwiami frontowymi i na tym koniec. Pamiętam, że w owym czasie nie potraktowaliśmy tego poważnie.

– Dlaczego?

– Głównie dlatego, że widziała go tydzień przed morderstwem, a nie w dniu, gdy do niego doszło. Poza tym sąsiadka to wścibska starsza pani grubo po siedemdziesiątce i gdy na podstawie jej słów próbowaliśmy sporządzić portret pamięciowy, nic z tego nie wyszło. Za każdym razem wychodził inaczej i według niej wcale niepodobny. Zwróciliśmy się do przyjaciół Roisin z pytaniem, czy znała kogoś, kto pasowałby do rysopisu faceta, ale jak można się było spodziewać, nikt tego nie potwierdził. Dlatego ten wątek trafił na dno szuflady.

Tina o nim nie słyszała, choć trudno się dziwić, biorąc pod

uwagę skalę śledztwa i liczbę zaangażowanych w nie detektywów.

– W takim razie dlaczego teraz zwróciłeś na to uwagę? – zapytała.

– Ponieważ jest możliwe, że opis, choć ogólnikowy... niski, długie włosy, pieprzyk na policzku... pasuje do Kenta.

Tina przypomniała sobie dwa bardzo małe ciemne pieprzyki na lewym policzku podejrzanego.

– To bardziej niż możliwe. To on.

– Proszę posłuchać, pani komisarz, to nie moja wina – rzucił Grier obronnym tonem. – Jak wtedy ktokolwiek mógłby podejrzewać, że ten facet może być poszukiwanym zabójcą?

– Masz telefon do tego świadka? – zapytała, nie chcąc roztrząsać minionych błędów. Kiedy pokiwał głową, kazała mu natychmiast do niej zadzwonić. – Niech ktoś dostarczy jej zdjęcie, zobaczymy, czy go rozpozna.

Dwie minuty później Grier rozmawiał przez telefon z siedemdziesięciosześcioletnią Beatrice Glover. Przypomniał jej o sprawie i spytał, czy może przyjść do niej ze zdjęciem.

– Aha, ma pani pocztę elektroniczną – powiedział, nie kryjąc zaskoczenia.

Gnojek, pomyślała Tina, dyskryminuje starszych ludzi i w sposób typowy dla młodszego pokolenia dokonuje pochopnych i bezmyślnych uogólnień. Zastanawiała się, czy właśnie nie dlatego zbagatelizował zeznanie sąsiadki.

Czekała, gdy wysyłał mail ze zdjęciem Kenta zrobionym zeszłej nocy po aresztowaniu. Nie odłożył słuchawki, gdy Beatrice Glover otwierała plik, żeby je obejrzeć.

Po zakończeniu rozmowy wyglądał na kompletnie skonsternowanego.

– Nie jest stuprocentowo pewna. Mówi, że to było dawno temu, ale mężczyzna ze zdjęcia może być tym, którego widziała na klatce schodowej tydzień przed morderstwem Roisin. – Westchnął. – Jeśli Kent jej nie zabił, to dlaczego, u licha, kręcił się po tej kamienicy?

Tina głowiła się nad tym od pięciu minut i doszła tylko do jednego wniosku.

– Naprawdę mam nadzieję, że nie o to chodzi – zaczęła cicho – ale jest możliwe, że Andrew Kent nie pracował sam.

## 20.

Grier z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Boże, było ich dwóch? Nikt nawet nie wspomniał o takiej możliwości, gdy zajmowałem się sprawą.

– Wcale się nie dziwię – mruknęła Tina. – Seryjni zabójcy pracujący w duecie to prawdziwa rzadkość. Przychodzi mi na myśl tylko jedna taka sprawa w Wielkiej Brytanii, sprzed trzydziestu lat.

– Kolejowi Zabójcy, Duffy i Mulcahy – powiedział na potwierdzenie, że dobrze wie, o kogo chodzi. – Sądzi pani, że może być jakieś niewinne wyjaśnienie jego obecności w domu Roisin? Może go wezwała, żeby sprawdził alarm?

Tina pokręciła głową.

– Sprawdźmy w firmie, która zleciła zainstalowanie systemu, ale moim zdaniem Kent, jeśli nawet jej nie zabił, wie znacznie więcej, niż mówi.

Tina była zła na siebie, że dała się nabrać Kentowi. Wbrew wszystkim świadczącym przeciwko niemu dowodom dopuszczała możliwość, że rzeczywiście ktoś go wrabia. Teraz wiedziała, że jest tylko sprytnym socjopatycznym manipulantem, który być może oczyścił się z zarzutu morderstwa Roisin O'Neill, ale musiał mieć z nim coś wspólnego.

– Pójdę z nim pogadać – oznajmiła, wstając.

Grier zrobił zdziwioną minę.

– Wolno pani? W zasadzie nie wyraził zgody na rozmowy z nami.

– Wcześniej dał mi zgodę – stwierdziła, mijając go, niepewna, co właściwie powie, gdy zejdzie do aresztu. – To wystarczy. Wrócę za parę minut.

W drodze na dół rozmyślała nad tym, co znaleźli. Większość morderstw to proste sprawy z oczywistymi podejrzanymi i dlatego wskaźnik wykrywalności sprawców jest taki wysoki. Nawet seryjne zabójstwa zwykle nie są skomplikowane. Zabójca morduje, dopóki policja nie zbierze dość dowodów, żeby go zidentyfikować. Wtedy rach-ciach, dokonuje się aresztowania i po problemie.

Ta sprawa była inna. Przemieniała się w skomplikowaną łamigłówkę bez oczywistego rozwiązania. Kent zainstalował system alarmowy u Roisin O'Neill i było prawie pewne, że ją śledził, ale jej nie zabił, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa uśmiercił tamte cztery kobiety. Ktokolwiek zamordował Roisin, włamał się do jej mieszkania bez włączenia alarmu i wiedział o sposobie działania Upiora dość, żeby się na nim wzorować i popełnić morderstwo, które – choć nie doskonałe – zmyliło prowadzących dochodzenie. Ale brakowało

oczywistego motywu. Nie była to napaść na tle seksualnym ani rabunkowym. Zabójca zadał ciosy młotkiem, ponieważ chciał, żeby policja uznała to za robotę Upiora.

Ale dlaczego? Tego po prostu nie umiała rozgryźć.

Była pewna, że Andrew Kent zna odpowiedź. Dotychczas niechętnie udzielał informacji, ale chciała przynajmniej spróbować nakłonić go do rozmowy, zanim jutro zostanie przekazany pod opiekę służby więziennej.

Służbę w areszcie pełnił walijski sierżant, ten, którego imienia nie mogła zapamiętać. Siedział za biurkiem z kubkiem herbaty i numerem „Daily Express”.

– Długo pani pracuje – rzucił, odrywając oczy od gazety i obdarzając ją niemal lubieżnym uśmiechem.

– Walka z przestępczością nigdy nie ustaje – odparła z udawaną powagą.

Po krótkiej wymianie żartobliwych uwag, siłąc się na maksymalnie lekki ton, powiedziała, że musi zamienić słówko z Kentem.

Sierżant miał niepewną minę.

– Nie prosił o widzenie, Tino.

– Ma to związek z tym, o czym chciał pogadać ze mną wcześniej. – Błysnęła swoim najlepszym uśmiechem. – Daj spokój, to nic ważnego i jestem tu nieoficjalnie.

Cholerny służbista, pomyślała, gdy wreszcie wstał i powoli poprowadził ją w głąb aresztu.

– Jak się trzyma? – zapytała.

Winę czy niewinność podejrzanego można często rozpoznać po zachowaniu w celi. Okazywanie złości zwykle świadczy o winie, podobnie jak obojętność. Rezygnacja czy łyzy zazwyczaj wskazują na niewinność.

Ze znużeniem wzruszył ramionami.

– Dobrze. Znacznie grzeczniejszy niż większość. Zajrzałem do niego kilka minut temu, dałem mu wody. – Zatrzymał się przed drzwiami i podniósł klapkę. – Masz gościa! – ryknął, zaglądając do środka. – Chryste, gdzie on się podział? Panie Kent? Gość.

Wtedy Tina to usłyszała. Z wnętrza celi płynęło ciche chrypienie. Sierżant też je usłyszał i sięgnął po klucze.

– Otwieraj szybko – warknęła. Gdy tylko przekręcił klucz w zamku, odepchnęła go z drogi. Wpadła do środka, sięgając po gaz łzawiący, na wypadek gdyby to była pułapka.

To nie była pułapka. Andrew Kent leżał na podłodze celi, wijąc się z bólu. Oczy miał wytrzeszczone, twarz mu siniała i trzymał się za gardło. Obok niego leżał przewrócony plastikowy kubek.

– Jezu Chryste! – Tina odwróciła się w stronę sierżanta, który stał nieruchomy jak kamień, wyraźnie niepewny, co zrobić. – Dzwon po karetkę, szybko!

Gdy wybiegł z celi, kucnęła obok Kenta.

Zanim mogła coś zrobić, przewrócił się na bok plecami do niej. Dziko wierzgał nogami, wymiotując na podłogę.

Uskoczyła, gdy jego ciało wygięło się i zadygotało gwałtownie. Obrócił się w jej stronę, z jego ust wybuchły wymiociny, które minęły ją o włos i zbryzgały podłogę. W końcu padł na plecy i znieruchomiał. Twarz miał ciemnoczerwoną, ale wyglądał znacznie lepiej niż przed chwilą.

– Boże – jęknął, trzymając się za brzuch.

– Co się stało? – zapytała sama bliska torsji z powodu smrodu i widoku rzygowin.



– Chcieli mnie zabić – wycharczał.

– Kto?

– Proszę zabrać mnie do szpitala.

– Kto chciał pana zabić, panie Kent?

Skrzywił twarz w bolesnym grymasie.

– Jezu, jak boli.

– Karetka już jedzie. Nic panu nie będzie. Ale musi pan mi powiedzieć, co się stało.

– Woda – syknął, patrząc na nią. – Coś było w wodzie.

W drzwiach stanął wyraźnie podenerwowany sierżant.

– Ambulans będzie lada chwila.

Tina podniosła pusty kubek i rzuciła w jego stronę.

– Do licha, skąd była ta woda?

– Z kranu – wydukał nerwowo. – Ja nic nie zrobiłem, słowo.

– Zapakuj kubek do torebki na dowody. Trzeba dać go do analizy. – Odprawiła go gniewnym ruchem ręki i skierowała uwagę na Kenta.

– Nie chcę, żebym mówił – wychrypiął ze złością.

– Kto?

Z trudem przełknął ślinę i z zaskakującą siłą złapał ją za rękę.

– Zabierz mnie do szpitala, a wszystko ci powiem. Przyśięgam. Wszystko powiem.

# 21.

Dochodziła 20.25. Siedziałem w minivanie za Wolfe'em i Haddockiem. Parkowaliśmy w bocznej ulicy ledwie kilkaset metrów od miejsca, skąd zabrali mnie pół godziny temu. Teraz miałem rękawiczki i roboczy kombinezon, a na kolanach trzymałem remingtona, jednego z tych, które nabyłem podczas niefortunnej transakcji. Silnik pracował, powietrze było ciepłe i duszne, w samochodzie panowała ciężka jak ołów cisza. Przez cały czas zachodziłem w głowę, jak, u licha, udało mi się wpakować w tę kabałę, a co ważniejsze, jak mam się wykaraskać.

Gdy wsiadłem do samochodu, Wolfe zawiózł nas do wynajętego garażu w Islington, gdzie przechowywali broń wraz z ubraniami na zmianę. Przebraliśmy się, po czym każdy z nas załadował broń. Po raz kolejny powiedziałem Wolfe'owi, że pod żadnym pozorem nie pociągnę za spust, on zaś po raz kolejny odparł, że to łatwa robota i nie padnie ani jeden strzał.

– Ale nie możemy iść na robotę bez broni – dodał. – To byłoby głupota. Zawsze bądź przygotowany, Sean.

Zabraliśmy ekwipunek i wsiedliśmy do minivana, a potem jeździliśmy przez jakiś czas. Wolfe wtajemniczył mnie w szczegóły.

Pierwszą niespodzianką było to, że będzie nas pięcioro. Poza nami trzema i Tommym w akcji miała uczestniczyć Tajka o imieniu Lee, z którą Wolfe spotykał się od kilku miesięcy i która – jak powiedział Tommy – przywodzi mu na myśl wredną zapaśniczkę walczącą w klatce. Obecnie Lee siedziała w ogródku kawiarnianym pięćdziesiąt metrów od mojego dawnego posterunku Holborn. W ciągu godziny Andrew Kent, nasz cel, wyjedzie przez frontową bramę w ambulansie z błyskającymi światłami, a wówczas Lee da nam znać przez krótkofalówkę.

Najwyżej minuta jazdy dzieliła nas od komisariatu. Gdy tylko ambulans przejedzie, ruszymy za nim. Tommy, który siedział w zaparkowanej furgonetce Bedford sto metrów dalej, wyposażony w radio nastawione na tę samą częstotliwość, na nasz znak zajedzie drogę ambulansowi i zmusi kierowcę do otworzenia tylnych drzwi. Wtedy Haddock wyciągnie naszą ofiarę, a ja będę ich osłaniać. Tommy do nas dołączy i znikniemy w ciągu trzydziestu sekund. Wolfe zapewnił, że z powodu braku czasu na ściągnięcie radiowozu z uzbrojoną załogą eskorta aresztowanego będzie bez broni, więc nikt nie stawi oporu, gdy wyskoczymy ze strzelbami.

Przerażał mnie zasób informacji, jakim dysponowali ci faceci. Po prostu wiedzieli zbyt dużo, co znaczyło, że muszą mieć jakieś wewnętrzne źródło. Ponad siedem lat pracowałem

w komisariacie w Holborn i lubiłem myśleć, że tamtejsi gliniarze są przyzwoitymi, honorowymi ludźmi, nie łajzami sprzedającymi informacje kanałiom pokroju Tyrone'a Wolfe'a czy jego klienta, kimkolwiek jest. Ale wyglądało na to, że ktoś to robi. Skąd mogliby wiedzieć, że Kent będzie przewożony ambulansem albo kiedy to nastąpi? Problem w tym, że wtyczką mogła być każda z ponad dwustu osób, w tym pracownicy cywilni.

Byłem świadom, że się pocę. Wiedziałem, że jeśli plan nie wypali, wtedy wypalą strzelby, a to wystarczy. Moje życie zmieni się na zawsze.

Mimo wszystko mogę wyjść obronną ręką, powtarzałem sobie, jeśli tylko zdołam przyskrzynić tych facetów. Może nie teraz, ale później, gdy Kent z powrotem znajdzie się w areszcie. Może w ten sposób dotrzemy do zleceniodawcy porwania i załatwimy go wraz z całą szajką, tym samym pięknie zamykając sprawę. Wątpiłem, czy pozwoli mi wrócić do pracy, ale może nie trafię za kratki.

– Słuchaj – odezwałem się, przerywając ciężką ciszę – wiem, że nie możesz zdradzić, dla kogo pracujemy, ale przynajmniej powiedz, czego klient chce od tego faceta.

Wolfe westchnął głośno. Było jasne, że ma powyżej uszu mojego dopytywania.

– Jeśli ci powiem, to się zamkniesz?

– Po co mu mówić? – burknął Haddock. – Nie musi nic wiedzieć. Jest tylko wynajętym pomagierem.

– Bo mam dość życia w niewiedzy – warknąłem.

Wolfe obrócił się w fotelu i wlepił we mnie zdrowe oko.

– Mówiłem ci, że gość jest oskarżony o zgwałcenie i zamordowanie pięciu kobiet, no nie? Klient jest krewnym jednej

z nich i zależy mu na wymierzeniu sprawiedliwości. Nie przypuszcza, żeby prawo mu to zagwarantowało. Dlatego to robimy.

– Skąd wie, że w ciągu godziny Kent wyjedzie z Holborn w ambulansie?

Ironia losu, pomyślałem, arcykryminalista pokroju Tyrone'a Wolfe'a nagle stał się samozwańczym stróżem prawa, żeby nadrobić niedociągnięcia brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości.

– Nie pytałem go – odparł. – W przeciwieństwie do ciebie wiem, kiedy trzymać język za zębami.

I tak byłem zadowolony. Słowa Wolfe'a pomogą nam zidentyfikować klienta, ponieważ nie może być wielu krewnych ofiar z kontaktami niezbędnymi do zdobycia informacji o Kenzie. Ale pojawił się kolejny problem.

– Klient chce go zabić, prawda?

– Miałaś przestać pytać, gdy ci powiem, dlaczego mu na nim zależy.

– Ale chce go zabić. Nie ma innego powodu, żeby zlecać porwanie.

Haddock ruszył wielkie cielsko na przednim fotelu i samochód lekko się zakołysał.

– Co ci do tego? – syknął swoim dziwnie piskliwym głosem. – Bierzesz forsę i gównu cię obchodzi, kto kipnie.

– Mówiłem wam wcześniej, nie chcę być zamieszany w mokrą robotę.

Wolfe westchnął głośno.

– Nie mieszasz się w żadną mokrą robotę, Sean. To sprawa klienta. My tylko zwijamy faceta. Od klienta zależy, co z nim

zrobi, ale zapewnia, że gdy go załatwi, zapadnie się pod ziemię i na tym koniec. Nikt się tym zbytnio nie przejmie, bo przecież mówimy o Upiorze, parszywym zabójcy seksualnym, który morduje bezbronne kobiety w ich domach. Gliniarze nie będą się zbytnio wysilać, żeby znaleźć ludzi, którzy go porwali. Będą po prostu chcieli, by wszyscy zapomnieli, że ktoś im sprzątnął więźnia sprzed nosa.

Pomyślałem, że Wolfe jest beznadziejnie naiwny, ale tak wyglądały sprawy z jego perspektywy. Moje zadanie polegało na dopilnowaniu, żeby Kent nie wpadł w ręce klienta. Może jest parszywym zabójcą seksualnym, ale muszę zapewnić mu ochronę przed człowiekiem, który zamierza go zamordować.

Wciąż kombinowałem, jak to zrobię, gdy zatrzeszczało radio Wolfe'a. Była to Lee, jego dziewczyna.

– Ładunek ruszył – zatrajkotała z silnym obcym akcentem.  
– Za minutę będzie przy was.

Dostałem potężny zastrzyk adrenaliny.

Zaczęło się.

## 22.

Twarz Andrew Kenta była śmiertelnie blada pod maską tlenową, gdy ratownicy wywozili go na noszach z aresztu. Tina szła za nimi.

Nie zdołała wycisnąć z niego nic więcej na temat tego, co się stało. Zwymiotował dwa razy, odkąd go znalazła wijącego się na podłodze celi, i wyraźnie wciąż był bardzo chory. Kubek, z którego pił, już był w drodze do laboratorium, choć sierżant uparcie twierdził, że nikt nie miał do niego dostępu od chwili nalania wody do podania go Kentowi.

Możliwe, że była to próba samobójstwa. Choć aresztowani przechodzą dokładną rewizję osobistą, Kent mógł przemyścić potencjalnie trującą substancję w ustach. Tina jednak uznała, że to mało prawdopodobne, zwłaszcza w świetle jego tajemniczych uwag o ludziach, którzy chcieli go uciszyć. Było również możliwe, że symulował. Ratownicy przeprowadzili tylko

pobieżne badanie przed założeniem mu maski tlenowej i przeniesieniem go na nosze. Nie byli pewni, jaką substancję mógł połknąć, i woleli zabrać go na badania do szpitala. Ale jeśli symulował, to cholernie dobrze.

Tak czy siak Tina wiedziała, że Kent nadal jest człowiekiem wyjątkowo niebezpiecznym. Miała już do czynienia z ucieczką niebezpiecznego przestępcy z ambulansu, dlatego załatwiła eskortę, na wypadek gdyby szybko doszedł do siebie. Dwoje policjantów w mundurach miało jechać w ambulansie, a za nimi radiowóz.

Gdy Kent i ratownicy zniknęli za frontowymi drzwiami komisariatu, Tina wyjęła komórkę i zadzwoniła do Griera. W dziesięć sekund zrelacjonowała niedawne wydarzenia i kazała mu zejść prosto do recepcji.

– Jedziemy do szpitala, szybko. Muszę się dowiedzieć, co ma do powiedzenia Kent.

Niespełna minutę później biegła z Grierem przez parking.

– Ja prowadzę – powiedziała, otwierając drzwi swojego zdezelowanego forda focusa. Wskoczyła do środka, podczas gdy Grier wciskał tyczkowate nogi pod deskę rozdzielczą. – Przepraszam za ciasnotę – dorzuciła, ruszając z miejsca, jeszcze zanim się usadowił. – Ostatnią osobą, którą wiozłam, była moja matka, a ona ma metr pięćdziesiąt pięć.

– Po co ten pośpiech? – zapytał. Zamknął drzwi, gdy focus już wyjechał na ulicę, kierując się w stronę szpitala University College. – Przez jakiś czas nie będzie mógł z nami rozmawiać.

– Ponieważ nie chcę stracić go z oczu. Zamierza mi coś powiedzieć, a ja chcę mieć pewność, że się dowiemy, o co mu chodzi.



– Dzwoniła pani do MacLeoda?

– Nie.

Tina wyjęła komórkę i ignorując fakt, że łamie prawo, wybrała jego numer.

Zanim miał szansę odebrać, skręciła w Doughty Street i natychmiast wcisnęła hamulce. Oświetlona błyskającymi światłami scena chaosu sprawiła, że mimowolnie upuściła telefon.

## 23.

Ambulans przemknął z rykiem w smudze niebieskich świateł, a zaraz za nim radiowóz. Gdy rękami w rękawicach naciągnąłem kominiarkę i popędziliśmy za nimi, w gęstniejącym mroku zobaczyłem, jak biały bedford Tommy'ego wyjeżdża tyłem zza zakrętu i blokuje mu drogę.

Kierowca wcisnął hamulce, ale było za późno, żeby zapobiec zderzeniu. W wizgu opon stracił panowanie nad kierownicą, z głośnym trzaskiem uderzył w tył furgonetki i ją przesunął, ale nie zdołał zepchnąć z drogi. Dym uniósł się spod zniszczonej maski.

Kierowca radiowozu miał lepszy refleks i zatrzymał się trzy metry za ambulansem, z ryczącą syreną. Zanim ktokolwiek zdążył wysiąść, podjechaliśmy w minivanie.

Podstawą całej operacji była prędkość, zaskoczenie i przeważająca siła. Jako glina z piętnastoletnim stażem wiedziałem,

że kompletnie zaskoczeni ludzie zwykle natychmiast się podporządkowują.

A my ostro natarliśmy na tych facetów.

– Taranujemy! – zawył Wolfe i trzasnęliśmy w tył radiowozu, przesuając go kawałek do przodu.

Na parę sekund porwał mnie dramat wydarzeń. Kop adrenaliny był niesamowity, najsilniejszy od lat, gdy otworzyłem drzwi i wyskoczyłem, trzymając strzelbę przed sobą, z palcem odruchowo położonym na spuście.

Podczas gdy Wolfe podbiegł do ambulansu, żeby sterroryzować załogę i otworzyć tylne drzwi, Haddock ruszył prosto do radiowozu. Jak na faceta o takiej masie poruszał się wyjątkowo szybko. Gdy kierowca popełnił głupi błąd, otwierając drzwi, Haddock złapał je jedną ręką i mocno trzasnął go w głowę. Sekundę później zawisł nad samochodem jak jakiś mściwy demon. Stał w rozkroku, celując ze strzelby przez szybę w dwóch nieuzbrojonych policjantów, i ryczał, żeby ani drgnęli, bo inaczej ich rozwali. Dla podkreślenia słów gwałtownie opuścił lufę i strzelił w lewą przednią oponę. Ogłuszający huk przyprawił mnie o skurcz serca i przywołał do rzeczywistości.

Zobaczyłem w przelocie dwóch gliniarzy. Kierowca oburącz trzymał się za potłuczoną głowę. Nie znałem go, ale rozpoznałem jego partnera. Ryan James, wesół, mniej więcej czterdziestoletni, został gliną po piętnastu latach nauczania fizyki w szkole średniej. Kiedyś pożyczył mi pięćdziesiąt funtów, gdy splukałem się przed wypłatą. Zawsze go lubiłem i teraz, gdy patrzyłem na jego bladą, przerażoną twarz, opadły mnie wyrzuty sumienia.

Ale to było konieczne. Nie mogło być inaczej. Jeśli nie ruszy palcem, wyjdzie z opresji bez szwanku.

Huk znowu rozbrzmiał echem na spokojnej ulicy, gdy Haddock rozwalił drugą przednią oponę. Trząsał się z podniecenia, kreśląc lufą remingtona krótki łuk, rozkoszując się swoją władzą.

– Łapy do góry! Obaj. Rozpieprzę wam, kurwa, łby, jak czegoś spróbujecie! Zrozumiano? Zrozumiano, kurwa? – Potem odwrócił się w moją stronę. – Trzymaj na muszce tych sukinsynów i osłaniaj mnie – warknął, po czym popędził do ambulansu.

Obserwowanie jednych i drugich naraz nie było łatwe, ale robiłem, co mogłem. Dobrze, że żaden z gliniarzy nie wydawał się skłonny do działania. Ryan James wyglądał na bliskiego ataku serca, gdy wlepił oczy w lufę mojej broni z rękami wyrzuconymi sztywno w powietrze.

Zaryzykowałem zerknięcie w kierunku ambulansu. Haddock dołączył do Wolfe'a. Drzwi były szeroko otwarte i zobaczyłem w głębi dwoje mundurowych – mężczyznę i kobietę, oboje młodych – po obu stronach noszy. Obok stała ratowniczką w zielonym kombinezonie wyciągająca ręce przed siebie w geście uległości.

Wolfe wskoczył na tył i kazał jej odpiąć pacjenta.

– Nie możecie go zabrać – powiedziała. – Proszę. Jest chory.

– Zamknij się i rób, co każę! Natychmiast!

Policjanci w ambulansie siedzieli nieruchomo, gdy Haddock celował to w nią, to w niego, sycząc mordercze groźby. Biła od niego aura kontrolowanego gniewu, która sugerowała, że

sprzeciw równa się samobójstwu. Pamiętam, że się modliłem, by nikt nie okazał się na tyle głupi, żeby wykonać jakiś ruch.

Ale ratowniczką nie grała według ich reguł.

– Nie zabierzecie go! – krzyknęła z kolejnym „proszę”, choć musiała wiedzieć, że właśnie do tego zmierzają.

Wolfe gwałtownie złapał ją za włosy i przysunął lufę do jej twarzy.

– Natychmiast! – wrzasnął, wlokąc ją z powrotem do noży.

Skrzywiłem się na widok aktu przemocy. Czułem, jak mój palec pręży się na spuście, gdy przypominałem sobie, co Wolfe przed laty zrobił mojemu bratu. Miałem ochotę to samo zrobić jemu, ale wiedziałem, że muszę czekać na właściwy moment i mieć nadzieję, że akcja szybko się skończy. Każda mijająca sekunda zbliżała nas do konfrontacji z posiłkami policji, co teraz, gdy Wolfe i Haddock byli napompowani adrenaliną i skłonni do użycia broni, oznaczałoby krwawą jatkę.

W końcu ratowniczką zaczęła odpinać pas drżącymi rękami, a Wolfe rozpiął drugi, przez cały czas celując z pistoletu w jej twarz.

Kiedy Wolfe odepchnął kobietę na bok i zdarł maskę tlenową, po raz pierwszy zobaczyłem nasz cel. Andrew Kent, tak zwany Nocny Upiór. W przekonaniu moich dawnych kolegów człowiek odpowiedzialny za zgwałcenie i zamordowanie pięciu kobiet. Mały i chudy, miał szarą twarz chorego, ale był przytomny. Wyglądał na równie przerażonego jak ludzie, którzy go chronili, ponieważ musiał wiedzieć, że bez względu na to, co zamierzamy z nim zrobić, nie będzie to przyjemne.

Bardziej przypominał maniaka komputerowego niż mordercę i choć wiedziałem, że zasłużył na śmierć, że zabójcy nigdy

nie wyglądają na zbrodniarzy – bezbronni są tacy jak ty czyja – zrobiło mi się niedobrze, gdy Wolfe wywlókł go z ambulansu z pistoletem mocno przyciśniętym do jego policzka.

I wtedy sprawy przybrały fatalny obrót.

Policjant zerwał się z miejsca, wyskoczył z ambulansu i złapał Wolfe'a za rękę, próbując wyrwać mu broń. Licho wie, dlaczego wpadł na ten pomysł, może chciał zostać bohaterem, chociaż każdemu glinie wbija się do głowy, że nigdy nie należy się porywać na uzbrojonego, gdy samemu jest się bez broni, ponieważ wtedy sytuacja dramatyczna może się stać katastrofalna. Jak teraz.

Wyczuwając okazję, Kent wyrwał się z potężnej łapy Wolfe'a i rzucił się do ucieczki.

Stałem zaledwie trzy metry dalej i ruszyłem, żeby go zatrzymać, trzymając strzelbę jak pałkę. Nie mogłem pozwolić, żeby zwiął mi seryjny zabójca.

Ale jak na chorego Kent reagował bardzo szybko i wyprowadził improwizowany cios karate nogą w mój brzuch. Chciałem uskoczyć, lecz trafił i zatoczyłem się do tyłu, wpadając na maskę radiowozu.

Sam jednak nie jestem ofermą i choć powietrze uciekło mi z płuc, odbiłem się od maski i gdy mnie mijał, trzasnąłem go w łeb kolbą strzelby. Cios był porządny i rozłożył go na asfalcie. Krew spłynęła z głębokiego skaleczenia wzdłuż linii włosów. Nie poruszał się i przez chwilę myślałem, że być może go zabiłem.

Potem zobaczyłem, że Wolfe wyrwał się gliniarzowi i pchnął go do tyłu, zwiększając dzielącą ich odległość.

– Nie! – usłyszałem własny krzyk, gdy Haddock machnął strzelbą, z której dotąd mierzył w policjantkę, i wycelował prosto w jej głupiego kolegę. Wolfe poderwał pistolet, trzymając go oburącz.

Nagle wszystko zaczęło się poruszać w zwolnionym tempie, gdy gliniarz – co najwyżej dwudziestopięcioletni, pewnie młodszy – uniósł ręce na znak poddania. Marzenia o sławie bohatera zniknęły z jego oczu zastąpione przez strach.

Chciałem zareagować. Chciałem wrzasnąć, że jestem z policji, wycelować w Wolfe'a i w Haddocka, kazać im rzucić broń, może nawet otworzyć ogień i uwolnić świat na zawsze od zabójców mojego brata. Ale wtedy Haddock spokojnie pociągnął za spust remingtona.

Siła uderzenia oderwała od ziemi stopy gliniarza, który dosłownie poszybował w powietrzu z rękami przy bokach jak ołowiany żołnierz, po czym twardo wylądował na grzbiecie.

– Zmywamy się! – ryknął Wolfe, patrząc na mnie. – Bierz Kenta!

Nawet przez głośnie dzwonienie w uszach słyszałem spanikowane krzyki Ryana Jamesa i drugiego gliny w radiowozie, gdy na ich oczach bandyta strzelił do policjanta. To był mój najgorszy koszmar: zapuściłem się za daleko i teraz patrzyłem, jak wszystko się wali. Dzięki Bogu, postrzelony glina się poruszał i sam przetoczył na bok, ale wiedziałem, że bez pomocy medycznej długo nie pociągnie. Ambulans znajdujący się na miejscu zdarzenia był wrakiem, a ratownicy w szoku, więc nie miałem pewności, czy ma jakieś szanse.

Nienawidząc siebie, podbiegłem i poderwałem rannego Kenta na nogi. Niemal go dusząc, z pomocą Wolfe'a powlokłem go do minivana, podczas gdy Haddock nas osłaniał.

Nie do wiary, odkąd się wszystko zaczęło, minęło jakieś trzydzieści sekund. Nie nadjechał żaden inny pojazd, ale z obu stron ulicy nadchodzili piesi. Gapili się na nas zza rzędów zaparkowanych samochodów, wskutek czego czułem się jak aktor w marnym przedstawieniu teatru ulicznego.

Wolfe otworzył boczne drzwi vana. Wrzuciłem Kenta do środka. Wbijając mu lufę strzelby w kręgosłup, pchnąłem go w przejście pomiędzy fotelami. Wskoczyłem za nim, gdy Haddock wsiadał z drugiej strony.

Wolfe cofnął z piskiem opon i objechał ambulans, gdy Tommy wrzucił wsteczny i uderzył bedfordem w zaparkowane auto, żeby zrobić dla nas miejsce. Gdy przejeżdżaliśmy, Wolfe zwolnił i Tommy wskoczył przez otwarte drzwi, zatraskując je za sobą.

Ruszyliśmy w drogę.



## 24.

Przez dobre trzy sekundy Tina siedziała bez ruchu, próbując ogarnąć to, co widziała pięćdziesiąt metrów przed sobą w blasku migających świateł. Najpierw pomyślała, że zdarzył się wypadek, że w ambulans wiozący Kenta uderzyła furgonetka, która wyjechała tyłem z bocznej ulicy. Potem zobaczyła mężczyzn w kominiarkach wpychających kogoś do czarnego minivana i zrozumiała, co się dzieje. Kent został uprowadzony, a co bardziej niepokojące, porywacze byli uzbrojeni. Widziała jednego ze strzelbą, a dalej na ziemi leżał ranny. Po białej koszuli i czarnej kamizelce chroniącej przed bronią białą poznała, że to policjant.

– Boże – mruknął Grier z niedowierzaniem. – Czy to porwanie?

– Dzwon po wsparcie – warknęła Tina, gdy minivan nagle się cofnął i objechał ambulans. Wrzuciła pierwszy bieg.

- Co pani robi?
- A jak myślisz? Nie pozwalam Kentowi uciec.

Żałując, że nie ma lepszego wozu, ruszyła za minivanem. Kazala Grierowi przykleić koguta, którego trzymała w schowku w desce rozdzielczej, żeby przestępcy wiedzieli, że ściga ich policja.

Kolejna postać w kominiarce wskoczyła do minivana, który przejechał przez wąską lukę pomiędzy zniszczonymi pojazdami i autami zaparkowanymi wzdłuż jezdni, po czym przyspieszył, pędząc Doughty Street w kierunku Theobalds Road.

Tina pomknęła za nim, potrącając zaparkowany samochód. Nie mogła odczytać numerów rejestracyjnych minivana, gdyż jechał bez świateł. Wcisnęła gaz do deski, żeby go dopędzić.

Kierowca widocznie spostrzegł, że jest śledzony, bo też przyspieszył i bez zwalniania przeskoczył skrzyżowanie. O włos minął rowerzystę, który musiał zeskoczyć na chodnik, żeby uniknąć potrącenia. Minivan z piskiem opon skręcił ostro w prawo i pomknął ku Bloomsbury.

Tina wiedziała, że musi zrobić to samo. Nie może ich zgubić. Nie teraz, kiedy wiozą ładunek tak cenny jak Andrew Kent. Z zaciśniętymi zębami, nie zważając na protesty Griera, przemknęła przez skrzyżowanie, szaleńczo kręcąc kierownicą. Wyrównała w ostatniej chwili, unikając uderzenia w taksówkę, z której ktoś wysiadał po drugiej stronie ulicy.

Tylko dwadzieścia metrów dzieliło focusa i minivana. Tina odczuła przypływ radosnego podniecenia, czym byłaby zszokowana, gdyby miała czas nad tym pomyśleć.

Minivan z niewłaściwej strony wyprzedził autobus, wciskając się pomiędzy nadjeżdżające pojazdy. Osiągnął prędkość

osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i wciąż przyspieszał.

Tina dusiła gaz i trzymała się blisko niego.

– Chryste, uważaj! – zawył Grier, gdy gwałtownie skręciła, żeby wyminąć nadjeżdżające auto. – Zabijesz nas!

– Bierz telefon i podaj im numery. Nie możemy go zgubić!

Minivan kluczył, wyprzedził kolejny wóz, ale nie mógł się jej pozbyć. Teraz dzieliło ich tylko piętnaście metrów. Zaraz będzie mogła odczytać cyfry i litery na tablicy rejestracyjnej.

Nagle jeden z pasażerów w kominiarce wychylił się przez okno i wycelował w nich ze strzelby. Grier wrzasnął coś niezrozumiale. Tina odruchowo wcisnęła hamulec i zakręciła kierownicą. Zdążyła schować głowę, gdy przednia szyba eksplodowała, zasypując ją kawałkami szkła. Samochód się obrócił, kiedy straciła panowanie nad kierownicą, i zjechał z drogi. Zawieszenie zgrzytnęło wściekle, gdy wóz wskoczył na chodnik i uderzył bokiem w pustą witrynę sklepową, zmuszając do ucieczki klientów siedzących w pobliskim ogródku kawiarnianym. Na szczęście nikt nie ucierpiał.

Tina oddychała szybko i urywanie, gdy wyprostowała się w fotelu, strząsając odłamki szkła. Samochód stał tyłem do kierunku jazdy i w lusterku wstecznym widziała mini vana niknącego za rogiem.

Obmacała się szybko, nie znajdując żadnych obrażeń. Spojrzała na Griera ze strachem, bo gdyby został ranny, to przez nią. Na szczęście był tylko wstrząśnięty. Poczowała ogromną ulgę. W trakcie pracy straciła dwóch kolegów. Nie zniosłaby utraty kolejnego.

Grier już rozmawiał przez telefon z dyżurnym. Opisał, co się stało, po czym dodał, że nie miał szans odczytać numeru rejestracyjnego podejrzanego pojazdu.

– Zabezpieczymy miejsce zdarzenia – powiedział i się rozłączył.

Tina westchnęła.

– Nic ci nie jest?

Spojrzał na nią wściekle i widziała, że próbuje zachować spokój, bo bez względu na to, co mu chodziło po głowie, wciąż była jego przełożoną – choć nikt nie mógłby zgadnąć, czy to się szybko nie zmieni. Zawsze uważano ją za narwańca, który przyciąga kłopoty, jeśli nawet nie z własnej winy. Zginęli ludzie, którzy z nią pracowali, a w zeszłym roku sama kogoś zabiła, oficjalnie nie będąc na służbie, i choć nie postawiono jej zarzutów, niektórzy wciąż postrzegali zdarzenie jako plamę w jej już paskudnie splamionych krwią papierach. Staranowanie sklepu w trakcie pościgu i narażenie życia przerażonych obywateli było kolejną plamą, zwłaszcza że piła.

Tina westchnęła i przetarła oczy. Wiedziała, że czeka ją dmuchanie w alkomat. Z ulgą pomyślała, że w pubie nie wypiliła ani kropli i że wódkę w toalecie łyknęła dostatecznie dawno, by zmieścić się w dopuszczalnej normie.

A jednak przeczuwała, że niebawem szczęście się od niej odwróci.

– Nic mi nie jest – rzekł Grier cicho głosem drżącym z emocji – ale dlaczego pani to zrobiła? Mogła nas pani zabić.

Grier należał do nowego pokolenia policjantów, którzy siedzą za biurkiem i nie lubią podejmować większego ryzyka.

Choć trzymał się na tyle, żeby dokończyć rozmowę z dyżurnym 999, Tina poczuła do niego pogardę.

– Musiałam podjąć decyzję w ułamku sekundy – odparła stanowczym tonem. – Nie chciałam ich zgubić.

– Cóż, zgubiła ich pani – powiedział powoli, a ona zauważyła, że trzęsą mu się ręce. – Nie da się tego ukryć.

Tak, zawaliła. Powinna dopilnować, żeby Kent pojechał do szpitala ze zbrojną eskortą.

Nie tylko błędnie zinterpretowała sytuację, ale też wiedziała, że gdyby trzymała się z tyłu, zamiast pędzić za minivanem jak nastolatek świeżo po zrobieniu prawka, miałyby większe szanse ich tropić.

Jęknęła. Bez względu na to, z której strony spojrzeć, sytuacja wyglądała koszmarnie. A ona zawaliła na całej linii.

## 25.

– Czemu do niego strzeliłeś? Mówiłeś, że nie będzie przemocy, a tu nagle twój kumpel wali do gliny z bliska. Dlaczego?

Jechaliśmy już drugim pojazdem, rozklekotanym minibusem skradzionym wczoraj spod domu starszej pary – typowe bezduszne posunięcie Tyrone'a Wolfe'a. On i Haddock siedzieli z przodu, ja wprost za nimi z lufą strzelby na plecach Andrew Kenta, który leżał w wąskim przejściu rozdzielającym fotele, twarzą w dół, w milczeniu, z mocno zaciśniętymi powiekami. Był zdecydowany nie patrzeć na nas, gdy zdjęliśmy kominiarki, ponieważ oznaczałoby to dla niego pewny wyrok śmierci. Krew wciąż ciekła mu z rozbitej przeze mnie głowy i sieć ciemnych strumyczków przecinała jego policzek. Za mną siedział Tommy, w milczeniu paląc papierosa.

Minivan został porzucony na pustym parkingu za blokiem na terenie Barnsbury Estate w Islington, ledwie półtora kilometra

od miejsca porwania, i podpalamy, żeby zniszczyć wszelkie wiążące go z nami ślady. Według Wolfe'a parking nie był monitorowany przez kamery i nikt nas nie widział, gdy się prześiadaliśmy. Minibus, którym od piętnastu minut jechaliśmy na północny zachód przez Londyn, był czysty.

Siedziałem w ponurym milczeniu, wstrząśnięty tym, co zaszło. Zastanawiałem się gorączkowo, co mam zrobić, żeby zapanować nad sytuacją. Wiedziałem, że muszę zebrać jak najwięcej informacji o naszych przyszłych posunięciach, żebym mógł sprowadzić policję tam, dokąd zmierzamy. Najpierw jednak chciałem wylać żółć na ludzi, którzy właśnie postrzelili policjanta, chciałem nagrać, jak się przyznają, żeby już nigdy nie zobaczyli świata za murami więzienia.

Wolfe zajmował teraz miejsce pasażera, a Haddock prowadził. Obrócił się w fotelu. Ostre, bezwzględne rysy miał ściągnięte w złym grymasie, zez był jeszcze wyraźniejszy niż zwykle.

- Dostał, bo się na mnie rzucił, zgadza się?
- Ale sobie z nim poradziłeś – warknąłem. – Nie stawiał oporu, mogłeś więc na tym poprzestać. Albo skoro tak ci zależało, walnąć go kolbą broni. Ale nie. Zamiast tego ten kutas...
- powiedziałem do Wolfe'a, wskazując na jego zwalistego kumpla – strzelił i teraz będzie nas szukać każdy glina w promieniu dwustu kilometrów nie tylko za porwanie, lecz także za morderstwo. Może nie jedno, skoro strzeliłeś do tego wozu, który za nami jechał.
- Kogo nazywasz kutasem? – zapytał ostro Haddock, zwalnając i patrząc na mnie ze złością w lusterku wstecznym.
- Albo przeprosisz, albo ukręcę ci ten pierdolony łeb.

Wolfe kazał mu jechać.

– Nie chcemy przyciągać uwagi. A ty – zwrócił się do mnie – przeproś go. Natychmiast.

Postawiłem się. Już się nie przejmowałem, że rozgniewam kogoś z tych dwóch psycholi, a poza tym z trudem panowałem nad emocjami. W tej chwili niczego bardziej nie pragnąłem, jak wymierzyć do nich ze strzelby, powiedzieć, kim jestem, i przypomnieć, co zrobili mojemu bratu. A potem pociągnąć za spust. Zamiast tego ze złością pokręciłem głową.

– Pierdol się. Walcie się obaj. Wpakowaliście mnie w gówno po uszy.

– Spokojnie, chłopaki, spokojnie – odezwał się Tommy za moimi plecami. – Co się stało, to się nie odstanie.

Już wyraził swoje niezadowolenie z powodu postrzelenia gliniarza. W typowy dla siebie sposób po krótkim narzekaniu pogodził się z faktem, uznając to za ryzyko zawodowe. Teraz wyraźnie próbował przywrócić swego rodzaju status quo. Jak większość brutalnych przestępców, na których natknąłem się w ciągu lat pracy, rzadko tracił czas na martwienie się o los ofiar, zwłaszcza tych w mundurach. Zastanawiałem się, czy użył tych samych słów, żeby podsumować los mojego brata. „Co się stało, to się nie odstanie”. A potem wzruszył ramionami i żył dalej, nie poświęcając myśli spustoszeniu, jakie spowodował w mojej rodzinie.

– Dobrze powiedziane, Tommy – pochwalił Wolfe. – Co się stało, to się nie odstanie. A ja zrobiłem, co musiałem. Gdybym próbował go uderzyć, a on znów chwyciłby za broń, mogłoby się skończyć kompletną rozpierduchą. Było tam czterech gliniarzy plus ratownicy. Musieliśmy wysłać ostrzeżenie. Wybór



był prosty. Albo podziurawić tego glinę, albo ryzykować dziesięć lat za kratkami. – Westchnął. – Nikt nie chciał strzelać do gliny...

– Ja chciałem – wtrącił Haddock. – Mam nadzieję, że sukinsyn nie żyje. I wciąż czekam na przeprosiny tej łajzy.

– Daj już spokój, Clarence – rzucił Wolfe. Odwrócił się w moją stronę i zrobił pojednawczą minę. – Próbuję powiedzieć, Sean, że ja też nie lubię strzelać do glin, bo to zawsze oznacza zbyt wiele kłopotów. Ale faktem jest, że zrobiliśmy, za co nam zapłacono, czyli zgarnęliśmy tego małego pojeba.

Wskazał na Kenta, który leżał nieruchomo jak kłoda, z zamkniętymi oczami. Odruchowo przycisnąłem lufę strzelby do jego pleców. Po wszystkich błędach, które popełniłem, nie miałem zamiaru pozwolić uciec niebezpiecznemu, obłąkanemu zabójcy seksualnemu.

Westchnąłem, rękawiczką wycierając pot z czoła. Minibus nie miał klimatyzacji, a noc była parna i ciepła.

– Chcę reszty mojej forsy – zażądałem, świadom, że mam dość dowodów, żeby zapuszkować Wolfe'a i Haddocka, w ten sposób wreszcie mszcząc mojego brata. – Potem znikam.

– Dostaniesz, gdy pogadam z klientem.

Zastanawiałem się, jak klient przyjmie wiadomość, że jego plan zemsty spowodował śmierć co najmniej jednej osoby. Jeśli rzeczywiście zależy mu na prawdziwej sprawiedliwości, nie będzie zachwycony.

– Pogadaj z nim teraz – powiedziałem.

– Nie rozkazuj mi, Sean. Pogadam z nim w miejscu spotkania.

- Czyli gdzie?
- Jakies pół godziny jazdy stąd. To miłe, spokojne miejsce, daleko od hałaśliwych sąsiadów.
- Do kogo należy?
- A po co chcesz to wiedzieć?
- Bo chcę mieć pewność, że żaden ślad w dokumentach nie doprowadzi policji do twojego klienta, a potem do mnie. Oto dlaczego.
- Z tym miejscem nie wiąże się żaden ślad w dokumentach. Jest opuszczone od lat.
- Skąd wiesz?
- Klient mi powiedział, wystarczy? – burknął Wolfe z irytacją. – A teraz przestań mnie wypytywać. Później dostaniesz resztę forsy i na tym koniec.

Umilkłem, wiedząc, że przez parę następnych godzin muszę zachować przytomność umysłu, bo jedno było pewne: nikomu w tym vanie nie można ufać. Od początku miałem złe przeczucia co do tej roboty, ale teraz, gdy siedziałem w dusznym gorącu, zimny strumyczek potu spływał mi po kręgosłupie. Pociłem się ze strachu.

Moje samopoczucie znacznie się pogorszyło, gdy Andrew Kent otworzył oczy – pełne takiego samego strachu, jaki widziałem u gliniarza tuż przed strzałem – popatrzył na mnie i powiedział coś naprawdę bardzo dziwnego.

## 26.

– Nie jesteś jednym z nich, prawda?

Kent wyrzekł te słowa wysokim, kobiecym głosem, idealnie pasującym do miękkich, chłopięcych rysów jego twarzy, które – jak miałem okazję się przekonać – były niebezpiecznie zwodnicze. Już raz o mało nie uciekł i wciąż bolał mnie brzuch po tym wyjątkowo wprawnym kopnięciu karate.

Spiąłem się. Przecież nie może znać mojej prawdziwej tożsamości. Do tej nocy nigdy go nie widziałem.

– Co masz na myśli? – zapytałem.

Wolfe obrócił się w fotelu.

– Zamknij się, konusie! Nikogo nie obchodzi, co masz do powiedzenia. Tommy, zaknebluj sukinsyna.

– Jestem niewinny – rzucił Kent desperacko, wciąż na mnie patrząc. – Przysięgam. Wiesz o tym. Oni nigdy ci nie zapłacą.

– Mówiłem, zamknij się, bo sam cię rozwalę! – ryknął Wolfe, mierząc z siga w twarz Kenta.

Kent nie dał za wygraną. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie brzmiało wyzwanie i miał błysk w oku.

– Ale nie możesz, prawda? Bo potrzebujesz tego, co wiem. Zgadza się?

Przez twarz Wolfe'a przemknął cień wątpliwości.

– Mogę wpakować ci kulkę w rękę. I zrobię to z przyjemnością. Bo nie zadaję się z parszywymi gwałcicielami. Tommy, zaknebluj go.

Tommy odgryzł kawałek grubej taśmy z rolki, którą miał przy sobie, i złapał Kenta za włosy, podnosząc go z podłogi.

Nacisnąłem stopą na jego plecy i Tommy musiał go puścić.

– Chcę posłuchać, co ma do powiedzenia. Myślałem, że występujemy w roli samozwańczych stróżów prawa.

– Ty nic nie wiesz – wyrzucił z siebie Kent. – To nie ma nic wspólnego z prawem. Sprawa jest znacznie grubsza. Mam potrzebne im informacje i gdy je uzyskają, zabiją nas wszystkich. Ciebie też.

– Stul pysk! – Głos zadudnił we wnętrzu minivana.

Wolfe odpiął pasy i rzucił się jak wąż pomiędzy przednie fotele. Złapał Kenta za gardło i wcisnął mu lufę pistoletu w twarz. – Jeszcze słowo – szepnął – jeszcze jedno słowo, a cię ukatrupię. Tu i teraz.

Nie mogąc mówić, z twarzą wykrzywioną przez lufę, Kent spojrział mi w oczy i bezgłośnie wypowiedział dwa słowa:

– Pomóż mi.

Nagle ogarnęło mnie straszne współczucie, gdy tak leżał bezradnie na brudnej podłodze. Może jest mordercą i gwałciicielem, ale nie ma żadnego usprawiedliwienia, żeby go tak traktować. To sadyzm. Jeśli chcę mieć jakąś przyszłość poza murami więzienia, muszę się zachować jak glina i dołożyć wszelkich starań, żeby go chronić. I jeśli ma informacje, które mogą zaważyć na losach mojej operacji i ujawnić tożsamość klienta, muszę ich wysłuchać.

– Chcę wiedzieć, co ma do powiedzenia – powtórzyłem stanowczo.

– Gównu ci do tego – warknął Wolfe, patrząc na mnie wściekle z odległości pół metra. – Jesteś wynajętym pomagierem, pamiętasz?

Coś we mnie pękło, gdy usłyszałem takie słowa z ust człowieka, który zamordował mojego brata. Spowiała mnie czerwona mgła i zanim zdążyłem pomyśleć, podniosłem strzelbę i wycelowalem. Wylot lufy znalazł się piętnaście centymetrów od jego piersi.

– Nie mów do mnie w ten sposób. Dość mam tego pomiatania. Mam prawo wiedzieć, o czym mówi ten gnojek, więc bądź tak miły i opuść broń. Ale już.

Wolfe nie odsunął pistoletu od twarzy Kenta.

– Co ty, kurwa mać, sobie wyobrażasz?

Szczerze mówiąc, wcale nie byłem pewien, ale gdy raz zacząłem, musiałem doprowadzić sprawę do końca.

– Nie podoba mi się to wszystko – odparłem, wciąż w niego mierząc z palcem na spuście. – Chcę wiedzieć, dlaczego zwinęliśmy tego gościa, kim jest twój klient i dokąd jedziemy. I to zaraz.

– Dajcie spokój, chłopaki – odezwał się niepewnie Tommy za moimi plecami. – Uspokójmy się i zrobmy, co trzeba. Sean, przestań celować w Tyrone'a.

– Ktoś mi wciska głodne kawałki, Tommy – rzuciłem przez ramię – i to mi się nie podoba. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia ten facet.

– Lepiej sobie odpuść – syknął Wolfe, prężąc się w fotelu.

– Mówiłem, żeby nie ufać tej łajdzie – mruknął Haddock zza kierownicy.

Słyszałem walenie serca w piersi i wiedziałem, że wykonałem zły ruch. Zrobiłem sobie wrogów z nich obu i nie było już odwrotu. Ale coś tutaj cholernie nie grało. To nie była akcja samozwańczych stróżów prawa. Ani przez chwilę, o czym powinienem wiedzieć od początku. Czego jednak Wolfe może chcieć od podejrzanego seryjnego zabójcy? Jak rozumiałem, Kent ma informacje, które dają mu pewność, że Wolfe go nie zabije. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale jeśli miały coś wspólnego z klientem Wolfe'a, musiałem ich wysłuchać. Nagrałem już dość, żeby Wolfe i Haddock dostali wyroki skazujące. Jeśli zdołam wyrwać Kenta, może odkryję, co wie, przekażę go w ręce władz i zmierzę się z dochodzeniem, które potem nastąpi.

Ale najpierw muszę sam się wyrwać.

Wbiłem oczy w Wolfe'a. On nie pozostał dłużny.

Mój cały świat skurczył się do wnętrza minibusa, który cuchnął starością i potem.

– Rzuć broń – powtórzyłem, starając się nie okazać strachu.

Wolfe przyciskał pistolet do policzka Kenta.

– A bo co? Pociągniesz za spust? Do tego trzeba mieć jaja, synu. Patrzę w twoje oczy i mogę ci powiedzieć, że ty ich nie masz.

Przełknąłem ślinę, świadom, że kropelka potu spływa do kącika mojego oka, zmuszając mnie do mrugnięcia.

Wtedy poczułem coś zimnego z tyłu głowy.

– Chyba będzie lepiej, Sean, jeśli ty to zrobisz – rzekł Tommy. – Przykro mi, stary, ale tak będzie lepiej.

Nie spodziewałem się tego po nim, choć może powinienem. Koniec końców zawsze był lojalny wobec ekipy. Mimo wszystko czułem ulgę, gdy opuściłem strzelbę, dopóki Wolfe nie wyrwał jej z mojej ręki, nie obrócił i nie wepchnął lufy pomiędzy moje nogi, jednocześnie mierząc mi z pistoletu prosto między oczy. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się po niewłaściwej stronie trzech sztuk broni palnej.

– Pilnuj Kenta – polecił Wolfe Tommy'emu. – Załóż mu knebel. I zwiąż ręce za plecami. Nie chcę, żeby ten sukinsyn ruszył się bodaj o cal. – Popatrzył na mnie z czystą nienawiścią.

Milczałem. Nie mogłem mówić. Nie miałem absolutnie żadnych wątpliwości, że mężczyzna trzymający pistolet przy mojej głowie jest zimnokrwistym mordercą, który przed laty zastrzelił mojego brata, i że teraz nadeszła moja kolej. Nie pierwszy raz byłem bliski śmierci... Jezu, nawet tego samego dnia mało brakowało... ale nie w ten sposób. Czułem chłód lufy przyciśniętej do skóry i widziałem mroczną pogardę w zdrowym oku Wolfe'a. Nie mogłem nawet powtórzyć wcześniejszej

sztuczki i odtrącić broni, nie wtedy, gdy celowano we mnie z trzech luf.

Wolfe odbezpieczył sigę, krzywiąc usta w sadystycznym uśmiechu. Widziałem, jak czubek jego palca wskazującego naciska na spust.

– Teraz nie jest tak przyjemnie, prawda, Seany? Gdy ktoś celuje w ciebie.

Z trudem przełknąłem ślinę. Serce waliło mi jak młotem, gdy upływały ostatnie sekundy mojego życia. Zastanawiałem się, czy John doświadczył tego samego skręcającego kiszki strachu, jaki czułem, gdy siedziałem i czekałem na śmierć, świadom, że nic nie mogę zrobić, żeby powstrzymać kulę. Byłem bezradny, o czym wiedzieli wszyscy w tym cuchnącym minibusie.

– Nie rób tego, Tyrone – powiedział Tommy. Widziałem go kątem oka, przykładał krótką lufę rewolweru do karku Kenta, zaklejając mu usta taśmą. – Wszyscy jesteśmy podkręceni po tym, co się stało. Sean nie powinien robić tego, co zrobił, bez dwóch zdań, ale każdy z nas popełnił głupstwo w gorączce chwili. Nie chcemy dalszych komplikacji, prawda? Dlatego daj spokój. Opuśćmy broń, jedźmy na miejsce spotkania i miejmy to z głowy.

– Co sądzisz, Clarence? – zapytał Wolfe, nie odrywając oczu od mnie.

– Rozwał sukinsynowi łeb. Jest kulą u nogi, już go nie potrzebujemy.

W minibusie zapadła cisza. Czas decyzji: śmierć albo życie. Wolfe powoli pokiwał głową, jakby zdecydował.

– Następnym razem, gdy we mnie wycelujesz – zaczął,



powoli i wyraźnie wypowiadając każde słowo – zabiję cię bez zmruczenia oka. Rozumiesz? – Pauza. – Rozumiesz?

– Tak – odparłem, doznając ulgi tak potężnej, że mało nie zwymiotowałem.

– To dobrze.

Wetknął pistolet za pasek i wyjął lufę strzelby spomiędzy moich nóg.

Potem zniecka trzasnął mnie kolbą w twarz i mój cały świat eksplodował w rozbłysku palącego bólu.

## 27.

Tina zaciągnęła się głęboko papierosem. Żałowała, że nie może strzelić sobie drinka. Była za dziesięć dziesiąta, minęła ponad godzina, odkąd skasowała focusa. Na dostojnej, cichej Doughty Street, gdzie teraz stała, panowała aktywność typowa dla miejsca poważnego przestępstwa. Samochody policyjne blokowały dostęp z obu stron, technicy kryminalistyki zajmowali się trzema pojazdami – ambulansem, radiowozem i furgonetką Bedford – czyli wszystkim, co pozostało po zuchwałej operacji porwania Andrew Kenta.

Szczegóły tego, co właściwie się wydarzyło, wciąż pozostawały niejasne, ale według wszystkich świadków, z których większość służyła w policji, był to dobrze zaplanowany i profesjonalnie przeprowadzony napad z udziałem czterech uzbrojonych mężczyzn. Byli bezwzględni, strzelili do jednego z policjantów pilnujących Kenta, gdy próbował interweniować.

Dwudziestosiedmioletni Gary Hancock przebywał obecnie na oddziale intensywnej opieki medycznej w szpitalu University College, tym samym, do którego miał trafić Kent, i jego stan był nieznany. Tina знаła go z widzenia i wiedziała, że jest miłym facetem, który niedawno zaręczył się z policjantką z posterunku w Camden.

A sprawcy rozplynęli się w powietrzu. W Islington znaleziono spalony samochód, którym uciekali. Już trwała zakrojona na szeroką skalę obława z helikopterami i strategicznie rozmieszczonymi blokadami dróg w całym północnym Londynie. Nikt jednak nie miał pojęcia, jakiego samochodu szukać, a Tina z doświadczenia wiedziała, że po upływie takiego czasu zatrzymanie sprawców graniczy z niepodobieństwem.

Ta myśl ją rozgniewała. Bandyci próbowali ją zabić i niemal im się udało. Gdyby oboje z Grierem nie zdążyli się schować, wyładowałiby na OIOM-ie jak Gary Hancock. Albo w kostnicy.

Ale ich dopadnie. Przysięgła to sobie. I Kenta. Po raz pierwszy zastanowiła się, czy Kent żyje. Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby go uprowadzić. Oczywiście mógł symulować otrucie ze świadomością, że zostanie uratowany, lecz jakoś w to nie wierzyła. Powtarzał, że powie jej wszystko, gdy zabierze go do szpitala, ale wszystko o czym? Musi być Upiorem, zbyt wiele dowodów świadczyło przeciwko niemu, żeby w to wątpić. A jednak... a jednak jest jakaś luka w tej układance. Czegoś brakuje.

Tina znów się zaciągnęła papierosem. Postanowiła, że się dowie, o co chodzi, jeśli nawet będzie to oznaczać pracę non stop przez cały tydzień.

Kątem oka widziała, jak Grier składa zeznanie dwóm detektywom ze Scotland Yardu, z agencji do zwalczania przestępczości zorganizowanej, równie młodym jak on, i niewątpliwie im mówi, jaką bezmyślną idiotką jest jego szefowa. To dziwne, mając zaledwie trzydzieści jeden lat, postrzegala siebie jako weterankę, podczas gdy naprawdę niedawno – pięć, może sześć lat temu – była równie zielona jak posterunkowy Grier, z głową nabitą wszystkimi tymi wzniosłymi hasłami i większą ilością ideałów, niż potrzeba (choć nigdy nie lubiła się do tego przyznawać). W tych czasach też nie popierała kary śmierci. Jak bardzo zmieniło się jej życie, i wcale nie na lepsze. Przeżyła tyle, że czasami na myśl o wszystkich strasznych rzeczach, które spotkały ją i ludzi jej bliskich, chciała się odciąć od świata, zamknąć oczy i nigdy się nie zbudzić.

Kiedy indziej wzbierał w niej morderczy gniew, który kazał jej kopać w ścianę sypialni, tłuc naczynia stołowe, wrzeszczeć na całe gardło, gdy wyobrażała sobie, jak biciem zmusza oprychów do uległości albo torturuje człowieka, którego winiła za zrujnowanie jej życia, niskiego łysiejącego biznesmena Paula Wise'a. Człowieka, którego rozpaczliwie chciała zniszczyć – zabić, jeśli miała być ze sobą szczerą – i jedyną osobę, wobec której była zupełnie bezsilna.

Tina wiedziała, że zaczyna się rozsypywać psychicznie. Sąsiedzi z obu stron jej mieszkania omijali ją szerokim łukiem, podczas gdy kiedyś wymieniali uprzejmości. Jeden z nich – nie wiedziała kto – nawet zadzwonił na policję, kiedy pewnej nocy picie tequili z czerwonym winem doprowadziło ją do metodycznego tłuczenia wszystkich luster w mieszkaniu. To w korytarzu naprzeciwko sypialni stało się przyczyną problemu.

Miało wymiary sześćdziesiąt na sto dwadzieścia centymetrów i sosnową ramę z Ikei. Potraktowała je krzesłem. Pękło z takim hukiem, że odskoczyła ze strachu, potknęła się i uderzyła w regał z książkami. Leżała na podłodze zdezorientowana, a jednak dziwnie zaspokojona, gdy kilka książek w miękkich okładkach i jedna w twardej, stara powieść Jackie Collins, którą kupiła jako nastolatka, po kolei lądowało na jej głowie. Jakoś zdołała przekonać dwóch mundurowych, którzy się u niej zjawili, że nie ma o co robić rabanu. Wiedząc, kim jest, zostawili ją z przyjacielskim słowem ostrzeżenia.

Po tym zdarzeniu odstawiła alkohol (przynajmniej na kilka tygodni), ale zły nastrój nie minął i niejedną raz przychodziło jej do głowy, żeby poprosić o skierowanie do psychiatry albo po prostu wziąć urlop z powodu przeciążenia stresem. Odrzuciła obie możliwości. Praca była jedynym, co nadawało jej życiu pozory równowagi, i na przekór wszystkiemu wciąż była cholernie dobra w tym, co robiła.

I teraz wszystko spieprzyła, nadmiernie ryzykując i narażając nie tylko własne życie, z czym mogłaby się pogodzić, ale też Gdera. Prawie się do niej nie odzywał i potrafiła zrozumieć dlaczego. Zachowywała się nieobliczalnie i była niezdyscyplinowana, a takich ludzi lepiej unikać, zwłaszcza gdy ktoś chce mieć czyste konto.

Zobaczyła, że nadkomisarz MacLeod wysiada z policyjnej furgonetki na skraju kordonu. Był błady i spięty, czemu nie mogła się dziwić. Radosny wieczór w pubie dla uczczenia pomyślnego zakończenia długotrwałej sprawy przeszedł w pełną przemoc tragedię, a podejrzany, którego wytropienie zajęło

tyle czasu, rozpląnął się w powietrzu. Śmigłowce fotoreporterów już krążyły nad miejscem zdarzenia i ekipy filmowe z różnych stacji przepychały się wśród gapiów za taśmą policyjną.

MacLeod ją zobaczył i podszedł z pytaniem, czy wszystko w porządku.

– Bywało lepiej – odparła, gasząc papierosa i próbując zachować chłodny dystans, choć prawdę mówiąc, była mocno wstrząśnięta. Niedawne wydarzenia przypomniały jej o zbyt wielu incydentach z przeszłości.

Obrzucił ją spojrzeniem, jakim ojciec obdarza błądzącą córkę, życzliwym i troskliwym, ale jego twarz wyrażała niemałe zmartwienie.

– Wiesz, pewnego dnia opuści cię szczęście. Uważaj, Tino. Wzruszyły ją jego słowa, lecz jak zwykle tego nie okazała.

– Nie miałam innego wyboru, jak ich śledzić. Nie mogłam pozwolić zwać Kentowi bez walki, prawda?

Pokręcił głową. Zestresowany wglądał tak staro, że aż ją to zdumiało.

– Chciałbym wiedzieć, co się tutaj stało.

Tina odetchnęła i pomyślała, że równie dobrze może mu powiedzieć, co jej chodzi po głowie.

– Banda czterech mężczyzn nie odbija więźnia w taki sposób bez bardzo poważnego powodu. Nie sądzę, szefie, żebyśmy znali choć połowę prawdy.

MacLeod spojrział na nią ostro.

– Myślisz, że pomógł im ktoś z komisariatu?

– A pan tak nie uważa?

– Ale dlaczego? I dlaczego wszyscy ci ludzie gotowi są strzelać do policjantów, żeby dostać w swoje ręce człowieka, który jest tylko wyjątkowo paskudnym zabójcą seksualnym?

– Nie wiem, ale być może mam pewien trop. – Pokrótce przedstawiła różnice pomiędzy morderstwem Roisin O'Neill a pozostałymi czterema. – Zdecydowanie musimy się przyjrzeć temu głębiej. Mam pogadać z jej przyjaciółmi i rodziną, żeby sprawdzić, czy coś z tego wyniknie?

MacLeod nie wyglądał na przekonanego. Westchnął, jego twarz wydawała się czerwiejsza niż zwykle, wyraźnie myślał o czymś innym.

– Muszę wypożyczyć auto – dodała. – Skasowałam focusa.

– Rób, co chcesz – rzucił nagle lekkim tonem. – Dopisz koszt do wydatków. Muszę iść. Muszę iść i wytłumaczyć się przed inspektorem.

Tina wiedziała, że chodzi mu o inspektora Franka Mendel-sona, szefa wydziału zabójstw i poważnych przestępstw, któremu podlegają wszystkie londyńskie grupy dochodzeniowo-śledcze. Powtórzył, żeby uważała na siebie, po czym z nikłym, wymuszonym uśmiechem odszedł w stronę posterunku.

Patrzyła za nim z myślą, że za dziesięć lat może być taka sama: schorowana, w kiepskiej kondycji, wypalona przez pracę, która – kiedy przyjrzeć się jej z bliska – stanowi nieprzerwane pasmo porażek, co być może nigdy się nie zmieni.

Skończywszy składać zeznanie, Grier podszedł do niej z marynarką zarzuconą na ramię. Wyglądał znacznie spokojniej

niż wcześniej, choć Tina się zastanawiała, jak długo to potrwa. Z doświadczenia wiedziała, że szok często następuje z kilkunastu- do kilkudziesięciu godzinnym, nawet kilkudniowym opóźnieniem.

– Boże, co za noc – mruknął, wpychając ręce do kieszeni spodni i rozglądając się po miejscu przestępstwa.

Tina pomyślała, że warto go przeprosić, już niemal miała pierwsze słowa, ale się powstrzymała. Przeproszenie byłoby równoznaczne z przyznaniem się do winy, byłoby oznaką słabości i czymś, co ambitny młody Grier mógłby wykorzystać przeciwko niej.

To on wykonał pierwszy ruch.

– Wie pani, co do wcześniejszego... Wiem, że się wściekłem. To dlatego, że byłem zszokowany po tym strzale. Pani pewnie przywykła, dla pani to nie pierwszorzędne. Ale uważam, że podjęcie pościgu było słuszne, i tak powiedziałem tym facetom.

Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała tym samym, czując wyrzuty sumienia.

– Dzięki, jestem wdzięczna.

– Jak poszło zeznawanie? O nic pani nie obwinia, prawda?

Pokręciła głową.

– Nie sądzę. Mieliśmy powody ich ścigać i udało mi się przejść pomyślnie badanie alkomatem, choć mało brakowało.

– Nie widziałem, by piła pani w pubie – zauważył, nie kryjąc zaskoczenia.

– Wychyliłam parę drinków – odparła, myśląc, że jest bardziej spostrzegawczy, niż przypuszczała. – Słuchaj, Dan, jeśli



chcesz, możesz wracać do domu. To był długi dzień.

– A pani co zamierza zrobić? – Urwał. – Chce pani kontynuować, prawda?

– Przez wiele miesięcy polowaliśmy na Kenta, a teraz ktoś sprzątnął go nam sprzed nosa, postrzelił jednego z naszych, nas też chciał zabić. To chyba naturalne, że chcę się dowiedzieć, kim oni są i dlaczego to zrobili.

– A od czego pani zacznie?

– Od Roisin O'Neill, rzecz jasna. Jej zabójstwo stanowi jedyne odstępstwo od schematu Andrew Kenta.

Jak MacLeod, Grier nie wyglądał na przekonanego.

– Przecież była po prostu zwyczajną dziewczyną. Co mogła mieć wspólnego z tym, co się dzieje teraz?

Z doświadczenia Tiny wynikało, że nawet najzwyczajniej si ludzie mogą być zamieszani w najbardziej przerażające zbrodnie.

– Chcę pomówić z jej najbliższymi przyjaciółmi i rodziną. Zobaczą, czy mogą rzucić nowe światło na jej życie osobiste, wskazując jakieś tropy.

– Przecież niedawno im powiedzieliśmy, że aresztowaliśmy człowieka, który ją zamordował.

– Wiem. I niebawem się dowiedzą, że uciekł z aresztu, co im się nie spodoba. Ale musimy pracować, opierając się na faktach, które teraz mi mówią, że coś jest nie w porządku.

– Nadal jestem przekonany, że Kent miał coś wspólnego z tym zabójstwem. I widziano go w jej kamienicy, pamięta pani?

– Pamiętam. Ale jest w to zamieszany również ktoś inny,

musi być. Roisin mogła znać tę osobę, dlatego chcę porozmawiać z ludźmi, którzy dobrze ją znali.

Pokiwał głową.

– W takim razie chciałbym pomóc – oznajmił.

– Jesteś pewien, że nie musisz jechać do domu? – zapytała, natychmiast żałując szyderczego tonu.

– Nie – odparł stanowczo. – Nie muszę. Chce pani mojej pomocy czy nie?

Tina często lubiła pracować sama, co nie jest cechą dobrego komisarza. Między innymi z tego powodu nie czuła się dobrze w tej roli. Ale była również dość pragmatyczna, by wiedzieć, że w sprawie takiej jak ta, gdy czas działa na ich niekorzyść, potrzebuje wszelkiej pomocy. Zaczęła też sobie uświadamiać, że nie do końca doceniała inteligencję Grier.

– To dobrze – odparła. – Chcę zacząć od rozmowy z rodzicami Roisin.

– Pamiętam, jak rozmawiałem z jej ojcem. Ciężko to przeżył. Jego żona zmarła, gdy Roisin była dzieckiem. Ona i jej siostra były dla niego całym światem. – Wyjął iPhone'a. – Mam gdzieś tu jego numer. Mieszka w Rickmansworth.

– Możesz do niego zadzwonić? Przepraszam, że o tak późnej porze, ale zapowiedz, że zjawimy się w ciągu godziny.

Grier odszedł, żeby porozmawiać z ojcem ofiary, a Tina za telefonowała do informacji i dostała numer najbliższej wypożyczalni Hertz. Właśnie miała do nich dzwonić, żeby wynająć samochód, gdy wrócił Grier, już bez komórki przy uchu. Był zaniepokojony i skonsternowany.

- Co jest? – zapytała czujnie.
- Gdy zadzwoniłem na domowy numer ojca Roisin, odebrała córka... ta druga, Derval.
- I?
- Powiedziała mi, że Kevin O'Neill zmarł na atak serca.
- Kiedy?
- Zeszłej nocy.

## 28.

Cios zadany kolbą strzelby oszołomił mnie, ale nie ogłuszył, i choć krew lała mi się z nosa, chyba nie został złamany.

Od tamtej pory przez pół godziny trzymałem język za zębami i siedziałem ze wzrokiem wbitym w podłogę, starając się nie zwracać na siebie uwagi, na ile to tylko możliwe w takich okolicznościach. Próbowałem zaplanować moje następne posunięcie. Kilka razy przemknęło mi przez głowę, żeby po prostu wyskoczyć z busa i pognać ile sił w nogach, ale powstrzymała mnie świadomość, że Haddock i Wolfe, a nawet Tommy, mogą skorzystać z pretekstu i wpakować mi kulę.

Wiedziałem, że nie mogę czekać z założonymi rękami, nie po tym, co się stało. Wolfe był gotów mnie zabić. Bardzo możliwe, że to zrobi, gdy tylko nadarzy się dogodniejsza okazja.

Gdy gdzieś w pobliżu granicy pomiędzy Hertfordshire i Bedfordshire zjechaliśmy z głównej drogi na wąską, krętą szosę, zacząłem się zastanawiać, czy chwila ta wkrótce nie nadejdzie.

Dochodziła dziesiąta, gdy w końcu dotarliśmy na miejsce spotkania, do opuszczonego dwupiętrowego domu stojącego wśród lasów i pól ledwo widocznych w ciemności. Była to dziwna budowla. Środkowa część wzniesiona z kamienia miała co najmniej sto lat, ale jej rustykalny, tradycyjny wygląd psuły dwie niewątpliwie współczesne, kłocowate przybudówki po obu stronach, zupełnie niepasujące do otoczenia. Wokół stało kilka drewnianych budynków gospodarczych. Przyszło mi na myśl, że kiedyś musiała być tu farma, którą jakiś początkujący przedsiębiorca z ambicją przerastającą budżet próbował przekształcić w hotel. Sądząc po bluszczu, który piął się po frontowej ścianie, dom stał pusty od dobrych kilku lat, a jednak wciąż miał dopływ prądu, bo na parterze paliły się światła.

Posesję otaczało liche siatkowe ogrodzenie. Na otwartej bramie wisiała tablica z napisem „Nie zastawiać”, a obok niej druga, wywieszona przez pośrednika w obrocie nieruchomości: „Na sprzedaż”.

– Wygląda na to, że Lee już jest – powiedział Haddock, gdy wjechaliśmy przez bramę na szczytki żwirowego podjazdu. – Wsiadaj – warknął, obracając się w fotelu, kiedy zatrzymaliśmy się przed drzwiami od frontu. – Zabieramy tę kanalię.

Obaj z Wolfe'em obeszlą busa, otworzyli podwójne drzwi z tyłu i z pomocą Tommy'ego, który wciąż trzymał przy mojej głowie tandetny rewolwer z krótką lufą, wywlekli za kostki szamoczącego się Kenta.

Ze swojego miejsca widziałem, jak Wolfe złapał go za włosy i poderwał na nogi, po czym mocno uderzył w brzuch. Kent zatoczył się na Haddocka, zainkasował ostry cios w nerkę i padł na kolana ze stłumionym przez knebel wrzaskiem bólu. Z rękami skrępowanymi za plecami biedny sukinsyn nie mógł stawiać oporu, gdy Wolfe ze złośliwym błyskiem w oku kopnął go w splot słoneczny. Kopnięcie było tak silne, że odrzuciło go w bok, więc na chwilę zniknął mi z oczu.

Zrobiło mi się niedobrze. To łajdactwo w najczystszej postaci. Bez względu na grzechy, jakie człowiek ma na sumieniu, nie bijesz go, gdy jest bezradny i nie może się bronić. A Wolfe tak właśnie robił i najwyraźniej sprawiało mu to wielką frajdę.

Potem odwrócił się w moją stronę.

– Wysiadaj i pokaż, że jest z ciebie pożytek. Pomóż temu gnojowi wejść do środka.

Gdy wygramoliłem się z busa, rękawem ocierając krzepnącą krew z twarzy, Wolfe podniósł Kenta i pchnął go w moją stronę. Złapałem go w ostatniej chwili, chroniąc przed upadkiem, zaskoczony, jaki jest lekki.

– Tommy, ty wprowadziłeś tego sukinsyna do ekipy – podjął Wolfe, zezując na mnie ze złością. – Pomożesz mu prowadzić Kenta.

Tommy złapał Kenta pod rękę, ja też, i razem powlekliśmy go ku drzwiom. Jego buty szorowały po ziemi, a spod knebla płynęło okropne jęczenie.

Sekundę później drzwi się otworzyły i stanęła w nich muskularna ciemnowłosa Tajka w dżinsach, w zabójczych szpilkach i białej koszulce bez rękawów ze wściekle różowym

motylem na piersi. Była atrakcyjna, ale w twardy, krzykliwy sposób, z silikonowymi piersiami, które przeżyły się agresywnie, z misternymi tatuażami na rękach od ramion po łokcie, z kamiennym wyrazem twarzy, który sugerował, że musiała w życiu walczyć zębami i pazurami o wszystko, co miała. Była to dziewczyna Wolfe'a, Lee, i doskonale pasowała do opisu Tommy'ego, który nazwał ją „wredną zapaśniczką walczącą w klatce”.

Poza tym tarasowała drogę, zmuszając nas, żebyśmy się zatrzymali.

– Cześć, skarbie – odezwał się Wolfe za moimi plecami. – Włączyłaś prąd?

– Jasne – odparła z wyraźnym obcym akcentem. – To nie-trudne. – Oczy jej pociemniały, gdy spojrzała na Kenta, najwyraźniej znając jego historię i przestępstwa, o które był oskarżony. – To on?

– Nie rób mu krzywdy, kochanie – powiedział Wolfe z chichotem. – Klient chce go mieć w jednym kawałku.

– Parszywy kutas – syknęła.

Pochyliła się i splunęła Kentowi prosto w twarz, po czym złapała go za jaja i mocno skręciła.

Kent wydał odgłos, jaki popłynąłby z gardła każdego z nas w podobnych okolicznościach. Szarpał się w naszych rękach, gdy klęła go po tajsaku. Wreszcie go puściła, rzuciła mu jeszcze jedną wiązanekę, minęła nas niedbałym krokiem i padła w ramiona kochanka z piskiem radości, który był mniej więcej tak naturalny jak jej biust.

Kent zwisał w naszych ramionach, ślina ściekała mu po brodzie, a mnie znów ogarnęło współczucie.

– Zabierzcie go do środka – warknął Haddock, wyrastając obok mnie.

Razem zaciągnęliśmy Kenta do zaskakująco przestronnego holu z drzwiami z trzech stron i rozsypującymi się drewnianymi schodami w głębi. Stało tam stare sosnowe biurko recepcyjne z anarchistycznym symbolem nabazgranym czarną farbą i jeszcze bardziej koślawym graffiti. Na ścianach wisiało parę psychodelicznych plakatów, co sugerowało, że kiedyś koczoowali tu dzicy lokatorzy. Dywan, ciemny i poplamiony, miejscami był spleśniały, a w kątach pod sufitem wisiały festony pajęczyn. Ziemisty zapach zgnilizny zatykał nozdrza. Wnętrze przywiodło mi na myśl kryjówkę wampirów z klasycznego filmu z lat osiemdziesiątych *Straceni chłopcy*.

Gdyby ktoś chciał kogoś torturować i ukatrupić, nie mógłby znaleźć lepszego miejsca.

Haddock ze strzelbą w jednej ręce wyprzedził nas i podszedł do drzwi w głębi holu. Otworzył je i skinął ręką, kazując nam iść za sobą. Weszliśmy do wielkiego pustego pokoju z graffiti na ścianach.

– Tutaj.

Otworzył drzwi w kącie i zapalił światło.

Betonowe schody prowadziły do wilgotnej piwnicy, która cuchnęła uryną i pleśnią. Gdy stanęliśmy w progu, Kent zaczął się szamotać i jęczeć. Musiał wiedzieć, że gdy raz zejdzie na dół, już nigdy więcej nie wyjdzie.

Haddock bez słowa stanął za nim i dał mu kopa w krzyż ciężkim buciorem, posyłając go na dół. Kent uderzył głową o belkę, pokoziołkował po schodach i padł na wznak u ich stóp. Wyglądał na obolałego, ale nie stracił przytomności i chyba



niczego sobie nie złamał. Nie mogłem znieść jego przerażonego spojrzenia.

Wiedział, co go czeka. To mnie poruszyło. Wiedział.

Haddock skinął na Tommy'ego, żeby zszedł do piwnicy, po czym łypnął na mnie.

– Zejdź mi z oczu, już cię nie potrzebujemy – burknął i dorzucił złowieszczo: – Pogadamy później.

Zszedł za Tommym po schodach, zamykając za sobą drzwi.

Wolfe mówił, że nie zamierzają skrzywdzić Kenta, ale skoro nie mogłem zobaczyć, w jakim celu udali się na dół, przyłożyłem ucho do drzwi i słuchałem.

– Co ty wyprawiasz?

Wolfe wszedł do pokoju i teraz stał tuż za mną z rękojeścią sigi sterczącą zza paska na brzuchu.

Życie nauczyło mnie między innymi tego, że gdy cię przyłapią na gorącym uczynku, musisz przejść do ofensywy.

– Chciałem posłuchać, czy dają mu wycisk – odparłem, mijając go. – A teraz, jeśli dasz mi resztę forsy, przestanę się tu szwendać.

– Dostaniesz, gdy zjawi się klient – powiedział, idąc za mną do holu.

Lee stała przy starym biurku, nerwowo paląc papierosa. Poświęciła mi tylko przelotne spojrzenie.

Odwrociłem się w jego stronę.

– A kiedy to nastąpi?

Po raz pierwszy zobaczyłem u niego niepewną minę.

– Nie wiem. Już powinien tu być.

– Dlaczego do niego nie zadzwonisz?

To Lee odpowiedziała z irytacją w głosie.

– Bo tu nie ma zasięgu, oto dlaczego. Nie ma zasięgu. Nic nie ma. Ja też chcę dostać moją dolę, wiesz?

– Jesteś pewien, że żadna komórka nie łapie sygnału? – zapytałem Wolfe'a. – Może pozwolisz mi spróbować z mojej?

– Już próbowałem. I z obydwu moich. Wszystkie są martwe.

– Jak się umówiłeś z klientem?

Zapaliłem papierosa i sztachnąłem się łapczywie.

– Że będzie tu dzisiaj. Przed północą.

– Można mu wierzyć?

– Jasne – odparł, ale coś w jego głosie sugerowało, że nie jest absolutnie pewien.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że może jednak Wolfe nie zna dobrze klienta. To mnie zaskoczyło, bo przecież miał opinię człowieka, który lubi wiedzieć, z kim ma do czynienia.

Usłyszałem głosy Haddocka i Tommy'ego, gdy wyszli z piwnicy. Uznałem, że nadeszła właściwa chwila, by się stąd zerwać i uderzyć na alarm. Nie przypuszczałem, żeby po mojej ucieczce spanikowali i zniknęli z Kentem, ponieważ czekali na pieniądze.

– Muszę się odlać – powiedziałem z pełnym irytacji westchnieniem i odwróciłem się od Wolfe'a, ruszając do drzwi frontowych.

– Jasne – mruknął, a ja byłem tak zajęty maszerowaniem ku wyjściu i wolności, że nie widziałem, jak wyjął pistolet zza paska.

Dowiedziałem się o tym, gdy wskutek nagłego kontaktu siga z potylicą ból eksplodował w mojej głowie. Zrobiło mi się

ciemno przed oczami, nogi się pode mną ugięły i z hukiem runąłem na brudny dywan, w ostatniej chwili wyciągając rękę, żeby złagodzić upadek.

– Chyba mamy niedokończone interesy, Seany – rzekł Wolfe. Zdawało mi się, że głos dobiega z daleka. – Prawda?

Potem jak przez mgłę usłyszałem drugi głos i wtedy zrozumiałem, że wpadłem w poważne tarapaty.

– Chcę mieć głowę tego łajzy – wycedził Clarence Haddock.

## 29.

Kręciło mi się w głowie i czułem krew ciekącą z rany. Na szczęście zachowałem przytomność umysłu i zwinąłem się w kłębek, osłaniając głowę rękami, gdy spadał na mnie grad kopniaków.

Nie widziałem, kto kopie. Słyszałem tylko wytężone oddechy, gdy starali się spowodować maksymalne obrażenia. Nie czułem bólu – w walce, nawet tak jednostronnej i brutalnej jak ta, nigdy się go nie czuje. To zasługa potężnego zastrzyku adrenaliny. Czułem tylko serie wstrząsów, gdy ich kopniaki przesuwaly mnie po podłodze. Jeden z nich – chyba ten sukinsyn Haddock – mierzył w nerki, ale niezbyt celnie, i byłem względnie pewien, że na razie nie spowodowali nieodwracalnych uszkodzeń.

Z drugiej strony wiedziałem, że to dopiero początek. Przeze mnie Wolfe i Haddock stracili twarz, co można uznać za niemałe

dokonanie, jako że obu znałem ledwie od dwunastu godzin, i za niebotyczną głupotę, zważywszy na ich skłonności do stosowania przemocy. Na moją korzyść działało tylko to, że pozostali próbowali ich uspokoić.

– Tyrone! Przestań! Przestań! – krzyczała Lee głosem tak przeraźliwie wysokim, że mógłby stłuc szybę. – Co ty wyprawiasz?

Tommy też mówił, żeby dali mi spokój, że zachowują się jak wariaci, ale w jego tonie brzmiała raczej nadzieja niż przekonanie, a przy tym nie kiwnął palcem, żeby im przeszkodzić.

Kopanina trwała. Szybkie wściekle kopniaki padały w milczeniu.

Nagle ustały, jakby się w końcu znudzili.

Przynajmniej tak myślałem, ale gdy leżałem bez ruchu, zaczynając odczuwać ból, usłyszałem warknięcie Haddocka i ciche, pełne złości przekleństwo. W następnej sekundzie Lee wrzasnęła, a ja otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Haddock stoi nade mną w rozkroku z remingtonem uniesionym nad głową jak maczuga, z kolbą wycelowaną prosto w moją twarz. Dostrzegłem błysk szaleństwa w jego oczach, gdy stał nieruchomy jak skała, a potem z rykiem, który na chwilę zagłuszył wszystko inne, opuścił strzelbę.

Instynktownie się przetoczyłem, kolba musnęła moje ramię i uderzyła w dywan z taką siłą, że pękła na dwoje i kawałek przeleciał przez pokój w chmurze kurzu. Gdyby zgodnie z zamysłem Haddocka spotkała się z moją głową, prawie na pewno byłbym już trupem. Zalała mnie fala ulgi, choć widziałem, jak bandzior robi zamach tym, co zostało ze strzelby, gotów ponowić próbę.

– Załatwię cię, łajzo – warknął i pochylił się, opuszczając strzelbę.

Poturlałem się w jego stronę i tym razem nie miał żadnych szans mnie trafić.

Dostrzegając okazję, oburącz złapałem go za nogę z nadzieją, że straci równowagę. Równie dobrze mógłbym próbować wyrwać drzewo z korzeniami. Uwolnił się bez trudu, z frustracją waląc mnie w krzyż połamanym remingtonem. Stał za blisko, żeby zrobić mi prawdziwą krzywdę.

– Wystarczy, Clarence! – szczeknął Wolfe, wciąż zdyszany z wysiłku. – Daj spokój. Dostał za swoje.

Przewróciłem się na plecy sztywny i obolały. Przypuszczałem, że mam parę złamanych żeber.

– Nic nie zrobiłem – wyszeptalem i nawet to sprawiło mi ból. – Tylko pytałem, co tutaj robimy.

– Celowałeś do mnie, kurwa, z pistoletu – wyjaśnił Wolfe.

– A ty we mnie. Więc mamy remis.

– Nie rozumiem, czemu się go po prostu nie pozbyć – mruknął Haddock. – Nie jest nam potrzebny i możemy wziąć jego dołą.

– Chłopcy, dajcie spokój – odezwał się Tommy. – Uważajmy, co mówimy.

Haddock pokręcił głową.

– Nie ufam mu. Nic nie robi, tylko dopytuje.

– Chciałem tylko wiedzieć, dlaczego, do cholery, porwaliśmy Kenta. Nadal jestem ciekaw.

– Bo jest zasranym gwałcicielem – wtrąciła Lee, podchodząc i stukając obcasami po zapleśniałej podłodze.

– Słuchajcie – zacząłem desperacko, próbując zaapelować

do każdego, kto raczy mnie słuchać – w całej tej sprawie coś potwornie śmierdzi. – Obróciłem głowę w stronę Wolfe'a. – Chodzi o to, że jeśli twój klient jest krewnym jednej z ofiar, to jak udało mu się ustawić wszystko tak szybko? Przecież Kenta aresztowali ledwie wczoraj. Kiedy cię wynajął? Bo jeśli wcześniej, to cała ta historia o wymierzaniu sprawiedliwości na własną rękę jest gównem warta.

Lee popatrzyła na Wolfe'a.

– To prawda?

– Klient jest krewnym – odparł obronnym tonem. – Może miał jakieś poufne informacje. Komu innemu zależałoby na takim śmieciu jak Kent?

– Nie możemy pozwolić, żeby ta łajza stąd wyszła – powiedział Haddock, trącając mnie lufą zniszczonego remingtona. – Za dużo wie. A my nie wiemy nic o nim.

– Poręczyłem za niego i nie zmieniłem zdania – przypomniał mu Tommy, ale w jego tonie brakowało entuzjazmu, jakby sam już nie był mnie pewien.

To potwierdziło tylko, że jeśli chcę żyć, muszę przedstawić im przekonujące argumenty. A jeśli zawiodę, będzie po mnie.

Proste.

– Słuchajcie – odezwałem się, ściskając poranione żebra – już się ze mną zabawiliście. Skopaliście mnie i wyraziliście swoje uczucia. Możecie zatrzymać resztę mojej forsy. Co więcej, jak chcecie, możecie zatrzymać to, co mi daliście – dodałem, przypominając sobie, że zostawiłem forsę w minibusie. – Po prostu chcę odejść.

– Celował ci między oczy, Ty – warknął Haddock, przerywając mój słowotok. – Do diabła, co będzie z twoją reputacją,

jeśli pozwolił mu odejść?

Podchwyciłem spojrzenie Lee. Pamiętałem, że Wolfe odpuścił, gdy zaczęła krzyczeć, i wiedziałem, że jest dla mnie ostatnią deską ratunku.

Odwróciła się szybko i powiedziała do niego:

– Nie zabijaj go, Ty. Nie warto.

Przez twarz Wolfe'a przemknęła rozterka, ale zaraz potem zobaczył, jak patrzy na niego Haddock, i jego rysy stwardniały.

– Zamknij, kurwa, jadaczkę! Ten sukinsyn chciał mnie zabić.

Zacząłem protestować, lecz wymierzył mi kopniaka, którego się nie spodziewałem. Zwinąłem się w kłębek, próbując złapać oddech.

Wyciągnął siga zza paska i poderwał mnie na nogi za kołnier koszuli.

– Bierzemy go na górę.

Lee położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie zabijaj go, Ty. Proszę. Nie jesteś zabójcą.

Odepchnął ją, obrócił mnie i wbił lufę w mój bok. Haddock wykręcił mi rękę za plecami z taką siłą, że mimowolnie krzyknąłem.

Przez łzy bólu spojrzałem na Tommy'ego, ale już odwrócił się do mnie plecami, podobnie jak Lee. Z ponurą nieodwołalnością zrozumiałem, że jestem zdany na siebie, gdy Wolfe i Haddock zaprowadzili mnie do schodów i zaczęli popychać ku ciemności na górze.



## 30.

Wyciągnąłem szyję i poprosiłem Wolfe'a, żeby mnie nie zabijał, chociaż nienawidziłem się za to, że błagam człowieka, który zamordował mojego brata. To robota instynktu samozachowawczego. Człowiek powie wiele rzeczy, byle tylko nie stracić życia. Wolfe milczał jak zaklęty, a Haddock szarpnął moją wykręconą rękę i tym razem o mało nie zemdlałem z bólu.

Jakimś cudem ręka nie pękła, gdy pchali mnie po schodach, a potem w głąb ciemnego korytarza. Podłoga trzeszczała złowieszczo pod naszymi nogami.

– Tutaj – zarządził Wolfe, zatrzymując się przed drzwiami w połowie korytarza. – Jest rygiel. – Otworzył go i razem wrzucili mnie do środka.

Potknąłem się w ciemności świadom, że trafiłem do jakiejś ciasnej komórki bez okien, i rozmyślnie upadłem na podłogę,

chcąc im pokazać, że jestem bezwolny i zupełnie niegroźny. Byłem obolały od stóp do głów, ból żeber wręcz mnie wykańczał, wciąż krwawiłem z nosa i potylicy, gdzie wcześniej oberwalem dwoma rodzajami broni. Krótko mówiąc, byłem w pożałowania godnym stanie. Chyba nigdy w życiu nie zostałem tak sponiewierany.

Stali w drzwiach, ich sylwetki rysowały się w mroku, gdy na mnie patrzyli. Potem drzwi się zatrzasnęły. Usłyszałem szcęk zasuwanego rygla i ściszone słowa z korytarza.

– Trzeba go skasować, Ty – wyszeptał Haddock tak głośno, że musiał to robić specjalnie. – Ale moją spluwę trafił szlag. Sam będziesz musiał to zrobić.

– Potrzebuję czegoś do stłumienia strzału – odparł Wolfe ciszej, ale usłyszałem.

Kroki oddaliły się od drzwi. Zapadła cisza.

Trudno opisać, co czułem w tym momencie. Niezupełnie strach. Zbyt dośkwierały mi ból i zmęczenie, żebym się bał. To, co odczuwałem, bliższe było rezygnacji. Próbowałem działać na własną rękę z ważnych powodów, ale w ostatecznym rozrachunku mój plan okazał się niewystarczający i poniosłem porażkę.

Teraz, gdy po bliskich zostały mi tylko wspomnienia i moje życie też zbliżało się do końca, z ponurą ironią rozmyślałem, że zginę z rąk człowieka, który zapoczątkował serię wydarzeń prowadzących do zniszczenia rodziny Eganów.

Kroki powróciły. Zrobiłem głęboki wdech, krzywiąc się z bólu. Nie umrę jak tchórz. Nie po wysiłku, jaki włożyłem w to, żeby oddać Tyrone'a Wolfe'a w ręce sprawiedliwości. Może moi bliscy patrzą na mnie skądś z góry, życząc mi przynajmniej,

bym poległ w walce. Muszę coś zrobić, żeby byli ze mnie dumni.

Wtedy wyobraziłem sobie Johna tuż przed wstąpieniem do wojska. Uśmiecha się szeroko. Sypie żartami jak zawsze. Tata klepie go po plecach z dumą w oczach. Ostatni raz we trójkę gramy w piłkę w ogrodzie. John pozwala mi strzelić gola.

Jezu, John, jak mi ciebie brakuje. Jak cholernie mi ciebie brakuje.

Drzwi się otworzyły i ogarnął mnie gniew, gdy zobaczyłem Wolfe'a stojącego z sigiem w jednej ręce i z brudną poduszką w drugiej, a u jego boku zwałistą, demoniczną sylwetkę Haddocka. Słyszałem jego oddech, cały dygotał od adrenaliny, gdy nakręcał się psychicznie, szykując do popełnienia zabójstwa.

Spiąłem się, gotów skoczyć na niego i wyrwać mu broń.

Za późno. Wolfe runął na mnie, wbił mi kolano w brzuch, wyciskając powietrze z płuc. Gdy próbowałem złapać oddech, siadł na mnie okrakiem, przycisnął mi ręce do boków. Potem zapadła ciemność, gdy poduszka opadła na moją twarz. Poczuliem na policzku napór lufy.

Zaciskając zęby w oczekiwaniu na uderzenie kuli, co – jak wiedziałem – nastąpi lada chwila, szamotałem się pod nim. Na próżno. Był silnym facetem, napierał z impetem, a ja byłem zmaltretowany i wciąż oszołomiony.

– Śmiało, Ty, wal – syknął Haddock w ciemności.

Boże. To już.

Wszystko skończone.

– Jezu – mruknął Wolfe.

– Co takiego?

– Pistolet. Cholera, zamek się zaciął.

– Jesteś pewien?

– Jasne.

Poczułem, że nacisk na moją twarz słabnie, poduszka się odsunęła. W następnej sekundzie Wolfe się podniósł.

– Chcesz go tak zostawić? – burknął Haddock.

– Nie zadżgam go nożem. W tym biznesie się tego nie robi. Nie ma obawy, nigdzie stąd nie pójdzie.

Drzwi się zamknęły i usłyszałem szmer zasuwanego rygła. Ich głosy ścichły, gdy odeszli.

Przez dobrych parę sekund nie mogłem się ruszyć. Byłem w głębokim szoku. Spojrzałem śmierci prosto w oczy, a ona mi odpuściła. Stanowiło to niemal zbyt wielki wstrząs dla moich już starganych nerwów.

Ale nie to zajmowało moje myśli, gdy leżałem na twardej drewnianej podłodze. Intrygowało mnie, że Tyrone Wolfe rozmyślnie ocalił mi życie. Powiedział Haddockowi, że zamek się zaciął, ale przecież nie mógł być tego pewien.

Ponieważ nie próbował pociągnąć za spust.

# 31.

Kevin O'Neill zawdzięczał wszystko samemu sobie. Urodził się jako jedno z siedmiorga dzieci w wiejskiej rodzinie w irlandzkim hrabstwie Cork. W wieku szesnastu lat rzucił szkołę i przyjechał do Anglii, żeby z czasem zbić fortunę, tworząc od zera firmę deweloperską. Nie był obrzydliwie bogaty, ale – jak Grier powiedział Tinie – zarobił dość, by posłać córki do prywatnej szkoły i mieszkać w wielkim domu przy prywatnej drodze w Rickmansworth, północno-zachodniej dzielnicy Londynu.

Było dziesięć po jedenastej w nocy i zaczął padać ciepły letni deszcz, gdy dwoje funkcjonariuszy policji podjechało pod bramę posiadłości. Tina czekała, a Grier wysiadł i nacisnął dzwonek. Zauważyła kamerę zamontowaną na słupie nad jego głową. W Londynie takie zabezpieczenia nie należą do rzadkości nawet na przedmieściach, ale wiedziała, że choć kamera

może działać odstrasżająco na zwykłych włamywaczy, ci bardziej zdeterminowani i lepiej zorganizowani zawsze mogą się dostać do środka, po prostu omijając bramę i przełaząc przez wysoki na dwa i pół metra drewniany parkan.

Nie była wprawdzie przekonana, że ktoś zabił Kevina O'Neill, ale niepokoiła ją zbieżność jego śmierci z aresztowaniem Kenta, zwłaszcza że morderstwo jego córki wyróżniało się jako jedyne wśród pięciu rzekomo popełnionych przez Upiora.

Pomysł złożenia wizyty nie wzbudził entuzjazmu Griera. Gdy jechali ciemnymi cichymi ulicami, mówił jej, że śmierć ojca to tylko zbieg okoliczności. Podał również parę nieodpartych argumentów, z których najważniejszym był brak jakiegokolwiek oczywistego motywu. W dniu śmierci O'Neill, Roisin nie żyła od ośmiu miesięcy, dlaczego więc ktoś miałby go mordować po tak długim czasie?

Na to pytanie Tina nie potrafiła odpowiedzieć.

Brama otworzyła się automatycznie, gdy Grier wrócił do samochodu, i pojechali krótkim podjazdem, który wiódł do głównego domu, imponującej białej budowli w stylu pseudogeorgiańskim.

Derval O'Neill, siostra Roisin, stała boso przy drzwiach ubrana w dżinsy i bluzkę bez rękawów. Była uderzająco piękną kobietą po trzydziestce, wysoką i szczupłą, z długimi kasztanowymi włosami i pociągłą, delikatną twarzą. Grier powiedział, że imię Derval oznacza po celtycku „prawdziwe pożądanie” i nawet teraz, gdy była w żałobie, pasowało do niej idealnie.

– Dziękuję, panno O'Neill, że zechciała pani nas przyjąć, choć uprzedziliśmy w ostatniej chwili – powiedziała Tina, gdy

Grier ją przedstawił. – Obojgu nam jest przykro z powodu poniesionej przez panią straty.

Derval zdrząły usta. Oczy miała podpuchnięte i zaczerwienione od płaczu, twarz bladą i z bliska wydawała się raczej chuda niż smukła.

– Nigdy nie doszedł do siebie po śmierci Roisin – rzekła cicho, przesywając Tinę zaskakująco intensywnym spojrzeniem. – To go dobiło. I w ten sposób ten łajdak zyskał następną ofiarę. – Westchnęła. – Proszę do środka. Napiją się państwo czegoś?

Tina miała ogromną ochotę na kieliszek dobrego czerwonego wina, ale przemogła się i poprosiła o wodę, tak samo jak Grier.

Przeszli za Derval przez przestronny hol do gustownie urządzonego salonu z oknami od podłogi do sufitu, wychodzącymi na ogród za domem. Tina i Grier usiedli jak najdalej od siebie na trzyosobowej kanapie, a Derval poszła po wodę.

– Tutaj rozmawialiśmy z jej ojcem – odezwał się Grier, powoli wodząc wzrokiem po pokoju. – Siedział na kanapie naprzeciwko, wielki facet o potężnych rękach, i szlochał cicho ze spuszczoną głową. Nie mógł nawet spojrzeć nam w oczy. Chciał tylko wiedzieć, czy Roisin cierpiała. – Westchnął głęboko, patrząc na Tinę z zatroskaną miną. – Musieliśmy powiedzieć mu prawdę. Nie mogliśmy kłamać, i tak poznałby prawdę z mediów. Dlatego musieliśmy powiedzieć, że córka została zgwałcona i pobita na śmierć tępym narzędziem. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek przyszło mi zrobić. Dlatego nie chcę dopuścić do siebie możliwości, że aresztowaliśmy za to niewłaściwego człowieka.

– Wiem – mruknęła. – Ani ja.

Problem polegał na tym, że właśnie tak się stało.

Derval wróciła z napojami i zajęła miejsce naprzeciwko nich. Tina zobaczyła, że przyniosła sobie pełen kieliszek białego wina. Starła się nie wlepiać w niego oczu, gdy Derval wypila duży łyk, a potem delikatnie przeciągnęła palcem po ustach.

– Porządkuję sprawy taty przed pogrzebem – powiedziała, jakby jej obecność w domu wymagała wyjaśnienia. – Odbędzie się w przyszły wtorek w Cork. Takie było jego życzenie.

Tina poczuła ukłucie żalu. Jeśli pojawią się jakieś dowody działania przestępczego, ciało jej ojca nie zostanie wydane i termin pogrzebu ulegnie przesunięciu. W takim wypadku jej poczynania przedłużą rozpacz i ból tej rodziny.

– Radzi sobie pani? – zapytał Grier, pochylając się w jej stronę. – Czy ma pani krewnych, którzy mogliby pomóc?

– Dziękuję, daję sobie radę – odparła Derval i znów zdrząły jej usta. – Ale z jakiego powodu zjawiacie się tutaj o tej porze? Czy coś się stało z człowiekiem, którego aresztowaliście za morderstwo Roisin? Policjant odpowiedzialny za kontakty z rodzinami ofiar powiedział, że ten człowiek nazywa się Andrew Kent.

– Zgadza się. I tak, stało się – odparła Tina. Opowiedziała jej o porwaniu Kenta. – Obecnie trwa szeroko zakrojona obława, ale jeszcze go nie znaleźliśmy.

Derval miała zszokowaną minę.

– Mój Boże. Jak to się stało? Kto go porwał?

– Jeszcze nie wiemy.



– Cóż, kimkolwiek są, mam nadzieję, że go zabiją. Zniszczył całą moją rodzinę. Zabił mojego ojca, tak jak zabił moją siostrę. Zasłużył sobie na śmierć. – Spojrzała wyzywająco na dwoje policjantów, jakby zachęcając ich do zaprzeczenia.

Tina dokładnie wiedziała, co czuje Derval.

– Czy pani ojciec zmarł w domu? – zapytała.

Derval pokiwała głową.

– Tak. To musiało się stać zeszłej nocy. Sprzątaczką znalazła go rano. Leżał w gabinecie przy biurku. Powiedziała, że wyglądał bardzo spokojnie.

Tina zdobyła się na nikły krzepiący uśmiech.

– Przynajmniej to jest pociechą w nieszczęściu. I sprzątaczką wezwała lekarza, prawda?

– Tak. Stwierdził zgon. Powiedział, że przyczyną był rozległy zawał.

– Czy ojciec chorował na serce? – zapytał Grier.

Podtekst pytania był oczywisty i Derval natychmiast go wychwyciła.

– Sześć lat temu założono mu potrójny bypass, a potem rzucił palenie, zaczął ćwiczyć i przestrzegać diety. Był w doskonałej kondycji, gdy widywałam go przed morderstwem Roisin. Ale co ma do tego śmierć mojego ojca?

– Nic – odparł Grier, patrząc na Tinę, jakby mówił: „A widzisz? Miał kłopoty z sercem. To tylko zbieg okoliczności. Do licha, co my tu robimy?”

Tina nagle poczuła się bardzo zmęczona. Miała za sobą długi dzień i rozpaczliwie pragnęła go zakończyć relaksującym drinkiem. Może po prostu doszukiwała się dziury w całym.

– Była pani zżyta z Roisin? – zapytała, świadoma, że musi postępować ostrożnie.

– Co to albo śmierć mojego taty ma wspólnego z porwaniem Andrew Kenta? – W głosie Derval nagle zabrzmiały podejrzliwe tony.

– To tylko zwykła procedura, panno O'Neill – odparł Grier. – Pomaga nam stworzyć obraz sytuacji przed procesem.

Wyjaśnienie zabrzmiało nieprzekonująco i Tina zrozumiała, że musi być szczerą.

– W sprawie pani siostry pojawiły się nowe fakty – oznajmiła stanowczo. – Dowody wciąż wskazują na Andrew Kenta, ale powiem pani w zaufaniu, że jest kilka wątpliwości. Musimy je wyjaśnić.

– Mówi pani, że Kent nie zamordował mojej siostry? – zapytała Derval wyraźnie wstrząśnięta. – Boże, nie przypuszczałam, że może być jeszcze gorzej.

– Prawie na pewno to zrobił – powiedział Grier uspokajającym tonem, choć Tina wiedziała, że to bzdura, ponieważ Kent ma żelazne alibi. – Po prostu chcemy mieć pewność, to wszystko.

Derval nerwowo napiła się wina i odgarnęła do tyłu długie włosy.

– Tak, byłam zżyta z Roisin. Mieszkałam po drugiej stronie Londynu, ale od czasu do czasu spotykałyśmy się przy drinku w West Endzie. Nie tak często jak chciałam... zna pani tempo życia w Londynie. Ale tak, byłyśmy przyjaciółkami.

Tina miała pewną teorię. Była mglista i pełna luk, ale tylko na niej się mogła opierać.

– Z wywiadów z przyjaciółmi i rodziną wynika, że Roisin nie była z nikim związana, ale czy miała kogoś w okresie poprzedzającym śmierć?

– Jedyńm liczącym się chłopakiem od czasów studiów był Max. – Derval powiedziała to w sposób, który sugerował, że niezupełnie go aprobowała. – Chodziła z nim długi czas, trzy, cztery lata, coś koło tego.

– A kiedy się skończyło?

– Jakiś rok temu. Widywał się na boku z jakąś Australijką i razem wyjechali do Australii. O ile wiem, wciąż tam mieszka ją. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby się skontaktować z nami po śmierci Roisin. – Westchnęła. – Nigdy go nie lubiłam, ale nie mogę się pozbyć myśli, że gdyby wciąż byli razem, Roisin nie straciłaby życia.

Tina westchnęła. Jej teoria, że Roisin zginęła z rąk chłopaka mającego dojścia do poufnych informacji policji, prowadziła donikąd.

– Roisin była bardzo atrakcyjną kobietą. Widywała się z kimś innym? Miała jakiś romanse w tych ostatnich miesiącach?

– Co pani sugeruje? Że zabił ją jakiś rozsierdzony były chłopak? Andrew Kent zainstalował alarm w jej mieszkaniu, podobnie jak u innych ofiar. Jeśli on nie zabił Roisin, to prawdopodobnie nie zabił też pozostałych dziewczyn. Czy to próbuje mi pani powiedzieć? Że Kent jest niewinny? Że nie ma żadnego Upiora? – Lekko sepleniała i Tina zrozumiała, że nie jest to jej pierwszy kieliszek wina tego wieczoru.

– Ja tylko próbuję zyskać pewność, że dopadliśmy właściwego człowieka, to wszystko. Wiem, Derval, jak bardzo pani cierpi...

– Nic pani nie wie. Nie ma pani bladego pojęcia. Czy ktoś, kogo pani знаła, został zamordowany?

– Tak. – Tina powiedziała to głośniej, niż zamierzała. – Dokładnie wiem, co się wtedy czuje. Myślę o tym codziennie.

Derval nie kryła zaskoczenia.

– Przepraszam – rzekła cicho. – Nie chciałam podnosić głosu.

– Nic nie szkodzi – zapewniła Tina, ogarnięta współczuciem dla tej kobiety.

Wstała, podeszła i usiadła obok, obejmując jej ramiona, przytulając ją do piersi.

Gdy ją trzymała, napotkała spojrzenie Griera, który zapytał bezgłośnie: „Do licha, co pani wyprawia?”, a potem odwrócił głowę ze zde gustowaną miną.

Po kilku sekundach Derval odsunęła się delikatnie i wytarła oczy często używaną chusteczką higieniczną. Tina ponownie zajęła swoje miejsce.

– Był ktoś inny.

Tina wróciła do rzeczywistości, na chwilę zapominając o nękającym ją pragnieniu.

Derval patrzyła w przestrzeń.

– Roisin tak naprawdę nie powiedziała, że się z kimś widuje, ale się domyśliłam. Spotkałyśmy się parę razy i miałam okazję zobaczyć, jak wysyła charakterystyczne sygnały. Uśmiechała się tajemniczo i znikwała, żeby zadzwonić. Pytałam ją o to, lecz mówiła, że to tylko znajomy. – Spojrzała na Tinę. – Ale ja wiedziałam. I przypuszczam, że był żonaty. Roisin wiedziała, że nie pochwalabym takiego związku. Sama miałam kiedyś tego rodzaju romans i paskudnie się sparzyłam, a

tata... cóż, byłoby to dla niego prawdziwym ciosem.

– Nie ma pani pojęcia, kto to mógł być?

Derval pokręciła głową.

– Nie, ale jestem przekonana, że kogoś miała.

– Jest pani pewna, że Roisin nie rozmawiała o tym z ojcem?

– Przypuszczam, że to możliwe – odparła ostrożnie Derval.

– Byli sobie bliscy. – Ściągnęła brwi. – Chyba pani nie sądzi, że ktoś zabił tatę, aby ochronić tajemniczego kochanka Roisin? To wprost nie do uwierzenia.

Na tym polegał problem. Nie do uwierzenia. Z drugiej strony, wiele z tego, co się wydarzyło – i wciąż się działo – było niewiarygodne.

– Po prostu sprawdzamy każdy wątek śledztwa – powiedziała Tina, świadoma pustego wydźwięku swoich słów.

Derval przenosiła wzrok z niej na Grier.

– Chcę odzyskać spokój. Chcę wiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość, że aresztowaliście właściwego człowieka, że go odnajdziecie, że sprawca śmierci mojej siostry i mojego ojca nie uniknie kary.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy – zapewnił Grier.

– Wciąż to powtarzacie. Ale czy naprawdę? Proszę posłuchać, wystarczająco cierpię bez konieczności wysłuchiwania, jak mówicie zagadkami. – Podniosła głos i miała taką minę, jakby lada chwila miała się zalać łzami.

Tina kątem oka zobaczyła, że Grier się podnosi. Ona też wstała, podeszła do Derval i uspokajającym gestem położyła rękę na jej ramieniu.

– Obiecuję, Derval, że sprawiedliwości stanie się zadość. Osobiście będę informować panią o wszystkim, co się dzieje w sprawie Andrew Kenta i całego dochodzenia. Ma pani moje słowo.

– Przypuszcza pani, że mój ojciec zmarł w podejrzanych okolicznościach?

– Tak, to możliwe – przyznała niechętnie.

Rysy Derval stwardniały, policzki się zapadły.

– Boże. Po tym wszystkim...

– Możliwe, że nie, Derval, proszę pamiętać. Po prostu staramy się rozważyć różne wersje. A teraz chciałabym zobaczyć nagrania z kamery przy bramie. Nie sądzę, żeby coś nam powiedziały, ale musimy rzucić okiem.

Derval pokiwała głową i zaprowadziła ich do gabinetu ojca, gdzie włączyła komputer i znalazła cyfrowy zapis z kamery z dnia jego śmierci. Tina miała rację. Nagranie nie zawierało niczego podejrzanego, co nie powinno dziwić. Gdyby ktoś chciał zabić Kevina O'Neilla w jego własnym domu, trzymałby się z daleka od kamery.

Niestety, nic nie zyskali. Podziękowali Derval za poświęcony im czas. Tina powtórzyła obietnicę, że będzie informować ją na bieżąco, i wzięła od niej numer telefonu lekarza, który stwierdził zgon jej ojca.

Gdy wyjechali za bramę posiadłości O'Neillów, Grier zapytał, czy na dziś skończyli.

– Już niedługo.

Uniósł brwi.

– Poważnie? Co jeszcze mamy zrobić?

– Najpierw chcę zadzwonić do lekarza. Musimy znać dokładniejszą datę śmierci Kevina O'Neilla. Wtedy będziemy

mieli jakiś punkt wyjścia.

Gdy dotarli do wjazdu na autostradę A404 biegnącą do Londynu, Tina zatrzymała samochód. Czowała się sfrustrowana. Wciąż kręcili się po omacku i wiedziała, że Grier szybko traci zainteresowanie jej teoriami, o ile w ogóle kiedykolwiek był nimi zainteresowany.

– Dokąd teraz? – zapytał, gdy otworzyła drzwi.

Wskazała kamerę na szczycie metalowego słupa, częściowo zasłoniętą przez jeden z dębów, które rosły po obu stronach jezdni. Zauważyła ją, gdy jechali do posiadłości O'Neillów. Obejmowała wjazd na prywatną drogę i każdy pojazd kierujący się w tę czy w tamtą stronę musiał pod nią przejeżdżać. Pod kamerą wisiała tablica reklamująca czynną przez całą dobę firmę ochroniarską, która ją obsługiwała.

– Może operator coś widział – powiedziała, podchodząc, żeby spisać numer firmy.

Mżawka ustała, noc była ciepła.

– Proszę posłuchać, pani komisarz. – Grier też wysiadł i podszedł do niej. – Myślę, że nie powinniśmy tracić tu czasu.

Wyciągnęła papierosa.

– Wiem. Dałeś to jasno do zrozumienia.

– O'Neill zmarł na zawał. Nie od kulki w głowę. Był wielkim facetem pod sześćdziesiątkę, miał kłopoty z sercem i po śmierci córki żył w wielkim stresie. Mogła po prostu nastąpić kulminacja.

– Jego córka straciła życie osiem miesięcy temu.

– Sądzę, że staje się pani zwolenniczką teorii spiskowych.

Tinę ogarnął gniew.

– A ja nie mogę uwierzyć, że nie widzisz, co się dzieje. Kent został porwany z jakiegoś powodu. Zamieszanych jest mnóstwo ludzi. I co się dzieje, gdy przyglądamy się bliżej sprawie, w której sposób działania sprawcy był inny niż w pozostałych? Dowiadujemy się, że ojciec ofiary, który ostatnio nie miał żadnych problemów zdrowotnych, nagle padł trupem. Jest jakiś spisek. To nie jest żadna teoria. To prawda.

– Ale jeśli nawet Kent rzeczywiście nie zamordował Roisin, dlaczego sprawca miałby zabijać jej ojca? I porywać Kenta? To po prostu nie ma sensu.

Nie zważając na deszcz, który znów zaczął padać, Tina zapaliła papierosa. Zauważyła, że Grier obrzucił ją spojrzeniem pełnym politowania. Od lat takich spojrzeń nie szczydzili jej ludzie, którzy deklarowali podziw dla jej determinacji, wytrwałości i osiągnięć, gdyż przyczyniła się do rozwiązania wielu ważnych spraw, ale też się zastanawiali, czy ktoś, kto stracił kilku kolegów podczas pełnienia obowiązków służbowych i kto został uprowadzony, nie wspominając o dwukrotnym postrzeleniu, naprawdę może być w pełni zdrow na umyśle. Prawdę mówiąc, nie powinna zajmować obecnego stanowiska, gdyż była znacznie lepszym detektywem niż szefem, ale otrzymała awans, ponieważ się nie poddała.

– Może masz rację. Może obrałam niewłaściwą drogę. Ale to lepsze niż siedzenie na tyłku.

Grier ostentacyjnie spojrział na zegarek.

– Realnie rzecz biorąc, pani komisarz, dziś nic więcej nie możemy zrobić. Niedługo północ, jesteśmy na służbie od piętnastu godzin i wydzwanianie do doktorów czy firm ochroniarskich albo gdziekolwiek indziej nie pomoże nam znaleźć Andrew



Kenta. Ale dobry sen może pomóc.

Tina zaczęła sobie uświadamiać, że nie lubi tego „pani komisarz”. To sugerowało, iż jest odpowiedzialna wobec ludzi, którzy jej komunikują, że nie jest pewna, czy sobie poradzi. Koniec końców dzisiaj o mało nie zabiła Grierę.

– Wyświadczyć mi przysługę, Dan. Przynajmniej dziś mów mi po imieniu.

Westchnął.

– W porządku, Tino. Dlaczego nie zrobisz w tył zwrot, nie wyluzujesz się trochę, nie wyśpisz porządnie choć przez jedną noc?

Chciała powiedzieć, że z powodu pracy i dlatego, że jest dobra w tym, co robi, a praca jest wszystkim, co ma. Zamiast tego odwróciła się i poszła do samochodu, zastanawiając się, ile minie czasu, zanim się ostatecznie wypali.

## 32.

Przez długi czas leżałem w ciemności, głowiąc się, dlaczego Wolfe mnie nie zabił, gdy miał ku temu okazję. Nie doszedłem do żadnych wniosków. Wiedziałem tylko, że muszę spróbować się stąd wydostać.

Kiedy wreszcie poczułem się na siłach, by wstać i podejść do drzwi, stwierdziłem, że są zamknięte. Nawet nie drgnęły, jakkolwiek mocno pchałem. Usiadłem więc na podłodze i czekałem na Wolfe'a i Haddocka, żeby przyszli dokończyć to, co zaczęli, w tym czasie próbując dojść do siebie po laniu, jakie mi sprawili. Chciałem być gotów do działania, gdy nadarzy się okazja. Obrażenia, choć bolesne – doskwierały mi zwłaszcza żebra, jedno na pewno było pęknięte – nie powstrzymają mnie od wykonania ruchu.

Trudno było wysiedzieć w zamknięciu, bez broni, czekając na śmierć, próbując ignorować narastające uczucie klaustrofobii. Od czasu do czasu z dołu napływały hałasy – głównie

łomotanie, żadnych głosów – ale w pewnym momencie zdawało mi się, że słyszę odjeżdżający samochód.

Później zapadła cisza i zacząłem się zastanawiać, czy tamci opuścili budynek. Z początku ta myśl napełniła mnie obłądną nadzieją – skoro mnie zostawili, to znaczy, że nie zamierzają zabić – ale szybko mnie olśniło, że jestem uwięziony w opuszczonym budynku na odludziu i prawie na pewno umrę z głodu, zanim ktoś mnie znajdzie.

Dlatego wstałem i waliłem barkiem w drzwi, już się nie przejmując, że ściągnę na siebie uwagę. W końcu się poddałem i usiadłem z potłuczonym ramieniem. Czekałem, choć sam nie wiedziałem na co.

Zastanawiałem się, czy Kent wciąż tu jest, czy jeszcze żyje. Bardziej jednak mnie ciekawiło, dlaczego w ogóle został porwany. Oznajmił, że coś wie, a Wolfe'owi wyjątkowo mocno zależało, żeby się zamknął, zanim doda coś więcej. Co mógł wiedzieć, co było takie ważne, że komuś się opłacało sfinansować uprowadzenie? I co miało to wspólnego z zabójstwami, o które został oskarżony?

Właśnie przeklinałem sam siebie, że wpakowałem się w taki straszny burdel, gdy coś się stało. Wszystkie światła w budynku zgasły. Wiedziałem, bo choć tkwiłem w pozbawionej okien klitce, nikły pomarańczowy blask sączył się przez szczelinę pod drzwiami. I nagle zniknął.

Wstałem i zacząłem nasłuchiwać przy drzwiach.

Przez kilka minut panowała cisza. Potem usłyszałem kroki, ciche, ale wyraźne, gdy ktoś wchodził po schodach, i skrzypienie starego drewna.

Zacisnąłem pięści, odetchnąłem głęboko i czekałem.

Kroki się zbliżały, powolne i ostrożne.

Słyszałem bicie własnego serca. Wóz albo przewóz.

– Halo? – Kroki ucichły. – Halo?

Kobięcy głos z silnym obcym akcentem. Lee, przyjaciółka Wolfe'a. Sprawiała wrażenie zmartwionej.

Z miejsca uznałem, że to nie może być podstęp.

– Jestem tutaj! – krzyknąłem, stukając w drzwi. – Są zaryglowane od zewnątrz.

Usłyszałem szmer odciąganego rygla i cofnąłem się, gdy drzwi się otworzyły.

Lee stanęła w progu, ledwo widoczna w mroku.

– Nic ci nie jest? – zapytała i podeszła, żeby mi się przyjrzeć. Głośno wciągnęła powietrze. Nie musiałem udzielać odpowiedzi. – Paskudnie cię poturbowali. – Dotknęła mojej twarzy dziwnie erotycznym gestem, palcami muskając siniaki.

– Nic mi nie jest – odparłem. Odsunąłem jej rękę i wyszedłem na zaciemniony korytarz. – Co się dzieje?

– Nie wiem. Tyrone poszedł zakopać gdzieś broń.

– Wiesz gdzie? – zapytałem, znów myśląc o gromadzeniu dowodów.

Pokręciła głową.

– Nie, ale obiecał, że niedługo wróci. Kazał Clarence'owi się mną zaopiekować, ale Clarence... Nie jesteśmy przyjaciółmi. Poszedł do innego pokoju, zostawił mnie w kuchni, a potem, dziesięć minut temu, trach, światła zgasły. Nigdzie nie mogę go znaleźć. Wołałam, nie odpowiada.

– A co z Tommym? Gdzie on jest?

– Ten drugi? Był wcześniej, ale nie widziałam go od długiego czasu.

– A klient się pokazał?

– Nie. Nikt się nie zjawił.

Zmarszczyłem czoło. Czyżby Haddock i Tommy wynieśli się stąd pod nieobecność Wolfe'a? Cisza panująca w domu jakby to potwierdzała, ale nie mogłem zrozumieć, dlaczego mieliby tak postąpić, zwłaszcza że klient nie przybył.

– Jak długo nie ma Wolfe'a?

– Pół godziny. Może dłużej.

– Poszedł pieszo?

Skinęła głową.

– Tak.

Więc zakopywał broń gdzieś w pobliżu budynku, co prawdopodobnie znaczyło, że niedługo wróci.

– Jak masz na imię? – zapytała niespodziewanie.

– Sean.

– Jestem Lee. – Podeszła bliżej. – Boję się, Sean.

– Musimy się stąd wydostać.

Minąłem ją, idąc ku schodom, nasłuchując. Panowała cisza.

– Co z Tyrone 'em? – zapytała, idąc za mną.

– Możesz mieć faceta znacznie lepszego niż on, Lee.

– Mówi, że mnie zabije, jeśli go zostawię.

Przyłożyłem palec do ust i jak najciszej ruszyliśmy w dół po schodach. Mimo to trzeszczały pod naszym ciężarem, jakby lada chwila miały się zarwać. Cisza dudniła mi w uszach i słyszałem mocne bicie serca, gdy rodziła się w nim nadzieja. Po tak bliskim otarciu się o śmierć naprawdę miałem szansę wyjść stąd w jednym kawałku. Musiałem podziękować za to Lee i dlatego chciałem zabrać ją ze sobą. Wyświadczyłbym jej wielką przysługę, usuwając Tyrone'a Wolfe'a z jej życia.

Drzwi nie były zamknięte na klucz i owiało mnie chłodne powietrze, gdy wyszedłem na dwór. Tu też panowała cisza. Ze wszystkich stron otaczał nas las, nikła pomarańczowa luna jaśniała nad dalekim Londynem. Niebo było czyste, rozgwieżdżone. Ogarnęła mnie tęsknota za wolnością. Minibus, którym przyjechaliśmy, wciąż stał na podjeździe, gdzie Wolfe go zostawił. To mnie zaskoczyło, ponieważ oznaczało, że Haddock i Tommy odjechali jakimś innym środkiem transportu – o ile odjechali.

Odwróciłem się w stronę Lee.

- Jak się tu dostałaś?
- Przyjechałam na motocyklu.
- Gdzie jest?
- Z boku domu.
- Masz kluczyki?

Pokiwała głową, obmacując kieszeń.

– Mam.

– Dobrze. Zmywamy się. Muszę tylko coś zabrać.

Podszedłem do minibusa i zajrzałem przez szybę do środka, szukając koperty z trzydziestoma tysiącami, które dał mi Haddock. Nie byłem zaskoczony, że zniknęła, niewątpliwie zabrana przez któregoś z nich.

Gdy się odwracałem, chcąc zwać stąd jak najszybciej, zobaczyłem coś, co sprawiło, że stanąłem jak wryty.

Opony minibusa. Widniały w nich głębokie, nierówne nacięcia.

– Co się stało? – zapytała Lee niepewnie.

Milczałem, zastanawiając się, kto mógł to zrobić. I dlatego. Przeszedłem na drugą stronę. To samo.

- Ktoś przeciął opony.
- Kto?
- Nie mam pojęcia.

Spojrzałem w las, wypatrując śladu życia. Niczego nie dostrzegłem. Poczulem strach.

Złapałem ją za rękę i pobiegliśmy za róg domu, ja pierwszy, na wypadek gdyby czekał na nas ten, kto pociął opony.

Nikogo nie było.

Tylko motocykl 125 oparty o mur. Spojrzałem na opony i potwierdziły się moje najgorsze obawy. Też zostały pocięte.

- Co się tu dzieje, Sean? Kto to robi?
- Bóg jeden wie – szepnąłem.

Rozglądałem się w milczeniu, zachodząc w głowę, czy sprawca nas obserwuje. Wreszcie znowu spojrzałem na Lee. Już nie wyglądała na pewną siebie supersukę, która powitała nas przy drzwiach. Miałem przed sobą po prostu przerażoną dziewczynę.

- Dom jest opuszczony. Jak zapaliłaś światła?
- Tam jest generator – odparła, wskazując szopę odległą o kilka metrów. – Ale zamknęłam drzwi, gdy go włączyłam.

Drzwi były szeroko otwarte.

A więc ten, kto pociął opony, majstrował też przy generatorze.

Powoli podszedłem do drzwi, mając nadzieję, że może w środku są jakieś narzędzia, których będziemy mogli użyć jako broni. Lee została na miejscu kilka metrów za mną, gdy stanąłem na progu i spojrzałem w mrok. Po obu stronach pomieszczenia piętrzyły się skrzynie, w większości puste, a w głębi stał

wielki, rozklekotany generator, którego pewnie używano w czasach, gdy była tu farma.

Wnętrze wydawało się puste i nie widziałem nigdzie żadnej kryjówki, więc ruszyłem do generatora, słysząc swój własny głośny oddech. Sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem zapalniczkę i zapaliłem, rozglądając się nerwowo.

Jak się spodziewałem, pokrywa skrzynki rozdzielczej była otwarta, a z wnętrza wystawał pęk kabli.

Starając się ignorować ciarki strachu pędzące w górę kręgosłupa, zacząłem się odwracać.

I aż podskoczyłem, gdy światło zapalniczki wyłowiło z cienia jakąś postać.

Był to Haddock. Stał w kącie, patrząc na mnie.

Tyle że się nie ruszał, a jego szeroko otwarte, wytrzeszczone oczy były puste i niewidzące.

Zrobiłem krok w jego stronę, podnosząc zapalniczkę. Wtedy zobaczyłem sterczącą z piersi rękojeść noża, który musiał być na tyle długi, że przyszpilił go do ściany, i szerokie cięcie w poprzek szyi, od ucha do ucha.

Clarence Haddock, kawał chłopa, prawie dwa metry wzrostu, sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi – zdaniem pewnego policjanta najbardziej przerażający facet, jakiego w życiu spotkał – został zaszlachtowany jak świnia.



## 33.

Minęła pierwsza, gdy Tina wreszcie weszła do mieszkania, fizycznie wyczerpana, ale w pełni władz umysłowych. Najpierw otworzyła butelkę riojy, wlała jedną trzecią zawartości do dużego kieliszka i pociągnęła długi łyk, rozkoszując się mocnym, bogatym smakiem. Wypiła jeszcze kilka łyków, czując, że się odpręża. Potem dopełniła kieliszek i zabrała go z sobą do mikroskopijnego salonu, padła na kanapę i zapaliła papierosa.

Podczas jazdy do domu zadzwoniła do miejscowego lekarza, który stwierdził zgon Kevina O'Neilla. Nie był zachwycony, gdyż telefon wyrwał go z łóżka, ona jednak przywykła do mniej niż ciepłych powitań i szybko ucięła jego narzekanie. Oznajmiła, że podejrzewa się działania przestępcze, co zmobilizowało go do współpracy. Z umiarkowaną pewnością mógł powiedzieć, że O'Neill zmarł pomiędzy osiemnastą a dwudziestą czwartą zeszłej nocy.

Tina nie była stuprocentowo pewna, co znaczy „umiarkowana pewność”. Albo jest się pewnym, albo nie.

Podał jej jednak dość informacji, by mogła zadzwonić do firmy ochroniarskiej obsługującej kamerę przy wjeździe na prywatną drogę O'Neill. Mniej więcej po dziesięciu minutach odsyłania albo czekania z telefonem przy uchu wreszcie trafiła na kogoś, kto okazał się chętny do pomocy. Miał na imię Jim, był emerytowanym gliną i lubił dużo gadać.

I nie zemdłał, gdy mu powiedziała, czego potrzebuje, a oznaczało to przejście wszystkich zdjęć zrobionych wczoraj przez tę konkretną kamerę od czwartej po południu do północy, sporządzenie listy tablic rejestracyjnych pojazdów, które nie należały do mieszkańców zameldowanych przy rzeczonyj drodze, tudzież przekazanie Tinie wyników jak najszybciej.

Jim zajrzał do rejestru i powiedział, że wciąż mają zdjęcia z czwartkowej nocy. Uzyskanie potrzebnych informacji powinno być możliwe, dodał, ponieważ firma ma w bazie danych wszystkie pojazdy mieszkańców.

– Czy to pomoże rozwiązać sprawę? – zapytał podniecony myślą, że znów może brać udział w czymś ważnym.

Prawdę mówiąc, Tina strzelała w ciemno, jak kilka razy podkreślił Grier. Nie mieli dowodów, że O'Neill został zamordowany, a gdyby nawet, niekoniecznie musiałyby to oznaczać, że zabójca przyjechał do jego domu. Ale nie powiedziała tego Jimowi. Zapewniła, że jest o tym głęboko przekonana.

– Nie poddajesz się, prawda? – stwierdził Grier z mieszaniną podziwu i irytacji, gdy wreszcie zakończyła rozmowę.

– Ktoś kiedyś powiedział, że każdy problem ma rozwiązanie.

– Wierzysz w to?

Pomyślała o swoim alkoholizmie, o swoim życiu, które przypominało niekończącą się bitwę bez szans na zwycięstwo.

– Nie. – Zdobyła się na uśmiech. – Ale nigdy nie tracę nadziei.

Kiedy jakiś czas później podrzuciła go do domu, spojrzął na nią dziwnie, jakby chciał coś powiedzieć. Po chwili wyraz jego oczu się zmienił i wysiadł z pytaniem, czy jutro będzie potrzebny.

– Dam ci znać – odparła i patrzyła, jak wchodzi do okazałej kamienicy z czerwonej cegły, gdzie czekała jego żona będąca wziętym radcą prawnym.

Teraz, siedząc w ciasnym pokoju z papierosem i winem, Tina koncentrowała się na sprawie, ponieważ wiedziała, że gdy tylko przestanie o niej myśleć, pograży się w nieuchronnym rozczulaniu się nad sobą. A miała mnóstwo do przemyślenia. Ta sprawa zaliczała się do najbardziej zagadkowych, z jakimi się spotkała. Z jednej strony mieli człowieka, przeciwko któremu świadczyły przytłaczające dowody. W jego mieszkaniu znaleziono narzędzie zbrodni, w jego komputerze obciążające filmy, a nadto miał bezpośredni kontakt ze wszystkimi ofiarami. Z drugiej strony mieli morderstwo różniące się od innych i żelazne alibi podejrzanego. Dodatek do tej układanki stanowiło twierdzenie Kenta, że ma ważne informacje, z powodu których – jak uważał – chciano go zabić. I jeśli nawet sfingował zatrucie w celi w komisariacie, nie zmieniało to faktu, że uzbrojona banda była gotowa uwolnić go pod groźbą użycia broni. Co znaczyło, że w taki czy inny sposób Kent jest dla kogoś ważny.

Ale dla kogo? I dlaczego?

Pociągnęła łyk riojy. Picie zwykle nie pomaga w intensywnym myśleniu, ale miała nadzieję, że może pozwoli jej spojrzeć na fakty pod innym kątem.

Ponieważ wiedziała, że coś przeoczyła. Wszystkie wydarzenia rozegrały się z jakiegoś powodu. Gdzieś jest rozwiązanie, po prostu trzeba je znaleźć i sposób polega na naśladowaniu Sherlocka Holmesa: usuwać kolejne nieprawdopodobne scenariusze, aż zostanie ten, który pasuje. I tak odsłoni się prawda.

Kent nie zamordował Roisin O'Neill. Zrobił to ktoś inny. Udusił ją, nie pozostawiając żadnych oczywistych śladów napaści na tle seksualnym, na tym polegała różnica. Znał sposób działania Upiora, choć informacje nie zostały podane do wiadomości publicznej, i próbował upozorować jej śmierć na jedno z jego morderstw, żeby zamaskować swoją rolę.

Ale czego zabójca chciał od Andrew Kenta?

Myśl... Myśl...

Nagle trzasnęła kieliszkiem w stolik, gdy odpowiedź napłynęła w szaleńczym tempie. Nawet nie zauważyła, że wino się rozlało i ścieka na dywan. Była podekscytowana, po raz pierwszy miała pewność, że wie, co się stało i dlaczego Kent został wzięty na cel.

Teraz muszą tylko go znaleźć.

# 34.

Szybko wyszedłem z budynku i szok na mojej twarzy musiał być oczywisty, bo Lee podniosła dłoń do ust. Złapałem ją za rękę i odciągnąłem od drzwi.

– Tam są zwłoki.

– To nie Tyrone, prawda? Proszę, nie Tyrone.

Wtedy zrozumiałem, że naprawdę jej na nim zależy, choć tylko Bóg wiedział dlaczego.

– Nie, to Haddock. Został zamordowany.

– Haddock? Przecież jest taki wielki.

– Musieli na niego czekać i wzięli go przez zaskoczenie.

Powoli wróciłem przed dom, a Lee za mną. Nie miałem pojęcia, kto zabił Haddocka, ale ktokolwiek to był, wiedział, co robi. I skoro zdołał poradzić sobie z takim ogromnym, brutalnym typem jak on, z łatwością mógł załatwić Lee i mnie.

Zdawało mi się, że coś się poruszyło na skraju lasu. Przy-  
mrużyłem oczy, obserwując teren jak jastrząb, ale nic więcej  
nie zobaczyłem. Może to tylko wytwór mojej wyobraźni. Był  
środek nocy, a ja miałem stargane nerwy.

– Musimy iść – powiedziałem Lee – ale potrzebujemy ja-  
kiejś broni.

– A co z Tyrone'em?

– Masz telefon? Zadzwoń do niego i powiedz, że gdzieś się  
spotkamy.

– Próbowałam. Nie ma sygnału.

– Cholera.

– Myślisz, że zabójca Haddocka wciąż tu jest? – Lee ze  
strachem rozejrzała się w ciemności.

– Nie. To nie miałoby sensu. – Prawda wyglądała tak, że  
nie miałem pojęcia. Wiedziałem tylko, że nie chcę się tu plątać,  
ale nie miałem zamiaru iść przez te lasy bez broni. W szopie  
nie było niczego, co mogłoby mi się przydać, miałem więc  
tylko jedną możliwość. – Muszę wrócić do domu.

– W kuchni są noże – powiedziała Lee. – Widziałam je  
wcześniej w szufladzie.

– Wystarczy – mruknąłem i ruszyłem z nadzieją, że je  
znajdę. Zastanawiałem się, czy nie podjąłem bardzo głupiej  
decyzji, wracając do domu.

Gdy wszedłem do zakurzonego starego holu, nikt się na  
mnie nie rzucił. W domu panowała niesamowita cisza, jak  
wcześniej. Odczekałem parę sekund, nasłuchując niepasują-  
cych tu dźwięków, ale słyszałem tylko szybki oddech podcho-  
dzącej do mnie Lee. Zapytałem, gdzie jest kuchnia.

– Tam – szepnęła, wskazując drzwi na prawo od schodów. Jasno dała do zrozumienia, że mam iść przodem.

Podszedłem i kopnąłem drzwi z taką siłą, że uderzyły w ścianę z hukiem, który strzaskał ciszę budynku. Lee aż podskoczyła.

– Czemu to zrobiłeś? – syknęła.

– Bo wolę nie ryzykować – odparłem. Wszedłem i rozejrzałem się po kuchni.

Była wielka, z wyspą pośrodku, z graffiti na ścianach, z odorem tłuszczu w powietrzu. Poza tym pusta.

Lee wskazała szufladę, w której widziała noże. Otworzyłem ją szybko i przegarniałem tandetne sztucce, aż znalazłem tępy, zardzewiały nóż do krajania mięsa i mniejszy nóż kuchenny z dziesięciocentymetrowym ostrzem. Podałem jej mniejszą broń, a sam wziąłem nóż do mięsa.

Nie mogłem sobie wyobrazić, że kogoś nim dźgam. W przeszłości widziałem dość ofiar napadów z nożem, żeby zdawać sobie sprawę z okropności takiego czynu. Wiedziałem, że zabraknie mi siły psychicznej, by wbić ostrze w ludzkie ciało, gdyby nawet ktoś chciał mnie zabić. A jednak świadomość, że wreszcie mam się czym bronić, przyniosła mi ulgę, jeśli nawet nóż miał być tylko straszakiem.

– Możemy iść? – zapytała Lee.

W mroku widziałem strach wryty na jej twarzy i pokiwałem głową, ruszając ku drzwiom frontowym.

Nagle się zatrzymałem.

– Zaczekaj.

Spojrzałem na drzwi, przez które wcześniej przewlekliśmy Kenta. Kent. Owładnięty desperackim pragnieniem ucieczki

kompletnie o nim zapomniałem. Czy został uwolniony przez tajemniczego klienta? Czy wciąż siedzi uwięziony w piwnicy? Czy w ogóle jeszcze żyje? Muszę się dowiedzieć. Bo jeśli żyje, mam obowiązek zabrać go stąd i przekazać do aresztu.

Powiedziałem Lee, co zamierzam zrobić, a ona spojrzała na mnie jak na wariata.

– Nie chodź tam – poprosiła. – Po prostu wynieśmy się stąd w diabły.

Pokręciłem głową i kopniakiem otworzyłem drzwi. Tym razem z ust Lee popłynął przeraźliwy wrzask, który zbudziłby nieboszczyka.

– Uważaj na siebie – powiedziałem, po czym wszedłem do ogromnego pustego pokoju i pstryknąłem zapalniczką.

Cienie tańczyły w mroku, płomyk oświetlił graffiti na ścianach, ale nic więcej.

Kiedy Lee weszła za mną, zobaczyłem.

Drzwi do piwnicy były leciutko uchylone, rygiel wysunięty.

Wolfe i Haddock nie zostawiliby ich w ten sposób, nie z łupem na dole – przecież postrzelili policjanta, żeby go zdobyć. I nie rozumiałem, jak Kent mógłby uciec na własną rękę, jeśli drzwi były zaryglowane od zewnątrz.

Podszedłem wyczulony na trzeszczenie podłogi pod moimi nogami. Zatrzymałem się krok przed drzwiami, nasłuchując. Niczego nie usłyszawszy, nożem szerzej uchylilem drzwi i spojrzałem w ciemności, których nie rozpraszał płomyk zapalniczki.

– Nie chcę tam schodzić – szepnęła Lee.

Uspokajająco położyłem rękę na jej ramieniu.

– Zostaniesz przy drzwiach. Za chwilę wrócę.



Jeszcze raz poprosiła, żebym nie szedł, i w głębi duszy przyznawałem jej rację. Musiałem jednak wiedzieć, co się stało z Kentem.

Metalowa część zapalniczki parzyła mi palce, więc zgasilem płomień i z nożem przed sobą powoli ruszyłem w dół po kamiennych stopniach. Wszystkimi zmysłami próbowałem wychwycić jakieś nienaturalne dźwięki w milczącej czerni.

U stóp schodów oparłem się o zimną kamienną ścianę, zaciskając nóż w garści, i zapaliłem zapalniczkę.

Piwnica była wielka, bez okien, pełna zasnutych pajęczyną regałów. Pośrodku stało nowiutkie ciężkie krzesło biurowe z usuniętymi kółkami. Podłokietniki i dwie nogi okręcone były grubymi zwojami taśmy izolacyjnej. Na jednym ciemniało coś, co w mroku wyglądało jak plama krwi.

Ale nie to przykuło moją uwagę. Krzesło było puste.

Do licha, gdzie jest Andrew Kent?

Potem zauważyłem coś w kącie za krzesłem. Podeszedłem powoli, wysoko trzymając zapalniczkę.

Jezu.

Leżał w pozycji embrionalnej, ubrany w niebieski kombinezon jak wcześniej. Skorupa krzepnącej krwi pokrywała twarz, ale rozpoznałem go od razu po szpie ciemnoblonde włosów. Były dumą i radością Tommy'ego.

Gdy na niego patrzyłem, zobaczyłem kropelkę krwi spływającą z policzka na kamienną podłogę. Zrozumiałem, że zmarł całkiem niedawno. Pewnie w ciągu paru ostatnich minut. Możliwe, że byliśmy już wtedy w budynku.

A potem usłyszałem hałas za plecami.

## 35.

Odwróciłem się w ostatniej chwili, gdy ciemna sylwetka wyskoczyła z mroku. Dostrzegłem błysk metalu w nikłym blasku płomyka, ale zaraz potem zapalniczka wystrzeliła z mojej ręki. Piwnica pograżyła się w niemal zupełnych ciemnościach, gdy napastnik pchnął mnie na ścianę i wykręcił mi rękę, żeby mnie zmusić do upuszczenia noża.

Miałem wrażenie, że moje żebra eksplodują z bólu, ale adrenalina wraz z instynktem przetrwania wzięły górę i machnąłem wolną ręką, próbując odebrać mu nóż. Udało mi się złapać go za nadgarstek, był jednak silny i ostrze musnęło skórę mojego brzucha, gdy chciał mnie dźgnąć. Jednocześnie zwiększył nacisk na moją uzbrojoną rękę i utrzymanie noża wymagało całej siły woli.

Kiedyś pewien kibol i były bokser powiedział mi, że w starciu wręcz najlepszą bronią jest głowa. Pamiętając o tym teraz,

strzeliłem głową w ciemność, mając nadzieję, że zadam mu cios dość silny, żeby pozbawić go równowagi. Niestety, on wpadł na ten sam pomysł i nasze czoła spotkały się gdzieś pośrodku z głośnym trzaskiem, który wstrząsnął nami oboma.

Na chwilę jego chwyt zelżał i udało mi się odbić od ściany. Pchnąłem go w tył, ale utrzymał się na nogach i nie puścił mojej ręki. Siłowaliśmy się szaleńczo, gdy próbował trzasnąć mnie głową.

Uniknąłem dwóch ciosów, ale wpadłem na krzesło, straciłem równowagę, potknąłem się i o mało nie przewróciłem. Napastnik nagłym ruchem poderwał swój nóż, aż ostrze znalazło się tak blisko mojej twarzy, że mogłem je zobaczyć. Pchnął mnie na regały, czubek noża był dwa centymetry od mojego lewego oka.

Nie widziałem niczego poza ostrzem i ciemnością. Ale słyszałem jego wyteżony oddech, czułem kwaśny odór z jego ust.

– Na litość boską, pomóż mi! – ryknąłem w nadziei, że Lee tu zejdzie. – Pomocy!

Ręka mi dygotała z wysiłku, gdy trzymałem jego nadgarstek, żeby nóż nie wniknął prosto przez oko w mój mózg. Była to próba sił, ale taka, którą mogłem przegrać, ponieważ mój przeciwnik miał dogodną pozycję, a ja tylko desperację. Najmniejsze rozluźnienie chwytu będzie oznaczać moją pewną śmierć, a na to nie mogę pozwolić. Nie mogę. Nie, dopóki się nie dowiem, co tu jest grane.

Zawyłem ze złości i resztką sił wbiłem mu kolano w krocze, odrzucając go do tyłu. Dostrzegając okazję, uwolniłem rękę i pchnąłem nożem w ciemność. Dźgnąłem tylko powietrze, a sekundę później jego nóż wystrzelił z mroku, kreśląc zabójczy

łuk. Instynktownie uskokczyłem z drogi, tym razem zupełnie straciłem równowagę i upadłem na plecy z wyciągniętym nożem.

– Pomóż mi! – wrzasnąłem, ale napastnik nie podjął ataku. Usłyszałem, jak pędzi po schodach.

Wyczerpany podniosłem się i pogramoliłem w kierunku schodów. Zacząłem na nie wchodzić, widząc go już na samej górze. Byłem pięć stopni za nim, gdy zatrzasnął drzwi, i dwa stopnie od drzwi, gdy zasunął rygiel i zostawił mnie w absolutnych ciemnościach.

Z wrzaskiem frustracji uderzyłem w drzwi barkiem z całej siły, ale tylko się od nich odbiłem i zsunąłem o kilka stopni. Wiedząc, że Lee gdzieś tam jest i że ją zdradziłem, zostawiając samą, robiłem jak najwięcej hałasu. Czułem narastającą panikę, klaustrofobię i złość na siebie. Niedawno siedziałem zamknięty, a kilka minut po uwolnieniu znalazłem się dokładnie w takiej samej sytuacji. Doszło do tego, ponieważ złamałem pierwszą zasadę pracy pod przykrywką: kiedy wszystko zaczyna się sypać, wiesz co się w nogach i niech kawaleria sprząta bałagan.

Znieruchomiałem na kilka sekund zdyszany, próbując złapać oddech. W mojej głowie kłębiły się pytania. Czy to Kent mnie zaatakował? Jeśli tak, jak udało mu się uwolnić z więzów i jak zdołał zabić Clarence'a Haddocka pięćdziesiąt metrów stąd? Poza tym dlaczego wrócił do piwnicy, w której był uwięziony, kiedy miał okazję zwiać? A jeśli nie Kent mnie zaatakował, to kto, do cholery, skoro Haddock i Tommy nie żyją?

Wyskoczyło jedno oczywiste nazwisko i zaraz potem usłyszałem szmer ostrożnych kroków w pokoju za drzwiami.

– Halo?! – zawołał Tyrone Wolfe, jego głos tłukł się echem w pustych wnętrzach budynku. – Gdzie jesteście? Clarence, Lee? – Głos zdradzał niepewność, jakby Wolfe właśnie wszedł frontowymi drzwiami i był zdziwiony, że w domu jest ciemno i pusto.

Najpierw pomyślałem, że to jakiś podstęp Wolfe'a. Ale jeśli on mnie zaatakował, to również on mnie zamknął, nie musiał więc stosować żadnych sztuczek. Tkwiąc w mroku, nie miałem innego wyboru, jak rozstrzygnąć wątpliwości na jego korzyść.

Załomotałem w drzwi.

– Tyrone, to ja, Sean. Wypuść mnie stąd.

Kroki się zbliżyły.

– Co ty tam robisz? – zapytał.

Powiedziałem mu prawdę. O Lee, która mnie uwolniła; o odkryciu zwłok Haddocka, a potem Tommy'ego; o pustym krześle Kenta i ataku na mnie.

– Gdzie jest Lee? – warknął z wyraźnym napięciem w głosie.

– Nie wiem. Zostawiłem ją tam, gdzie stoisz. Nie ma jej?

– Nie ma. Nikogo nie ma.

– Była tam dwie minuty temu, słowo.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

– Bo sam się tu nie zamknąłem, no nie? I jeśli mi nie wierzysz co do Haddocka, idź i sam zobacz. Jest w budynku przy domu.

– I na pewno nie żyje?

Teraz w jego głosie brzmiało niedowierzanie, co potrafiłem zrozumieć. Trudno uwierzyć, że ktoś tak wielki i groźny jak Haddock mógł zostać pokonany.

– Martwy jak kłoda – odparłem. – Tommy też.

Zapadła długa, ciężka cisza, gdy rozważałem moje słowa – już nie ma ekipy, jego kumple zostali skasowani, gdy on zakopywał broń, jego dziewczyna zniknęła i prawdopodobnie nie żyje. Możliwe, że nawet działała z kimś w zмовie przeciwko niemu, gdyż teraz mniej więcej wszystko było możliwe. Jedno stało się dla mnie jasne: Tyrone Wolfe wie równie mało jak ja. I tylko to dawało mi pewną nadzieję.

Wreszcie usłyszałem zgrzyt odciąganego rygla. Zszedłem na niższy stopień, przytrzymując się poręczy, gdy drzwi się otworzyły. Wolfe stanął w progu, celując we mnie z pistoletu. We wpadającej przez okna nikłej księżycowej poświacie widziałem, że jego czoło lśni od potu.

Zauważył mój nóż i kazał mi go rzucić.

– Nie ma mowy. Ktoś właśnie próbował mnie zabić i nadal gdzieś tu jest. Prawdę mówiąc, wciąż nie jestem pewny na sto procent, czy to nie ty. Chodzi o to, że jesteś trochę zdyszany.

– Niedawno wykopałem cholernie wielką dziurę. To chyba jasne, że mam zadyszkę.

– Ale widzę, że zatrzymałeś swój pistolet.

– Nikt z niego nie strzelał, więc nie ma powodu się go pozbywać.

– Jak widzisz, mój nóż też nie był używany. Jestem taki jak ty. Muszę mieć coś do obrony.

Obliznął usta i skinął głową.

– Niech ci będzie. Musimy znaleźć Lee.

– I Kenta. Na nim zależy klientowi, prawda?

Znów pokiwał głową, ale tym razem mniej pewnie.

- Kim jest klient, Tyrone?
- Nie mogę ci powiedzieć.
- To mogło działać, zanim wszyscy wokół zaczęli umierać, ale już nie działa. Chcę wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

Rozejrzał się nerwowo.

- Dobra. Ale najpierw chcę znaleźć moją dziewczynę. Rozumiesz? Musi gdzieś tu być.

- Skąd wiesz, że ona za tym wszystkim nie stoi? – zapytałem.

Jego twarz spochmurniała i przysunął się do mnie.

- Wiesz co, Sean? Ona mnie kocha. Zawsze mnie kochała i zawsze będzie kochać. A teraz, jeśli nie chcesz mnie wkurzyć, nie mów więcej takich rzeczy, rozumiano?

Patrzyłem na niego, upewniając się, czy wie, że już mnie nie zastraszy zgrywaniem twardziela. Tyrone Wolfe zdecydowanie nie zaliczał się do tych, którym warto wchodzić w drogę, ale po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że naprawdę nie jest taki groźny, jak próbuje się przedstawić. Co do Lee też nie byłem przekonany. Z mojego – wprawdzie skromnego – doświadczenia wynikało, że tajskie prostytutki są pozbawione skrupułów, a większość mężczyzn z Zachodu, którzy na nie lecą, jest tego naiwnie nieświadoma. Wolfe, czego byłem całkiem pewien, idealnie pasował do tej kategorii naiwniaków, ale nie zamierzałem o tym dyskutować.

- Jasne – odparłem. – Prowadź.

Przez chwilę patrzył na mnie wściekle z rozdętymi nozdrzami, potem odwrócił się w stronę drzwi.

Wtedy złapałem go za kołnierz kombinezonu, pociągnąłem

w tył i jednym szybkim ruchem przyłożyłem mu nóż do gardła.

– Nie ruszaj się – szepnąłem mu do ucha. Chciał obrócić pistolet, żeby lufa celowała mniej więcej w moją stronę, ale stałem zbyt blisko niego. – Nie chcę cię skrzywdzić, chcę tylko wiedzieć, z kim mam tu do czynienia. Jeśli mi powiesz, kim jest klient, odsunę nóż i pogadamy spokojnie.

– Pieprz się – syknął, ale z drżeniem w głosie.

Mocniej przycisnąłem nóż, nie chcąc puszczać krwi, ale gotów to zrobić, jeśli będę musiał. Ostatecznie ten człowiek zabił mojego brata.

– Zabiję cię za to – szepnął.

– Mów.

I wtedy rzucił kolejną bombę:

– Nie wiem.



## 36.

– Co to znaczy, do cholery? – zapytałem z niedowierzaniem, wciąż przyciskając nóż do jego gardła.

– Dokładnie to, co mówię. Nie znam nazwiska faceta, który nam za to płaci. Znam go pod ksywką Alfa. A teraz czy możesz łaskawie odsunąć nóż od mojego gardła?

Pomyślałem, czy nie zażądać, żeby oddał mi broń, ale doszedłem do wniosku, że z pewnością by nie posłuchał.

– O ile dasz słowo, że nie wpakujesz we mnie kulki i odpowiesz na moje pytania.

– Zgoda, ale muszę znaleźć Lee. Jest zupełnie sama.

– A ja jestem gotów ci pomóc, lecz najpierw musimy wyjaśnić parę rzeczy. – Odsunąłem nóż od jego szyi, lecz trzymałem go blisko i nie rozluźniłem ręki na kołnierzu. – Najpierw chcę wiedzieć, skąd znasz tego Alfę.

Wolfe odetchnął głęboko i zaczął mówić.

– Występuje w imieniu pewnych ludzi, od których kupowaliśmy kokę i herę. Od czasu do czasu dzwoni do nas z wiadomością, gdzie i kiedy odbędzie się transakcja. Daje nam również cynk, gdy sądzi, że jesteśmy obserwowani.

– Jest gliną?

– Szczerze mówiąc, nic o nim nie wiem. Rozmawialiśmy tylko przez telefon. Ale zawsze miał pewne informacje i można na nim polegać. Kiedy więc zadzwonił w zeszłym tygodniu i powiedział, że chce wyciągnąć kogoś z policyjnego aresztu i jest gotów zapłacić za to kupę szmalu, nie przypuszczałem, że wyniknie jakiś problem.

– Dokładnie kiedy to było?

– Chyba w piątek.

– A Andrew Kent został przymknięty dopiero zeszłej nocy.

Wykręcił szyję, patrząc na mnie ze złym błyskiem podejrzliwości w oczach.

– Skąd wiesz? Nie mówiłem ci tego.

– Tommy mi powiedział – skłamałem. – I nie pytaj mnie, skąd wiedział, bo nie mam pojęcia. Rzecz w tym, jak to się stało, że Alfa wynajął cię do odbicia z aresztu kogoś, kto w tym czasie jeszcze nie był aresztowany? To się kupy nie trzyma.

– Zdarza się. I obiecał zapłacić pół miliona za robotę. Nie mogłem w to uwierzyć, ale przysłał mi klucz do skrytki depozytowej, w której leżało sto kawałków. Nazwał to „złotym powitaniem”, zaliczką na przypieczerowanie umowy. Clarence miał opory, żeby brać zlecenie, bo nigdy wcześniej nie robiliśmy czegoś takiego, ale mnie bardzo zależało.

– Nie chce mi się wierzyć. Podobno jesteś taki ostrożny w interesach.

– Pomyślałem, że sprawa jest czysta. I spróbuj zrezygnować z takiej forsy, gdy masz ją przed nosem. To niełatwe. W każdym razie Alfa przekazał nam szczegóły z wyjątkiem nazwiska więźnia. Powiedział, że tego dowiemy się później. Tymczasem mieliśmy wszystko zorganizować.

– Kto wybrał to miejsce?

– On. Mieliśmy przywieźć tu Kenta, zapakować go do piwnicy i dopilnować, żeby nie był za mocno poturbowany. Kazał nam czekać, aż zjawi się z resztą należności. Mieliśmy się z nim spotkać po raz pierwszy.

– Pytałeś, po co mu Kent?

– Powiedział, że nie muszę wiedzieć.

– Więc ta gadka o porwaniu w imieniu krewnego ofiary jest wyssana z palca?

Pokiwał głową.

– Nie podejrzewałeś, że to pułapka?

– Czemu miałbym podejrzewać? Zrobiliśmy to, za co nam zapłacono. Nie było powodu wątpić, że nie zapłaci reszty.

Westchnąłem. Wolfe miał rację. Problem w tym, że facet nie zamierzał płacić. Zamiast tego chciał mieć pewność, że zginą wszyscy zamieszani w porwanie Kenta.

Skonsternowany i zmęczony puściłem Wolfa i cofnąłem się o krok. Obrócił się w moją stronę, ostentacyjnie pocierając szyję z wściekłym wyrazem twarzy.

– Gdy tylko się stąd wydostaniemy... – warknął.

– Gdy się stąd wydostaniemy, Wolfe, będziemy kwita. Ale najpierw musimy się wydostać.

– Z Lee.

Pokiwałem głową, świadom, że muszę rozstrzygnąć wątpliwości na jej korzyść, bo wiele jej zawdzięczałem.

– Z Lee.

– Chodź – polecił. – I tym razem naprawdę strzeż moich tyłów.

Szedłem za nim, gdy wrócił do ciemnego holu. Tam przystanął, rozglądając się nerwowo.

– Nie mogła odejść daleko – szepnął, po czym wykrzyknął jej imię, a jego głos poniósł się w ciszy domu.

Nie było odpowiedzi.

– Może wyszła na zewnątrz – powiedziałem. – Mogła zwać.

– Powinieneś z nią zostać, dupku.

Mógłbym z nim dyskutować, ale miałem to w nosie. Nie ważne, co sobie myślał. Gdy tylko się stąd wydostaniemy, każę go aresztować na podstawie dowodu, jakim jest nagranie w zegarku. I dopilnuję, żeby wiedział, kto za tym stoi.

Stuknięcie było słabe, ale wyraźne, dochodziło skądś na piętrze.

Obaj stanęliśmy i nadstawiliśmy uszu. Odgłos się powtórzył, po czym zapadła cisza.

Wolfe drugi raz zawołał Lee. I znowu nie doczekał się odpowiedzi.

– Znasz rozkład pomieszczeń na górze, prawda? – zapytałem cicho.

Skinął głową.

– Tak. Przyjechaliśmy tu z Clarence'em parę dni temu, żeby sprawdzić dom. Jest tam kilkanaście pustych pokoi. Podłoga miejscami jest spróchniała, więc trzeba uważać, gdzie się stawia

nogi. Myślisz, że to była Lee?

Nagle wydał się bezbronny i wbrew sobie zacząłem mu współczuć jak wcześniej Kentowi, gdy go kopali i bili przez całą drogę do tej klaustrofobicznej piwnicy. Musiałem sobie przypomnieć, co ten facet zrobił mojemu bratu.

– Z pewnością związała, gdy tylko usłyszała szamotaninę w piwnicy. Może jest już w połowie drogi do Londynu.

– Próbowałem ją złapać przez komórkę, ale tu nie ma zasięgu, cholera.

– Pewnie dlatego wybrał to miejsce.

– Co masz na myśli?

– Żebyśmy nie mogli wezwać pomocy.

Wolfe pokręcił głową.

– Wykluczone. Popadasz w paranoję.

– Słuchaj, dwóch ludzi nie żyje, człowiek, którego porwaliśmy, zniknął, a ktoś... nie mam pojęcia kto... niedawno mnie też próbował zabić. I nie mogę wiedzieć tego na pewno, ale nie sądzę, żeby Lee tu była. Myślę, że uciekła.

– Ale jeśli jest? A jeśli dopadł ją gość, który chciał cię załatwić? – Urwał. – Idę na górę. Idziesz?

Spojrzałem w ciemność.

– Dobra – odparłem w końcu. – Ty masz gnata. Prowadź.

Szliśmy po schodach powoli, ale i tak kolejne stopnie poskrzypywały pod naszymi stopami. Wolfe zatrzymał się na górze i spojrzał w obie strony. Po prawej było dwoje zamkniętych drzwi. Po lewej ciągnął się długi korytarz z licznymi drzwiami, też zamkniętymi – łącznie z tymi, za którymi mieściło się moje więzienie – i dużym oknem na końcu.

Wolfe skręcił w prawo. Przystanął. Coś usłyszał. Z lewej strony korytarza.

Ja też usłyszałem. Straszne charczenie, jakby ktoś desperacko próbował wziąć oddech, mając usta, nos i gardło zalewane płynem.

Wolfe spojrzał na mnie z oczywistym strachem w oczach, ponieważ wiedział jak ja, że to rzeźenie osoby, która kona.

## 37.

Wolfe pobiegł w głąb korytarza, wykrzykując imię Lee i nie bacząc na niebezpieczeństwo.

– Na litość boską, stój! – zawołałem za nim, ale nie słuchał.

Przystanął przed drzwiami w połowie korytarza i otworzył je bez wahania.

– Boże! Lee, skarbie! – Słowa zlały się w udręczone wycie, gdy wpadł do pokoju.

Byłem pięć metrów za nim, posuwając się znacznie ostrożniej, ale gdy zniknął mi z oczu, pobiegłem, świadom, że mam go osłaniać. Poza tym wiedziałem, że jeśli Lee jest ofiarą, to prawie pewne, że zabójca wciąż tam przebywa, ponieważ nie miał okazji uciec.

Moje obawy się potwierdziły, zanim dotarłem do drzwi. Wolfe stęknął z bólu, potem tyłem wytoczył się na korytarz,

wyciągając wolną rękę, żeby się oprzeć o drzwi po drugiej stronie. Z jego klatki piersiowej sterczała rękojeść noża i ciemna plama już rosła na błękitnym kombinezonie. Wlepił we mnie oczy wielkie ze strachu i konsternacji, jakby nie mógł się pogodzić z tym, co go spotkało. Sig wypadł mu z ręki i zagrzechotał na podłodze. Zrobił kolejny krok w tył, na próżno starając się zachować równowagę, po czym powoli osunął się na kolano, wciąż patrząc mi w oczy. Jego usta otwierały się i zamykały bezgłośnie, jakby rozpaczliwie próbował mi coś powiedzieć.

Był dwa metry ode mnie. Pistolet leżał na podłodze tuż przed drzwiami pokoju, z którego dobiegało okropne charczenie, teraz znacznie głośniejsze.

Skoczyłem odruchowo, wyciągając rękę, żeby podnieść broń z podłogi.

Nie udało mi się. W drzwiach pojawił się cień i złapał mnie za kombinezon, poderwał w górę z niepokojąco wielką siłą. Jednocześnie kątem oka dostrzegłem postać za plecami napastnika, leżącą z głową opartą o ścianę. Nie widziałem twarzy, bo była czarną maską krwi, ale różowy motyl na bluzce powiedział mi, że to Lee.

Wciąż trzymałem nóż i dźgnąłem, lecz napastnik już odciągał mnie od broni i z rozpędu poleciałem do przodu. Potknąłem się o Wolfe'a i upadłem na bok, przeturlałem się kilka razy i wypuściłem nóż z ręki. Nie zwracając uwagi na ból żeber, podniosłem się z podłogi.

Napastnik stał przodem do mnie w korytarzu. W jednej ręce trzymał młotek z pazurem do wyciągania gwoździ, a w drugiej siga. Młotek był ciemny od krwi i gdy patrzyłem, kropelka urosła na końcu pazura i spadła na podłogę. Rozpoznałem drania



nawet w nikłym świetle. Miał pokiereszowaną twarz i głowę oraz głęboką ranę na policzku, ale nie ulegało wątpliwości, że to Andrew Kent. Tylko że już nie wyglądał jak młodzieniec o chłopięcej buzi, jak cherubinek, którego zwinęliśmy i który zapewniał o swojej niewinności. Stał w pewnej sobie pozie w rozkroku, celując we mnie z pistoletu, i leniwie uderzał w udo zakrwawionym młotkiem z wyrazem mrocznej obojętności w oczach.

Pociągnął za spust, zanim miałem szansę się ruszyć, i huk eksplodował w korytarzu. Ale Kent nie uwzględnił odrzutu i gdy pistolet poderwał się w jego ręce, strzelił Panu Bogu w okno.

To był dla mnie sygnał. Skulony rzuciłem się do najbliższych drzwi, szarpnąłem klamkę i wskoczyłem za próg, kiedy druga kula zaświszczała blisko mojej głowy.

Od hałasu dzwoniło mi w uszach, ale mimo to słyszałem jego kroki. Odskoczyłem od drzwi, podbiegłem do nowego okna z podwójnymi szybami, modląc się, żeby nie było zablokowane. Pociągnąłem za klamkę, ani drgnęła. Byłem w pułapce.

Trudne sytuacje wymagają trudnych decyzji, ale trzeba mieć odwagę i zimną krew. Na szczęście je miałem. Odwróciłem się i gdy Kent stanął w drzwiach, zaszarżowałem skulony, rycząc jak byk, z nadzieją, że go zaskoczę.

Udało się. Nie był dość szybki i kiedy pistolet wypalił po raz trzeci, trzasnąłem w niego z całej siły. Złapałem za uzbrojoną rękę, odsuwając ją w bok. Siła rozpędu rzuciła nas przez korytarz prosto przez drzwi do leżącego naprzeciwko pokoju.

Uderzył mnie młotkiem w krzyż, ale nie mógł mi zrobić prawdziwej krzywdy. Strzelił, gdy pchałem go ku ścianie, i znowu nie trafił.

Potem jakoś zdołał uwolnić rękę i wbił obcasy w podłogę, żeby mnie zatrzymać. Czułem, że obraca pistolet, by wycelować w mój bok. Odtrąciłem jego rękę, zanim zdążył pociągnąć za spust, i pchnąłem, próbując go przewrócić.

Cofnęliśmy się o krok, zvarci mocno w dzikim tańcu, a wtedy deski trzasnęły głośno pod naszymi nogami. Podłoga się zarwała i obaj poleciliśmy w dół.

Z hukiem upadliśmy w chmurze pyłu na podłogę piętro niżej. Wylądowałem na Kencie, ale siła wstrząsu zrzuciła mnie z niego i leżeliśmy obok siebie wśród kawałków tynku. Kent się nie ruszał, trzonek młotka leżał w jego na wpół otwartej dłoni. Dostrzegłem na obuchu strzępy ciała i wiedziałem, że należą do kobiety, którą miałem chronić. Ale teraz nie było czasu, żeby o tym myśleć. Ważniejsze, że Kent nie trzymał pistoletu.

Podniosłem się niezdarnie i rozejrzałem z desperacją, szukając broni w ciemności. Leżała ledwie metr dalej, ale gdy tylko zrobiłem krok, usłyszałem ryk. Kent wstał z podłogi, mierząc młotkiem w moją stopę.

Zdołałem uskoczyć, ale potknąłem się o kawałek tynku. Upadłem na kolana i obróciłem się szybko. Miałem go przed sobą, gdy skoczył z maniackim grymasem na drobnej twarzy dziecka, z młotkiem uniesionym nad głową.

Przewrócił mnie na plecy i usiadł na mnie okrakiem, przyciskając nogą moją prawą rękę. Starał się przyjąć optymalną

pozycję do zadania ciosu młotkiem.

– Zdychaj, sukinsynu! – syknął z sadystyczną radością w szeroko otwartych oczach.

Mogłem jednak ruszać lewą ręką na tyle, że złapałem kawał tynku i zanim zdążył opuścić młotek, rzuciłem mu go w twarz.

Odchylił się i zobaczyłem, że ma pył w oczach. Korzystając z okazji, poderwałem się pod nim z taką siłą, że na wpół się ze mnie zsunął. Poczłogałem się do pistoletu, złapałem za lufę w chwili, gdy znów podniósł młotek.

Błyskawicznie trzasnąłem go kolbą w policzek, a w tej samej chwili młotek musnął moją szczękę.

Kent spadł ze mnie i potoczył się po podłodze, wyjąc z bólu.

– Sukinsyn! – wrzasnął zduszonym głosem, jakby próbował krzyczeć przez zaciśnięte usta.

Gdy wstałem i wycelowałem w niego, klęczał, podpierając się rękami. Maniacki grymas zniknął zastąpiony przez minę skrzywdzonej, niemal anielskiej niewinności.

– Proszę, nie rób mi krzywdy – szepnął teraz wyraźniej. – Proszę. Nie z zimną krwią. Potrzebuję pomocy. Nie mogę sam zaradzić temu, co robię.

Byłem policjantem. Jak mógłbym zabić człowieka z zimną krwią? Jak później miałbym z tym żyć? Te pytania przemykały mi przez głowę, gdy patrzyłem na niego z góry, trzymając sigę oburącz.

Zapadła długa cisza. Patrzył na mnie błagalnie. Ja patrzyłem na niego. W skupieniu. Zastanawiając się.

A potem skoczył na mnie jak zwierzę z młotkiem w ręce i pociągnąłem za spust. Strzelałem, a on tańczył w mroku, aż

wreszcie magazynek zrobił się pusty i Andrew Kent, Nocny Upiór, legł martwy u moich stóp.

Stałem i patrzyłem na niego, nie czując żadnej satysfakcji, tylko ulgę, że już po wszystkim. Wypuściłem pistolet z palców.

Zostało jeszcze coś do zrobienia, więc poszedłem do schodów i trzeci raz tej nocy wspiałem się na górę.

Tyrone Wolfe leżał tam, gdzie ostatnio go wdziałem. Wielka kałuża krwi utworzyła się pod jego torsem, nóż wbity był po samą rękojeść. Jego blada twarz niemal świeciła w ciemności. Ale oczy miał otwarte i wciąż oddychał.

– Lee. Pomóż jej, Sean. Proszę.

Zmusiłem się do powrotu do pokoju, w którym Kent na nią napadł. Od razu zauważyłem, że przestała oddychać. Zaciśnąłem zęby, patrząc na jej zmasakrowaną, zakrwawioną twarz. Tylko prawdziwa bestia mogła w ten sposób poranić bezbronną kobietę. Upiór był bestią. Stojąc w tym brudnym pokoju, mając do towarzystwa tylko zapach krwi, śmierci i brudu, nie czułem satysfakcji, że zabiłem Kenta. Byłem odrętwiały. Choć wiedziałem, że to nic nie da, pochyliłem się, sprawdziłem puls Lee i niemal odetchnąłem z ulgą, gdy nic nie poczułem.

Kiedy wróciłem, Wolfe z ogromnym wysiłkiem uniósł głowę i zapytał mnie, czy z nią wszystko w porządku.

– Przykro mi – odparłem szczerze. – Nie żyje.

Jego twarz wykrzywiła się w grymasie głębokiej rozpacz i szeptął jej imię, jakby w ten sposób mógł odwrócić straszliwą stratę poniesioną tej nocy. Potem zaczął dygotać.

– Zimno mi – szepnął. – Chyba umieram.

Umierał. Nie miałem wiele czasu, żeby powiedzieć mu to, co musiałem.

– Dlaczego mnie nie zastrzeliłeś, gdy miałeś okazję? – zapytałem.

– Bo nie jestem taki. Nie potrafię nikogo zabić z zimną krwią. Obojętnie kogo.

– Ale zabiłeś mojego brata.

Przez jego twarz przemknęło zdumienie.

– Co?

– Highgate High Street. Czwartek, drugiego listopada dziewięćdziesiątego piątego. Człowiek próbował cię zatrzymać, gdy okradałeś furgonetkę. Nazywał się John Egan. Miał blizny na twarzy, bo został ranny podczas wojny w Zatoce Perської. Nazwałeś go mutantem, a potem zastrzeliłeś. Pamiętasz? – Pochyliłem się, patrząc mu prosto w oczy. – Był moim bratem.

– Ten facet? – Miał zmieszana minę. – Twój brat?

– Zgadza się. Mój brat. A ja nie jestem złodziejem i zabójcą jak ty. Jestem gliną. Kapujesz? Zinfiltrowałem twoją ekipę, żeby cię zniszczyć. I mam cię. Jesteś skończony.

– Jezu, nie rozumiesz... – Powoli pokręcił głową.

Pochyliłem się jeszcze bliżej. Moja twarz znalazła się tylko parę centymetrów od jego twarzy. Chciałem wysłuchać jego tłumaczeń.

– Co to znaczy?

- To nie ja.
- Słyszałem z pewnego źródła, że się tym przechwalałeś.
- I to wszystko – szepnął. – Przechwałki. – Podjął ogromny wysiłek, żeby spojrzeć mi prosto w oczy. – Nie zabiłem twojego brata, Sean.

A potem, gdy się podniosłem oszołomiony tymi informacjami, coś poczułem. Zapach dolatujący z dołu.

Benzyna.

## 38.

Sekundę później rozległ się głośny huk i w korytarzu zrobiło się zupełnie jasno. Odwróciłem się, gdy fala żaru przemknęła nade mną i płomienie skoczyły w górę schodów.

Do licha, kto podłożył ogień? Wszyscy, z którymi tu przybyłem, nie żyli. Ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, bo już opadały ku mnie duszące kłęby czarnego dymu.

– Kto zabił mojego brata? – ryknąłem do Wolfe'a, chwytając go za kołnierz kombinezonu, rozpaczliwie pragnąc poznać odpowiedź.

Oczy miał zamknięte i zwisał bezwładnie w moich rękach, gdy potrząsałem nim wściekle, z frustracją. Dym zgęstniał szybko wokół mnie i zacząłem się krztusić.

Pobiegłem do okna na końcu korytarza. Było starsze niż tamto w pokoju i choć miało podwójne szyby, szkło było cienkie,

przecięte skośną szczeliną, a rama wydawała się obluzowana. Ale nie było klamki, żeby je otworzyć.

Dym był naprawdę gęsty. Choć padałem z nóg, napędzała mnie adrenalina zrodzona z totalnej desperacji. Mocno uderzyłem w ramę. Zagrzecgotała, ale nie ustąpiła. Spróbowałem jeszcze raz, potem drugi i trzeci. Nic się nie działo, wyjąwszy to, że moje żebra rozsadzał ból i miałem kłopot z oddychaniem. Zmuszając się do zachowania spokoju, cofnąłem się o pięć kroków i uderzyłem barkiem. Tym razem usłyszałem trzask i okno się otworzyło. Kaszłąc, z coraz głośniejszym hukiem płomieni w uszach, znowu zrobiłem pięć kroków w tył, krzywiąc się, bo żar parzył mi plecy. Zamknąłem oczy, żeby tak nie piekły, rzuciłem się ku oknu i skoczyłem.

Wszystko razem, szyby i rama, spadło na ziemię, a ja w ostatniej chwili się zatrzymałem, żeby nie zlecieć wraz z oknem. Rozpaczliwie odetchnąłem świeższym powietrzem, otoczony kłębam dymu. Przerzuciłem się przez parapet i zawiśłem na czubkach placów. Do ziemi były pewnie trzy metry, ale musiałem się wydostać stąd jak najszybciej. Odbiłem się nogami od muru, puściłem parapet i wylądowałem twardo, aż zachrząściło mi w kostkach, a potem potoczyłem się po spękanym szkle.

Byłem prawie na wprost budynku, w którym znalazłem ciało Haddocka. Dziesięć metrów dalej rosły pierwsze drzewa oferujące względne bezpieczeństwo.

Nie zważając na ból w kostkach – Jezu, w całym ciele – pobiegłem. Zaraz potem usłyszałem szcęk przeladowywanej strzelby ledwie parę metrów za plecami. Odwróciłem się, dostrzegłem sylwetkę mężczyzny w kombinezonie i w kominiarce,



jakie wszyscy nosiliśmy. Celował we mnie ze strzelby.

Biegłem zygzakiem nisko pochylony. Gdy strzelba wypaliła, zanurkowałem za węglem budynku, znikając z pola widzenia, po czym poderwałem się z ziemi i zacząłem uciekać co sił w nogach.

Dotarłem do lasu w tempie, jakiego nie byłbym zdolny osiągnąć w swoich najlepszych czasach, a co dopiero po wszystkim, przez co przeszedłem. Kolejny strzał padł niedaleko za mną, ale biegłem, przedzierając się przez krzaki, przeskakując rowy, schylony nisko ku ziemi, aż w końcu zahaczyłem o coś nogą i upadłem.

Nie słyszałem odgłosów pościgu, więc wsunąłem się pod ostrokrzew i leżałem, oddychając powoli, starając się uciszyć posapywanie. Strzelające wysoko w niebo płomienie oświetlały las. Rozglądałem się ostrożnie, próbując się stać tak mały i niepozorny, jak tylko możliwe.

Minęły dwie minuty. Oddychałem bardziej regularnie i zacząłem myśleć, że może najgorsze mam za sobą.

Potem usłyszałem w pobliżu trzask pękającej gałązki.

Zamarłem. Leżąc na ziemi, zobaczyłem parę butów. Ktoś szedł niespiesznie, ale zdecydowanie w moją stronę. Pięć metrów, cztery metry, trzy. Nie miałem siły. Ani trochę. W ciągu paru godzin przeżyłem piekło, wszystko mnie paliło i bolało. Miałem dość rozsądku, żeby leżeć cicho i nie tracić nadziei, choć wiedziałem, że jeśli dojdzie co do czego i będę patrzył w lufę strzelby, po prostu pogodzę się z losem.

Buty zatrzymały się metr przed moją twarzą. Czy prześladowca mnie widzi? Spałem się, czekając na ten ostatni strzał,

który położy kres wszystkiemu, czego kiedykolwiek doświadczyłem i co czułem.

Strzał nie padł. W dali zawyła syrena, chwilę później odezwała się druga. Człowiek, który na mnie polował, odwrócił się i odszedł.

Leżałem długi czas, słuchając coraz głośniejszych syren, i choć byłem zbyt wykończony, żeby logicznie myśleć, dwa pytania nie dawały mi spokoju. Po pierwsze, dlaczego człowiek ze strzelbą chciał mnie zabić, a potem ryzykował, próbując wytropić mnie w lesie? Mogłem tylko założyć, że był klientem, dla którego pracowaliśmy, ale przecież musiał wiedzieć, że nie znam jego nazwiska.

Tak naprawdę trapiło mnie drugie pytanie. Jeśli Tyrone Wolfe nie zabił mojego brata, to, do cholery, kto to zrobił?

## 39.

Pomimo późnej pory Tina nie położyła się spać. Opracowała teorię. Ogólnikową i daleką od niepodważalności, ale pasującą do faktów.

Dopiła kieliszek wina, wypila trochę wody, żeby pojaśniało jej w głowie, i zalogowała się do bazy danych wydziału zabójstw, gdzie w formie elektronicznej przechowywano akta sprawy Nocnego Upiora. Pracując w tempie, na jakie stać człowieka po szesnastu godzinach pracy i po wypiciu prawie całej butelki wina, znalazła zeznania świadków dotyczące Roisin O'Neill i zaczęła je przeglądać. Jak w każdym ważnym dochodzeniu, policja zobowiązana była pobrać szczegółowe zeznania od jak największej liczby ludzi, żeby zminimalizować ryzyko pominięcia czegoś znaczącego. Jednakże w tym wypadku, ponieważ już podejrzewano, że Roisin zginęła z rąk seryjnego zabójcy, który nie miał wcześniejszych powiązań z

ofiara i którego motyw był wyraźnie ustalony, pytania o przyjaciół i rodzinę były mniej szczegółowe. Więcej uwagi poświęcono sąsiadom Roisin i wszystkim, którzy znajdowali się w okolicy w czasie jej śmierci. Właśnie na nich Tina skupiła uwagę.

Mimo wszystko w grę wchodziło trzydzieści sześć osób i minęło dwadzieścia minut, zanim znalazła to, czego szukała. Było to jedno zdanie kobiety mieszkającej naprzeciwko bloku Roisin – rzucona od niechcenia uwaga, która w owym czasie nie wzbudziła zainteresowania, ale teraz stała się kolejną, choć wątlą, podporą jej teorii.

Pięć minut później znalazła coś innego. Kolejna uwaga, tym razem z ust Beatrice Glover, która zajmowała mieszkanie na dole i mówiła wcześniej Danowi Grierowi, że widziała Andrew Kenta na klatce schodowej. Słowa brzmiały błaho na tle poważnego dochodzenia w sprawie seryjnego zbrojcy i nie zostały powiązane z zeznaniem kobiety z drugiej strony ulicy, ale teraz przyprawiły Tinę o przyspieszone bicie serca.

Była na właściwym tropie.

Następnie wytropiła billingi komórki Roisin. Sprawdzanie wykazów rozmów telefonicznych ofiary jest standardową praktyką dochodzeniową w wypadku każdego morderstwa, choć o ile pamiętała, w sprawie Roisin billingi wykorzystano przede wszystkim do określenia dokładniejszego czasu śmierci. Morderca obmyślił piękny plan: wiedział, że jej zbrojstwo zostanie wrzucone do jednego worka z tymi popełnionymi przez Upiora, więc policja będzie się koncentrować na zlokalizowaniu i zidentyfikowaniu seryjnego zbrojcy, a następnie na zebraniu

dowodów przeciwko niemu. W owym czasie nikt z prowadzących śledztwo nie przyjął założenia, że Roisin nie była jego czwartą ofiarą, ponieważ nic na to nie wskazywało.

Billingi Roisin zostały zeskanowane i umieszczone w pliku elektronicznym po dokładnym sprawdzeniu przez oficerów śledczych, więc obok numerów telefonicznych widniały odręczne notatki z nazwiskami właścicieli numerów. To ułatwiło Tinie zadanie. Roisin wyraźnie była lubiana. Dzwoniła i odbierała telefony średnio trzydzieści razy dziennie. Większość rozmów prowadziła z przyjaciółmi i członkami rodziny. Utrzymywała stały kontakt z ojcem i z Derval. Nie brakowało również telefonów służbowych.

Ale wyróżniał się jeden szczególny numer. Komórka, z której odebrała osiem rozmów w ciągu czterech tygodni przed śmiercią i na którą dzwoniła łącznie szesnaście razy, w tym jedenaście razy łącząc się z pocztą głosową. Najwyraźniej telefon należał do kogoś, z kim bardzo chciała porozmawiać, ale kto nie zawsze był zainteresowany rozmową z nią. Połączenia z reguły były krótkie, lecz zdarzały się też bardzo długie. Raz rozmawiali dziewięćdziesiąt siedem minut. Ale Tinę tak naprawdę zaciekała adnotacja, którą obok numeru dodał policjant sprawdzający billingi.

*Martwy.*

Zadzwoiła i odsłuchiwała nagrany komunikat, że numer nie odpowiada. Wtedy nikt nie podążył tym tropem, ale przecież nie było ku temu powodu. Roisin padła ofiarą Upióra. Koniec pieśni.

Prawda wyglądała inaczej. Roisin zabił ktoś inny.

Tina usiadła na kanapie i zapaliła papierosa, zastanawiając się, do kogo należał ten numer i jak może się tego dowiedzieć.

Zadzwoiła jej komórka. Podniosła ją i ściągnęła brwi. Numer zastrzeżony.

– Panna Boyd? – usłyszała niepewnie brzmiący głos.

Rozpoznała go od razu. To były gliniarz z firmy ochroniarskiej, która umieściła kamery na drodze do posiadłości Kevina O'Neilla.

– Cześć, Jim. Dzięki, że się odezwałeś.

– Nie zbudziłem cię, prawda? Mówiłaś, żeby dzwonić bez względu na porę.

– Nie ma sprawy, nadal pracuję.

– Boże, o tej godzinie? Aleś ty gorliwa.

Gorliwa czy opętana, nie była pewna.

– Co dla mnie masz? – zapytała, próbując nie zdradzać zniecierpliwienia, chociaż chciała, żeby jak najszybciej skończył, bo przecież miała nowy trop.

– Prosiłaś, żebym obejrzał nagranie z Mayflower Lane z czwartkowej nocy i podał ci listę wszystkich nienależących do mieszkańców samochodów, które z niej korzystały. Mam ją.

– Jest długa?

– Nie. Tylko trzy pojazdy.

Zapisała numery i godziny zarejestrowane przez kamerę, po czym podziękowała mu za starania.

– Sprawa musi być ważna, skoro wciąż nad nią pracujesz o tej porze – zauważył.

– Obiecuję ci, powiem, o co chodzi, gdy tylko będę mogła – zapewniła go i przerwała połączenie.

Tina nie miała szczególnie wielkich nadziei, że informacje

od Jima zapoczątkują nowy trop, ale skoro na liście widniały tylko trzy samochody, zalogowała się do centralnego rejestru komputerowego policji, żeby sprawdzić, czy któryś z nich został skradziony. Trafiła za pierwszym razem. Srebrna czterodrzwiowa honda accord miała fałszywe tablice zdjęte ze srebrnej hondy accord coupé w Islington cztery dni wcześniej.

Wyprostowała się i przetarła oczy. To samochód zabójcy. Bez dwóch zdań.

Dopaliła papierosa i zgasła niedopałek w popielniczce, która prawie się przesypywała. Zwalczyła chęć wypicia kolejnego kieliszka wina. Do czegoś dochodziła, zważając możliwości, była coraz bliżej prawdy. Ale też musiała się wyspać.

Spojrzała na zegarek. Wpół do drugiej. Wiedziała, do kogo musi zadzwonić.

## 40.

Mike Bolt przez ponad rok był szefem Tiny w SOCA, agencji do walki z przestępczością zorganizowaną, ale ten suchy fakt niewiele mówił. Zwerbował ją, gdy przechodziła kryzys, i nie szczędził wysiłku, żeby stanęła na nogi. W tym czasie bardzo się zaprzyjaźnili, co niemal doprowadziło do romansu i było głównym powodem odejścia Tiny z SOCA i powrotu do policji stołecznej. Ale uczucia, którymi go darzyła i które – jak wiedziała – odwzajemniał, nie przeminęły i okrzepli rok później, gdy naraził własne życie, żeby ją uratować po porwaniu przez psychopatę, wskutek czego oboje znaleźli się w centrum uwagi.

Z tego zdarzenia wyszła z kulką w stopie. Zabiła rzezonego zwyrodnialca, a potem na długie tygodnie zamknęła się w swojej skorupie – poszła na chorobowe i odrzucała wszelkie propozycje pomocy, łącznie z tymi od Mike'a Bolta. Dopiero po



powrocie do pracy i przejściu do wydziału zabójstw odzyskała pewność siebie na tyle, żeby się z nim skontaktować. Namyslała się przez długi czas, czy ujawnić swoje uczucia, zanim wreszcie zdecydowała, że powinna to zrobić. Zebrała się na odwagę, zdusiła wątpliwości i w końcu do niego zadzwoniła.

Sprawił wrażenie szczerze ucieszonego, że ją słyszy, i rozmawiali przez dobre pięć minut, gdy nagle rzucił bombę. Ma nową dziewczynę Claire i dobrze się pomiędzy nimi układa. Nie wdawał się w szczegóły – zawsze uważał, żeby nie ranić uczuć innych – ale Tina poznała prawdę. Jest szczęśliwy z kimś innym.

Rozmawiali jeszcze przez dziesięć minut i w tym czasie dokładała wszelkich starań, żeby zawód, który dotknął ją do żywego, nie ujawnił się w głosie. W trakcie rozmowy Mike powiedział, że kiedyś muszą się spotkać przy drinku, ale jego ton brzmiał niezobowiązująco i wiedziała, że nie mówi szczerze.

Po zakończeniu rozmowy wyplakała sobie oczy, a potem spiła się na umór w obskurnym saloniku, bolejąc nad swoją autodestrukcyjną naturą i wszystkimi okazjami, które przez lata rozmyślnie przepuściła.

A teraz musiała zadzwonić do niego w sobotę o wpół do drugiej w nocy po wypiciu trzech czwartych butelki riojy. Nie cieszyła jej ta myśl, ale sprawa nie mogła czekać. Mike Bolt należał do najlepszych detektywów, z którymi pracowała. Co ważniejsze, był młodym wilkiem ze świetnymi kontaktami w SOCA i w policji stołecznej.

– Bóg wie, co sobie pomyśli jego dziewczyna – powiedziała głośno, gdy wybrała numer. Ale wiedziała, że on przynajmniej zrozumie.

Odebrał po czwartym sygnale.

– Tina? – zapytał ze zmęczeniem w głosie.

A więc nie wykasował jej numeru z telefonu.

– Cześć, Mike. Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze, ale pilnie potrzebuję twojej pomocy – powiedziała z nadzieją, że nie mamrocze. O ile wiedziała, nie miał pojęcia o jej nałogu.

Ziewnął.

– Nic nie szkodzi. Tylko drzemałem, a Claire nie ma. O co chodzi?

– Oglądałeś dziś wieczorne wiadomości?

– Mówisz o obławie na Upiora przed moim dawnym postępkami? Bez przerwy trąbili o tym we wszystkich kanałach informacyjnych. O to chodzi, prawda?

– Zgadza się.

– Tak sądziłem. Prawdę mówiąc, miałem zamiar zadzwonić do ciebie rano. Uznałem, że dziś jesteś zbyt zajęta. Wiadomo coś nowego o polowaniu?

– Jeszcze nie – odparła, zdając sobie sprawę, że powinna najpierw porozmawiać o tym z Dougiem MacLeodem. A jednak czuła się swobodniej, omawiając to z Mikiem, bo wiedziała, że będzie bardziej otwarty na jej teorie. Na przekór sobie była rada, że pomyślał, by do niej zadzwonić i porozmawiać o sprawie. To niewiele, ale zawsze coś.

– Kent i jego porywacze mogą być teraz gdziekolwiek. Ale okoliczności są niewiarygodne. Co za tym stoi?

Zrelacjonowała mu wszystko, co się stało od czasu aresztowania Kenta, zaczynając od pierwszych wywiadów i jego żarliwych zaprzeczeń, a potem mówiąc o wielkich stosach dowodów

przeciwko niemu, jego żelaznym alibi na czas morderstwa Roisin O'Neill, próbie otrucia go w celi, profesjonalnie zorganizowanym porwaniu i na koniec o podejrzanych okolicznościach śmierci ojca ofiary.

– Mam samochód na fałszywych numerach, który wjechał w zaułek Kevina O'Neilla w noc jego śmierci i nie należy do nikogo, kto tam mieszka. Chcę, żebyś sprawdził w ARTR\*, gdzie obecnie się znajduje.

\* ARTR – system automatycznego rozpoznawania tablic rejestracyjnych.

– Nie możesz zwrócić się do szefa o zgodę?

– W tej chwili nikt nie jest zainteresowany szukaniem słabych punktów w naszej sprawie przeciwko Kentowi. Wszyscy są zainteresowani znalezieniem faceta.

– Potrafię to zrozumieć.

– Ja również, ale szuka go mnóstwo innych ludzi. Muszę się dowiedzieć dlaczego. I moim zdaniem kluczem jest Roisin.

– Ale jak to? Sama powiedziałaś, że mnóstwo dowodów świadczy przeciwko Andrew Kentowi.

– Owszem, jestem pewna, że zabił pozostałe cztery kobiety. Ale nie Roisin. Nie mógł tego zrobić.

Usłyszała kolejne ziewnięcie Mike'a.

– A niech mnie, Tino, trudno mi ruszać głową o wpół do drugiej nad ranem. Zaczekaj, wstanę. Muszę się napić wody.

Czekała parę minut, paląc ostatniego papierosa, i słuchała, jak chodzi po mieszkaniu.

– W porządku – odezwał się w końcu. – To jasne, że masz teorię. Jaką?

Nagle ogarnęło ją nietypowe zdenerwowanie na myśl, że

odrzuci jej teorię od razu, choć w głębi serca wiedziała, że nie ma się czego obawiać. Był w policji jednym z niewielu ludzi, którzy zawsze wierzyli jej bezwarunkowo. Uważał, że jest dobra, a ona teraz potrzebowała pocieszenia.

– Mówiłam ci, że w komputerze Kenta znaleźliśmy materiały filmowe z miejsca zbrodni. Lubił nie tylko filmować zbrodniczo, ale też ofiary w dniach poprzedzających sam akt. Była to forma cybermonitoringu. Włamywał się do ich domów, obchodził zainstalowane przez siebie systemy alarmowe, co nie stanowiło dla niego problemu, a potem rozmieszczał ukryte kamery, żeby je obserwować w czasie codziennego życia, planując, że je wykończy. Musiał się upajać poczuciem władzy.

– I w jego laptopie był film z Roisin, prawda?

– Nie. Nie było żadnych nagrań z domu Roisin. Sądzę, że usunął je rozmyślnie.

– Co masz na myśli?

– Widzę to tak: Kent miał zamiar ją zabić. Zainstalował u niej alarm tak jak u wszystkich swoich ofiar i jestem przekonana, że włamał się do jej mieszkania kilka dni przed morderstwem, żeby rozmieścić ukryte kamery. Mamy świadka z tej samej kamienicy. Kilka dni wcześniej sąsiadka widziała na schodach do jej mieszkania mężczyznę, a kiedy pokazano jej zdjęcie Kenta, uznała, że to mógł być on.

– Ale nie na sto procent?

– Minęło sporo czasu, Mike, ale moim zdaniem była w miarę pewna. I to pasuje. Myślę, że ustawił kamerę, a potem, zanim miał okazję popełnić zbrodnię, zmarł jego ojciec i musiał

jechać na pogrzeb do Szkocji. Tylko że gdy wrócił, Roisin już nie żyła. Z tego wniosek, że zabił ją ktoś inny.

– Wciąż do końca nie łapię, Tino. Jeśli nie zabił jej Upiór, to kto?

– Nie wiem – odparła. – Ale Andrew Kent wie.

– Skąd?

– Bo to sfilmował. Nie rozumiesz? Kamera, którą założył, zarejestrowała scenę zabójstwa.

# 41.

Mike Bolt odetchnął głośno.

– Nie byle jaka teoria.

– Pasuje do faktów, Mike. I w tej chwili nie mamy nic innego.

– Ale mówiłaś, że w laptopie Kenta nie ma żadnych nagrań.

Tina wiedziała, że to słaby punkt jej teorii.

– Sądzę, że musiał je usunąć z jakiegoś powodu.

– Dlaczego miałby to robić? – zapytał Mike. – Chyba się nie spodziewał, że zostanie złapany. Usuwanie materiału nie miało sensu.

Już nad tym myślała.

– Możliwe, że kogoś szantażował. Powiedzmy, że Kent sfilmował morderstwo i zdołał się dowiedzieć, kto je popełnił. Nawiązał z nim kontakt i zażądał pieniędzy. W tym czasie

usunął pliki z laptopa i schował je gdzieś w bezpiecznym miejscu. Pomyśl, Mike – mówiła. – To by wyjaśniało, dlaczego został odbity z aresztu. Człowiek, którego szantażował, zdawał sobie sprawę, że Kent dużo o nim wie, dlatego zorganizował porwanie. I teraz gdzieś go przetrzymuje. Dowie się, gdzie są obciążające dowody, a potem go zlikwiduje. Koniec zagrożenia. Koniec pieśni.

Milczenie Bolta dłużyło się w nieskończoność.

– To by znaczyło, że osoba, którą szantażował, jest kimś ważnym.

– Oboje wiemy, że nawet na świeczniku nie brakuje ludzi, którzy mogliby zrobić coś takiego.

– Nie jest ich jednak zbyt wielu, prawda? Masz pojęcie, kto to mógł być?

– Jeszcze nie, ale z billingów Roisin wynika, że miała kochanka, a dwie sąsiadki zeznały, że widziały, jak z jej mieszkania wychodzi starszy mężczyzna o siwych włosach. Możliwe, że on ją zabił.

– Możliwe, Tino – przyznał Bolt po długiej przerwie. – Ale jeśli zabił ją kochanek, to skąd wiedział, jak upozorować morderstwo na robotę Upiora? Sposób działania zabójcy nie został podany do wiadomości publicznej, prawda?

– Nie, nie został. Ale zabójstwo Roisin zdecydowanie zostało upozorowane. Była jedyną uduszoną ofiarą, ciosy młotkiem w twarz zadano po śmierci. Nie mam pojęcia, skąd prawdziwy morderca znał sposób działania Upiora, ale faktem jest, że znał. W tej chwili musimy się dowiedzieć, kto to taki. Kiedy to odkryjemy, będziemy mogli znaleźć Kenta, choć mam przecucie, że już nie żyje.

– Jak mogę ci pomóc?  
– Mam numer komórki, która moim zdaniem należy do zabójcy. Jest na kartę i sądzę, że nie używano jej od czasu śmierci Roisin, ale jeśli jest jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, do kogo należała...

– To nie będzie łatwe.  
– A jednak operator sieci komórkowej może namierzyć, skąd wychodziły stare rozmowy, prawda?  
– Możliwe, ale to bardziej twoja działka.  
– Ty masz kontakty, Mike. Możesz to sprawdzić? Pilnie.  
– Nie prosisz o wiele, Tino, prawda?  
– To pomoże rozwiązać poważną sprawę – odparła, wiedząc, że Bolt jej pomoże.

Westchnął.

– No dobrze, i tak już nie śpię. Zobaczę, co da się zrobić.  
Podziękowała mu i obiecała wynagrodzić przysługę najszybciej, jak będzie mogła.

– Zawsze tak mówisz, ale wygląda na to, że rozmawiamy tylko wtedy, gdy czegoś potrzebujesz. Potem nie odzywasz się do mnie miesiącami.

W jego głosie brzmiał szczerzy żal i nagle doznała ulgi. A więc mimo wszystko nadal coś do niej czuje.

– Przepraszam – szepnęła. – Dzwoniłabym, ale było... ciężko.

– Wiem. Wiele przeszłaś, ale się pozbierałaś i żyjesz dalej. To jedyny sposób.

– Tak.

– W tej chwili wszystko u ciebie w porządku? – zapytał. – Dobrze ci się wiedzie?



Poczuła skrępowanie, ponieważ szczerą odpowiedź brzmiałaby „nie”, a takiej nie mogła udzielić.

– Jest świetnie – odparła. – Praca w wydziale zabójstw mi odpowiada. Jest o wiele bardziej satysfakcjonująca niż w dochodzeniówce. Albo w SOCA, szczerze mówiąc. A jak ty sobie radzisz?

– Dobrze. Zapracowany jak zawsze.

– A co z Paulem Wise'em? – zapytała o człowieka, którego wspomnienie wciąż ją prześladowało i który bardziej niż ktokolwiek inny uniemożliwiał jej spokojne życie. – Jakieś postępy w jego sprawie? – Pożałowała, że pyta, doskonale wiedząc, jaką usłyszy odpowiedź.

– Dochodzenie w toku, choć teraz jestem w nie mniej zaangażowany. Ale się nie poddadzą, Tino. Jest zbyt ważnym celem.

– Miło mi to słyszeć, choć pozwolę sobie zauważyć, że przy takim tempie działania facet umrze śmiercią naturalną, zanim zdobędziecie jakiegokolwiek dowody przeciwko niemu.

– To wymaga czasu – odparł spokojnie. – Przecież wiesz. Zwłaszcza w wypadku kogoś tak sprytnego jak Wise.

– Tak – zgodziła się. – Tak sędzę. – Wstała i rozejrzała się po pokoju. – Jest późno, muszę kończyć. Jeśli możesz coś zrobić w sprawie tej tablicy rejestracyjnej i numeru telefonu, będę ogromnie wdzięczna.

Bolt powtórzył, że zrobi, co w jego mocy, i się rozłączył. Tina wpatrywała się w telefon zmęczona fizycznie i dziwnie osłabiona psychicznie, świadoma, że w tej chwili nic więcej nie może zrobić.

Dziesięć minut później leżała w łóżku, starając się nie myśleć o Paulu Wise. Było to trudne, ponieważ Wise stanowił typowy przykład przestępcy, który uniknął kary. Bezwzględny bandyta podejrzewany o pedofilię i udział w dziesiątkach morderstw, odpowiedzialny także za śmierć jej partnera, był również rzutkim biznesmenem, twórcą imperium, które obejmowało cały wachlarz działalności, od branży deweloperskiej po przemyt narkotyków na wielką skalę. Pogoń za zyskiem i ucieczka przed więzieniem doprowadziły go do tureckiej strefy Cypru, gdzie żył sobie beztrąsko. Mike ma rację, pomyślała, musi się otrząsnąć i wieść życie dalej, choć trudno robić to ze świadomością, że człowiek, który je zrujnował, pokazuje palec prawu i jej osobiście.

Zamknęła oczy, bojąc się tego, co może przynieść sen.

Zastanawiała się, o czym śnią psychopaci w rodzaju Andrew Kenta i Paula Wise'a. Czy ich też nękają koszmary?

Miała taką nadzieję.

## 42.

Musiałem przysnąć, bo gdy otworzyłem oczy i zobaczyłem otaczający mnie mrok lasu z prześwitującym pomiędzy drzewami pomarańczowym blaskiem, niezupełnie wiedziałem, gdzie jestem.

Potem wspomnienia runęły na mnie jak lawina. Porwanie. Bicie. Morderstwa. Ucieczka. I w końcu świadomość, że jestem w prawdziwych opałach.

Płomienie z budynku już nie tańczyły po nocnym niebie, ale wciąż rzucały łunę, której blask mieszał się z błyskającymi niebieskimi światłami wozów straży pożarnej. Słyszałem płynące z dali krzyki strażaków, gdy walczyli z ogniem, a brzmienie ich głosów sugerowało, że są dalecy od stłumienia pożaru. Leżałem jakieś pięćdziesiąt metrów od skraju lasu i widziałem postacie poruszające się w migotliwym świetle.

Wyczołgałem się spod krzaka i wstałem. Był to powolny proces. Bolała mnie każda część ciała, a zebra przyprawiały o wyjątkowe katusze. Miałem obolałą twarz i doskwierało mi pragnienie, gdyż nie piłem niczego od drugiej ucieczki busem godziny temu.

Spojrzałem na zegarek, chcąc sprawdzić, ile minęło czasu, i wtedy przeżyłem paskudny szok. Zegarek zniknął. Zakląłem, przykucnąłem i zajrzałem pod krzak. Tam go nie było. Próbowalem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz go widziałem. Pomyślałem, że wtedy, gdy siedziałem zamknięty w pokoju na górze, ale nie mogłem być pewien. Tyle się działo, że sprawdzanie godziny było najmniejszą z moich trosk. Teraz jednak miałem prawdziwy problem. Wszystkie dowody przeciwko Wolfe'owi i Haddockowi były nagrane w zegarku. Nie miałem czasu zrzucić niczego na inny nośnik. Bez kopii nie miałem nic. Wolfe i jego cała szajka nie żyją. W żaden sposób nie zdołałam dowieść, że brałem udział w porwaniu Kenta wyłącznie dlatego, iż nie miałem wyboru. Innymi słowy, na dobrą sprawę byłem przestępcą uczestniczącym w porwaniu, podczas którego postrzelono, a może nawet zabito policjanta.

Odetchnąłem głośno. Muszę stąd zwiewać, i to jak najszybciej. Niedługo znajdą pierwsze zwłoki, a wtedy cały teren zostanie uznany za miejsce poważnego przestępstwa. Byłem pewien, że płomienie unicestwią wszelkie pozostawione tam dowody mojego udziału, ale niestety poza mną żyła co najmniej jedna osoba – człowiek, który próbował mnie zabić i przypuszczalnie podłożył ogień. Możliwe, że wiedział, kim jestem.

Poza tym rodziło to intrygujące pytanie. Jeśli nikt nie znał jego tożsamości – a byłem tego całkiem pewien – w takim razie dlaczego wszyscy mieliśmy umrzeć? Przecież wystarczyło

się trzymać pierwotnego planu. Mógł zaczekać, aż dostarczymy Kenta do domu. Zostawić nam resztę należnych pieniędzy, a po naszym odjeździe zrobić z Kentem, co zechce. Ale postąpił inaczej i chciałem poznać przyczynę.

Nie miałem pojęcia, która godzina, ale niebo nad koronami drzew wciąż było czarne, więc przypuszczałem, że jest druga, może trzecia nad ranem. Biorąc głęboki oddech, ruszyłem.

Bałem się zawrócić i iść podjazdem do szosy. Byłoby to zbyt niebezpieczne, zwłaszcza że wciąż słyszałem nadjeżdżające pojazdy. Dlatego szedłem w przeciwnym kierunku przez pola i lasy, aż dotarłem do krętej, obsadzonej drzewami podrzędnej drogi. Zatrzymałem się na parę minut, żeby złapać oddech, później skręciłem w lewo, starając się jak najbardziej oddalić od pożaru. Szedłem szybko, świadom, że jeśli w obecnym stanie – czarnego od dymu, w podartym ubraniu, niewątpliwie wyglądającego jak półtora nieszczęścia – zauważy mnie załoga przejeżdżającego radiowozu, będzie po mnie.

Przeszedłem kilkaset metrów i zaczynałem myśleć, że dalej nie dam rady, gdy na prawo ode mnie pojawił się podjazd. Wiódł do szkaradnego bungalowu z lat sześćdziesiątych, z trawnikiem od frontu i dwoma zaparkowanymi przed nim samochodami. Jednym był sedan BMW, ani nowy, ani czysty. Drugi był mniejszy i wyglądał na forda fiestę. Tego będzie znacznie łatwiej ukraść.

Skręciłem na podjazd, przy pierwszej okazji zszedłem ze zwiru ma trawnik, żeby nie było słyhać moich kroków, i byłem pięć metrów od samochodów, gdy przed domem zapaliła się lampa z czujnikiem ruchu. Przypadłem za jabłonią i czekałem.

Zasłony się nie poruszyły. Domyśliłem się, że z powodu dzikich zwierząt często zapala się światło, więc mieszkańcy się przyzwyczaili i przesypiają takie zdarzenia. Przy zapalonym świetle podbiegłem do forda i zajrzałem do środka z dość naiwną nadzieją, że zobaczę skrzynkę z niezbędnymi mi narzędziami. Jak mogłem się spodziewać, niczego nie znalazłem.

Zdjąłem buty, przemknąłem po żwirze i skręciłem za róg domu. Pod rynną stała beczka na deszczówkę. Usychając z pragnienia, musiałem się powstrzymać przed gwałtownym zerwaniem denka. Zdjąłem je ostrożnie, położyłem na ziemi, nabrałem wody w ręce i napiłem się jak najciszej.

Kiedy skończyłem, odłożyłem pokrywę na miejsce i ruszyłem na podwórko za domem. Na końcu trawnika stała szopa ogrodowa, ale nie podeszedłem tam od razu. Wolałem odczekać parę minut, żeby zapalenie się drugiej lampy nie zaniepokoiło mieszkańców. Kiedy uznałem, że minęło dość czasu, przeciąłem trawnik. Okazało się, że nie mają światła na tyłach. Drzwi szopy nie były zamknięte na klucz, co uznałem za głupie, gdyż zawierała wszystko, czego potrzebowałem do popełnienia wielorakich przestępstw. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć ludzkiej lekkomyślności, może dlatego, że zbyt wiele czasu spędziłem w towarzystwie kryminalistów. Złodzieje są jak śmieciarze. Zostaw coś dla nich, a po prostu sobie wezmą.

Zabrałem potrzebne rzeczy i wróciłem przed dom, zatrzymując się na parę minut przy beczce z wodą. Lampa znowu rozbliłyła i schowałem się za fiestą. Okna w domu pozostały ciemne, nic się nie poruszyło.

Wedle moich obliczeń lampa miała się palić jakieś dwie minuty, co znaczyło, że muszę działać szybko. Jak każdy dobry glina znam złodziejskie sztuczki, a włamanie się do starych wozów typu fiesta to łatwizna. Potrzeba tylko kawałka drutu i jakiejś minuty zabiegów. Światło zgasło parę sekund po tym, jak usiadłem w aucie. Czujnik nie mógł wykryć moich ruchów wewnątrz samochodu, mogłem więc niespiesznie użyć śrubokrętu do wyłamania blokady kierownicy. Blokady w starszych autach nie stanowią wielkiego wyzwania, ale choć znam się na rzeczy, nie jestem ekspertem, więc zajęło mi to trochę czasu. Chciałem jak najszybciej ruszyć, lecz wiem, że cierpliwość popłaca, dlatego powoli policzyłem do pięciuset. Potem zwołałem hamulec ręczny i skręciłem na podjazd. Na szosie użyłem śrubokręta i silnik zaskoczył z pełnym złości prychnięciem.

Jazda do Londynu przebiegła bez niespodzianek, choć znalezienie głównej drogi zabrało mi wiele czasu. Zegar na desce rozdzielczej pokazywał 4.57, gdy w końcu zatrzymałem się na bocznej ulicy w Colindale kilkaset metrów od dwupokojowego mieszkania w szeregowcu z lat trzydziestych, będącego moim prawdziwym domem. Czułem się paskudnie z powodu kradzieży auta i nawet rozważałem, czy nie odszukać numeru właściciela i nie zadzwonić z wiadomością, gdzie może je znaleźć. Szybko zrezygnowałem z pomysłu.

Po tym, co zrobiłem, wóz nadawał się do remontu, więc równie dobrze właściciel będzie mógł dostać pieniądze z ubezpieczenia.

Dziesięć minut później, gdy nad wieżowcami zajaśniało pierwsze szare światło brzasku, wreszcie przestąpiłem próg

mieszkania przez nikogo niezauważony po drodze. Padałem z nóg i rozpaczliwie potrzebowałem snu, więc pozwoliłem sobie na godzinną drzemkę dla podreperowania sił. Gdy zadzwonił budzik, wziąłem prysznic i zrobiłem sobie mocną kawę.

Rzecz w tym, że nie mogłem siedzieć z założonymi rękami. Gdy tylko strażacy rozumieją, że ogień został podłożony celowo, i znajdują w budynku szczątki pięciu osób, a policja zidentyfikuje zwłoki niebezpiecznego przestępcy i jego porywaczy, rozpocznie się wielkie polowanie na tego, kto za tym stoi. Trudno będzie wytropić klienta, biorąc pod uwagę jego brak osobistego zaangażowania, ale nie mogłem wykluczyć, że wypłynie moje nazwisko. Moja tajna operacja przeniknięcia do szajki Wolfe'a mogła sobie być nieoficjalna, ale Kapitan Bob doskonale wiedział, że od lat nalegałem na zinfiltrowanie bandy. Ktoś mógł również widzieć, jak rano wsiadałem do samochodu Wolfe'a na Doughty Street. Kamery mogły mnie zarejestrować.

Jeśli będę siedział cicho, a moje nazwisko znajdzie się w centrum uwagi, milczenie zostanie wykorzystane przeciwko mnie. Jeśli wyjdę z cienia i przyznam się do wszystkiego, nie będę miał żadnych gwarancji, że mi uwierzą. Wiedziałem, że nie mogę liczyć na poparcie Kapitana Boba. Był przede wszystkim karierowiczem i postawi na mnie krzyżyk, jeśli uzna, że przeze mnie może się znaleźć w kłopotliwej sytuacji.

Ale jeden człowiek może mi pomóc. Minął długi czas, lecz mu ufałem, co było ogromnie ważne, bo musiałem wyznaczyć całą prawdę. Działanie na własną rękę dobiegło końca.

Muszę zapukać do jego drzwi.



# 43.

Tina Boyd spała jak kamień, ale natarczywe dzwonicie komórki wyrwało ją ze snu. Budzik wskazywał 5.35, gdy po omacku szukała telefonu na szafce nocnej.

Był to Mike.

– Przepraszam, że cię budzę – powiedział zaskakująco energicznie. – Mam parę wiadomości.

Usiadła w łóżku, przecierając oczy.

– Nie przepraszaj. To ty wyświadczasz mi przysługę.

– Natknęłaś się na coś wielkiego, Tino – podjął. – Nie wiem, jak to zrobiłaś.

Czując znajomy dreszcz emocji na wieść, że trop dokąś prowadzi, złapała notes i pióro, które zawsze trzymała przy łóżku.

– Co masz?

– Numer komórki z billingów twojej ofiary z całą pewnością należy do telefonu na kartę, który nie był używany od dwudziestego siódmego listopada ubiegłego roku.

– Czyli od dnia poprzedzającego morderstwo Roisin.

– Co niekoniecznie czyni mordercę z osoby, która z niego korzystała. Być może to po prostu kochanek, który nie chciał być wciągnięty w policyjne dochodzenie. Prawdę mówiąc, to bardziej prawdopodobne niż twoja teoria.

– Ktoś ją zabił, Mike, i nie był to Upiór. Musiał być to ktoś, kto wiedział, jak obejść system alarmowy. Ktoś, kto ją znał. Scenariusz z kochankiem jest równie możliwy jak każdy inny. Czy możesz się dowiedzieć, skąd używano komórki, zanim została wyłączona?

– Już to zrobiłem. Udało nam się również namierzyć miejsce, gdzie została wyłączona, i w tym samym miejscu była wielokrotnie używana. Adres w luksusowej dzielnicy mieszkaniowej.

Tina poczuła narastające podniecenie. Była już zupełnie rozbudzona.

– Gdzie?

– To gruba sprawa, Tino. Bardzo gruba.

– Podaj mi jego nazwisko. To mężczyzna, prawda?

– Tak, prawda. Nazywa się Anthony Gore.

Ściągnęła brwi.

– Ten Anthony Gore?

– Tak – odparł ponuro. – Ten Anthony Gore. Minister spraw wewnętrznych.

## 44.

Wstawał świt i Tina słyszała śpiew ptaków na tle dalekiego hałasu ruchu ulicznego, gdy podnosiła telefon do ucha.

– Przepraszam, że niepokoję o tak wczesnej porze, pani Glover – powiedziała – ale to znów policja. Nazywam się Boyd, komisarz Boyd, i wczoraj wieczorem rozmawiała pani z moim kolegą posterunkowym Grierem.

– Nic nie szkodzi, wstałam pół godziny temu – odparła rzeźkim głosem pani Glover. – W moim wieku trzeba jak najlepiej korzystać z czasu, bo nie wiadomo, ile go zostało. Owszem, rozmawiałam z pani kolegą. Chciał, żebym obejrzała zdjęcie młodego człowieka, którego w zeszłym roku widziałam w naszym bloku. Mam nadzieję, że okazałam się pomocna.

– Jak najbardziej. Ogromnie nam pani pomogła. Niestety, mam do pani kolejne pytanie. Niejeden raz widziała pani siwowłosego mężczyznę wychodzącego z budynku, prawda?

Zgodnie z pani zeznaniem: po pięćdziesiątce, siwe włosy, dość wysoki.

– To prawda. Raz spotkałam go na schodach z Roisin. Nie przedstawiła go, a ja odniosłam wrażenie, że nie chciał być tu widziany, bo wcale na mnie nie spojrzął. Chyba nie sądzicie, że miał coś wspólnego z jej śmiercią, prawda? Nie wyglądał na kogoś takiego.

– Nie – skłamała Tina – ale musimy go znaleźć.

– Raz spotkałam go przy wejściu, gdy wracałam z zakupów. Było to chyba kilka tygodni później. Przytrzymał dla mnie drzwi, chociaż mogłam poznać, że się spieszy. Wie pani, chyba był jej chłopakiem – dodała konspiracyjnym tonem. – I myślę, że był żonaty, dlatego nie chciał, żeby ktoś go tu widywał.

Tina uśmiechnęła się do siebie.

– Sądzę, pani Glover, że ma pani rację. Jest pani bardzo przenikliwa.

Beatrice Glover zaśmiała się zaraźliwie.

– Może jestem stara, ale nie dzieciinniała. Wie pani, Roisin była śliczną dziewczyną. Zawsze uśmiechniętą. Mogła mieć kogoś lepszego niż żonaty mężczyzna. Tego rodzaju romanse nigdy nie mają szczęśliwego zakończenia, prawda?

– Święte słowa – przyznała Tina, wspominając swój jedyne taki związek sprzed wielu lat, gdy była nowa w policji i nie miała jeszcze dwudziestu pięciu lat. On był biznesmenem, szesnaście lat starszym, mężem i ojcem dwójki dzieci, o czym się dowiedziała po trzech miesiącach. Była to bolesna nauczka i nigdy nie powtórzyła tego błędu. – Rozumiem, pani Glover, że ma pani komputer i dostęp do Internetem. Mogłaby pani

wyświadczyć mi przysługę i coś obejrzeć?

– Tak, oczywiście. Proszę zaczekać, włączę komputer.

Tina czekała cierpliwie, gdy komputer się uruchamiał. Słuchała, jak pani Glover wyraża obawy, że może paść ofiarą morderstwa, narzekając, do czego doszedł ten świat, skoro można zostać zabitym we własnym łóżku.

– Morderstwa zdarzają się znacznie rzadziej, niż się powszechnie uważa, pani Glover, a piorun zwykle nie uderza dwa razy w to samo miejsce. Jestem pewna, że nie ma się pani o co martwić – pocieszyła ją Tina, choć aż nazbyt dobrze wiedziała, że wokół niej pioruny biją o wiele za często.

– W porządku, panno Boyd, jestem zalogowana i gotowa. Co mam zobaczyć?

– Proszę wpisać w Google nazwisko Anthony Gore i dodać „minister spraw wewnętrznych”. Powinny wyskoczyć zdjęcia. Chcę, żeby je pani obejrzała.

Beatrice Glover powoli powtórzyła słowa, potem Tina usłyszała kliknięcie.

Minęło pięć sekund.

– Widzi już pani zdjęcie? – zapytała, starając się nie zdradzać zniecierpliwienia.

– Wielkie nieba! To on. To człowiek, którego widziałam z Roisin. A myślałam, że wyglądał znajomo.

– Dziękuję, pani Glover, to wszystko, co muszę wiedzieć.

Tina zaznaczyła, że nie wolno nikomu mówić o tej rozmowie, i pożegnała się szybko, zanim starsza pani mogła o coś spytać.

Odetchnęła głęboko i zapaliła pierwszego tego dnia papierosa,

krzywiąc się, bo dym drapał ją w gardło. A więc Anthony Gore był kochankiem Roisin O'Neill. Oczywiście, jak podkreślił Mike, kochanek nie musi być mordercą, ale nie była taka pewna. Sama sprawdziła Gore'a w Internecie, zanim zatelefonowała do Beatrice Glover. Pięćdziesięciosześcioletni adwokat, mąż i ojciec dwójki dorosłych dzieci, miał opinię wojowniczego prawnika i odniósł wiele sukcesów w sali sądowej. Po wyborach w 2001 roku został parlamentarzystą i piął się coraz wyżej w szeregach rządowych, mimo że w 2003 roku narosły wokół niego kontrowersje, gdy w niedzielnym brukowcu ukazał się artykuł zarzucający mu utrzymywanie kontaktów seksualnych z prostytutką. Gore żarliwie zaprzeczył i podjął kroki prawne przeciwko gazecie. prostytutka później zmieniła swoją wersję, twierdząc, że Gore tylko zaproponował jej udzielenie darmowej porady prawnej i dlatego bywał w jej mieszkaniu. Skończyło się na tym, że gazeta zapłaciła mu sto dwadzieścia tysięcy funtów odszkodowania za zniesławienie. Tina z cierpkim uśmiechem zauważyła, że minister z wielkim rozgłosem przekazał dziesięć tysięcy na cele charytatywne, ale resztę gotówki zatrzymał dla siebie.

I na tym polegał jej problem z Anthonym Gore'em. Może zbyt wiele wyczytała pomiędzy wierszami, ale coś w tym facecie sprawiało, że czuła niesmak w ustach. Na zdjęciach wyglądał arogancko, z błyskiem pogardy w oczach. Poza tym wydało jej się podejrzane, że prostytutka nagle zmieniła swoją opowieść. Nowa wersja cuchnęła kłamstwem i sugerowała, że ktoś wymusił zmianę – albo sam Gore, albo któryś z jego wpływowych przyjaciół. W przeczytanych w ciągu pół godziny informacjach nie znalazła oczywistych wzmianek o nagannym

postępowaniu ministra, ale być może dlatego, że po prostu zachowywał ostrożność. Tak czy siak nie wzbudził jej sympatii ani nie podobało się jej, że miał romans z Roisin i bywał u niej w okresie poprzedzającym jej śmierć. Poza tym uduszenie na ogół wskazuje na morderstwo w afekcie. To zabójstwo popełnione w chwili czystej wściekłości. Albo desperacji.

Czy Roisin zrobiła coś, co sprawiło, że Gore ją zabił? I czy Andrew Kent nagrał zabójstwo?

Ale jak Gore mógłby je upozorować? O ile wiedziała, nie miał żadnego związku ze śledztwem w sprawie morderstw Nocnego Upióra, a nadto nie mogła sobie wyobrazić, że ktoś taki jak on – prawnik i wysoki urzędnik państwowy – dosłownie brudzi sobie ręce, masakrując młotkiem twarz kochanki. Czy ma przyjaciół z odpowiednimi kontaktami? Może tych samych, którzy nakłonili prostytutkę do zmiany zeznań? I czy oni z kolei mogli zorganizować ucieczkę Kenta z policyjnego aresztu?

Taki scenariusz miał sens i pasował do faktów, ale też był ogromnie nieprzekonujący. Tina nie miała absolutnie żadnego dowodu. W radiu podano, że nie ma nowych informacji o miejscu pobytu Andrew Kenta. MacLeod też się nie odzywał. Uznała, że musi do niego zadzwonić. Wybrała numer, patrząc na zegarek. Mijała szósta trzydzieści, słońce prześwitywało przez żaluzje, rzucając prążki światła na starą kanapę. Pewnie już wstał. Prawdopodobnie ma kłopoty ze snem, zważywszy na wypadki zeszłego wieczoru.

Nie odebrał. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do wielkiego szefa wydziału zabójstw i poważnych przestępstw,

nadinspektora Franka Mendelzona. Kierował wszystkimi badającymi zabójstwa zespołami śledczymi w policji stołecznej i był przełożonym nadkomisarza MacLeoda. Spotkała go tylko raz, parę miesięcy temu, gdy zjawił się, by przedyskutować jakąś sprawę. Niski, zadziorny i chorobliwie ambitny, lubił pracować metodycznie, co znaczyło, że każe jej napisać raport, po czym biorąc pod uwagę brak oczywistych dowodów i fakt, że Anthony Gore jest znaną osobistością, odłoży go ad acta. Z tego względu zrezygnowała z pomysłu. Postanowiła również nie dzwonić do Mike'a, głównie dlatego, że była pewna, iż zaleci jej ostrożność, ona zaś wiedziała, że ostrożne postępowanie nie przyniesie niczego dobrego. Musi tym wszystkim potrząsnąć, a jedyny sposób polega na konfrontacji z Gore'em.

Była to strategia wysokiego ryzyka. Prawdę mówiąc, pomysł graniczył z szaleństwem, zważywszy na kłopoty, w jakie mogła wpaść, ale gdy tak stała w swoim zapyziałym pokoiku, wcale jej to nie martwiło. Co więcej, było ekscytujące. Myśl o ryzykowaniu utraty pracy, o stawianiu wszystkiego na jedną kartę w dramatycznym, choć najpewniej daremnym wysiłku wymierzenia sprawiedliwości, podnosiła jej poziom adrenaliny.

Nie słuchając głosu, który powtarzał, że zachowuje się jak idiotka, że zdecydowanie nie jest to właściwe rozwiązanie, poszła do kuchni, wyjęła z lodówki w połowie opróżnioną butelkę wódki, pociągnęła jeden długi łyk – rozkoszując się palącym kopem – po czym sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Dana Gdera.

– Pobudka – powiedziała, gdy odebrał. – Pora brać się do roboty.



## 45.

Nadkomisarz Dougie MacLeod zajmował przestronne narożne mieszkanie w szeregowcu w Hendon, pięć czy sześć kilometrów ode mnie. Jego żona Marion, drobna, surowa kobieta, która zawsze była pełna energii, kilka lat temu zmarła niespodziewanie na atak serca, a syn Billy studiował gdzieś na uniwersytecie. Z mojego punktu widzenia taki stan rzeczy znacznie ułatwiał sprawę, ponieważ nie chciałem, żeby ktoś inny usłyszał, co mam do powiedzenia.

Od kilku lat niewiele łączyło mnie z Dougiem, a po mojej napaści na Jasona Slade'a, który wydał na mnie wyrok, już nigdy nie było tak samo. Teraz jednak, po utracie rodziny, Dougie był na świecie jedyną osobą, którą darzyłem bezgranicznym zaufaniem. Zawsze uważałem go za człowieka prawego, gotowego nadstawić karku za tych, którzy dla niego pracują, i choć

od lat nie byłem jego podwładnym, wciąż miałem pewność, że mogę na nim polegać i że nie poskąpi mi dobrej rady.

Moja kariera legła w gruzach i zaczynałem się z tym godzić. Jeśli nawet z tego wybrnę, zawsze będę spoglądać przez ramię ze strachem, że ktoś pozna prawdę. Co więcej, straciłem serce do tajnej roboty. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin czterokrotnie otarłem się o śmierć i wciąż byłem w szoku. Potrzebowałem urlopu. Długiego urlopu. Sześć miesięcy, może rok, gdzieś daleko od wszelkiej przemocy wielkiego miasta. Ale zrealizowałem moje postanowienie sprzed lat, gdy zacząłem działać pod przykrywką. Doprowadziłem do upadku Tyrone'a Wolfe'a i Clarence'a Haddocka i czerpałem ponurą satysfakcję ze świadomości, że zapłacili najwyższą cenę za to, co zrobili lata temu. Zaskoczyły mnie słowa Wolfe'a, że nie zamordował mojego brata, ponieważ z wiarygodnego źródła słyszałem, jak się przechwalał, że to on pociągnął za spust. Tego dnia było tam trzech uzbrojonych bandytów, Wolfe, Haddock i Tommy. Teraz wszyscy nie żyli i jeśli nawet zabrali do grobu nazwisko prawdziwego sprawcy, mój brat i moi rodzice mogli w końcu spocząć w pokoju.

Pojechałem do Dougiego własnym samochodem. Gdy mijalem jego dom, zobaczyłem, że na parterze palą się światła. Nie byłem zbyt zaskoczony. Choć dochodziła siódma rano w sobotę, wiedziałem, że jest rannym ptaszkiem. Poza tym trwała oblawa na Kenta, miał więc pełne ręce roboty i niewiele czasu na sen.

Znalazłem wolne miejsce pięćdziesiąt metrów od jego domu, zaparkowałem i zawróciłem pieszo, zdenerwowany na myśl o tym, co muszę zrobić.

Biorąc głęboki oddech, co przyprawiło mnie o grymas bólu, zadzwoniłem do drzwi. Byłem rad, że przynajmniej już nie wyglądam jak postać z horroru.

Nie doczekałem się odpowiedzi, choć jego wóz stał pod wiatą. Zadzwoniłem jeszcze raz, po czym mocno zapukałem w drzwi. Możliwe, że dokąś poszedł i niebawem wróci, ale nie chciałem przyciągać uwagi. Po jakiejś minucie, gdy stało się jasne, że nie otworzy, rozejrzałem się szybko, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu, po czym przelazłem przez płot, który oddzielał front posesji od podwórka na tyłach.

Kiedy po cichu obchodziłem oszkloną werandę, coś przykuło mój wzrok. Światło na górze zgasło. A więc ktoś tam jest.

Nacisnąłem klamkę drzwi werandy. Otworzyły się. Wszedłem i już miałem zawołać Dougiego, gdy nagle ogarnęło mnie zaniepokojenie. Może była to paranoja po niedawnych doświadczeniach, ale intuicja nakazywała mi zachowanie ostrożności. Przemknąłem chyłkiem do kuchni ze smutną konstatacją, że przywykam do skradania się po miejscach, w których nie powinienem przebywać, z narastającym uczuciem, że jestem uciekinierem.

Drzwi z kuchni prowadziły do wąskiego korytarza ze schodami po lewej stronie i z pokojem po prawej. Choć światło na górze zgasło, nie dochodził stamtąd żaden dźwięk, co uznałem za dziwne. Opierając się chęci zawołania Dougiego i zachodząc w głowę, co powie, gdy przyłapie mnie na myszkowaniu po jego domu, przepełzłem do następnych drzwi i je otworzyłem.

Powitał mnie głos z telewizora. Wszedłem, zamykając drzwi za sobą, i zobaczyłem program informacyjny Sky News.

Pokój był pusty, ale pachniał dymem, a na antycznym stoliku pomiędzy dwiema tradycyjnymi, obitymi skórą kanapami stała przepelniona popielniczka. To też mnie zdziwiło. Dougie palił, gdy wstąpiłem do dochodzeniówki, ale sądziłem, że dawno zerwał z nałogiem.

Na czterdziestocalowym ekranie zmęczony z wyglądu reporter mówił do kamery, stojąc przed taśmą policyjną na Dougherty Street, gdzie porwaliśmy Kenta. Za jego plecami krążyło kilku techników kryminalistyki w białych kombinezonach, a na straży stał mundurowy. Nic nie wskazywało na gorączkową krzątanię.

Reporter nie miał do przekazania zbyt wiele i tylko powtarzał, co się wydarzyło zeszłej nocy. Na szczęście ranny policjant był w stabilnym stanie i nic nie zagrażało jego życiu. Najważniejszą wiadomością z punktu widzenia reportera była tożsamość człowieka, który padł ofiarą porwania, i fakt, że ledwie parę godzin temu został oskarżony o morderstwa popełnione przez Nocnego Upiora. Policja, powiedział, nie zajmuje stanowiska w sprawie motywu uprowadzenia, po czym po raz kolejny przypomniał o szeroko zakrojonej obławie i podążaniu wieloma tropami. Z podtekstu wynikało, że nikt nie wie, kto i dlaczego to zrobił ani gdzie jest ofiara porwania. Zakończył wypowiedź stwierdzeniem, że na dziesiątą rano przewidziana jest policyjna konferencja prasowa.

Kamera powróciła do studia. Elegancko ubrana prezenterka przeszła do omawiania kolejnego wydarzenia, pożaru w opuszczonym hotelu w Hertfordshire, gdzie na razie znaleziono dwa ciała. Pokazano migawkę z miejsca naszego nocnego spotkania, które w chwili obecnej było dymiącymi zgliszczami

otoczonymi przez liczne wozy straży pożarnej. Budynek, w którym znalazłem ciało Haddocka, wciąż stał i dostrzegłem generator widoczny nad szczątkami muru. Prezenterka oznajmiła, że podejrzewa się podpalenie, i przytoczyła słowa naczelnika straży pożarnej Hertfordshire, który powiedział, że być może w pogorzeliisku znajduje się więcej zwłok. Dotychczas, co mnie nie zdziwiło, nikt nie powiązał tych dwóch zdarzeń, ale prędzej czy później ofiary zostaną zidentyfikowane na podstawie DNA albo kart dentystycznych. Wtedy wybuchnie sensacja, która rozpali wyobraźnię dziennikarzy i policji, gdy jak ja będą szukać odpowiedzi. Różnica polegała na tym, że w tej chwili byłem kilka kroków przed nimi.

Zamarłem. Drzwi się otworzyły za moimi plecami. A potem usłyszałem kolejny dźwięk, doskonale mi znany z ćwiczeń strzeleckich.

Metaliczny szczęk odciąganego zamka.

## 46.

Była siódma rano, gdy Tina z nagłym przypiływem lęku zaparkowała wynajęte auto w zatoczce naprzeciwko imponującej czteropiętrowej rezydencji Anthony'ego Gore'a w Notting Hill. Grier przez całą drogę dopytywał, czy jest pewna słuszności swojej decyzji, i sugerował, że byłoby znacznie lepiej, gdyby uzyskała upoważnienie, zanim wtargnie do domu urzędnika państwowego i praktycznie oskarży go o morderstwo. Trzeba jednak przyznać, że zgodził się z nią jechać.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, powiem, że cię zmusiłam – zapewniła, próbując go ułagodzić.

Gdy wysiedli z samochodu, Grier wyglądał blado.

– Na litość boską, pani komisarz, to minister spraw wewnętrznych – powtórzył z nutką strachu. – Ten pomysł ani trochę mi się nie podoba.

Ale już było za późno i Tina oznajmiła, że wie, co robi.

– Ja będę mówić – powiedziała, podchodząc do drzwi frontowych i stukając kołatką. – Ty jesteś wsparciem. Rób surową minę.

Wymamrotał pod nosem coś, czego nie zrozumiała, ale z pewnością nie było to pochlebstwo. Potem usłyszała kroki wewnątrz domu.

– Kto tam? – Zza drzwi dobiegł głos, który знаła z okazjonalnie oglądanych programów w telewizji.

– Policja, panie Gore – oświadczyła stanowczym tonem, podnosząc legitymację do wizjera w imponujących dębowych drzwiach. Grier zrobił to samo.

Z drugiej strony rozległ się szmer otwieranych zamków, a potem uchyliły się drzwi, zabezpieczone grubym łańcuchem, i spojrzął na nich wielce zirytowany Anthony Gore. Był ubrany w szary jedwabny szlafrok i miał siwe włosy w nieładzie. Mimo to prezentował się elegancko, zadowolony z siebie, jakby wszystko w życiu przychodziło mu bez wysiłku. Niechęć Tiny natychmiast wzrosła.

– Jest sobota, siódma rano, więc lepiej, żeby to było coś ważnego – uprzedził. Obejrzał ich legitymacje i dopiero wtedy ich wpuścił.

– To ważne – odparła Tina, zdecydowana nie dać się zastraszyć, choć Gore miał charyzmę, która sugerowała prawdziwą władzę. Mimo wszystko potrafiła zrozumieć, dlaczego tak atrakcyjna kobieta jak Roisin, młodsza o ponad dwadzieścia lat, mogła się w nim zakochać.

Szli za nim, gdy kroczył do drzwi w głębi okazałego holu. Weszli do wielkiego gabinetu wyposażonego w gustowne meble

z mahoniem i skóry, z sięgającymi do samego sufitu regałami na książki i widokiem na otoczony murem ogród. Gore usadowił się za imponującym biurkiem, jakby chcąc pokazać, kto jest najważniejszy, i gestem wskazał im miejsca naprzeciwko.

Gdy usiedli, Tina rzuciła okiem na Griera, który jakby się kurczył pod wpływem autorytatywnej postawy ministra.

– Jestem komisarz Tina Boyd, a to...

– Wiem, kim pani jest, panno Boyd. Jest pani dość znana jak na funkcjonariusza policji, co niekoniecznie musi być dobre. Co mogę dla pani zrobić?

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa Roisin O'Neill – powiedziała, starając się nie tracić pewności siebie.

– Sądziłem, że już ktoś został oskarżony o to morderstwo – odparł gładko, bez cienia niepokoju. – Człowiek, który zeszłej nocy uciekł z aresztu.

– Na jaw wyszły nowe dowody, które sugerują, że nie zabił Roisin – oznajmiła i tym razem była pewna, że dostrzegła pierwszą oznakę zdenerwowania na jego twarzy.

– Naprawdę? To ciekawe.

Przez chwilę panowała cisza. Tina wiedziała, że musi pójść za ciosem. Nie miała innego wyboru.

– Spotykał się pan z Roisin O'Neill, jak sądzę, w okresie poprzedzającym jej śmierć.

Zrobił ostentacyjnie zszokowaną minę.

– Jak pani śmie oskarżać mnie o romans z kimś, kogo nawet nie znałem?

Teraz stało się jasne, że udaje.

– Proszę nie kłamać, panie Gore. Mamy rejestr połączeń jej komórki. Billingi świadczą o wielokrotnych połączeniach z



komórką, której używano pod tym adresem, łącznie z ostatnim dniem przed morderstwem. Po śmierci Roisin pozbył się pan telefonu, który zresztą nie był zarejestrowany na pańskie nazwisko, ale to wcale nie znaczy, że nie można go z panem powiązać.

– Nie wiem, o czym pani mówi. Przychodzi pani tutaj i wysuwa jakieś bezpodstawne, kompletnie nieprawdziwe zarzuty, czego nie mam zamiaru tolerować. Może wszystkie te pochlebstwa i głośne sukcesy uderzyły pani do głowy, panno Boyd? Ponieważ jednak słyszałem o pani tragicznych przejściach, puszczę dzisiejszą wizytę w niepamięć i nie podejmę przeciwko pani żadnych kroków, jeśli zaraz stąd wyjdziecie. – Zwrócił się do Grier: – Ma pan okazję uratować karierę koleżance.

– Ona jest moim szefem, panie ministrze – odparł Grier spokojnie.

Wyglądał na zdenerwowanego, ale się nie poddawał, z czego Tina była zadowolona.

– Został pan również zidentyfikowany przez świadka, który wiele razy widział, jak wchodził pan do mieszkania Roisin i stamtąd wychodził, także... – zrobiła pauzę dla większego efektu – w dniu jej śmierci.

Naciągnęła fakty, ale chciała go zmusić do obrony. Na szczęście Grier nie okazał zaskoczenia, co pokrzyżowałoby jej szyki. Zachował obojętny wyraz twarzy.

– Bzdura! – warknął Gore ze złością i stanowczo.

Tina powoli pokręciła głową.

– Nie, panie Gore, niestety nie.

– Ten rzekomy świadek musiał się pomylić.

– Nie. Niespełna godzinę temu pokazałam jej pańskie zdjęcie. Przysięga, że chodzi o pana.

Gore na chwilę zaniemówił.

– Może miałem z nią bardzo krótki... hm... romans – rzekł w końcu, bardzo ostrożnie dobierając słowa, jak na prawnika przystało. – Ale to wszystko. Nie powinienem tego robić, teraz mi wstyd i żałuję, że nie zgłosiłem tego po jej śmierci, ale bałem się zamieszania w tę sprawę. Zwłaszcza że był to krótki związek. Flirt. Nic poważnego.

– Od jej siostry usłyszałam co innego. Powiedziała, że byliście sobie bardzo bliscy.

Tina kłamała w żywe oczy, świadoma, że dopuszcza się jawnej prowokacji, ale rozpaczliwie pragnęła zmusić Gore'a do wyznania prawdy.

Przez twarz ministra przemknął niepokój. Wykorzystała jego słabość i przystąpiła do ataku.

– Nie spodziewał się pan tego, prawda? Że jej siostra wiedziała? Roisin jej mówiła, że wiele razy próbowała skłonić pana do rozstania się z żoną. Chcieliśmy porozmawiać również z jej ojcem, ale pan lub ktoś, z czyich usług pan korzystał, dotarł do niego pierwszy, prawda?

– Nie wiem, do cholery, o czym pani mówi.

– Dlaczego zabił pan Roisin O'Neill?

– Jak pani śmie oskarżać mnie o morderstwo?! – krzyknął, krzywiąc twarz z wściekłości. Uświadomił sobie, że okazuje zbyt wiele emocji, i rzucił okiem na drzwi gabinetu, co sugerowało, że w domu jest żona. Odetchnął głęboko, z trudem zmuszając się do zachowania spokoju. Kiedy znów się odezwał, głos miał cichy i opanowany, ale tryskał jadem. – Na

miłość boską, jestem, kurwa, ministrem spraw wewnętrznych. Nie jakimś pospolitym kryminalistą, którego może pani traktować jak śmiecia.

– Wiemy, panie Gore, że Nocny Upiór, Andrew Kent, nie zabił Roisin – oświadczyła zdecydowanie Tina, chcąc wykorzystać przewagę, zanim Gore w pełni dojdzie do siebie. – Ma żelazne alibi na czas jej morderstwa. Poza tym sposób działania sprawcy był inny. W przeciwieństwie do innych ofiar Kenta Roisin została uduszona, a obrażenia młotkiem zadano po śmierci.

– Co to ma ze mną wspólnego?

– Ponieważ pan to zrobił. A może po zabójstwie kazał pan komuś upozorować napaść Upiora? Może tej samej osobie, która zamordowała Kevina O'Neilla i zorganizowała porwanie Andrew Kenta?

Gore wstał.

– Mam dość tej rozmowy. Nie ma pani absolutnie żadnych dowodów przeciwko mnie...

– Proszę usiąść.

– Nie. Proszę wyjść. Natychmiast.

Jego słowa brzmiały stanowczo i Tina wiedziała, że nic więcej nie wskóra.

Ale nie zamierzała się poddać bez walki. Podniosła się, spojrzała mu prosto w oczy.

– Wiemy, że pan ją zabił. Poruszę niebo i ziemię, żeby to udowodnić. Dopadnę pana, jeśli nawet będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Kątem oka zobaczyła, że Grier wstaje i patrzy na nią w głębokim szoku, widząc koniec własnej kariery wskutek katastrofy

spowodowanej przez Tinę Boyd, która była jak rozpędzona lokomotywa.

- Chyba lepiej pójdziemy, panie ministrze – powiedział.
- Pójdziemy, gdy ja tak powiem – oświadczyła.
- Wyjdziecie teraz. W tej chwili.
- Jest pan skończony, panie ministrze.

Gore obszedł biurko, odzyskując pewność siebie.

– Nie masz takiej władzy, mała dziwko – syknął, podchodząc tak blisko, że ich twarze znalazły się w odległości kilkunastu centymetrów. – Pora, żebyś zrozumiała, z kim masz do czynienia. Jestem ministrem. Należę do grupy ludzi, którzy rządzą tym pierdolonym krajem. Ty jesteś tylko... – Urwał, po czym wyszczał: – Drobną gliniarą, która uważa się za Robocopa. I tylko się uważa. A teraz wynocha z mojego domu. Porozmawiam o tym z twoim przełożonym. Nie obchodzi mnie, kim jesteś ani co zrobiłaś. Drogo za to zapłacisz. Rozumiesz? Postaram się, żebyś straciła robotę i emeryturę.

Tina zawrzała z gniewu. Miała ochotę przywalić temu zadowolonemu z siebie lajdakowi. Wiedziała, że jest winny.

Założyłaby się o własne życie.

– Ale mnie pan nie powstrzyma – powiedziała, miażdżąc go wzrokiem z wyrazem zimnej determinacji na twarzy, po prostu żeby wiedział, że się nie podda. – Chyba że każe mnie pan zabić jak innych, a tego nie polecam. Nie przy świadku.

Twarz Gore'a pociemniała. Patrzył na nią ze zwierzęcą zajądłością i słyszała, jak zgrzyta zębami. Chciał ją skrzywdzić. Odczuła jego nienawiść niemal jak fizyczny cios i chciała, żeby ją uderzył, żeby ją przewrócił, dając jej okazję do odwrócenia sytuacji i aresztowania go.

Śmiało, sukinsynu, wal. Uderz mnie mocno. Zaciśnij wypię-  
lęgnowane łapy na mojej szyi jak tamtej nocy z Roisin. Zrób  
to, a wykręcę ci rękę za plecami, trzasnę twoim łbem w to bez-  
cenne antyczne biurko i na zawsze zwichnę ci karierę.

Anthony Gore nie był głupi. Oddychając ciężko, odsunął się  
od niej i zwrócił do Grier:

– Jeśli pan wie, co dla pana dobre, zabierze pan koleżankę i  
natychmiast ją stąd wyprowadzi, nie przejmując się, że jest  
pańską przełożoną. W ciągu piętnastu minut to się zmieni. Jest  
skończona. Ponieważ jestem pewien, że nie przyszedł pan tu z  
własnej woli, zapomnę o pańskim udziale w tej żalosalnej farsie,  
ale pod jednym warunkiem. Natychmiast pan stąd wyjdzie. W  
przeciwnym razie obarczę pana współodpowiedzialnością.

Grier spojrział na Tinę z milczącą desperacją w oczach.

– Idziemy, pani komisarz – ponaglił. – Nic więcej nie mo-  
żemy zrobić.

Przez chwilę Tina stała bez ruchu, wiedząc, że przeliczyła  
się z siłami i przegrała bitwę. Grier położył rękę na jej ramie-  
niu, delikatnie popychając ją ku drzwiom. Tym razem się nie  
opierała. Gdy szli do wyjścia, nie patrząc na siebie, starała się  
robić dobrą minę do złej gry. Nie sądziła, że się jej udało.

Gdy Grier otworzył drzwi i odsunął się, żeby ją przepuścić,  
Tina stanęła jak wryta. W holu, jeszcze w koszuli nocnej, stała  
drobna kobieta po pięćdziesiątce ze łzami w oczach, z twarzą  
zastygłą w grymasie szoku. Pani Gore. Tina poczuła nagły  
przyływ nadziei, ponieważ jedno było absolutnie jasne.

Przerażenie pani Gore.

# 47.

– Nie ruszaj się – polecił Dougie MacLeod – bo zginiesz.

Byłem tak zdumiony, gdy mój dawny mentor i szef jednego z londyńskich wydziałów zabójstw zagroził mi śmiercią, że nie posłuchałem polecenia i się odwróciłem.

Dougie stał w drzwiach, celując we mnie z czarnego rewolweru. Miał na sobie džinsy i bawełnianą bluzę, a jego twarz była pobrużdżona z napięcia, jakiego dotąd u niego nie widziałem.

Widząc, że to ja, opuścił broń.

– Do diabła, Sean, co ty tu robisz? – zapytał.

– Nie podszedłeś do drzwi, gdy dzwoniłem.

– Dlatego pomyślałeś, że możesz wejść ot tak sobie?

– Potrzebuję pomocy, Dougie. Bardzo.

Westchnął.

– To zła pora, Sean. Mamy sytuację kryzysową.

– Jakiego rodzaju? – zapytałem, czując straszny zawód, a potem urazę. Spodziewałem się po nim czegoś więcej.

– Takiego, jaki właśnie oglądałeś w wiadomościach. Porwanie Upiora. Był naszym podejrzanym, pamiętasz? – Zabezpieczył rewolwer i wsunął go za pasek dżinsów na plecach, potem wyjął z kieszeni zmiętą paczkę marlboro reds i zapalił. – Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. Może pogadamy później. – Minął mnie, podniósł pilota z oparcia kanapy i wyłączył telewizor. – Muszę iść.

Zauważyłem, że się poci i porusza sztywno, nerwowo.

– Czy ostatnio zawsze nosisz spluwę? – zapytałem. – Nie sądziłem, że nadkomisarze ich potrzebują.

– Nie noszę jej przy sobie. Wziąłem ją, bo myślałem, że jesteście włamywaczem.

– Nawet nie wiedziałem, że masz broń.

– I wolałbym, żebyś nikomu nie mówił. Jest nielegalna. Tu dochodzi do wielu włamań – dodał, jakby to wyjaśniało posiadanie nielegalnej broni, z której i tak nigdy by nie wystrzelił. – Przepraszam, że wziąłem cię na muszkę, ale jeśli znowu się tu wdrzesz...

Zwróciłem uwagę, że nie patrzy mi w oczy, co było dla niego nietypowe. Coś tu mocno nie grało.

– Wcale się nie wdarłem. Przyszedłem prosić o pomoc i nadal jej potrzebuję. I ma to związek z twoją sprawą – dodałem, nie wiedząc, jak inaczej mógłbym go zainteresować.

– Jeśli to możliwe, pomogę ci później, ale teraz muszę iść. Mamy konferencję prasową.

Skierował się do drzwi.

– Konferencja jest o dziesiątej... przed chwilą o tym mówili. Za trzy godziny.

– Trzeba przygotować pewne rzeczy.

Nie ruszyłem się z miejsca.

– To dziwne. Zakradam się do twojego domu pokiereszowany i posiniaczony, mówię, że mam ważne informacje dotyczące największej sprawy w twojej karierze, a ty masz to w dupie. Wiesz, co mi to mówi?

Stanął przede mną, zaciskając szczęki, aż naprężyły mu się mięśnie, z oczami szeroko otwartymi i pełnymi napięcia.

– Niebawem pogadamy, dobra?

Cios go zaskoczył, mnie zresztą też, bo zadałem go zupełnie nieświadomie. Moje rezerwy siły i energii były na wyczerpaniu, ale Dougie MacLeod runął jak długi na podłogę. Przypadłem do niego, obróciłem go na brzuch i wbiłem mu kolano w plecy, zanim zdążył stawić opór. Wyrwałem rewolwer zza paska dzinsów, przekręciłem go na grzbiet i przycisnąłem mu lufę do czoła, odbezpieczając broń.

– Gadaj teraz. Powiedz mi wszystko, co wiesz o całej sprawie, ponieważ wiem, że coś ukrywasz. Zrób to, bo inaczej cię zabiję. Tu i teraz, przysięgam.

Nie zrobiłbym tego. Nie mógłbym. Samo postępowanie w ten sposób z człowiekiem, który wyciągnął do mnie przyjazną dłoń, gdy moja kariera wisiała na włosku, sprawiało mi ból. Nienawidziłem się za to, co robię. Ale musiałem się dowiedzieć, co go trapi i dlaczego błąkał się po domu z nielegalną bronią. Wiedziałem, że osiągnę cel tylko wtedy, gdy zmuszę go do poważnego potraktowania pogroźek. Spojrzałem na niego wściekle, jeszcze mocniej przyciskając lufę do jego czoła.

– Nie wiem, o czym mówisz – szepnął, patrząc na mnie ze strachem. Krew płynęła mu z nosa, gdzie go uderzyłem, jego twarz miała niezdrowy siny kolor.



– Mało nie zginąłem tej nocy, Dougie. Brałem udział w porwaniu Upiora.

– Co?

– Prowadziłem tajną operację, gdy wszystko się pochrzaniło. Kent nie żyje. Podobnie jak inni, którzy go porwali, i ktoś wrobił nas wszystkich. Problem polega na tym, że moim zdaniem to twoja robota. Daję ci jedną szansę. Albo będziesz gadać, albo zginiesz. Rozumiesz?

I wtedy zobaczyłem łzy spływające po jego twarzy.

– Mają Billy'ego – powiedział z rozpaczą w głosie. – Te sukinsyny mają mojego chłopca.

## 48.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał, a potem Tina usłyszała cichy, ledwo słyszalny jęk za plecami.

– Ja tylko ich odprowadzam, Jane – powiedział Gore, szybko odzyskując panowanie nad sobą. – Wracaj do łóżka, zaraz przyjdę.

Tina zwróciła się do Jane Gore:

– Wiedziała pani o tym.

Było to stwierdzenie, nie pytanie, i wisiało w powietrzu przez dobrą sekundę.

Pani Gore skrzywiła usta.

– Zabiłeś ją, Anthony? – szepnęła.

– Oczywiście, że nie – odparł lekkim tonem, jakby pytanie naprawdę było niedorzeczne.

Przepchnął się pomiędzy Tiną i Grierem i podszedł, żeby ją pocieszyć, ale się odsunęła.

– Nie próbuj mnie zbywać. Powiedz mi prawdę. Czy ona mówi prawdę?

Pochylił się ku niej, wzywając cały swój dar przekonywania, który w przeszłości służył mu tak dobrze w sali sądowej.

– Nie. Przysięgam, kochanie. Zaszła wielka, bardzo wielka omyłka. – Odwrócił się w stronę Tiny i Giera. – Co tu jeszcze robicie? To sprawa prywatna. Proszę wyjść.

Grier spojrział na Tinę, ale ona się nie ruszyła. Wyczuwała, że pani Gore się waha.

– Pani mąż kłamie, pani Gore, i możemy to udowodnić.

– Nie, nie możecie! – krzyknął minister. – Niczego nie możecie udowodnić.

Pani Gore złapała go za ramię.

– Tym cię szantażowali, Anthony? Morderstwem?

– Kto pana szantażował?

– Nikt. Wynocha.

– Jeśli będzie pan współpracować, znajdzie się jakieś wyjście. Jeśli nie, i tak wszystkiego się dowiemy.

– Jak mogłeś to zrobić, Anthony? Zabiłeś ją? Zabiłeś tę małą lafiryndę? Myślałam, że to skończone!

– Zamknij się! Natychmiast!

Gore uderzył żonę w twarz, aż się zatoczyła.

Tina i Grier zrobili krok w ich stronę.

Jane Gore podniosła rękę do policzka i cofnęła się przed mężem powoli, z wyraźnym strachem.

– Boże, przepraszam – powiedział Gore. – Nie chciałem cię skrzywdzić.

– Nie zbliżaj się do mnie. Nie dotykaj mnie.

– Jane, proszę... – Zwrócił się do Tiny: – Widzisz, do czego mnie zmusiłaś, bezdusna suko.

– Czy właśnie tak postąpił pan z Roisin, panie ministrze? Uderzył ją pan odrobinę za mocno? Tak się stało, prawda? Rzucił się pan na nią. Czy groziła, że powie o wszystkim żonie? Czy dlatego pan ją udusił?

Twarz Gore'a wykrzywiła się z gniewu.

– Kłamiesz, dziwko! – ryknął i się na nią zamierzył.

Spodziewała się tego, miała na to nadzieję i uskokczyła z drogi, a siła ciosu pociągnęła Gore'a do przodu. Gdy ją mijał, chwyciła go za nadgarstek i wykręciła mu rękę za plecami, podczas gdy Grier złapał go za kołnierz szlafroka. Razem przycisnęli go mocno do ściany.

Stracił chęć do walki.

– Puśćcie mnie – szepnął. – Proszę.

Tina nie posłuchała prośby. Przysunęła usta do jego ucha, choć mówiła na tyle głośno, że słyszeli ją wszyscy pozostali.

– Andrew Kent, Nocny Upiór, filmował swoje ofiary. Nie tylko w czasie morderstwa, ale w ciągu poprzedzających je dni. Włamywał się do mieszkania i umieszczał kamerę, żeby filmować przyszłą ofiarę w codziennym otoczeniu. To było jak podkradanie się przed zadaniem ostatecznego ciosu. Miał nagranie, jak zabija pan Roisin, prawda?

Gore nabrał tchu, ale zachował milczenie.

– Dowiemy się, panie Gore. I znajdziemy film, który zabrał Kent, a wtedy będzie pan absolutnie skończony, ponieważ wiele pan zrobił, żeby ukryć swoją rolę. Ale jeśli zgodzi się pan współpracować, jeśli pan powie, gdzie jest Andrew Kent i z czyjej pomocy pan korzystał, wtedy może zdoła pan coś ocalić. Rozumiem, że nie chciał pan zabić Roisin – dodała kojącym tonem, wiedząc, że musi mu pokazać furtkę umożliwiającą

wydostanie się z tarapatów, bo inaczej nie powie ani słowa. A w takim wypadku zostaną z niczym. Na szczęście szybko słabł, mogła to wyczuć.

– Za późno – rzekł ze zduszonym szlochem.

– Nigdy nie jest za późno – zapewniła go. – Proszę powiedzieć, gdzie jest Kent.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Pani Gore podeszła do nich, jej wcześniejszy strach ustąpił złości.

– Coś ty zrobił, Anthony? Co ty zrobiłeś, łajdaku? Wszystko zniszczyłeś! Zniszczyłeś nas!

Tina skinęła na Giera, który się nią zajął, prowadząc ją delikatnie do sąsiedniego pokoju. Wtedy puściła Gore'a i znów stali naprzeciwko siebie, tylko że układ sił się zmienił i oboje o tym wiedzieli.

– Zmniejszą pańskie brzemię – zaproponowała. – Proszę powiedzieć mi prawdę.

Milczał przez długi czas. W końcu zamknął oczy i westchnął.

– Zgoda. Powiem.

# 49.

Wrócili do gabinetu, zajęli te same miejsca co wcześniej. Po chwili dołączył do nich Grier.

– Jak się czuje moja żona? – zapytał go Gore.

– Jest roztrzęsiona – odparł zwięźle, skąpiąc mu odrobiny pociechy.

Tina była zadowolona z jego odpowiedzi. Ważne, żeby Gore pozostał wytrącony z równowagi, żeby nie odzyskał pewności siebie.

– Sądzę, panie ministrze, że musi pan zacząć mówić – powiedziała, ukradkiem włączając cyfrowy magnetofon w kieszeni.

Zachowanie Gore'a zmieniło się diametralnie. Siedział przygarbiony, jego twarz miała niezdrowy szary odcień.

Chrząknął i zaczął mówić.

– Mój romans z Roisin był bardzo namiętny. Trwał wiele

miesiący. Nie widywaliśmy się zbyt często, zwykle nie częściej niż raz w tygodniu. Darzyłem ją głębokim uczuciem, naprawdę. Była energiczną dziewczyną, pełną radości życia, której mi brakowało od kilku lat. Niestety, w miarę upływu czasu Roisin stawała się coraz bardziej zaborcza. Chciała, żebym zostawił Jane. Sprzeciwiałem się. Wiedziałem, że coś takiego wywoła potężny skandal. Próbowałem ją przekonać, że choć moje uczucia do niej są bardzo silne, mogę poświęcać jej niewiele czasu, z czym po prostu musi się pogodzić. Problem w tym, że się nie pogodziła. Zaczęliśmy się kłócić, jej rozżalenie narastało. Pewnej nocy zagroziła, że powie Jane o naszym romansie. Jak możecie sobie wyobrazić, błagałem, żeby tego nie robiła. W końcu odzyskała zdrowy rozsądek i ustąpiła. Jednak w tym czasie doszedłem do wniosku, że jedyne rozwiązanie polega na zakończeniu naszego związku. Przez kilka dni zbierałem się na odwagę. Roisin utrudniała sprawę, wciąż do mnie wydzwaniała i zostawiała wiadomości. Niektóre były czułe, mówiła, że za mną tęskni. Z innych emanowała złość, Roisin krzyczała, że już mi na niej nie zależy, że nie mogę rzucić jej tak po prostu, że nie będzie czegoś takiego tolerować. W końcu pewnego wieczoru poszedłem do jej mieszkania, bo tam najczęściej się spotykaliśmy, i powiedziałem jej, że to koniec. Przeprosiłem, że nawiązałem z nią romans, będąc żonaty, i zdałem się na jej łaskę dla dobra mojej żony. Naprawdę wierzyłem, że pozwoli mi odejść. Jeśli nie dla mnie, to z uwagi na Jane. Ale się pomyliłem. Wpadła w histerię i uderzyła mnie w twarz.

Milczał przez parę sekund, powoli kręcąc głową.

– Oboje piliśmy i straciłem panowanie nad sobą. Oddałem jej, a ona zagroziła, że każe mnie aresztować. Znow się na mnie

rzuciła i... – Westchnął, potarł ręką czoło. – Walczyliśmy. Wszystko się rozmyło, rozpadło na surrealistyczne sceny, a potem... Wiem tylko, że leżała na łóżku. Nie poruszała się. – Wzniósł oczy ku niebu, jakby szukając wybaczenia. – Nie mogłem w to uwierzyć. Sprawdziłem puls, próbowałem ją reanimować, ale było za późno. Nie żyła. – Spojrzał błagalnie na Tinę.

Tina nie wierzyła w jego wersję wydarzeń. Może nie nosił się z zamiarem zabicia Roisin, ale poznała już jego wybuchową naturę i widziała, jak uderzył żonę. Była całkiem pewna, że to on zaatakował Roisin. Tak czy owak wiedziała, że nie należy przerywać podejrzanemu, gdy raz zacznie mówić.

– Co się stało potem? – zapytała łagodnym tonem.

– Z początku nie wiedziałem, co zrobić. Pomyślałem, że zadzwonię na policję albo po ambulans, ale spanikowałem. Choć nie zamierzałem skrzywdzić Roisin, bałem się, że zostanę oskarżony o morderstwo. Wiem, że źle postąpiłem, ale wtedy nie myślałem logicznie. Wiedziałem, że nasz romans jest tajemnicą, i przyszło mi na myśl, że po prostu wyjdę z mieszkania, ale martwiłem się, że zostawię dowody. Dlatego zadzwoniłem do znajomego, czując, że pomoże mi w potrzebie.

Tina wymieniła spojrzenie z Gierem. Nigdy nie miała złudzeń co do uczciwości polityków rządzących krajem i była świadoma, że niektórzy są skorumpowani. Mimo to wstrząsnęło nią wyznanie ministra.

– A kim jest ten znajomy?

– Nazywa się Paul Wise.



Jeśli wcześniej była zszokowana, to teraz niemal odjęło jej mowę. Dostała zawrotu głowy, gdy usłyszała, że człowiek, który tyle zniszczył w jej życiu, przyłożył rękę również do tego. Nie wydawało się to możliwe, a jednak była w tym ponura logika. Zawsze podejrzewano, że Wise ma kontakty na wysokim szczeblu, co było jednym z głównych powodów, które uchroniły go przed sądem. Teraz nadarzała się okazja, żeby sprawiedliwości stało się zadość – i ta myśl nappełniła ją dziką nadzieją.

– I co zrobił Wise, panie Gore? – zapytał Grier, dając jej czas na odzyskanie zimnej krwi.

– Powiedział, że się wszystkim zajmie. Kazał mi czekać i dodał, że niebawem ktoś się do mnie odezwie. Przedstawi się jako Alfa i powie, co mam robić. Następne pół godziny było najdłuższe w moim życiu. Siedziałem w mieszkaniu ze zwłokami Roisin, czekając na telefon, zastanawiając się, czy moja wina wyjdzie na jaw. Wreszcie telefon zadzwonił. Ten człowiek, Alfa, zadał mi mnóstwo pytań: o adres, w których pokojach byłem, o ochronę budynku. Był bardzo spokojny i rzeczowy, niczego nie pominął. Kazał mi zabrać klucze Roisin i zamknąć drzwi, a klucze włożyć za przednie koło po stronie pasażera w samochodzie stojącym najbliżej wejścia budynku. Potem powiedział, że reszta należy do niego, a ja mam po prostu zapomnieć o tym, co się stało. – Gore westchnął. – Zrobiłem, co mi kazano. Boże, żałuję tego, ale zrobiłem.

– Spotkał się pan z Alfą? – zapytała Tina.

Zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie, poza tym nie chciałem. W każdym razie niedługo

później się dowiedziałem, że Roisin trafiła na listę ofiar Upiora.

Tina nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest spięta.

Walcząc z pragnieniem zapalenia papierosa, zmusiła się, żeby oprzeć się w fotelu i rozluźnić ramiona.

– Jako minister spraw wewnętrznych miał pan dostęp do teczek Upiora, mógł więc pan bez trudu zaznajomić się z jego sposobem działania. I twierdzi pan, że nie powiedział Alfie, co zrobić, żeby upozorować śmierć Roisin na zabójstwo jednej z jego ofiar?

– Tak, musicie mi uwierzyć. Nie miałem nic wspólnego z... obrażeniami, jakie spowodował Alfa.

Tina i Grier po raz kolejny wymienili spojrzenia. Mina Gdera wyrażała sceptycyzm. Tina czuła to samo. Jeśli Gore mówi prawdę, to znaczy, że Alfa miał jakieś bezpośrednie źródło informacji o policyjnym dochodzeniu, co po prostu było wykluczone. Minister mógł próbować maksymalnie się wybielić, ale prawda wyglądała inaczej. O tym jednakże zadecyduje sąd.

– Kiedy się pan dowiedział o istnieniu nagrania? – zapytała Tina.

– Dwa tygodnie później, gdy odebrałem telefon w moim biurze. Rozmówca przedstawił się mojej sekretarce jako pan Roisin, dlatego odebrałem. Wiedziałem, że musi mieć coś wspólnego z tym, co się stało, i byłem przerażony. Jak już mówiłem, wierzyłem, że nasz romans nie wyszedł na światło dzienne. I miałem ku temu powody. Rozmówca powiedział, że ma nagranie ze śmierci Roisin i jeśli chcę, by zostało zniszczone, muszę zapłacić pięćdziesiąt tysięcy funtów. Kazał mi podać adres mailowy i powiedział, że przyśle próbkę. Tak też zrobił.

- Gore zadygotał. – Wszystko było widać.
- Zachował pan plik? – zapytał Grier.
- Pokręcił głową.
- Nie, oczywiście, że nie. Natychmiast go usunąłem.
- Tinie wpadła do głowy pewna myśl.
- A czy było widać, jak Alfa wprowadza zmiany na miejscu zbrodni?
- Nie wiem. Nie obejrzałem całości. Nie mogłem.
- Tina pomyślała, jak bardzo zaskoczony musiał być Andrew Kent, gdy zobaczył ministra mordującego jego upatrzoną ofiarę. Szantażowanie Gore'a było ryzykownym pomysłem, ale też niezwykle kuszącym.
- W tym czasie oczywiście nie miałem pojęcia, kto mógł zrobić nagranie – kontynuował Gore – ale pięćdziesiąt tysięcy funtów to mnóstwo pieniędzy i wiedziałem, że jeśli zapłacę, szantażysta wróci po więcej. Dlatego zadzwoniłem do Paula Wise'a. Nie miałem wyboru. Znów był spokojny. Kazał mi zaaranżować dostarczenie pieniędzy i powiedział, że Alfa się dowie, kim jest szantażysta, odzyska pieniądze i dopilnuje, żeby więcej nie sprawiał mi kłopotów.
- Zabijając go?
- Nie wiem. Nie pytałem.
- Tina nie zamierzała mu odpuścić.
- Musiało przyjść panu na myśl, że Wise i jego pomocnik zamierzają go zabić.
- Byłem przerażony. Wiedziałem, że ta sprawa może zniszczyć całe moje życie, a co ważniejsze, życie mojej rodziny. Rozpaczliwie pragnąłem ją zakończyć. – Milczał przez chwilę, kręcąc głową. – Ale wszystko poszło źle. Szantażysta

wyznaczył miejsce w lesie Epping i zdołał przejąć pieniądze, unikając rozpoznania czy zatrzymania przez Alfę. Przez jakiś czas panowała cisza. Miałem nadzieję i modliłem się, żeby odpuścił, ale parę tygodni temu znowu nawiązał kontakt, żądając kolejnych pięćdziesięciu tysięcy funtów i grożąc, że przekaże nagranie mediom. Byłem przerażony. Już spełnienie pierwszego żądania było bardzo trudne. Wbrew powszechnej opinii my, politycy, wcale nie jesteśmy obrzydliwie bogaci. Na szczęście pan Wise pospieszył mi z pomocą i wyłożył pieniądze. Umówiliśmy się na drugie przekazanie, tym razem w parku Hampstead Heath. Szantażysta znów uciekł z pieniędzmi, ale tym razem Alfie udało się zdobyć dość informacji, żeby ustalić jego tożsamość i dowiedzieć się, gdzie mieszka.

Tina zmarszczyła brwi.

- Kiedy nastąpiło przekazanie?
- W poniedziałek w zeszłym tygodniu.

Ledwie parę dni przed zidentyfikowaniem Kenta i poddaniem go całodobowej inwigilacji.

- Ale Alfa go nie dopadł, prawda?
- Nie. Pan Wise mi powiedział, że szantażystą jest Upiór, co było dla mnie szokiem. Tego się nie spodziewałem. Myślałem, że może to były chłopak, który śledził Roisin. Pan Wise poinformował mnie też o bliskim aresztowaniu podejrzanego.

Tina usłyszała głęboki wydech Griera, gdy on również zrozumiał, że Wise miał w zespole śledczym kogoś, kto przekazywał mu informacje.

- Dlaczego Kent został uprowadzony? – zapytał Grier.
- Bałem się, że gdy trafi do aresztu, może się wygadać i

moja tajemnica wyjdzie na jaw. Wiem, że pan Wise chciał ubić z nim interes, gdy był inwigilowany, ale nic z tego nie wyszło. Ostatni raz rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem. Powiedział, że sytuacja jest pod kontrolą, że nie znaleziono żadnych dowodów wiążących mnie z morderstwem Roisin, że on i Alfa mają awaryjny plan uciszenia Kenta i odzyskania materiału filmowego. – Spojrzał Tinie w oczy. – To była ostatnia wiadomość. Nie chciałem być odpowiedzialny za kolejną śmierć, ale nie miałem wyboru.

– Zawsze jest wybór, panie Gore – zauważył Grier nietypowo zjadliwym tonem.

– Paul Wise z pewnością musiał zadać sobie wiele trudu, żeby panu pomóc. – Tina czuła do siedzącego przed nią mężczyzny głęboką pogardę, ale starała się jej nie okazać.

– Pomogłem mu w przeszłości.

– Wie pan o przestępstwach, w które był zamieszany?

– Rzekomo.

Tym razem pogarda aż w niej zakipiała.

– Rzekomo, akurat! Wie pan, co zrobił.

– Gdy usłyszałem pogłoski, było za późno. Już miał mnie w rękę. Ma w rękę mnóstwo ludzi. – Gore westchnął i powiódł po nich wzrokiem. – Możecie jakoś mi pomóc?

Tina była zdumiona, że po takim wyznaniu myśli, iż zdoła się wywikłać, ale może po prostu przemawiała przez niego nieposkromiona pycha władzy.

– Fakt, że pan współpracuje, zostanie policzony na pańską korzyść – powiedziała mu. – I jeśli jest pan gotów zeznawać przeciwko Paulowi Wise'owi, to również pomoże. Zrobi pan to?

– Jeśli to pomoże, w takim razie tak, oczywiście – odparł, obrzucając ją poważnym spojrzeniem.

– Tak, pomoże – zapewniła.

Tina wstała i odczytała mu prawa z myślą, że aresztowanie ministra pod zarzutem morderstwa jest dziwnie wyzwajające, dowodzi, iż nikt, kimkolwiek jest, nie stoi ponad prawem.

Łącznie z Paulem Wise'em.

Gore się nie opierał, gdy wzięli go pod ręce i wyprowadzili z gabinetu do holu.

Tam zobaczyli Jane Gore wciąż w koszuli nocnej, z dubeltówką w rękach.

– Nie pozwolę ci zniszczyć naszej rodziny – powiedziała drżącym głosem, celując w Tinę.

Tina się wzdrygnęła, ale nakazała sobie zachowanie spokoju.

– Niech pani odłoży broń, pani Gore. Proszę.

Kobieta pokręciła głową z wyrazem determinacji na mokrej od łez twarzy.

– Nie.

I pociągnęła za spust.

## 50.

– Do diabła, co się stało? – zapytałem, gdy Dougie MacLeod w końcu doszedł do siebie na tyle, żeby mówić.

Puściłem go i pomogłem mu wstać. Wciąż wstrząsały nim fale napięcia, ale wyglądał spokojniej i jego twarz odzyskiwała normalną barwę, choć na lewym policzku już pojawiał się siniak.

– Wczoraj wieczorem, gdy byłem w pubie, ktoś do mnie zadzwonił. Rozmówca, wyraźnie zmieniając głos, powiedział mi, że mają Billy'ego i że go zabiją, jeśli nie zrobię dokładnie tego, co każą. Z początku mu nie wierzyłem... na litość boską, przecież Billy jest na uniwersytecie w Leeds... ale kazał mi czekać na dowód. – Urwał i odetchnął głęboko, próbując się uspokoić. – Pięć minut później dostałem zdjęcie wysłane z niezarejestrowanej komórki na kartę, ukazujące Billy'ego, zakneblowanego i przywiązanego do krzesła. To był on, Sean.

Mój syn. Jeśli mi nie wierzysz, sprawdź w komputerze na górze. Przysyłają mi zdjęcia.

– Czego chcą?

– Chcieli Andrew Kenta. Kazali mi podrzucić kilka tabletek do jego wody, żeby się rozchorował.

– Skąd wzięłeś tabletki?

– Były w kopercie za kołem jakiegoś samochodu na John Street.

A więc klient albo ktoś z nim powiązany przebywał w okolicy, gdy byłem w pubie.

– Wierz mi, nie chciałem tego robić. Nie miałem wyboru.

Była to jedna z rzeczy, które według mnie nie miały sensu. Jeśli klient chciał śmierci Kenta, dlaczego w takim razie nie użył jakiejś silnej trucizny i nie zabił go na miejscu, zamiast szantażem zmuszać Dougiego do zaprawienia wody czymś, co zbytnio mu nie zaszkodziło? Kolejne pytanie pozostawało bez odpowiedzi.

Rozejrzałem się.

– No dobra, zrobiłeś, co ci kazali. Dlaczego zatem nie uwolnili Billy'ego?

– Porywacz zadzwonił i powiedział, że będę im jeszcze potrzebny i mam czekać na telefon. Około północy znowu się odezwał. Kazał mi iść do magazynu dowodów w komisariacie i sprawdzić rzeczy Kenta. Był wśród nich mały nóż armii szwajcarskiej, długi na jakieś cztery centymetry, przypięty do kółka z kluczami. W nożu znajdował się pendrive, którego nie zauważył sierżant w areszcie. Na nim zależało porywaczowi.

– I gdzie jest teraz?

– Kazał włożyć go do koperty i wrzucić do kubła na śmieci na terenie posesji w King's Cross.



– Miałaś okazję zobaczyć, co zawiera?

Pokręcił głową.

– Nie. Ci ludzie są profesjonalistami. Powiedzieli mi, że jeśli to zrobię, zabiją Billy'ego. Nie mogłem ryzykować. Co do joty wypełniłem ich instrukcje i od razu wróciłem do domu. Mieli zadzwonić, gdy tylko pendrive trafi w ich ręce, i powiadomić mnie, gdzie jest Billy. Podrzuciłem to cholerstwo wiele godzin temu, a jeszcze się nie odezwali. Kiedy usłyszałem kroki na dole, nie wiedziałem, co myśleć, więc zszedłem tu z bronią. Mam ją od lat, od czasów wojska. – Westchnął. – Do diabła, Sean, co ja mam począć? Chodzi o mojego syna. Od śmierci Marion jest dla mnie wszystkim. – Twarz mu pociemniała z napięcia i odetchnął głęboko, próbując się opanować.

Niepewnie położyłem rękę na jego ramieniu.

– Słuchaj, zrobiłeś, co kazali. Nie mają powodu robić mu krzywdy.

– Może widział ich twarze – odparł, odsuwając się ode mnie. – Niewykluczone, że go zabili. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. – Odwrócił się do mnie plecami i zaczął krążyć po pokoju. – Powiedziałeś, że wiesz coś o sprawie Kenta. Co takiego?

Opowiedziałem mu ze szczegółami, co się stało, zaczynając od infiltracji bandy Wolfe'a i kończąc na wizycie w jego salonie.

– Kent został porwany z powodu tego, co miał na pendrivie, to jasne. Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego był wolny, gdy zszedłem do piwnicy. I dlaczego nie uciekł.

Dougie zatrzymał się i z frustracją pokręcił głową.

– A teraz nie żyje, więc nie może nam pomóc.

– Podobnie jak wszyscy inni zamieszani w porwanie. Z wyjątkiem osoby, która podłożyła ogień w miejscu spotkania. Nie mam pojęcia, kto to był, i jestem kompletnie zbity z tropu. – Sam czułem się sfrustrowany. – Ktoś zrobił nas obu i żaden z nas nie ma najmniejszego pojęcia kto.

Przez parę minut staliśmy i patrzyliśmy jeden na drugiego, pogrążeni w myślach. Wciąż trzymałem stary wojskowy rewolwer i byłem świadom, że Dougie nie mógłby udawać strachu.

W pewnej chwili usłyszeliśmy głośne, natarczywe dzwonięcie. Płynęło z kieszeni jego dżinsów. Wyciągnął komórkę i przycisnął ją do ucha.

Nic nie mówił. Tylko słuchał. Po paru sekundach popędził do kuchni i zapisał coś w leżącym na kredensie notesie. Potem wrócił do salonu i schował komórkę do kieszeni.

– Dzwonił porywacz – rzekł cicho. – Kazał mi przyjechać po Billy'ego. Mam być sam.

# 51.

Huk wystrzału był ogłuszający i przez sekundę Tina sądziła, że dostała. Rzuciło ją w tył, wskutek czego puściła ramię Gore'a. Gdy wylądowała na dywanie, zobaczyła, jak Gore przelatuje obok niej i wpada przez otwarte drzwi do gabinetu. Grier opierał się o schody ogłuszony. W powietrzu kłębił się gryzący dym. Gdy się rozproszył, zobaczyła, że Jane Gore wsuwa lufę strzelby pod brodę. Jej twarz była maską rozgoryczenia.

Tina zdążyła tylko wykrzyknąć jej imię. Jane Gore drugi raz pociągnęła za spust, odstrzelivując sobie czubek głowy w chmurze dymu i fontannie krwi. Przez długą chwilę stała idealnie wyprostowana, potem osunęła się na podłogę jak marionetka z przeciętymi sznurkami.

Przez kilka sekund w domu panowała cisza. Tina i Grier trwali w bezruchu, wstrząśnięci tym, co właśnie się stało.

Tina bywała w sytuacjach, gdy przy niej strzelano. Dwa razy znalazła się po niewłaściwej stronie broni palnej i nazbyt dobrze pamiętała ból, ale wciąż ją szokowało, że kula może tak szybko zgasić ludzkie życie.

Wreszcie podniosła się z podłogi. Pani Gore już nic nie może. Straciła połowę głowy. Tina nie miała pewności co do obrażeń jej męża, a ogromnie jej zależało, żeby żył. Pobiegnęła do gabinetu, sięgając po komórkę, by wezwać ambulans.

Gdy go zobaczyła, natychmiast zrozumiała, że jest za późno. Gore leżał na plecach pośrodku podłogi, oczy miał zamknięte. Rany spowodowane przez wystrzał ze strzelby zwykle są znacznie poważniejsze niż rany od kuli, zwłaszcza z bliskiej odległości, gdyż śrut nie ma szans się rozproszyć. Ten przypadek nie stanowił wyjątku. W piersi ministra ziała wielka, poszarpana dziura odsłaniająca narządy wewnętrzne, łącznie z sercem.

– Jezu – szepnęła Tina, gorączkowo sprawdzając puls. Pomyślała, że coś czuje, ale tętno zanikło, gdy spróbowała je zmierzyć. – Dalej, dalej – szeptała, lecz już nic nie czuła. Absolutnie nic. Gore był martwy, podobnie jak jej szanse na postawienie Wise'a przed sądem.

Wstała i zadzwoniła po ambulans. Przykazała dyspozytorowi, że mają się spieszyć, choć wiedziała, że jest już za późno. Potem wróciła do holu na drżących nogach.

Grier kucnął przy pani Gore. Gdy do niego podeszła, podniósł się, kręcąc głową. Był blady, miał krew na koszuli i na rękach.

– Nie żyje – powiedział.

Tina oparła się o ścianę.

– Przepadły nasze szanse na dorwanie Wise'a, bo Gore też zmarł.

Zrobiło się jej niedobrze, więc chwiejnym krokiem minęła Griera i zwłoki pani Gore, otworzyła drzwi i łapczywie zaczerpnęła haust porannego powietrza. Ulica była pusta. W oknach sąsiednich domów zasłonki się nie poruszały. Wyglądało na to, że niedawne straszne wypadki rozegrały się bez niczyjej wiedzy.

Mdłości ustąpiły i Tina przez dobrą minutę stała w słońcu, oddychając głęboko. Ulicą przejechał pojazd do rozwożenia mleka, mleczarz obrzucił ją dziwnym spojrzeniem. Nagle pozazdrościła mu pracy, bo wówczas nie musiałyby mieć do czynienia z najgorszymi mętami i oglądać otwartych, ziejących ran na ciele społeczeństwa ani zła, które sączy się od samego czubka drabiny do rynsztoka.

Zadzwoiła jej komórka. Wyjęła ją z kieszeni džinsów i sprawdziła numer. Mike Bolt. Poczowała nagłą ulgę. Jeśli był ktoś, z kim mogłaby teraz rozmawiać, to tylko on.

– Wszystko w porządku, Tino? – zapytał.

– Nie – odparła łamiącym się głosem i opowiedziała mu, co się stało.

– Na pewno nie żyje?

– Oboje. Mamy morderstwo i samobójstwo.

Westchnął i milczał przez kilka sekund.

– Teraz zrobi się chryja – rzekł w końcu. – Dopilnuj, żeby był przy tobie przedstawiciel związku, gdy będą cię przesłuchiwać, bo wybuchnie wielki skandal i będą szukać kozłów ofiarnych.

– Ja tylko robiłam, co do mnie należy – zaprotestowała, świadoma, że mówi obronnym tonem, ale też ze złością. Była bliska rozwiązania ważnej sprawy, a teraz będzie odpowiedzialna za śmierć zabójcy.

– Ja to wiem. Ty to wiesz. Ale to może nie wystarczyć. Zasłynęłaś z mieszania się w paskudne sprawy i to wytrąci ci broń z ręki, gdy padną oskarżenia o sprowokowanie całej sytuacji. Może nawet o coś więcej.

– Nagrałam wywiad z Gore'em, mamy jego przyznanie się do winy. Niestety, wyłączyłam magnetofon, zanim padły strzały. Sądzisz, że to wystarczy, żeby dorwać Wise'a?

Bolt westchnął.

– Nie mam pojęcia. Na twoim miejscu ukryłbym nagranie w jakimś bezpiecznym miejscu, ponieważ sprawa dotyczy wysokiego urzędnika państwowego, co prosi się o zatuszowanie. Nikt ze szczytów władzy nie będzie zainteresowany rozdmuchiwaniem takiego skandalu.

Tina wiedziała, że Mike ma rację. Znajdzie się w kłopotach pomimo nagranego przyznania się do winy i Griera jako świadka.

– Są inni zamieszani. Po pierwsze ten egzekutor, Alfa. Gdybyśmy mogli go znaleźć...

– Może zdołam ci w tym pomóc. Numery, o które pytałaś...

– Te z samochodu zarejestrowanego przez kamerę na drodze do Kevina O'Neilla niedługo przed jego śmiercią?

– Zgadza się. Zostały wyłapane przez ARTR. Przed chwilą odebrałem telefon od Hendona. Namierzyli wóz w śródmieściu i informują mnie na bieżąco.

– Możesz zlecić komuś aresztowanie?

– Pod jakim zarzutem? Już miałem kłopot, żeby nakłonić ludzi z ARTR, by zgodzili się go śledzić.

Tina spojrzała na zegarek. Było dopiero wpół do ósmej, choć miała wrażenie, że jest znacznie później.

– Będziesz mnie informować, dokąd jedzie?

– Jasne, ale masz małe pole manewru, prawda? Miejscowa dochodzeniówka będzie cię chciała zatrzymać na miejscu zdarzenia do czasu uzyskania zeznania.

– To moje zmartwienie – odparła i się rozłączyła.

Nie pozwoli się wymknąć ludziom, którzy korzystają z tego samochodu, wykluczone.

## 52.

– Nadal uważam, Sean, że zabieranie cię jest ryzykowne – powiedział Dougie MacLeod, jadąc Marylebone Road w kierunku King's Cross, gdzie w opuszczonym budynku na wschód od stacji miał odebrać syna. – Jeśli zauważą, że jesteś ze mną, narażę Billy'ego na niebezpieczeństwo, a tego nie mogę ryzykować.

Siedziałem obok niego, trzymając na kolanach rewolwer, który mu wcześniej odebrałem, z lufą skierowaną w jego stronę. Nie chodzi o to, że mu nie ufałem. Wiedziałem, że nie jest zamieszany – nie z własnej woli – ale się bałem, że może zrobić coś głupiego, na przykład spróbować się uwolnić od mojego towarzystwa.

– Nie dam się zauważyć – zapewniłem go. – Musisz mnie tylko uprzedzić, że zbliżamy się do miejsca spotkania. Skulę



się w fotelu, żeby nikt mnie nie zobaczył, i zaparkujesz kawałek dalej. Pójdiesz sam, a ja zapewnię ci wsparcie. To wszystko.

– Nie potrzebuję wsparcia.

– Gówno prawda. Spytaj samego siebie, dlaczego każą ci jechać do opuszczonego budynku po niewłaściwej stronie King's Cross w sobotę z samego rana, gdy nikogo nie ma w pobliżu. I co kazali ci zrobić? Wejść na trzecie piętro, żeby nikt cię nie widział. Dlaczego? Jeśli z taką powagą podchodzą do uwolnienia Billy'ego, dlaczego po prostu go nie rozwiązali i nie puścili wolno? Przecież to nietrudne.

– Co ty mówisz, Sean? Że zamierzają zabić nas obu?

Tu musiałem być ostrożny, bo już bez moich sugestii o śmierci jedynaka Dougie wyglądał wystarczająco marnie – zaczerwieniony, z rzadziejącymi siwymi włosami, mokrymi od potu i przylepionymi do czaszki.

– Nie, wcale tego nie mówię.

– Widziałeś nagrania w moim komputerze. Billy żyje.

To prawda. Przynajmniej żył pół godziny temu, gdy widziałem go przywiązanego do krzesła z kneblem w ustach, w pustym pokoju, z oczami szeroko otwartymi ze strachu i zdumienia, jak u Andrew Kenta. Nagrania mogły być oczywiście spreparowane, choć raczej w to wątpiłem. A jednak wcale nie znaczyły, że porywacze zamierzają go uwolnić.

– Będę cię obserwować, sprawdzę, czy nikt cię nie śledzi. Jeśli uznam, że teren jest czysty, pójdę za tobą na trzecie piętro po prostu dla pewności, czy wszystko idzie gładko.

– Jeśli coś spieprzysz i coś się stanie mnie albo Billy'emu...

– Nie spieprzę. Brałem udział w wielu inwigilacjach, więc

wiem, jak się nie ujawniać.

Odwrócił się w moją stronę z udręką w oczach.

– Dlaczego to robisz, Sean?

– Ponieważ chcę, żebyś żył. I chcę znaleźć łajdaka, który to wszystko ustawił, bo ma cholernie dużo krwi na rękach. Poza tym próbował mnie zabić. Oto dlaczego.

Pomyślałem, że najpewniej jest również winny śmierci mojego brata, choć o tym nie powiedziałem Dougiemu.

Minęliśmy prawie pusty dworzec King's Cross i Dougie skierował się na York Way, żeby jechać na północ w kierunku Kentish Town. Jakieś pół kilometra dalej skręcił w prawo, zaraz potem w lewo. Zauważyłem, że zaczyna oddychać chrapliwie.

– Dobra, to tu. Schowaj się.

Posłuchałem i skuliłem się. Jechaliśmy wzdłuż brudnych kompleksów przemysłowych.

– To tutaj – syknął, patrząc prosto przed siebie, a za wysokim siatkowym ogrodzeniem pojawił się na wpół ukończony budynek wysoki na pięć czy sześć pięter.

Jechał jeszcze dwie minuty, po czym skręcił w prawo i zaparkował na bocznej ulicy. Odetchnął głęboko kilka razy, przygotowując się psychicznie na to, co miało być najtrudniejszymi chwilami w jego życiu. Domyślałem się, że w duchu zadaje sobie pytanie, czy Billy jeszcze żyje, choć wiedział, że tak czy inaczej niedługo pozna odpowiedź.

– Potrzebna mi broń, Sean – powiedział, wyciągając rękę.

– Kiedy ostatni raz strzelałeś, Dougie? Od wojska minęło dwadzieścia pięć lat. Ja jestem wyszkolony i wciąż ćwiczę. Będzie lepiej, gdy ją zatrzymam.

– Nie. Mówimy o moim synu. Muszę mieć ten rewolwer. – Pochylił się i spojrzał mi prosto w oczy. – Jesteś mi to winny, Sean. Od długiego czasu.

Miał rację. Wolałbym zatrzymać broń, bo wiedziałem, jak jej używać, ale nie dał mi wyboru. Włożyłem rewolwer w jego wyciągniętą rękę i patrzyłem, jak wsuwa go z tyłu za pasek dżinsów.

– Bądź ostrożny – powiedziałem, zastanawiając się, czy nie puszczam go prosto w pułapkę. Nawet jeśli tak, nie mogłem nic w związku z tym zrobić.

– Dzięki. Będę. – Jeszcze raz odetchnął głęboko i przeganiał włosy ręką. – Jestem ci wdzięczny za chęć pomocy, Sean, ale nie chcę zobaczyć, że wchodzisz tam za mną. Prawdę mówiąc, wcale nie chcę cię widzieć. Przynajmniej dopóki nie będzie po wszystkim. – Otworzył drzwi. – Policz do stu, zanim za mną pójdziesz. – I ruszył.

Niezupełnie doliczyłem do stu, ale dałem mu dobrą minutę, zanim wysiadłem i podążyłem za nim. Domy wokół mnie były ciche, ruch minimalny, mimo że wodniste słońce już wisiało dość wysoko na lazurowym niebie. Zapowiadał się piękny dzień.

W każdym razie dla niektórych.

Droga biegła nad kanałem w Regent's Wharf. Przy brzegu cumowały barki i przypominałem sobie mgliście, że przed laty spacerowałem tu z dziewczyną pewnego pięknego letniego popołudnia, niedługo po tym, jak wstąpiłem do policji. Miała na imię Davina i co najmniej przez kilka miesięcy nasz związek był poważny. Potem wszystko się rozsypało i dziewczyna zniknęła, jak zresztą wszystkie bliskie osoby w moim życiu.

Wyprostowałem ramiona. Jeśli przetrwam ten dzień, dojdę z sobą do ładu, znajdę sobie dziewczynę i się ustatkuję. Może nawet założę rodzinę. Miałem powyżej uszu życia w samotności.

Miejsce spotkania wyrosło na tle nieba na lewo ode mnie, betonowa skorupa górująca nad pustym placem budowy. Tablica na siatce oznajmiała z dumą: „Nowe luksusowe apartamenty nad wodą”, przewidziane do oddania do użytku w 2010 roku, choć przypuszczałem, że będą musieli mocno się sprężyć, żeby się zmieścić w terminie.

Zmusiłem się do zwolnienia kroku. Dougie zniknął, ale chciałem mieć pewność, że jeśli ktoś w budynku sprawdza, czy nikt za nim nie idzie, to przestanie to robić.

Główna brama na teren budowy była lekko uchylona, solidna kłódka została przecięta. Weisnąłem się za bramę i powoli ruszyłem pociętym koleinami szlakiem, który prowadził do głównego wejścia budynku. Trzymałem się blisko porzuconych maszyn po obu stronach, gdy wypatrywałem śladu ruchu na górnych piętrach.

Kiedy dotarłem do wejścia, przystanąłem na sekundę, po czym wślizgnąłem się do środka, świadom, że bez rewolweru jestem zupełnie bezbronny. Idąc przez mrok, zbliżyłem się do betonowych schodów. Spojrzałem w górę i nasłuchiwałem. Dougie przyszedł tu najwyżej dwie minuty temu, ale nie słyszałem odgłosów radosnego spotkania ojca i syna. Panowała złowieszcza cisza. Pomyślałem, że jest tu gdzieś sam, łatwy cel, i wiedziałem, że muszę zachować ostrożność, by czegoś nie spieprzyć. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin popełniłem zbyt wiele błędów.

Zakradłem się na pierwsze piętro. Na lewo ode mnie znajdowało się wejście do wielkiego pustego pokoju, który zajmował całą szerokość budynku. Nic się nie poruszyło, powietrze pachniało ceglanym pyłem i pleśnią. Najwyraźniej był to jeden z luksusowych apartamentowców, które przestano budować, gdy kryzys na rynku nieruchomości pojawił się znikąd jak finansowe tsunami. Teraz, nieukończony i zaniebany, przypominał wielopiętrowy parking, tyle że tutaj nie było gdzie się ukryć.

Ruszyłem na górę z przesadną ostrożnością, ze zmysłami wyczulonymi na otoczenie.

I gdy dotarłem na drugi poziom, usłyszałem. Cichy krzyk, potem płynące z góry szuranie. Następnie coś, co zabrzmiało jak stęknienie z wysiłku.

Potem zapadła cisza.

Pomyślałem, że to chyba Dougie, ale nie mogłem być pewien.

Zatrzymałem się, próbując uciszyć oddech, który przyspieszał w półmroku.

Potem usłyszałem czyjeś kroki, niespieszne, co znaczyło, że to nie on. W takim stresie Dougie nie mógłby się poruszać na luzie.

Spiałem się. Jeśli to Alfa, podejmę wielkie ryzyko, idąc na górę bez broni, ale mimo to wahałem się tylko parę sekund.

Odgłosy dobiegały z wejścia na trzecie piętro. Brzmiały tak, jakby ktoś próbował coś przesunąć.

Byłem już na szczycie schodów, dzieliła nas tylko ścianka działowa.

Powoli, bardzo powoli wyjrzałem zza muru i zgrzytnąłem

zębami, gdy zobaczyłem syna Dougiego, Billy'ego, przywiązanego do krzesła, które widziałem na ekranie komputera. Siedział jakieś pięć metrów od wejścia do wielkiego pustego pomieszczenia. Miał zwieszoną głowę, jego potylicą była krwawą miazgą. Nie poruszał się.

Dougie leżał na podłodze. Przynajmniej pomyślałem, że to on, bo z tego miejsca widziałem tylko podrygujące nogi w dżinsach. Nie widziałem jego broni.

A zatem miałem rację. Ten bezwzględny łajdak Alfa nie miał zamiaru uwalniać Billy'ego ani zostawiać Dougiego przy życiu. Zdusiłem szok i wściekłość, które we mnie narosły. Stałem cicho, skupiony, zły na siebie, że nie przyszedłem wcześniej, ale w pełni przygotowany do wywarcia krwawej zemsty za śmierć dwóch niewinnych ludzi, z których jeden był moim przyjacielem.

Wychyliłem się jeszcze trochę i zobaczyłem rewolwer leżący obok ciała Dougiego, zaledwie półtora metra ode mnie. Gdybym tylko zdołał go chwycić...

A potem w polu widzenia pojawił się mężczyzna z pistoletem wyposażonym w tłumik w kształcie cygara.

Tym razem nie zdołałem opanować szoku.

## 53.

Nie widział mnie. Nawet nie spojrzał w moją stronę, gdy szedł do krzesła ze zwłokami Billy'ego. Kucnął, żeby podnieść łuskę, plecami do mnie.

Miałem jedną szansę i ją wykorzystałem.

Robiąc dwa szybkie, prawie bezgłośnie kroki, poderwałem z podłogi rewolwer Dougiego i wycelowałem w jego plecy.

– Rzuć broń.

Tommy znieruchomiał, potem powoli odwrócił się w moją stronę. Na ciele miał opatrzone rozcięcie, które widziałem zeszłej nocy w piwnicy.

– Powiedziałem, rzuć broń, bo cię rozwalę. Tutaj. Teraz.

Staliśmy naprzeciwko siebie. Trzymał pistolet w opuszczonej ręce, na jego twarzy malowało się lekkie rozbawienie.

– Proszę, proszę. Nie spodziewałem się, że cię tu spotkam. Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Powtórzę to tylko raz – oznajmiłem spokojnie. – Potem cię zastrzelę.

– Nie zastrzelisz. Już w chwili gdy się poznaliśmy, wiedziałem, że nie jesteś zabójcą.

Ale się mylił. Teraz byłem. Odciągnąłem kurek i trzymając rewolwer w idealnie pewnej ręce, wycelowałem prosto między jego oczy.

– Coś ci powiem. Zostałem wyszkolony do używania broni i mam duże doświadczenie. Wczoraj strzeliłem do trzech ludzi. I ten, którego chciałem zabić, nie żyje. Teraz policzę do trzech. Jeśli nie rzucisz broni, będzie to ostatnia rzecz, jaką trzymałeś. Twój wybór.

Wciąż miał błysk rozbawienia w oczach, ale tym razem posłuchał, ostrożnie kładąc pistolet na podłodze.

– Ręce do góry.

Zrobił, co mu kazałem.

– I co teraz? Wpakujesz mi kulkę w łeb, gdy stoję bezbronny?

– Zasłużyłeś na to, Tommy.

– Ja tylko robię swoje.

– Dla kogo? Kto chce dostać ten pendrive, który przyniósł Dougie MacLeod? I co na nim jest?

– Jesteś dobrze poinformowany, Sean, trzeba ci to oddać. I umiesz się wydostać z kłopotliwej sytuacji. Źle cię oceniłem zeszłej nocy. Nie przypuszczałem, że w taki sposób zwiejesz z płonącego budynku. – Zagwizdał z podziwem. – Muszę przyznać, byłem pod wrażeniem.

– Wciąż czekam na odpowiedzi, Tommy – powiedziałem, napinając palec na spuście. – Uważaj, żebyś nie stracił cierpliwości.



Pokręcił głową.

– Wyjdę stąd, Sean, i proponuję, żebyś zrobił to samo. Dla swoich przyjaciół już nic nie możesz zrobić i tkwisz w tym głównie równie głęboko jak ja.

Opuściłem broń, celując w jego kolano.

– Może trudno mi będzie zabić cię z zimną krwią, ale bez skrupułów zrobię ci dziurę w rzepce, zwłaszcza że zamordowałeś mojego dawnego szefa i jego syna.

Ściągnął brwi, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

– Jesteś gliną? Wykluczone. Prześwietliłem cię. Dokładnie.

– Nie dość dokładnie.

– W takim razie dlaczego wczoraj strzeliłeś do tych dwóch handlarzy bronią? I trzymałeś na muszce gliniarzy z furgonetki? Jaki glina to robi?

Dobre pytanie, ale nie byłem gotów na nie odpowiedzieć.

– To ja mam broń, Tommy, więc to ja zadaję pytania. Dla kogo pracujesz?

– Dla gościa zwanego Alfa. Nie znam jego prawdziwego nazwiska.

– Myślałem, że był klientem Wolfe'a.

Tommy zrobił pogardliwą minę.

– Tyrone Wolfe lubił się uważać za wielkiego szefa, ale nigdy niczym nie kierował. Tylko tak mu się zdawało. Wykorzystywał to, że jest wielkim bandzirem, który dokonuje napadów z bronią. Sam nie potrafił niczego zorganizować, podobnie jak ten idiota Haddock. Wolfe mógł myśleć, że Alfa jest jego klientem, a ja z radością pozwalałem mu w to wierzyć, lecz to mnie Alfa wyznaczył do zorganizowania porwania Kenta.

- Dlaczego został porwany?
  - Bo sfilmował coś bardzo drażliwego... nie pytaj mnie co, nie wiem... i Alfa musiał mieć pewność, że wszystkie kopie zostaną zniszczone. Chciał też być pewien, że żaden trop nie doprowadzi do niego. Dlatego kazał po robocie zlikwidować Wolfe'a i Haddocka. Uznał, że mogą zacząć gadać.
  - A więc zabiłeś swoich przyjaciół.
  - Nie było między nami wielkiej miłości. Zawsze traktowali mnie jak gorszego, chociaż głównie to ja dawałem im zarobić. Nie, pozbyłem się ich z przyjemnością.
  - A ja?
- Uśmiechnął się smętnie.
- Przykro mi, Sean, to był po prostu interes. Zawsze cię lubiłem.
  - Ale zeszłej nocy, gdy cię znalazłem, byłeś zalany krwią... myślałem, że nie żyjesz. Czy to też było udawane?
- Pokręcił głową.
- Nie. Ten szczywany śmieć Kent się uwolnił. Gdy byłeś zamknięty, a Tyrone poszedł zakopać broń, załatwiłem Haddocka i zszedłem do piwnicy, żeby się dowiedzieć, co Kent zrobił z nagraniem. Gdy tylko pokazałem mu młotek i nóż, których zamierzałem użyć, zaczął gadać. Powiedział mi, że zachował tylko jedną kopię, że jest na pendrivie przypiętym do pęku kluczy, które miał przy sobie, gdy go zwinęli. Pomysłowe, no nie? Pendrive leżał w jakiejś szafce na posterunku i nikt go nie zauważył. W każdym razie kiedy podszedłem z nożem, żeby go wykończyć... szybko i po cichu, bo nie chciałem, żeby ktoś usłyszał... przeżyłem swego rodzaju szok. Sukinsyn nie był tak dobrze przywiązany do krzesła, jak sądziłem. Zdołał

uwolnić rękę i gdy się pochyliłem, wyrwał mi nóż. Tak po prostu. Był cholernie szybki. Zanim się spostrzegłem, poderwał się z krzesła i rzucił na mnie. Zabiłby mnie, gdybyś się nie zjawił.

– Więc uratowałem ci życie.

– Tak – przyznał z leciutkim uśmiechem. – W istocie.

– Nie musiałeś zabijać tych dwóch – powiedziałem, wskazując Dougiego i Billy'ego, czując narastający gniew.

– Nie mogłem ryzykować, puszczając ich wolno. Chłopak mnie widział. Niedługo gliny się połapią, że to stary zwędził pendrive'a z posterunku i zaprawił wodę Kenta. Stał mi na zawadzie.

Z wysiłkiem przełknąłem ślinę. Dougie był dobrym człowiekiem i wiele dla mnie zrobił. Nie pozwolę, żeby Tommy'emu uszło to na sucho.

– Gdzie jest pendrive?

– Zniszczyłem go.

– I nawet nie chciałeś wiedzieć, co na nim było? Nie wierzę ci, Tommy. Myślę, że go masz.

– Jestem zawodowcem, Sean. Nie zadaję pytań, gdy sprawa mnie nie dotyczy. Ty też nie powinienes. W ten sposób masz szansę dożyć późnej starości. A teraz stąd wyjdę i proponuję, żebyś wziął ze mnie przykład.

Zrobił krok do przodu z wielką pewnością siebie.

– Stój – warknąłem, myśląc o jego bezduszości, podsycając w sobie wciekłość, która pozwoli mi pociągnąć za spust i uwolnić świat od tego drania.

Skoczył błyskawicznie jak kot, odbijając moją uzbrojoną rękę i pchając mnie na ścianę. Rewolwer wypalił z ogłuszającym hukiem, pocisk rykoszetował nieszkodliwie.

Poczułem kłujący ból w żebrach, ale zachowałem broń i uniknąłem ciosu głową. Jego czoło musnęło moje ramię i z trzaskiem uderzyło w kant muru. Korzystając z okazji, zadałem dwa szybkie ciosy w nerki i odskoczyłem od niego.

Chciał mnie złapać i przetoczyliśmy się w szaleńczym piruecie po podłodze, zmagając się dziko. Gdy skupiał uwagę na odebraniu mi broni, wykręcając moją rękę, wsunąłem stopę za jego nogę i pchnąłem z całej siły.

Potknął się i zachwiał. Puścił moją uzbrojoną dłoń, machając rękami w daremnej próbie zachowania równowagi. Desperacja wykrzywiła jego rysy, gdy w niego wycelowałem. Za nim widziałem zwłoki Dougiego z kałużą krwi wokół głowy i Billy'ego siedzącego bez ruchu na krześle. Tym razem się nie ważyłem.

Usta Tommy'ego ułożyły się do wrzasku „Nie!”, ale jeśli popłynął z nich jakiś dźwięk, to został zagłuszony przez hałas, z jakim kule opuszczały lufę, gdy trzy razy pociągnąłem za spust. Patrzyłem, jak leci przez pokój i ląduje na Dougiem, trzepocząc rękami i nogami.

Gdy znieruchomiał, stałem dobre dziesięć sekund, ogarniając spojrzeniem tę krwawą scenę. Trzy kolejne trupy dołączyły do tych z zeszłej nocy, a wszystko to z powodu filmu, który nagrał Andrew Kent. Wiedziałem, że nigdy się nie dowiem, komu tak bardzo na nim zależało; że po prostu powinienem się z tym pogodzić i żyć dalej. Teraz musiałem odejść. Nawet o tak wczesnej porze w sobotę ktoś mógł usłyszeć strzały i może właśnie wzywał policję.

Gdy się odwróciłem i ruszyłem do drzwi, usłyszałem szelest, który sprawił, że stanąłem jak wryty.

Za moimi plecami zabrzmiał szyderyczy głos.

– Zły ruch, Seany.

Przez dzwonięcie w uszach usłyszałem kilka pyknięć, potem nagle rewolwer wypadł mi z dłoni i runąłem do przodu. Zderzyłem się ze ścianą i osunąłem bezwładnie na podłogę. Ręce i nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Zaćmiło mi się w oczach, prawie od razu poczułem się strasznie zmarznięty i roztrzęsiony. Czułem krew ściekającą po brzuchu i nodze, wsiąkającą w ubranie.

Powoli przekręciłem głowę. Tommy już wstał i się otrząpywał, trzymając pistolet z tłumikiem. W pasiastej koszuli miał wielkie czarne dziury, ale poza tym nie wyglądał wcale gorzej niż wcześniej. Zastanawiałem się, czy nie mam omamów.

Widząc moją minę, Tommy poklepał się po koszuli.

– Kamizelka kuloodporna, Sean. W naszym fachu zawsze się przydaje. Myślałem, że o tym wiesz.

– Mój brat...

– Co?

Nabrałem powietrza, zmusiłem się do mówienia.

– Mój brat, John... zastrzelony podczas napadu na Highgate High Street. W dziewięćdziesiątym piątym. Weteran wojny w Zatoce Perskiej. Ten, którego zabójstwem przechwalał się Wolfe.

Tommy ściągnął brwi.

– To był twój brat? Serio?

– Wolfe wyznał, że go nie zabił. Spytałem go przed śmiercią. Ty tam byłeś, Tommy. Kto pociągnął za spust?

– Przykro mi, stary – odparł wcale nie przeproszającym tonem – to ja. Po prostu wszedł w drogę, wiesz? – Zrobił krok

przed siebie, celując we mnie z pistoletu. – Tak samo jak ty.

Wtedy osunąłem się na bok jak umierający i ostatkiem sił podniosłem rewolwer z podłogi. Wymierzyłem w Tommy'ego, już napinając palec na spuście, niepewny, ile kul wystrzeliłem, nie dbając o to, ponieważ była to moja ostatnia szansa pomszczenia brata, którego nie widziałem od piętnastu lat, bo został przez Tommy'ego zastrzelony na rogu ulicy, jakby był niczym, tylko drobnym utrapieniem, podczas gdy w rzeczywistości był najważniejszą osobą w moim życiu.

Usłyszałem pyknięcie tłumika, zanim pociągnąłem za spust, a potem znów nastąpiła eksplozja hałasu.

## 54.

– Operator mówi, że samochód nie zmienił pozycji od dwudziestu minut – powiedział Bolt przez zestaw głośnomówiący, gdy Tina przejeżdżała obok stacji King's Cross. – Jest zatem prawie pewne, że stoi gdzieś w obrębie kwadratu pomiędzy Pentonville Road, Caledonian Road, York Way i Copenhagen Street.

– Dzięki, Mike.

– Powiedz mi, Tino, że nie robisz tego sama. Nie złożyłaś zeznania w sprawie tego, co się stało w rezydencji Gore'a?

– To musi poczekać. Muszę znaleźć ten samochód. Jestem pewna, że należy do egzekutora.

– Ale nie możesz tego wiedzieć – zaznaczył Bolt z większym zmartwieniem w głosie niż dotychczas. – Może nie ma żadnego powiązania. Może popełniasz straszny błąd.

– Potrzebuję tropów – burknęła – a w tej chwili ten jest jedynym, jaki mam.

– Tino, pakujesz się w prawdziwe szambo. Będziesz musiała oddać legitymację i wszystko inne. Nie można ot tak sobie szukać tropów, gdy jest się świadkiem, a może nawet podejrzanym w sprawie zabójstwa ministra. Chyba nie jesteś tak cholernie opętana.

Tina zgrzytnęła zębami. Wiedziała o tym wszystkim. Była świadoma, że jej kariera wisi na włosku. A jednak nie mogła się powstrzymać. Była zbyt blisko celu, żeby się poddać.

– Dzięki za pomoc, Mike – powiedziała. – Jestem ci dłużna. – I zakończyła rozmowę.

Przegarnęła ręką włosy, próbując się skupić na bieżącym zadaniu, wiedząc, że kiedy w lokalnej dochodzeniówce odkryją, że zniknęła, dostaną szału. Dlatego nie zabrała z sobą Gierra. Po wezwaniu policji i ambulansów na miejsce zdarzenia kazała mu mieć oko na wszystko, po czym oznajmiła, że musi coś zrobić i że niebawem wróci. Grier chciał wiedzieć, dokąd się wybiera. Gdy nie odpowiedziała, zapytał, czy może jej towarzyszyć, a w zasadzie stwierdził, że są partnerami. Ale przez nią miał już dość kłopotów, dlatego stanowczo jako szefowa kazała mu zostać. „Być może to ostatni rozkaz, jaki ci wydaję – rzekła. – Więc weź go sobie do serca”.

Skreśliła na York Way, potem w prawo na Caledonian Street i kluczyła bocznymi ulicami, rozpaczliwie próbując wytropić samochód, który знаła tylko z ogólnego opisu. Nawet nie miała czasu spojrzeć na zdjęcie. Nie mogła ani na chwilę przestać myśleć o tym wszystkim. Po prostu musi działać, szukać tropów, nie ustawać, bo gdy tylko to zrobi, nastąpi koniec. Będzie



podejrzana, straci pracę, a egzekutor Alfa pozostanie na wolności, podobnie jak Paul Wise, człowiek, którego – co sobie uświadomiła – gotowa jest zniszczyć za wszelką cenę.

Mike miał rację. Była opętana. Może nawet obłąkana. Ale miała wyniki. To ona wpadła na trop, który doprowadził do Kenta; to ona wypatrzyła rozbieżności w morderstwie Roisin O'Neill; to ona znalazła Gore'a. Dranie nie mogą jej tego odebrać.

Minęło pięć minut. Zaczęła się denerwować. Niepewna siebie i swojego tropu wiedziała, że każda minuta poza rezydencją Gore'a jest dla niej gwoździem do trumny, że jej praca w policji nieuchronnie się zbliża do końca.

Zauważyła, że drżą jej ręce, a oddech przyspiesza. Zatrzymała się i wysiadła z samochodu, żeby zapalić papierosa i trochę ochłoniąć.

I wtedy to usłyszała. Z terenu budowy tuż obok.

Niewątpliwy huk wystrzału.

## 55.

Nie było bólu, tylko głęboki, tępy szok. Drętwota od ud do piersi. O ile mogłem zobaczyć, dostałem dwa razy. Jeden pocisk trafił w udo, drugi w brzuch. Rana na udzie krwawiła mniej, co znaczyło, że kula nie uszkodziła głównych naczyń krwionośnych; wylot znajdował się z tyłu tuż nad stawem kolanowym. Ta w brzuchu była paskudna, wielkości piłki do golfa, i lało się z niej mnóstwo krwi na zakurzony beton.

Zdołałem się oprzeć o ścianę i – zdumiewające – utrzymać pistolet. Naprzeciw mnie po drugiej stronie pokoju leżał na brzuchu Tommy. Trafiłem go w twarz albo w głowę, nie miałem pewności, on natomiast chybił za ostatnim razem, więc byliśmy kwita. Przez chwilę charczał i jęczał z bólu, a nawet próbował się podnieść, lecz teraz już się nie ruszał i nie słyszałem jego oddechu.

Siedziałem uwięziony w tej przeogromnej norze, która miała się stać moim grobem. Nie mogłem się ruszać, a nikt nie usłyszy moich krzyków, gdybym nawet miał siłę krzyczeć. Nie było syren, więc wyglądało na to, że nikt nie zwrócił uwagi na strzały.

Strasznie chciało mi się pić i trząsałem się jak mokry pies, ale nie do wiary, nie panikowałem. Byłem zbyt wykończony i nawet po wszystkim, co się stało, czułem się dziwnie spełniony. Poszedłem samotnie pomścić śmierć mojego brata i dopiąłem swego. Bandyci, którzy zostawili go martwego na ulicy, sami byli martwi, a uwalniając świat od Andrew Kenta, wyświadczyłem ludzkości przysługę. I jeśli był to mój pożegnalny prezent, niech tak będzie.

Ale gdy tam siedziałem, ranny i bezradny, zachodząc w głowę, jak to się stało, że znalazłem się w tym strasznym, podobnym do grobowca miejscu, słyszałem miarowe, nieuchronne kroki śmierci i wiedziałem, że jej nie ucieknę. Z tym było najtrudniej się pogodzić, z faktem, że moje życie zbliża się do końca. W tych paru ostatnich sekundach, gdy ból i szok skręcały mi trzewia, pomyślałem przelotnie, czy ktoś będzie po mnie płakać. Czy ktoś w ogóle będzie o mnie pamiętać za dziesięć lat.

Wtedy to usłyszałem. Dźwięk tuż za drzwiami. Szurnięcie stopy po podłodze.

Jezu. Czy ten koszmar jeszcze się nie skończył? Czy pora na ostatni akt?

Zacisnąłem zęby i powoli podniosłem rewolwer, gdy w drzwiach pojawiła się ciemnowłosa kobieta w zwyczajnym, codziennym stroju, z legitymacją w jednej ręce i czymś, co

wyglądało na puszkę gazu pieprzowego, w drugiej.

– Policja! – krzyknęła. A potem, gdy ogarnęła wzrokiem chaotyczną scenę, jej oczy spoczęły na mnie. – Sean?

– Cześć, Tino.

– Do licha, co się stało?

W tej chwili kątem oka zobaczyłem, że Tommy podrywa się z podłogi z pistoletem w ręce, z twarzą jak krwawa maska, i zaczyna strzelać. Kule ze złością rykoszetowały po pokoju.

Tommy zwrócił broń w moją stronę, a ja wziąłem go na cel, koncentrując się na pewnym trzymaniu rewolweru, wiedząc, że mam tylko jedną kulę i że tym razem muszę wykończyć sukinsyna, żeby mój brat wreszcie spoczął w pokoju.

Strzelił pierwszy, ale spudłował. Pocisk wyszczerbił ścianę obok mojego ramienia i rykoszetował w chmurze ceglano-pyłu. Znowu pociągnął za spust i tym razem nic się nie stało. Skończyły mu się naboje. Widziałem, jak rozszerzają się jego oczy, gdy zrozumiał, że przegrał.

Wtedy ja pociągnąłem za spust i odstrzeliłem mu czubek głowy.

## 56.

Tina oparła się o maskę wypożyczonego samochodu i drżącymi rękami zapaliła papierosa, gdy przez otwartą bramę terenu budowy ze złowieszczym zawodzeniem syren wyjechał kolejny ambulans. Na miejsce zdarzenia ściągnęły liczne radiowozy i pojazdy techników kryminalistyki. Ulica już została zamknięta, za taśmami pojawiali się pierwsi gapie.

Zaciągnęła się głęboko, zupełnie oderwana od całego tego zamieszania, jakby nie miało z nią nic wspólnego. Tego ranka na jej oczach zmarło troje ludzi i sama o mało nie straciła życia. Strzelano do niej trzeci raz w życiu, a jednak tym razem była najbliżej śmierci. Naprawdę czuła ciepły podmuch, gdy kula ze świstem przeleciała obok jej ucha. Parę centymetrów w bok, a byłoby po niej. Tak po prostu. W jednej sekundzie żywa i sprawna, w następnej zimny trup.

Nie powinna w ten sposób nadstawiać karku. Wbieganie do pustego budynku w pojedynkę i bez broni, by zlokalizować źródło strzałów, było czystym szaleństwem. A jednak nie mogła się powstrzymać, jakby w głębi duszy odczuwała pragnienie śmierci. Gdyby Egan nie zastrzelił bandyty ostatnią kulą, z pewnością nie wyszłaby stamtąd żywa. Przez cały czas trzymała go za rękę, gdy tracił i odzyskiwał przytomność, i dziękowała mu za to, co zrobił, choć nie była pewna, czy naprawdę ją słyszy. Podziękuje odpowiednio, gdy tylko Sean wydobrzeje. Musi również się dowiedzieć, co tam zaszło, czy człowiek, którego zastrzelił, był egzekutorem i jaką rolę odegrał w tym wszystkim jej szef Dougie MacLeod. Kiedy zobaczyła go martwego na podłodze, ogarnął ją straszny smutek. Uważała go za dobrego człowieka, ale nie mogła przestać się zastanawiać, czy był zamieszany w to wszystko. Nadal na wiele pytań nie знаła odpowiedzi, lecz wiedziała, że zanim się zajmie ich szukaniem, musi wyteńczyć siły w próbie ocalenia pracy.

Samochód zatrzymał się przed taśmą i z tyłu wysiadło dwóch mężczyzn. Jednym był Dan Grier, ale drugiego, niższego i starszego, rozpoznała dopiero po kilku sekundach. Był to nadinspektor Frank Mendelson, słynący z porywczosci szef wydziału zabójstw i poważnych przestępstw, a nadto jej najwyższy przełożony.

Mendelson od razu wziął ją na cel i pomaszerował w jej stronę z twarzą jak chmura burzowa. Grier powoli wycofywał się na tyły, wlokąc za sobą nogi jak skarcony uczeń.

– Do cholery, co pani sobie wyobraża? – zapytał nadinspektor, zatrzymując się przed nią. Oczy płonęły mu od ledwo hamowanego gniewu.

– Rozwiążuję sprawę morderstwa – odparła spokojnie, napotykając jego spojrzenie.

– I co, nie rozwiązała pani, prawda? Wszystko, co mamy, to pełno trupów, a pani nie ma tam, gdzie być powinna. Jest pani świadkiem morderstwa ministra, na litość boską! Nie można jakby nigdy nic opuszczać miejsca przestępstwa. – Ze złością pokręcił głową. – Policji nie stać na utrzymywanie indywidualistów, a pani jest właśnie kimś takim.

Tina miała ochotę mu przypomnieć, że powiedział co innego, gdy dołączyła do grupy MacLeoda. Wtedy nazwał ją przebojowym detektywem, bardzo potrzebnym policji stołecznej. Ale nie zawracała sobie tym głowy; pozwalała mu się wygadać, jednocześnie starając się nie patrzeć na Griera, który stał za szefem z oczami wbitymi w ziemię.

– Dlatego zostaje pani zawieszona do odwołania – kontynuował Mendelson. – Ma pani natychmiast udać się do komisariatu w Notting Hill i złożyć zeznanie w dochodzeniówce w sprawie zajścia w domu Anthony'ego Gore'a. Jak rozumiem, nagrała pani przyznanie się do winy. – Położył nacisk na ostatnie słowo; jego ton był sceptyczny, jakby z natury kontekst miał fałszywy wydźwięk. – Jeśli tak, proszę przekazać mi nagranie. – Wyciągnął rękę.

– Pan się myli – powiedziała, nie patrząc na Griera. – Nie ma żadnego nagrania.

– Jest pani pewna? – Ściągnął brwi, potem spojrzał przez ramię. – Posterunkowy Grier, chyba mówiliście, że komisarz Tina Boyd nagrała wasz wywiad z panem Gore'em?

– Powiedziałem, że nie jestem pewien – odparł. – Sądziłem, że może to zrobiła, ale skoro mówi, że nie...

Mendelson nie wyglądał na przekonanego.

– Jeśli pani kłamie... – warknął.

– Nie kłamie.

– Wie pani, mógłbym nakazać rewizję. W tych okolicznościach miałbym prawo.

Obrzuciła go spojrzeniem pełnym głębokiej pogardy.

– Proszę bardzo.

– Nie podoba mi się pani postawa, panno Boyd.

– Gównu mnie to obchodzi, panie Mendelson.

Nadinspektor tak poczerwieniał, że pomyślała, iż zaraz wybuchnie. Dosłownie trząśnięty z gniewu. W końcu zdołał się wziąć w garść.

– Jesteś skończona – rzucił i uśmiechnął się lodowato. – Dopilnuję tego.

– Wal się – odparła, ale jej słowa zagłuszyła syrena następnego ambulansu, który wyjeżdżał z budowy, a poza tym Mendelson już się obrócił na pięcie i odmaszerował.

Przez chwilę patrzyła za nim, potem zgasła obcasem niedopałek. Zostawiła wypożyczone auto i poszła w przeciwnym kierunku, nie oglądając się za siebie, przepełniona dziwnym, a jednak upajającym uczuciem wolności.



# **Część trzecia**

**DZIEWIĘĆ DNI PÓŹNIEJ**

# 57.

Tina Boyd była zaskoczona zdrowym wyglądem Seana Egana, biorąc pod uwagę, przez co przeszedł. Siedział w łóżku oparty o wezglowie i czytał książkę, gdy zapukała i weszła do jego prywatnego pokoju w szpitalu, niosąc kupione po drodze pudełko czekoladek i butelkę przyzwoitej szkockiej. Chciała przyjść wcześniej, ale jego pierwszy tydzień w szpitalu przypominał pobyt w areszcie. Uzbrojony policjant pilnował pacjenta i odwiedziny były ograniczone.

Na jej widok uśmiechnął się szeroko i odłożył książkę.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Przyszłam podziękować za ocalenie mi życia – odparła.

Położyła czekoladki i butelkę na szafce przy łóżku i usiadła.

– Tommy był marnym strzelcem. Wyszłabyś bez szwanku.

– Ciebie zdołał trafić dwa razy.

– Po prostu miał szczęście – powiedział, obdarzając ją znużonym uśmiechem. – W każdym razie gdybyś się nie zjawiała, wykrwawiłbym się na śmierć, więc chyba jesteśmy kwita. Może powinniśmy podzielić się butelką.

Tina rozmyślnie wybrała szkocką, ponieważ jej nie lubiła.

– Nie, zatrzymaj ją do czasu, gdy poczujesz się lepiej.

– Niech ci będzie, ale przynajmniej mi powiedz, jak to się stało, że wylądowałaś w tym budynku w sobotę o ósmej rano. W ciągu paru ostatnich dni odpowiedziałem na mnóstwo pytań, nikt jednak nie udzielił mi żadnych informacji.

– To długa historia.

– Dłgie historie pozwalają mi przetrwać w tym miejscu.

Powiedziała mu wszystko.

– Jezu – mruknął, gdy skończyła. – Zawiesili cię po tym, co zrobiłaś?

– Nie przestrzegałam zasad, a w dzisiejszych czasach tego nie lubią.

Zaśmiał się.

– Znam to uczucie. I jeśli to jakaś pociecha, też zostałem zawieszony. Ale w tej chwili po prostu się cieszę, że o nic mnie nie oskarżyli.

– Sądzę, że gdyby do tego doszło, podniósłby się powszechny krzyk protestu. Czytasz gazety. Musisz wiedzieć, jakie wzbudziłeś zainteresowanie. „Sun” nazwał cię Robocopenem.

Jak można się było spodziewać, media oszalały na punkcie porwania Andrew Kenta i rewelacji dotyczących Anthony'ego Gore'a oraz jego związku z porwaniem. Temat nie zniknął z pierwszych stron gazet. Wobec największego kryzysu w sferach

politycznych w historii, spowodowanego przez trwający skandal z wydatkami parlamentarzystów, zarzuty w sprawie morderstwa nie zostały uznane za niewiarygodne, jak mogłoby się stać w innych okolicznościach. Prawdę mówiąc, potraktowano je jako kolejny dowód na skorumpowanie klas rządzących, które – jak obecnie się wydawało – zdolne są niemal do wszystkiego.

Większość ludzi – przynajmniej, jeśli wierzyć nagłóvkom brukowców – uważała, że Andrew Kent i Anthony Gore dostali to, na co zasłużyli, i choć rola Gore'a nie do końca stała się znana publicznie, narastała fala popularności Seana Egana. Według komentarzy prasowych był dzielnym gliną pragnącym pomścić zamordowanego dawno temu brata i jego jedyne przestępstwo polegało na tym, że poszedł za daleko, ale się zrehabilitował, uwalniając świat od sadystycznego zabójcy.

Nikt więc nie chciał się wyłamać i oskarżyć Egana o cokolwiek, choć Koronna Służba Prokuratorska mogłaby zapewne zestawić przeciwko niemu listę zarzutów dłuższą niż Biblia.

– Znaleźli brakujące nagranie Kenta z zabójstwa Roisin O'Neill? – zapytał.

Tina pokręciła głową.

– Wygląda na to, że Kent miał tylko jedną kopię i ją zniszczył.

– Myślisz, że Tommy zabił też jej ojca?

– Niewątpliwie. Samochód, z którego korzystał, ten, który doprowadził mnie do niego i ciebie, został zarejestrowany przez kamerę na drodze do domu ojca Roisin w noc jego śmierci. Brak związku byłby niewiarygodnym zbiegiem okoliczności.

– Ale dlaczego go zabił? Dlaczego akurat wtedy?

Tina wiele myślała nad tym pytaniem.

– Gore musiał się bać, że Roisin powiedziała ojcu o ich romansie. Nie stanowiło to problemu, gdy uważaliśmy ją za jedną z ofiar Upiora. Jednak po aresztowaniu Kenta, który wiedział, że sprawcą jej morderstwa jest minister, musieli zdecydować, iż lepiej sprzątnąć ojca. – Wzruszyła ramionami. – Myślę, że było to po prostu ograniczanie szkód.

Egan westchnął.

– Jezu. Było mu wszystko jedno, kogo zabija, prawda? Ale nadal nie rozumiem, kto to wszystko zorganizował.

Tommy powiedział, że pracował dla niejakiego Alfya.

– Sądzimy, że chodziło o Paula Wise'a, gangstera i bandziora z bazą na Cyprze. Działał w imieniu Anthony'ego Gore'a, co nie znaczy, że osobiście maczał w czymkolwiek palce. Wykorzystał Tommy'ego i szajkę Wolfe'a.

Wiele gazet wspomniało o tajemniczym biznesmenie, który być może pomagał w zaciemnieniu sprawy, nikt jednak nie śmiał oskarżyć Wise'a po nazwisku, ponieważ praktycznie nie było przeciwko niemu dowodów. Tina wiedziała, że teraz, gdy sprawa przybrała tak spektakularny obrót, Wise będzie miał stracha, ale to jej nie wystarczało. Chciała sprawiedliwości.

Egan ściągnął brwi.

– I co z nim będzie? Ujdzie mu płazem?

– Nie – oświadczyła stanowczo. – Dni Paula Wise'a są policzone, a ja mam dowód, który to zagwarantuje. Nagrałam nasz wywiad z Anthonym Gore'em, gdy przyznawał się do swojej roli w całej sprawie, i nagranie pogrąża Wise'a.

– Nie czytałem o tym w gazetach.  
– Gazety nic nie wiedzą. Jeszcze nie. Ani nikt z moich kolegów. Chciałam mieć pewność, że nagranie niby przypadkiem nie zniknie. Paul Wise ma wszędzie kontakty, a jeśli ktoś jest zdolny do zlikwidowania dowodu, to na pewno on.

– Czy nagranie zostanie dopuszczone w sądzie, skoro Anthony Gore nie żyje?

Tina wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, ale jutro mam spotkanie z dziennikarzem z „Guardiana”. Sprawdziłam go, jest czysty jak łąza. Zamierzam przekazać mu nagranie pod warunkiem, że je opublikuje. Jeśli tak się stanie, sądzę, że Koronna Służba Prokuratorska, policja, rząd i wszyscy pozostali nie będą mieli innego wyboru, jak ściągnąć Wise'a z Cypru, żeby postawić go w stan oskarżenia.

– Nie będzie się procesować?

– Na jakiej podstawie? To nagrane zeznanie ministra. Może się sądzić ze spadkobiercami Gore'a, ale nie przypuszczam, żeby próbował pozwać gazetę. W każdym razie mój dziennikarz nie wydaje się zbyt przejęty taką możliwością.

Egan spojrział na nią z podziwem.

– Jezu, ty się nie cackasz, prawda? Cieszę się, że nie nadepnałem ci na odcisk.

– Paul Wise przed laty wyrządził mi wielką krzywdę. Po prostu mam nadzieję, że będę mogła powiedzieć mu twarzą w twarz o mojej roli w jego upadku.

– Mam przecucie, że tak będzie.

– Zobaczymy – powiedziała i wstała. – Lepiej już pójdę. Ciesz się gorzałą i czekoladkami.

Nastąpiła niezręczna chwila. Tina nie była pewna, czy ma uścisnąć mu dłoń, cmoknąć go w policzek czy po prostu zachować dystans. W końcu zdecydowała się na całusa i nie zaskoczyło jej, gdy objął ją w talii.

– Zobaczę cię znowu, Tino Boyd? – szepnął jej do ucha.

Egan był przystojnym facetem, jednym z tych, w których zbyt łatwo jest się zakochać. I może powinna, ale jej myśli wciąż zajmował inny mężczyzna.

– Nigdy nie wiadomo – odparła i odsunęła się delikatnie.

Po wyjściu ze szpitala zapaliła papierosa i ruszyła Gower Street w kierunku Tottenham Court Road. Świeciło słońce, dzień był piękny. Prawdę mówiąc, nie wiedziała, czy ujawnienie nagranego zeznania Gore'a spowoduje ostateczny upadek Wise'a. Przekazanie go mediom, gdy wcześniej wszystkiego się wypierała, z pewnością zrujnuje jej szanse na powrót do pracy. Mimo to uśmiechała się, gdy schodziła na stację metra Tottenham Court Road.

Ponieważ wiedziała, że w końcu naprawdę zalezie Wise'owi za skórę.

## 58.

Zapadł wieczór i leżałem w szpitalnym łóżku, czując mdłości po zjedzeniu wszystkich czekoladek, które przyniosła mi Tina Boyd. Zastanawiałem się, czyby się zgodziła, gdybym zaprosił ją na randkę, gdy ktoś zapukał do drzwi. Sekundę później pojawił się łysy, trupioblady Kapitan Bob. Miał na sobie sweter z angory z dekoltem w serek i sportowe spodnie, jakby właśnie wracał z gry w golfa. Zapewne tak było.

– Mój Boże, wyglądasz inaczej – powiedział, podchodząc do łóżka. Wyciągnął kościstą rękę, którą uściskałem z niechęcią. – Co zrobiłeś z włosami?

Ostatnim razem, gdy mnie widział, były krótkie i jasnobrązowe, ale z myślą o infiltracji szajki Wolfe'a zapuściłem je i ufarbowałem na czarno, a na dodatek wyhodowałem bujne bokobrody, które – gdyby były o kilka centymetrów dłuższe – mogłyby uchodzić za brodę amisza.



– Mężczyzna powinien zawsze eksperymentować z włósnymi, choć przypuszczam, że pan pewnie o tym zapomniał. W każdym razie dzięki, że pan do mnie zajrzał. Leżę tu tylko dziewięć dni.

– Próbowałem ograniczyć skutki twoich wybryków – odparł szorstko, siadając. Zauważyłem, że nie przyniósł prezentu ani nawet wizytówki, ale przecież Kapitan Bob nie słynął z wielkoduszności. – Coś ty sobie myślał, Sean? – zapytał z irytacją, której nie zamaskował jego dystygowany akcent.

– Wie pan, co myślałem. Szukałem sprawiedliwości za śmierć mojego brata.

– Raczej zemsty, bo tylko o to ci chodziło.

– Jeśli przyszedł pan tutaj prawić mi kazania, to na próżno strzepi pan sobie język.

– Nie. Przyszedłem zobaczyć, jak się masz. I powiedzieć ci, że rozmawiałem w twoim interesie ze śledczymi prowadzącymi dochodzenie w tej żalosalnej sprawie. Mam nadzieję, że nie wniosą oskarżenia, ale muszę być szczery, Sean. Twoja kariera jest skończona.

– Tak myślałem.

Zawsze wiedziałem, że to nieuchronne, a jednak byłem zaskoczony nieodwołalnością jego oświadczenia.

– Przykro mi – rzekł, dokładając usilnych starań, żeby zabrzmiało to szczerze. – Poza tym jest jeszcze coś. Poproszono mnie, bym cię skłonił do rezygnacji z pracy w policji. Złożymy to na karb stresu i w ten sposób zachowasz prawo do pełnej emerytury. Mogę ci obiecać, że takie rozwiązanie będzie znacznie korzystniejsze. – Mówił uprzejmym tonem, nawet współczująco, ale za słowami kryła się niewątpliwa pogroźka. Chcieli się mnie pozbyć za wszelką cenę.

- Jest jakaś alternatywa?
- Taka, że może się zrobić paskudnie.

Część mediów mogła robić ze mnie bohatera, ale nie sądziłem, że to powstrzyma szefostwo. Stałem się kulą u nogi, muszę odejść. Mogę walczyć o swoje, lecz parę ostatnich tygodni dało mi w kość, a poza tym dokonałem tego, co zamierzałem. Nadszedł czas na wycofanie się z placu boju.

– Niech będzie – powiedziałem. – Złożę rezygnację, jeśli tego pan chce.

– Nie chcę, ale nie zostawiasz nam wyboru. Uprowadziłeś z policyjnego aresztu głównego podejrzanego i zabiłeś go, zanim miał okazję choćby się zbliżyć do sądu.

– Pomogłem również rozwikłać ważną sprawę, co doprowadziło do zdemaskowania skorumpowanego polityka – odciąłem się dotknięty do żywego jego krytyką. – I to jeszcze nie koniec. Paul Wise, gangster, który stał za tym wszystkim, też drogo zapłaci.

Kapitan Bob przymrużył oczy.

– Skąd wiesz?

– Tina Boyd ma nagrane zeznanie Anthony'ego Gore'a na temat roli Wise'a.

Natychmiast pożałowałem tych słów. Kapitan Bob, członek establishmentu, był ostatnią osobą, której należało o tym mówić.

– Sądziłem, że nie ma żadnego nagrania – rzekł. – Tak powiedziała swojemu szefowi.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Może źle zrozumiałem.

Obrzucił mnie spojrzeniem, które mówiło, że ani trochę mi

nie wierzy, ale postanowił nie drążyć tematu. Po paru sekundach pełnej napięcia ciszy wstał i oznajmił, że musi iść.

– Byłeś doskonałym agentem, Sean, i praca z tobą sprawiała mi przyjemność. Będzie nam ciebie brakowało, ale podjąłeś słuszną decyzję.

Od niechcienia uścisnął moją dłoń, życzył mi powodzenia, po czym wypadł z pokoju, jakby ścigał go smród.

Zastanawiałem się, czy nie wpakowałem Tiny w kabałę. Nie miałem wątpliwości, że Kapitan Bob przekaze zwierzchnikom to, czego się dowiedział, i że spróbują ją zmusić do oddania nagrania. Musiałem dać jej znać, że być może czeka ją wizyta, by mogła przynajmniej się przygotować. Niestety, nie miałem jej numeru.

Wciąż byłem bardzo zmęczony i choć nękały mnie wyrzuty sumienia, że nie staram się nawiązać kontaktu, zapadłem w niespokojny sen.

Coś mnie zbudziło. Coś, co nie dawało mi spokoju. Ale nie bardzo wiedziałem co.

Zegar cyfrowy na ścianie wskazywał 21.53. Powoli wygramoliłem się z łóżka. Czułem się znacznie lepiej, a lekarze byli zgodni, że szybko wracam do zdrowia. Miałem zeszywniała prawą nogę, ale mogłem chodzić. Włożyłem szlafrok, zabrałem kule i ruszyłem polować na automat telefoniczny.

Byłem dłużnikiem Tiny. Zrobiła tyle samo, żeby ocalić mi życie, co ja dla niej. Gdyby w porę nie zjawiała się w tym pustym budynku, wykrwawiłbym się na śmierć, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Stałem w połowie korytarza.

Jak wryty.

Oparłem się ręką o ścianę, żeby nie stracić równowagi, bo przypominałem sobie coś, co Tommy powiedział podczas tych paru minut, gdy trzymałem go na muszce.

I nagle sobie uświadomiłem, co nie dawało mi spokoju.

I w jakim niebezpieczeństwie znalazła się Tina Boyd.

## 59.

Alfa patrzył na glocka 34 z przymocowanym dziewięciomilimetrowym tłumikiem. Groźny z samego wyglądu pistolet został mu dostarczony trzy lata temu do użycia w nagłym wypadku i dotąd był czysty. Obecna sytuacja zdecydowanie zaliczała się do wyjątkowych, lecz Alfa nie palił się do używania broni. Nie był zabójcą, nigdy. Zawsze uważał się tylko za źródło informacji wspomagające gładkie funkcjonowanie organizacji Paula Wise'a przez podawanie szczegółów operacji policyjnych przeciwko różnym jego nielegalnym działaniom. Ale coraz częściej wymagano od niego wykonywania znacznie bardziej ekstremalnych zadań, łącznie ze zmasakrowaniem młotkiem twarzy martwej kobiety w celu tuszowania przestępstwa najważniejszego kontaktu Wise'a wśród establishmentu.

I teraz to.

Instrukcje przekazane osobiście przez Wise'a podczas rozmowy telefonicznej były jednoznaczne i kategoryczne. Zabierz Tinie Boyd nagranie zeznania Anthony'ego Gore'a. Dopilnuj, żeby nie było kopii. A potem ją zabij. Wise mówił mściwym, pełnym złości tonem. Wyglądało na to, że poczynania komisarz Boyd mocno go wkurzyły, co poświadczała suma, jaką gotów był zapłacić za jej śmierć: sto pięćdziesiąt tysięcy funtów w ciągu godziny przelane na konto w panamskim banku.

Alfa wiedział, że nie ma wyboru. Od dawna chciał zrezygnować z pracy dla Wise'a, ale to nie działało w ten sposób. Wise jasno dał mu do zrozumienia, że ma dość dowodów świadczących o jego współpracy, żeby go zniszczyć.

Dlatego musi zrobić, co mu kazano, i to teraz.

Biorąc głęboki oddech, Robin Samuel-Smith, lepiej znany swoim kolegom w CO10 jako Kapitan Bob, zdjął tłumik z glocka, schował go wraz z pistoletem do kabury na szelkach pod płaszczem przeciwdeszczowym i wyszedł z apartamentu w Pimlico, za który zapłacił krwawymi pieniędzmi od Paula Wise'a.

## 60.

Z automatu w pobliżu recepcji zadzwoniłem do dawnego kolegi z posterunku w Holborn Simona Tilleya i poprosiłem, żeby podał mi adres i numery telefonów Tiny. Tilley odwiedził mnie dwa razy w szpitalu, więc na szczęście nie chciał rozmawiać o moich przeżyciach, gdyż wszystko już usłyszał. Był za to bardzo zainteresowany, dlaczego chcę się skontaktować z Tiną; pewnie założył, że chodzi o romans. Już miałem mu powiedzieć o moich obawach, ale czułem, że uzna mnie za niepo czytelnego. Zamiast tego uciąłem rozmowę, mówiąc mu, że odezwę się za parę dni.

Wciąż nie miałem pewności, czy moja teoria ma sens. Wydawało się nie do pojęcia, że Kapitan Bob, od dziesięciu lat będący moim szefem, może być Alfą, człowiekiem, który to wszystko zmontował.

A jednak pasowało. Tina uważała, że Alfą jest Paul Wise, ale to nie mógł być on. Musiał być to ktoś, kto wiedział o policyjnym śledztwie w sprawie Nocnego Upiora tyle, żeby upozorować morderstwo Roisin O'Neill. Bob wprawdzie nie brał udziału w dochodzeniu, lecz stanowisko umożliwiało mu wgląd w szczegóły, jeśli tego chciał.

Zawsze wiedziałem, że Kapitan Bob ma kontakty w londyńskim świecie przestępczym. Ostatecznie odegrał główną rolę w uwolnieniu mnie od wyroku, który wydał na mnie Jason Slade. Do tego dochodziło zdumienie Tommy'ego, gdy mu powiedziałem, że jestem tajnym agentem. „Wykluczone – stwierdził. – Prześwietliłem cię. Dokładnie”.

Czy jego pewność brała się stąd, że osobą sprawdzającą mnie nie był ani Wolfe, ani Haddock, lecz przełożony agentów w CO10, ktoś, na czym słowie można polegać – ktoś taki jak Kapitan Bob?

Rzecz w tym, że infiltrowałem szajkę Wolfe'a nieoficjalnie, toteż dołożyłem wszelkich starań, żeby moi szefowie się o tym nie dowiedzieli. Używałem starego nazwiska sprzed paru lat, gdy zostałem czasowo oddelegowany do SOCA, a ponieważ SOCA jest organizacją całkowicie niezależną od policji stołecznej, Bob nie mógł ich powiadomić, że to przykrywka. Poza tym całkowicie odmieniłem swój wygląd. Nie dość, że zapuściłem włosy i bokobrody, to jeszcze przybrałem ponad sześć kilogramów na wadze. Całkiem możliwe, że jeśli Bob dostał moje zdjęcie, a nie było najlepszej jakości, to mógł mnie nie rozpoznać.

Opieka kogoś takiego jak Bob wyjaśniałaby, dlaczego Wolfe i jego szajka zawsze o kilka kroków wyprzedzali stróżów prawa. I podejrzewałem, że gdyby pogrzebano głębiej w ich



działalności, szybko wyszłoby na jaw, że człowiekiem, od którego kupowali narkotyki, był Paul Wise, zajmujący się między innymi przemytem na wielką skalę.

Do tego dochodził fakt, że Bob nagle wybiegł z pokoju, gdy wspomniałem o nagraniu.

Wszystko pasowało. Ale wciąż była to tylko teoria, do tego tak ogólnikowa i pozbawiona dowodów, że zostałyby wyśmiana w policyjnym centrum operacyjnym, a co dopiero w sądzie. W głębi duszy się zastanawiałem, czy nie wyciągam zbyt daleko idących wniosków, czy wydarzenia ostatnich dni nie zrobiły ze mnie paranoika. Trudno było uwierzyć, że mój szef chronił bandytów, wiedząc, iż byli zabójcami mojego brata. A jednak na tym świecie nie brakuje ludzi robiących straszne rzeczy dla pieniędzy i być może Kapitan Bob, człowiek, dla którego mogło zostać wymyślone określenie „interesowny”, do nich się zalicza.

Zadzwoiłem do Tiny na stacjonarny. Nie odebrała, więc zostawiłem wiadomość, prosząc ją o spotkanie w moim mieszkaniu i mówiąc, że sprawa jest pilna. Potem zadzwoniłem na komórkę z tym samym skutkiem i nagrałem tę samą wiadomość.

Odszedłem od rzędu automatów. Nie miałem pojęcia, czy Tina jest w domu, czy nie, czy zagraża jej prawdziwe i rychłe niebezpieczeństwo, ale nie zamierzałem spocząć, dopóki się z nią nie skontaktuję. Skoro nie mogłem zrobić tego przez telefon, muszę się zjawić osobiście.

I co zrobić? Czuwać nad nią – inwalida z ledwo sprawną nogą, który przed chwilą wypisał się ze szpitala – dopóki nie przekaże nagrania dziennikarzowi?

Prawdę mówiąc, nie byłem pewien, co mam, do cholery, zrobić, ale coś musiałem, dlatego pokuśtykałem do pokoju, krzywiąc się z powodu sztywności w nodze. Miałem komplet czystych ubrań, które kazałem przynieść z domu Simonowi Tilleyowi, kiedy mnie odwiedził. Przebrałem się, uważając, żeby nie naruszyć bandaży nadal spowijających mój brzuch. Byłem daleki od pełni sił do walki, ale nie do wiary, kule nie uszkodziły żadnych ważnych narządów i rany dobrze się goiły, pomijając sztywną nogę. Właściwie dwa złamane żebra sprawiały większy ból i teraz też dawały mi się we znaki, gdy chodziłem po pokoju.

Zegar na ścianie pokazywał 22.14. Minęła co najmniej godzina, może więcej, odkąd Kapitan Bob opuścił mnie w pośpiechu.

Pokuśtykałem do drzwi, mając nadzieję, że nie jest za późno.

# 61.

Tina Boyd pozwoliła sobie na łagodne unoszenie się w mgiełce umiarkowanego upojenia alkoholowego, w zasadzie nie zwracając większej uwagi na treść programu dokumentalnego w telewizji.

Była znudzona i niespokojna, chciała już mieć za sobą spotkanie z Nickiem Pennym, dziennikarzem z „Guardiana”, żeby zakończyć całą sprawę i wreszcie zobaczyć swoją zemstę w świetle jupiterów.

Przez wiele dni próbowała wykombinować, jak najlepiej wykorzystać nagranie wywiadu z Anthonyem Gore'em. W pewnym momencie poważnie się zastanawiała, czy nie przekazać go Mike'owi Boltowi, gdyż wiedziała, że on niczego nie zatuszuje. Ale choć ufała mu bezgranicznie, postanowiła tego nie robić. Już wyświadczył jej wiele przysług i w konsekwencji niejedną raz znalazł się przez nią w opałach.

Będzie lepiej, gdy da nagranie doświadczonemu dziennikarzowi śledczemu, jak Penny, który specjalizuje się w wykrywaniu wielkich afer i ma za sobą silny antyestablishment. Wiedziała, że będzie to oznaczać koniec jej kariery, gdyż nie da się ukryć, skąd pochodzi nagranie, ale w tej chwili się tym nie przejmowała.

Była obecnie zawieszona, choć pobierała pełne wynagrodzenie. Nie miała jednak zamiaru beczynnienie siedzieć w mieszkaniu. Dni były zbyt długie i puste, miała zbyt wiele okazji, żeby zajrzeć do kieliszka. Nie, gdy tylko Penny opublikuje treść nagrania, ona weźmie urlop – poleci w jakieś ciepłe, egzotyczne, dalekie miejsce – i odstawi alkohol na dobre.

Ziewnęła i podniosła pustą butelkę po winie, zastanawiając się, czy otworzyć następną i wypić kieliszek na sen. Wino było marnie, ale nadawało się do spożycia. Kiedy wstała, zakręciło się jej w głowie i przez parę sekund miała mroczki przez oczami, co znaczyło, że zdecydowanie pora iść spać.

Szła chwiejnym krokiem w kierunku sypialni, gdy sobie przypomniała, że nie wyłączyła telewizora.

Zawróciwszy w korytarzu, usłyszała głośny szcęk zamka we frontowych drzwiach mieszkania. Kiedy patrzyła, zastanawiając się, czy nie ma zwidów, drzwi zaczęły się powoli otwierać.

Na chwilę zamarła, niepewna, co zrobić, alkohol spowalniał jej procesy myślowe. Drzwi otwierały się cal po calu, a potem pojawiła się ręka w rękawiczce. Wtedy Tina w końcu zaczęła działać.

Poruszając się jak najciszej, skoczyła do sypialni. Światło zapaliła wcześniej i teraz rozejrzała się gorączkowo, szukając

komórki. Nie mogła jej znaleźć. Nie mogła też sobie przypomnieć, gdzie ją ostatnio miała, chyba w pokoju. Niejasno pamiętała, że wcześniej słyszała dzwonek i go zignorowała, ponieważ nie chciała, żeby ktoś zawracał jej głowę.

Usłyszała szmer otwieranych drzwi pokoju, dźwięk telewizora stał się głośniejszy. Ktoś przeszukiwał jej mieszkanie. Nawet w stanie zamroczenia wiedziała, że musi mieć to związek z nagraniem, choć nie miała pojęcia, jak Paul Wise mógł się o nim dowiedzieć.

Teraz nie było czasu na myślenie. Najważniejsze jest przetrwanie.

Przemknęła przez sypialnię i otworzyła starą drewnianą szafę, która tu stała, gdy Tina kupiła mieszkanie. Drzwi zaskrzyptały głośno, gdy weszła do środka, odsuwając płaszcz i garsonki i zamykając za sobą. Musiała zdusić dziwną chęć wybuchnięcia śmiechem, bo sytuacja przypominała jej zabawę w chowanego na dziecięcych przyjęciach.

A potem, gdy usłyszała skradające się kroki w korytarzu coraz bliżej sypialni, ogarnął ją lęk. Przepchnęła się przez płaszcz jak najgłębiej, rozpaczliwie starając się nie narobić hałasu.

Ktoś ciągle się zbliżał, zatrzeszczały deski podłogi tuż przed drzwiami sypialni.

Wszedł do pokoju.

Wstrzymała oddech, chwiejąc się na nogach, usiłując nie napierać zbyt mocno na tył szafy.

W pokoju panowała cisza, a ona czekała, już nie słysząc intruza. Odszedł?

Nagle się poślizgnęła i przewróciła parę butów. Zamarła, zaciskając zęby, przeklinając się w duchu za nieuwagę.

Drzwi szafy się otworzyły i płaszcze zostały odsunięte jednym pełnym złości ruchem.

Przez pół sekundy Tina stała twarzą w twarz z mężczyzną w źle dopasowanej kominiarce, długim płaszczu przeciwdeszczowym i w rękawiczkach. Trzymał pistolet z tłumikiem. Skoczyła na niego z wściekłym wrzaskiem, próbując chwycić za nadgarstek, żeby uniemożliwić mu użycie broni.

Ale z powodu alkoholu miała niezborne, nieskoordynowane ruchy, więc bez wysiłku zrobił unik i uderzył ją w tył głowy, gdy mijała go chwiejnie. Wyciągnęła rękę, żeby zamortyzować zderzenie ze ścianą, a potem osunęła się na podłogę.

Gdy się odwróciła, intruz pochylał się nad nią.

– Nagranie. Gdzie jest? Mów natychmiast! – syczał, wyraźnie próbując zmienić głos, ale mimo to rozpoznała akcent charakterystyczny dla wyższych sfer. Słyszała też nutę strachu, jakby naprawdę nie chciał tu być i robić tego, co robił.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała, żeby zyskać na czasie. Starannie wymawiała słowa, dziwnie zawstydzona, że przyłapano ją na domowym pijaństwie.

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Albo pójdzie łatwo, albo będzie bolało. Jeśli mi powiesz, zaraz wyjdę. Jeśli nie, zastrzelę cię i wywrócę mieszkanie do góry nogami, by to znaleźć. A znajdę.

Tina spojrzała na niego, próbując rozstrzygnąć, czy naprawdę ją puści, jeśli da mu nagranie. Nie chciała go oddawać, bo wraz z nim przepadnie jej ostatnia szansa postawienia Paula Wise'a przed sądem, ale też wiedziała, że nie chce umierać.

Trzymał pewnie pistolet.

– Ostatnia szansa.

Przełknęła ślinę, coś powstrzymywało ją od mówienia, choć wiedziała, że podejmuje ogromne ryzyko.

– Mów – warknął.

Wydawało się jej, że widzi cień wahania w jego oczach.

Ale zaraz potem podniósł z łóżka poduszkę, złożył ją na pół i przycisnął do niej czubek tłumika, wciąż w nią celując. Jeśli teraz strzeli, strzał będzie ledwo słyszalny. Sąsiedzi nie usłyszą nawet przez cienkie jak papier ściany.

Umrze we własnym domu, ostatnim schronieniu przed brutalnym światem. A jednak nie mogła się zmusić do mówienia.

Napastnik zbliżył się o krok i pochylił ku niej, więc poduszka zasłoniła jej pole widzenia.

– Drugi raz nie spytam – szepnął z determinacją w głosie. – Gdzie jest nagranie?

Zabrzączał domofon, dźwięk był długi, nieprzerwany, ktoś dzwonił, nie odrywając palca od przycisku.

Nie miała pojęcia, kto to – nigdy nie przyjmowała wieczorem gości – ale dźwięk rozproszył uwagę intruza, który na chwilę odwrócił głowę.

Wtedy alkohol przejął nad nią władzę i rzuciła się na niego z wściekłym wyciem, ignorując zawroty głowy, gdy sięgała po pistolet.

## 62.

Wciąż wciskałem guzik domofonu mieszkania Tiny na czwartym piętrze nijakiego bloku, gdy usłyszałem strzał – słabe, ale charakterystyczne pyknięcie – i trzask pękającego szkła.

Za mną kierowca już wysiadł z taksówki. Chciał, żebym zapłacił czternaście funtów – czego nie mogłem zrobić, bo nie miałem pieniędzy – i zaczął się wkurzać, gdy stało się jasne, że osoba, do której przyjechałem i która miała uregulować rachunek, nie odpowiada.

Teraz ucichł i spojrzał w górę, gdy kawałki szkła sypały się na ziemię.

– Do diabła, co się dzieje?

Utykając, odsunąłem się od wejścia do bloku i spojrzałem tam, gdzie on. Szyba została wybita na czwartym piętrze, co potwierdziło moje najgorsze obawy.

Potem usłyszałem drugi strzał.



Pokuśtykałem do wejścia i zacząłem naciskać dzwonki innych mieszkań, rozpaczliwie pragnąc się dostać do środka.

– Pomóż mi otworzyć drzwi! – krzyknąłem do taksówkarza, wielkiego faceta mniej więcej w moim wieku. – Kobieta na górze ma kłopoty.

Rozłożył ręce.

– Słuchaj, stary, nie chcę się mieszać.

– Jestem policjantem, na litość boską! Sean Egan. Może widziałeś moje nazwisko w gazecie. Sprawa Nocnego Upiora. A na górze jest komisarz Tina Boyd, ktoś ją atakuje. Pomóż mi otworzyć te cholerne drzwi! Natychmiast!

– Jak?

– Z kopa!

Nie krył zaniepokojenia, ale trzeba mu oddać, że ruszył miarowym truchtem i zadał kopnięcie w stylu kung-fu, gdy desperacko naciskałem inne guziki.

Drzwi się zatrzęsły, ale nie ustąpiły. Taksówkarz stęknął z bólu.

Odezwała się jakaś kobieta.

– Kto tam?

– Policja. Proszę mnie wpuścić.

– Proszę pokazać legitymację przed kamerą.

– Nie mam czasu. Niech pani mnie wpuści.

– Nie.

Taksówkarz kopnął ponownie i tym razem drzwi się otworzyły. Wszedłem do środka o kulach. Kazałem mu dzwonić pod 999 i wcisnąłem guzik windy. Otworzyła się od razu, wsiadłem i wybrałem czwarte piętro. Kierowca się nie ruszył, żeby mi towarzyszyć. Stał z telefonem przy uchu.

Wiedziałem, że to, co robię, jest chore. Jestem nieuzbrojony, poruszam się o kulach. Nie mogę zaoferować Tinie żadnej ochrony, mogę za to z łatwością dać się zabić. Ale byłem jej dłużnikiem. To była moja wina i nie wiedziałem, co u licha, pocznę, jeśli się spóźniłem i Tina już nie żyje.

Drzwi windy się rozsunęły i wypadłem na korytarz. Mieszkanie 4B znajdowało się naprzeciwko mnie. Od razu zobaczyłem, że drzwi mają zatrask, ale gdy natarłem na nie ramieniem, nie mając żadnego planu działania, otworzyły się tylko na kilkanaście centymetrów. Trzymał je łańcuch. Z mieszkania dobiegały odgłosy szamotaniny.

Zakląłem, pokuśtykałem do tyłu i przypuściłem drugą szarżę. Tym razem drzwi się otworzyły, a ja wpadłem do środka, z trudem zachowując równowagę. Ruszyłem w głąb wąskiego korytarza, kierując się odgłosami.

Zabrzmiał kolejny strzał, potem łoskot, gdy ktoś wylądował na podłodze, i krótki, ostry krzyk bólu Tiny.

Przyspieszyłem.

– Policja! – wrzasnąłem. – Rzuć broń, Samuel-Smith! To koniec!

Gdy dotarłem do drzwi, zobaczyłem go nad Tiną, która leżała na podłodze z zamkniętymi oczami, jęcząc z bólu. Wciąż był ubrany w ten sam płaszcz przeciwdeszczowy co wcześniej, tyle że teraz miał też kominiarkę na łysej głowie i pistolet w rękach.

Odwrócił się w moją stronę, podnosząc broń do strzału, mrużąc oczy widoczne w otworze czapki.

Bez wahania rzuciłem w niego moją kulą, a gdy odtrącił ją prawą ręką, w której trzymał pistolet, runąłem na niego, nie bacząc na palący ból w nodze.

Mój pęd i jego brak przygotowania sprawiły, że rzuciło nas przez pokój. Uderzyliśmy w ramę okna. Złapałem go za nadgarstek w taki sposób, żeby broń celowała w bok, i wolną ręką mocno trzasnąłem go w twarz. Odchylił się, na wpół zawisł w oknie dwanaście metrów nad ulicą. Widziałem, jak taksówkarz gapi się na nas ze zszokowaną miną, wciąż z telefonem przy uchu, gdy tłukłem Boba po twarzy, naciskając na niego całym ciężarem ciała, ignorując rozdzierający ból w nodze. Zalewały mnie fale strasznego, czystego gniewu, kiedy myślałem o wszystkich złych czynach tego człowieka: jak chronił ludzi, którzy uśmiercili mojego brata; jak zmaltretował zwłoki niewinnej kobiety, żeby chronić polityka; jak przyszedł tutaj zamordować Tinę. Chciałem go zabić, rozdrzeć na kawałki. Tłuc, aż w końcu spadnie i legnie bez życia na betonie jak śmieć, którym był.

Pistolet wypadł mu z ręki i zagrzechotał na ziemi, ale wciąż nie mogłem się pohamować, ciesząc się gorącym bólem w pięściach.

– Przestań, Sean! Zabijesz go!

Tina złapała mnie za ramię. Stała, krwawiąc z nosa, mówiąc trochę niewyraźnie.

– Potrzebny nam żywy. To nasze jedyne ogniwo łączące wszystkie te wypadki z Wise'em.

I w tej chwili cały mój gniew wyparował. Puściłem Kapita-  
na Boba, zatoczyłem się do tyłu i upadłem na podłogę.

Zanim straciłem przytomność, zdążyłem zobaczyć, jak Tina zdiera kominiarkę z głowy człowieka, który przez dziesięć lat był moim szefem, i odsłania jego twarz zbitą na krwawą mią-  
zgę.

To koniec. Wszystkiego.

# Epilog

Tina siedziała w fotelu w samolocie, który czekał na start, i sączyła sok pomarańczowy. Nie piła już prawie od miesiąca i nawet nie brakowało jej alkoholu, choć wiedziała, że jest o wiele za wcześnie, żeby mówić o pełnym sukcesie. Alkohol ma sposoby, żeby się zakraść niepostrzeżenie w życie człowieka, ale na razie udawało jej się o nim zapomnieć. Papierosy to zupełnie inna historia. Zdołała ograniczyć palenie z dwudziestu do dziesięciu sztuk dziennie, lecz na tym koniec. Z drugiej strony, jak przypuszczała, każdy normalny człowiek ma jakieś swoje nałogi.

Mijał szósty tydzień od aresztowania Robina Samuela-Smitha pod zarzutem próby morderstwa. Obecnie czekał na rozprawę w bloku o zaostrzonym rygorze w więzieniu Belmarsh. Ona w tym czasie została przywrócona do pracy, bo przełożeni zdecydowali, że karanie oficer policji, która dokonała przełomu

w poważnej sprawie, nie wyglądałoby zbyt dobrze w oczach opinii publicznej. Jednak Sean Egan, człowiek, który dwa razy ocalił jej życie i tak wiele zrobił, żeby oddać w ręce sprawiedliwości wszystkich winnych, musiał zrezygnować z pracy. Po tamtej nocy w swoim mieszkaniu widziała go tylko raz, gdy spotkali się przy kawie w Starbucksie. Powiedział, że zamierza wyjechać z kraju i spędzić trochę czasu w Nowej Zelandii.

Próbował namówić ją na drinka, ale nie sądziła, że wyszłoby z tego coś dobrego. Byli zbyt podobni. Oboje uparci i impulsywni, pewnie w końcu by się pozabijali, gdyby byli razem. Powiedziała mu to, a on się roześmiał i przyznał, że prawdopodobnie ma rację.

W końcu Tina wzięła przykład z Egana i złożyła podanie o bezpłatny urlop. Natychmiast otrzymała zgodę. Domyślała się, że szefowie są skrycie zadowoleni, iż na jakiś czas będą mieć ją z głowy.

Tak oto wybierała się do Ameryki Środkowej na miesięczną wólcę z plecakiem po Kostaryce i Panamie. Nawet zafundowała sobie bilet w klasie biznes, a choć cena była zawrotna i pochłonęła poważną część jej oszczędności, czuła, że zasłużyła na odrobinę luksusu.

Gdy stewardesa przyniosła jej gazety, wybrała numer „The Times”. Pozwoliła sobie na nieznaczny uśmiech, kiedy zobaczyła zdjęcie na pierwszej stronie. Przedstawiało niskiego, łysiejącego mężczyznę w niemodnym kremowym garniturze, z obwisłymi policzkami i ściągniętą, złośliwą twarzą, podnoszącego rękę, żeby się osłonić przed fleszem aparatu. Paul Wise wyglądał na poważnie zestresowanego, ale przecież nie bez powodu. Członkowie rządu jakoś przetrwali skandal spowodowany przez

Anthony'ego Gore'a, kolejno występując przed kamerami i mieszając go z błotem oraz bezlitośnie komentując jego życie prywatne oraz karierę polityczną. Sytuacja Paula Wise'a przedstawiała się jednak inaczej. Przeszłości, które popełniał od lat, wreszcie zaczęły się na nim mścić, gdy stracił większość swoich popleczników w establishmencie. Na razie uniknął eks-tradycji i gorączkowo zaprzeczał wszystkiemu przez prawników, a także groził wystąpieniem na drogę sądową przeciwko tym, którzy wskazali go z nazwiska, ale jego pogrożki i zaprzeczenia zostały zalane przez falę nacisków, jakie wywierano na rząd Cypru Północnego i Turcję praktycznie kontrolującą politykę zagraniczną tego kraju, domagając się deportowania go do Wielkiej Brytanii na proces.

Wise stał się człowiekiem zaszczytnym, prześladowanym przez prasę, która nie zamierzała mu odpuścić. Tina była pewna, że niebawem polowanie dobiegnie końca i sprawiedliwość zatriumfuje.

Odłożyła gazetę, nie czując już potrzeby czytania artykułu, po czym wyciągnęła się w fotelu. Z uczuciem prawdziwego spokoju czekała na start, żeby się oderwać od swojego bolesnego życia i w końcu odzyskać siły.

Przed wyjazdem Mike Bolt zadzwonił z pytaniem, czy planuje powrót, czy może chce zacząć nowe życie. Było to dobre pytanie i sama wiele razy zadawała je sobie w ciągu minionych tygodni. Odpowiedź zawsze brzmiała tak samo i nigdy się nie zmieni, bo przecież nie może być inaczej.

– Oczywiście, cholera, że tak.

Z podziękowaniami dla mojej agentki  
Amandy Preston oraz redaktorki Seliny  
Walker za pomoc, której nie szczędziły  
mi przez te lata.